

STANISŁAW LEM

MASKA

MASKA

Na początku była ciemność i zimne płomienie, i huk przeciągły, a w długich sznurach iskier czarno osmalone haki wieloczłonkowe. które podawały mnie dalej, i pełzające metalowe węże, co dotykały mię ryjkowato spłaszczonymi łbami, a każde takie dotknięcie budziło dreszcz błyskawiczny, ostry i rozkoszny prawie.

Zza szkieł okrągłych patrzył we mnie wzrok niezmiernie głęboki, nieruchomy i oddalał się, ale to chyba ja się przesuwano dalej i wchodziło w krąg następnego spojrzenia, budzącego drętwotę, szacunek i lęk. Ta wędrówka moja na wznak trwała czas niewiadomy, a w miarę jej postępów powiększałam się i rozpoznawałam siebie, doświadczając własnych granic i nie potrafię wyjawić, kiedym mogło już dokładnie ogarnąć własny kształt, rozpoznać każde miejsce, gdzie ustawało. Tam się świat zaczynał, huczący, płomienny, ciemny, a potem ustał ruch i cienkie trzpienie sta—wonogie, co podawały mię sobie, unosiły lekko w górę, oddawały cęgowym garściom, podsuwały płaskim ustom w otoku iskier, znikły, i leżałam jeszcze bezwładne, choć zdolne już do własnego ruchu, lecz w pełni wiadomości, że jeszcze nie czas i w tym zmartwiałym przechyle — bom spoczywało wtedy na skośnej równi — ostatni prąd, wiatyk bez tchu, pocałunek rozedrgany sprężył mnie i to był znak, żeby zerwać się i wpełznąć w okrągły otwór bezświatlny i już bez wszelkiego przynaglania dotknęłam zimnych, gładkich, wklęsłych płyt. aby spocząć na nich z kamienną ulgą. Lecz może był to sen.

O przebudzeniu nic nie wiem. Szelesty niezrozumiałe pamiętam i półmrok chłodny i siebie w nim. świat otworzył mi się światłem szerokim, połyskliwością rozbitą w barwy, i to jeszcze, jak wiele zdumienia było w mym ruchu, gdym przekraczało próg. Silne blaski spływały z góry na barwny zamęt pionowych kadłubów, widziałem ich kule, obracające ku mnie lśniące wodą guziki, powszechny gwar zamarł i w powstałej ciszy uczyniłem jeszcze jeden mały krok.

Wtedy z nieposłyszonym. odczuty tylko dźwiękiem cieniutkiej struny, co pękła we mnie. uczułam napływ płci tak gwałtowny, że chwycił mnie zawrót głowy i przymknęłam powieki. A gdy stałam tak, z zamkniętymi oczami, dobiegły mnie ze wszech stron słowa, bo razem z płcią wszedł we mnie język. Otwarłam oczy i uśmiechnęłam się, i ruszyłam przed siebie, a moje suknie szły ze mną. poważnie szłam, otoczona krynoliną, nie wiedząc dokąd, ale zmierzałam dalej, bo to był dworski bal. i wspomnienie własnej pomyłki sprzed chwili, kiedym wzięła głowy za kule a oczy za mokre guziki, bawiło mnie jak małe dziewczęce

głupstwo, dlatego uśmiechałam się, ale ten uśmiech był skierowany tylko do mnie. Słuch mój sięgał daleko, wyostrozony, więc rozpoznawałam w nim szmer wytwornego uznania i oddechy panów zatajone, i zawistne pań, a skąd to takie dziewczę, wicehrabio? A ja szłam przez olbrzymią salę, pod kryształem pajaków, z sufitowej sieci kapały płatki róż. przeglądałam się w niechęci, wypęczającej na umalowane twarze kobiet, i w pożądliwych oczach smagłych parów.

Za oknami od stropu po parkiety ziała noc, kufy płonęły w parku, a w międzyokiennej niszy, u stóp marmurowego posągu, stał człowiek niższy od innych, otoczony wieńcem dworaków odzianych w pasiastą czern i żółć, którzy zdawali się przeciw ku niemu, lecz nie przekraczali pustego kręgu, i ten jedyny nawet nie spojrzął w moją stronę, kiedy się przybliżałam. Mijając go przystanąłam i choć wcale nie patrzył w moją stronę, ujęłam samymi końcami palców krynolinę, spuszczać oczy, jakbym chciała mu złożyć głęboki ukłon, lecz popatrzyłam jedynie na własne ręce smukłe i białe, nie wiem jednak czemu dla mnie ta biel, gdy zajaśniała na błękitnie krynoliny, miała w sobie coś przerażającego. On zaś, ów niski pan czy par, otoczony dworakami, za którym stał blady rycerz w półzbroi, z obnażoną blond głową i trzymał w ręku małą jak zabawka mizerykordię, nie raczył spojrzeć na mnie, mówiąc coś niskim, jakby stłumionym nudą głosem przed siebie, bo do nikogo.

A ja, nie złożywszy mu ukłonu, lecz tylko patrząc Nan krótką chwilę bardzo gwałtownie, żeby zapamiętać jego twarz, ciemnoskośną przy ustach, bo ich kąt grymasem znużenia podgięła biała blizenka, wpijając się oczami w te usta, okręciłam się na pięcie, aż zaszumiała krynoliną i poszłam dalej. Wtedy dopiero spojrzął na mnie i poczułam doskonale ten wzrok przelotny, zimny, a taki zwięzony, jakby miał niewidzialną fuzję u policzka i muszką jej celował w mój kark, między rulony złotych pukli, i to był drugi początek. Nie chciałam się odwrócić, lecz uczyniłam to i pochyliłam się w niskim, bardzo niskim dygnięciu, unosząc oburącz krynolinę, jak gdyby wchodząc poprzez jej sztywność w blask posadzki, bo to był król. Potem odeszłam wolno, zastanawiając się nad tym, skąd wiem to tak dobrze i na pewno, a też bliska zrobienia czegoś niestosownego, bo skoro nie mogłam wiedzieć, a wiedziałam, w sposób natarczywy i bezwzględny, wzięłam wszystko za sen, a cóż znaczy we śnie — chwycić czyjś nos? Przeleżałam się odrobinę, bo nie udało mi się tego uczynić, jakbym miała w sobie niewidzialną granicę. Tak się wahałam, idąc bezwiednie, pomiędzy przekonaniem o jawie i o śnie, a zarazem wpływała we mnie wiedza, po trosze jak fale wpływają na brzeg i każda fala pozostawiała we mnie nowe powiadomienie, tytuły jak utkane z koronek; w połowie sali. pod rozjarzonym kandelabrem, szybującym jak statek w ogniu, już znałam wszystkie miana dam, których zużycie wspierał troskliwy kunszt.

Wiedziałam już tak wiele, jak dobrze ocknięty z koszmaru, ale pamiętający go jeszcze z ociąganiem, i to, co zostawało mi niedostępne, rysowało się w mym umyśle jak dwa zaćmienia — przeszłości mojej i terażniejszości, bo wciąż jeszcze nie znałam ani trochę siebie. Czulałam za to już w pełni moją nagość, piersi, brzuch, uda, szyję, ramiona, niewidzialne stopy, skryte bogatym strojem, dotknęłam topazu w złocie, świetlikiem pulsującego między piersiami, czulałam też wyraz mej twarzy, nie dającej nikomu nic zgoła, wyraz, który musiał zadziwiać, bo kto tylko spojrzał na mnie, doznawał wrażenia uśmiechu, lecz gdy uważnie przyjrzał się mym ustom, oczom, brwiom, dostrzegał, że nie ma tam ani śladu wesołości, nawet grzecznej tylko, więc szukał go jeszcze raz w oczach, ale były zupełnie spokojne, więc przechodził do policzków, doszukiwał się go w podbródku, ale nie miałam trzpiotowatych dołeczków. policzki moje były gładkie i białe, podbródek uważny, cichy, rzeczowy, a tak doskonały jak szyja, która nie zdradzała nic. Wtedy zapatrzone popadał w konsternację, bo nie pojmował, skąd przyszło mu do głowy, że uśmiecham się i w oszołomieniu, wywołanym swoją rozterką i moją pięknnością, cofał się w głąb tłumu lub składał mi głęboki ukłon, żeby choć w tym geście ukryć się przede mną.

A ja wciąż jeszcze dwóch rzeczy nie wiedziałam, aczkolwiek pojmowałam, choć niejasno jeszcze, że one są najważniejsze. Nie rozumiałam, czemu król nie popatrzał na mnie przechodzącą, czemu nie chciał mi spojrzeć w oczy, choć ani się nie lękał mojej urody, ani jej pożądał, owszem, wyczułam, że jestem mu wprawdzie cenna, lecz w niewysłowny sposób, jak gdyby za nic mię miał samą, jakbym była dla niego kimś spoza tej sali wyiskrzzonej, nie stworzona do tańca po lustrzanych od wosku parkietach, ułożonych w intarsje wielobarwne, pomiędzy kutymi w spiżu herbami nadproży, lecz gdy go mijałam, nie powstała w nim ani jedna z myśli, w których mogłabym się dokopać woli królewskiej, a kiedy posłał za mną wzrok przelotny i niedbały, lecz sponad niewidzialnej lufy, pojęłam to nawet, że nie we mnie mierzył bladym okiem, które domagało się ukrycia za ciemnymi szklami, bo oczy te nie udawały niczego, inaczej niż dobrze ułożona twarz, i tkwiły w tłumnej wytworności jak ostatek brudnej wody w miednicy. Nie, jego oczy były jakby czymś już dawno wyrzuconym, co trzeba chować, co nie znosi dnia.

Czegoś może ode mnie chciał, ale czego? Nie mogłam jednak rozmyślać nad tym, bo musiałam się skupić na innej rzeczy. Znałam tu wszystkich, ale mnie nikt nie znał. Chyba on jeden: król. Miałam na podorędziu już i o sobie wiedzę, dziwaczne stawały się moje uczucia, gdy zwalniałam kroku, w trzech czwartych sali już przemierzonej, a w tłumie różnokolorowym, wśród twarzy skostniałych, ze srebrną szadzią bokobrodów, i twarzy przekrwionych, odętych, spoconych pod grudkowatym pudrem, wśród orderowych wstąg i

szamerowań otwarł się korytarz, abym szła niczym królowa jakaś tą wąską ścieżką międzyludzką, na wodzach spojrzeń przeprowadzających — dokądże tak szłam?

Do kogoś.

A kim byłam? Ponieważ myślało mi się z biegłością potoczystą, pojęłam w jednej sekundzie, jak jest osobliwy rozdźwięk między moim stanem a tej tu ciżby dystygowanej, bo każdy z nich miał dzieje, rodzinę, odznaczenia jednego rodzaju, jedną nobilitację z intryg, matactw, i obnosił swój pęcherz nikczemnej dumy, każdy historię własną włókł za sobą jak wzbity kurz ciągnie się za wozem pustynnym, trop w trop, gdy ja byłam z tak dalekich stron, jakbym nie jedną miała historię, lecz ich wielość, ponieważ los mój uczynić mógł zrozumiałym dla nich tylko stopniowy przekład na obyczaj tutejszy, na tę mowę obcą, choć już mi swojską, więc mogłabym się tylko przybliżyć do ich pojmowania, a podług dobranych określeń stawałabym się coraz inną istotą dla nich. Czy i dla siebie też? Nie... a jednak prawie że tak, nie posiadałam wiedzy ponad tę, co wdarła się we mnie na progu sali jak woda, gdy burzy się i zalewa pustkę, wysadziwszy dotąd trwałe zapory, ponad tą wiedzą rozumowałam logicznie, czyż można być wielością naraz? Pochodzić z wielu porzuconych przeszłości? Logika moja, wyjęta z blekotu wspomnień, mówiła mi, że nie można, że muszę mieć jakąś przeszłość jedną, a skoro jestem hrabianką Tlenix, Duenną Zoroennay, młodą Wirginią, osieroconą w zamorskim kraju Langodotów przez ród walandzki, skoro nie umiem odróżnić zmyślenia od rzeczywistości, odnaleźć siebie we własnej prawdziwej pamięci, to może jednak śnić? Lecz już gdzieś rozległa się orkiestra i bal napierał jak lawina głazów — nie sposób było się skłonić do wiary w bardziej jeszcze rzeczywistą, od przebudzenia pęknąć zdolną rzeczywistość!

Szłam w niemłym teraz oszołomieniu, pilnując każdego kroku, bo wracał zawrót głowy, który nazywałam vertigo. O włos nie zesłam z mego królewskiego stąpania, choć olbrzymi był to wysiłek, jakkolwiek niewidzialny i potęgowany ową niewidzialnością właśnie, aż poczułam wsparcie z oddali, były to oczy mężczyzny, który siedział w niskiej framudze okna uchylonego, z niepoważnie przerzuconym przez ramię fontaziem brokatowej zasłony, szytej w czerwonościwe lwy koronowane, lwy strasznie stare, co trzymały w łapach berła i jabłka, jabłka zatrute, rajskie. Ten człowiek okryty lwami, odziany czarno, dostatnio, lecz i z naturalną jakąś niedbałością, która nie ma nic wspólnego ze sztucznym pańskim nieładem, ten obcy, nie dandys, cicisbej, żaden dworak czy piękniś, ale i niestary, patrzył na mnie ze swego osamotnienia w powszechnym zgiełku — sam tak zupełnie, jak ja byłam sama. A wokół ci, co zapalają cygarillo przed oczami partnerów taroka zwiniętym banknotem, rzucają złote dukaty na zielone sukno, jakby gałki muszkatołowe ciskali łabędziom do

sadzawki, ci, co nie mogą uczynić nic głupiego ani hańbiącego, bo jasność ich osoby nobilituje każdy uczynek. Mężczyzna nad wyraz nie nadawał się do tej sali, i bezwiednie jakby przyzwolenie, które dał sztywnemu brokatowi w lwy królewskie, żeby przewisał mu przez bark, rzucając mu w twarz odbłask tronowej purpury, to przyzwolenie zdawało się najcichszym szyderstwem. Nie całkiem już młody, całą swoją młodość miał żywą w oczach ciemnych, nierówno zmrużonych, i słuchał albo i nie słuchał swego interlokutora, grubego i małego łyska, o minie przejeźdzonego łagodnego psa. Kiedy siedzący powstał, zasłona ześliznęła mu się z ramienia jak fałszywy odrzucony szych i oczy nasze spotkały się mocno, lecz moje zeszyły z jego twarzy natychmiast, jak w ucieczce. Przysięgam. Ale pozostała mi na dnie oczu jego twarz, jakbym oślepla na mgnienie i słuch mój szezł, tak że zamiast orkiestry słyszałam przez chwilę tylko własne tętno. Zresztą, nie wiem.

Twarz miał, zapewniam, dosyć zwyczajną. Owszem w rysach znieruchomiała mu asymetria urodziwej brzydoty tak właściwej rozumności, ale musiał być już zmęczony własną inteligencją, zbyt przesywającą i też po trosze niszczącą jego samego, zapewne zjadał nocami sam siebie, widać było, że mu z tym ciężko i że są godziny, w których rad by się jej pozbyć niczym kalectwa, nie jak przywileju i daru, bo nieustająca myśl musiała mu doskwierać, zwłaszcza kiedy był samotny, a to było dlań rzeczą częstą — wszędzie, więc i tutaj. A ciało jego. pod odzieniem dobrym, przyzwoicie skrojonym, lecz niezbyt obcisłym, jakby strofował był i powściągał krawca, zmusiło mnie, bym pomyślała o jego nagości.

Dość żalobna musiała to być nagość, nie wspaniale męska, atletycznie muskularna, ślizgająca się w sobie węzowiskiem nabrzmień, brzuśców, ścięgniemi — strunami, żeby budzić oskome staruch, jeszcze nie zrezygnowanych ze wszystkim, jeszcze oszalałych nadzieją tarła. Lecz on głowę tylko miał tak męską, piękną, przez zarys genialności w ustach, przez gniewliwą zapalczliwość brwi, między brwiami w zmarszczce, jak cięcie rozdzielającej obie. i poczucie własnej śmieszności w mocnym, tłusto lśniącym nosie. Och. nie był to urodziwy mężczyzna i właściwie nawet brzydota jego nie była pokaźna, był po prostu osobny, a gdybym nie rozdrętwiła się wewnętrznie, kiedyśmy się zderzyli oczami, pewno mogłabym pójść dalej.

Co prawda, gdybym to uczyniła, gdyby udało mi się wymknąć z tej strefy ciężenia, miłościwy król drgnięciem sygnetu, kątem wyblakłych ócz, źrenicami jak szpilki, już by się mną zajął i powróciłabym, skąd przyszłam. Lecz w owym miejscu i czasie nie mogłam tego przecież wiedzieć, nie pojmowałam, że to, co patrzy na przypadkowe zetknięcia spojrzeń, co jest ulotnym skrzyżowaniem czarnych dziurek źrenicznych w tęczówkach dwojga istot, boż to w końcu są dziurki, krągłych narządów, co się zwinnie ślizgają w otworach czaszek — że to

jest właśnie przeznaczone, skąd bowiem mogłam o tym wiedzieć.

Jużem szła dalej, kiedy wstał i strąciwszy z rękawa przewieszony skraj brokatu, jak gdyby dawał znać, że komedia się skończyła, ruszył za mną. Zatrzymał się po dwu krokach, bo już nim owładnęło zrozumienie, jak impertynencki był ów zdecydowany postępek, jakim gapiostwem się zdawało tak iść za nieznaną piękną niczym zapatrzony głupek za orkiestrą, więc stanął, a wtedy ja zamknawszy jedną dłoń, drugą zesunęłam z nadgarstka pętliczkę wachlarza. Żeby upadł. Więc on natychmiast...

Przypatrywaliśmy się sobie już z bliska, nad perłową maciczką rękojeści tego wachlarza. Była to chwila wspaniała i straszna, zimno śmiertelnym kolcem przeszło mi krtań, abym nie mogła odezwać się, czując więc, że głosu nie wy—dobędę, tylko chrypkę, skinęłam mu głową — i ów gest wypadł prawie tak samo jak poprzednio, kiedy nie dokończyła ukłonu przed królem nie patrzącym.

On się nie odklonił, był bowiem nazbyt zaskoczony i zdumiony tym, co się z nim samym działo, bo się tego nie spodziewał po sobie. Wiem, bo mi potem mówił, ale gdyby nie wyznał, też bym wiedziała.

Zależało mu na tym, żeby coś powiedzieć i żeby się nie zachować na podobieństwo idioty, jakim był w owym momencie na pewno, i wiedział o tym.

— Pani — rzekł, pochrzając jak prosię. — Pani. oto wachlarz...

Już dawno miałam go na powrót w ręku. I siebie też.

— Panie — powiedziałam, a głos mój był w timbrze odrobinę matowy, zmieniony, lecz mógł myśleć, że to mój głos zwykły, nigdy wszak nie słyszał go dotąd — czy mam go upuścić raz jeszcze?

I uśmiechnęłam się, och. nie kusząco ani uwodzicielsko, ani promiennie. Uśmiechnęłam się tylko dlatego, gdyż poczułam, że się rumienię. Ten rumieniec nie był naprawdę mój, wpłynął mi na policzki, ogarniał twarz, zaróżowił płatki uszu, co wybornie czułam, lecz ja ani się zmieszałam, ani zachwyciłam, ani zadziwiłam tym obcym człowiekiem, w końcu jednym z wielu, zagubionym pomiędzy dworakami — powiem wyraźniej: z rumieńcem tym nie miałam nic wspólnego, był tegoż pochodzenia, co wiedza, która wstąpiła we mnie na progu sali, za pierwszym krokiem na jej lustrzaną gładź — ten rumieniec zdawał się częścią dworskiej etykiety, tego co właściwe, podobnie jak wachlarz, krynolina, topazy i uczesanie. Więc żeby uczynić ten rumieniec mało znaczącym, chcąc mu przeciwdziałać, dla obrony od fałszywych posądzeń uśmiechnęłam się nie do niego, ale nad nim, korzystając z przejścia między wesołością a drwiną, on zaś roześmiał się wtedy cicho, bez wydania głosu, jakby do środka, i było to podobne do śmiechu dziecka, wiedzącego, że

najsurowiej w świecie zakazano mu się śmiać, więc właśnie dlatego nie potrafi się opanować. Przez co odmło—dniał w okamgnieniu.

— Gdyby pani dała mi chwilę zwłoki — rzekł, przestając się śmiać nagle, jakby trzeźwiejąc od nowej myśli — mógłbym wymyślić odpowiedź godną twych słów, to znaczy nader dowcipną. Ale na ogół doskonałe myśli przychodzą mi już na schodach.

— Tak kiepsko jest z pana inwencją? — spytałam, kierując wysiłek woli w stronę twarzy i uszu, zgniewał mię już bowiem ten rumieniec nieustępliwy, co był naruszeniem mej własnowolności, pojmo wałam bowiem, że stanowi efekt tego samego rozmysłu, z jakim oddawał mnie przeznaczeniu król.

— Powinnam może dodać „czy na to nie ma rady?” A pan odpowie, że nie ma w obliczu urody, której doskonałość zdaje się potwierdzać hipotezę Absolutu. Wtedy byśmy oboje spowaznieli na dwa takty orkiestry i z należytą zręcznością wydostalibyśmy się na zwykleszy dworski grunt. Lecz skoro widzisz mi się pan na tym gruncie dość nieswój, może będzie lepiej, jeśli nie tak będziemy rozmawiali...

Naprawdę przeląkł się mnie dopiero, gdy usłyszał te słowa — i naprawdę nie wiedział, co rzec. W oczach jego była taka powaga, jak byśmy stali pod burzą, między kościołem i lasem — albo tam, gdzie nie ma już nic.

— Kim jesteś? — spytał twardo. Nie było w tym już ani śladu zdawkowości, udania, już tylko bał się mnie. Ja nie bałam się go wcale, doprawdy ani trochę, choć właściwie powinnam się była przerazić, bo czułam, jak z jego twarzą, z jej porowatą skórą, z nastroszonymi krnąbrnie brwiami, z jego dużymi małżowinami uszu łączy się we mnie moje dotąd zamknięte oczekiwanie, jak gdybym nosiła w sobie jego nie wywołany negatyw, który się właśnie wypełniał. Jeśli nawet był moim wyrokiem, nie bałam się go. Ani siebie, ani jego, zadrżałam jednak od nieruchomej we mnie siły tego złączenia — nie jak człowiek, ale jak zegar, kiedy ze złożonymi wskazówkami rusza, ażeby wybić godzinę — choć jeszcze milczy. Tego drżenia nie mógł dostrzec nikt.

— Powiem to panu niebawem — odpowiedziałam bardzo spokojnie. Uśmiechnęłam się lekko, nikłym uśmiechem, jakim dodaje się otuchy chorym i słabym, i rozłożyłam wachlarz.

— Napiałabym się wina. A pan?

Skinął głową, usiłując wciągnąć na siebie jak skórę te maniery, co były mu obce. odstające, niewygodne, i od tego miejsca na sali poszliśmy po posadzce, ociekłej perlistymi strużkami woszczyn, co kropliście padały z żyrandola, w filowaniu świec, ramię w ramię, tam gdzie u ściany perłowi lokaje lali trunki w kielichy.

Nie powiedziałam mu tej nocy, kim jestem, nie chciałam mu bowiem kłamać, a nie znałam prawdy. Prawda nie może być sprzeczna, a ja byłam duenną, hrabianką i sierotą, wszystkie te genealogie krążyły we mnie, każda mogła się wypełnić, gdybym przyznała się do niej, pojmowałam już, że prawdę wyznaczy mój wybór i kaprys, cokolwiek wypowiem, zdmuchnie obrazy pominięte, lecz trwałam chwiejna wśród owych szans, bo mi się w nich czaił jakiś podstęp pamięci — byłabym najzwyczajniej niespełna rozumu konfabulantką, która wymknęła się pieczy zatroskanych należycie bliskich? Rozmawiając z nim, pomyślałam, że jeśli jestem wariatką, wszystko skończy się pomyślnie. Z obłędu można wyjść jak ze snu — obojgu więc przyświeca nadzieja.

Gdyśmy w późnych godzinach, a nie odstępował mego boku, przeszli obok majestatu na chwilę, nim raczył oddalić się do swych apartamentów, poczułam, że władarz ani spojrzał w naszą stronę, i było to straszliwe odkrycie. Nie sprawdził bowiem mego zachowania u boku Arrhodesa. Widać było to zbędne, jakby wiedział ponad wszelką wątpliwość, że może mi zaufać całkowicie, tak jak ufa się w pełni wysłanym skrytobójcom, którzy nie zawiodą do ostatniego tchu, los ich bowiem zamknięty jest w ręku wysyłającego. Powinnam była raczej zetrzeć moją podejrzliwość obojętnością królewską, skoro nie spojrzał w moją stronę, to nie znaczyłam mu nic, a zatem nieustępliwość prześladowczych domniemań przechylała wagę na rzecz szaleństwa. Więc jako anielsko piękna wariatka śmiałam się, przepijając do Arrhodesa, którego król nienawidził jak nikogo, lecz poprzysiągł umierającej matce, że jeśli zły los spotka tego mędrca to z jego własnego wyboru. Nie wiem, czy mi to ktoś powiedział w tańcu, czy może dowiedziałam się tego z siebie samej, bo noc była długa i zgiełkliwa, tłum ogromny wciąż nas roztrącał, aleśmy się odnajdywali nieumyślnie, tak jakby tu wszyscy oddani byli tej samej zмовie — oczywisty majak, przecie nie znajdowaliśmy się wśród mechanicznie tańczących manekinów. Rozmawiałam ze starcami, z pannami zazdroszczącymi mi urody, rozpoznając niezliczone odcienie głupoty zacnej i skorej do złego, tnąc i przesywając tych marnych pocziwców i te dziewczuszki z taką łatwością, aż mi ich się stawało żal. Musiałam być rozumem wcielonym, pełnym wyostrzeń, oczom moim dodawała blasku olśniewająca bystrość słów — od rosnącej trwogi udawałabym chętnie ciełą, by ratować Arrhodesa. lecz tego jednego nie potrafiłam wcale. Nie byłam aż tak wszechstronna, niestety. Byłżeby mój rozum, a on znaczy prawość, podległy kłamstwu? Takim refleksjom oddawałam się w tańcu, wchodząc w obroty menueta, gdy Arrhodes, który nie tańczył, patrzył na mnie z oddali, czarny i smukły na tle purpurowego brokatu w koronowane lwy. Król odszedł, i niedługo potem pożegnaliśmy się, nie pozwoliłam mu nic powiedzieć, o nic pytać, próbował i bladł, słysząc, jak powtarzam „nie”, zrazu ustami, potem już tylko złożonym wachlarzem.

Wychodząc, nie wiedziałam ani trochę, gdzie mieszkam, skąd przyszłam, dokąd oczy skieruję, wiedziałam tylko, że to do mnie nie należy, podejmowałam próby, ale były daremne — jakże wyjaśnić? Każdy wie, że nie można odwrócić gałki ocznej tak, aby źrenica zajrzała w głąb czaszki.

Pozwoliłam odprowadzić mu się do bramy pałacowej, park zamkowy poza kręgiem ciągle płonących kuf ze smołą był jak z węgla skrzesany, w zimnym powietrzu daleki śmiech, nieludzki, to fontanny mistrzów z południa naśladowały go perliście — albo gadające posągi podobne do białawych maszkar zawisłych ponad klombami, słowiki królewskie śpiewały też, chociaż nikomu, w pobliżu oranżerii jeden odcinał się od tarczy księżycowej duży i ciemny na gałęzi — doskonały w stylu! Żwir chrzęścił pod naszymi krokami, a złożone ostrza ogrodzenia rzędem sterczały ponad mokre listowie.

Z niedobrą skwapliwością chwycił mnie za rękę, której mu nie umknęłam od razu, zajaśniały białe pasy na koletach grenadierów JKMości, ktoś wywoływał mój pojazd, konie były kopytami, od fioletowych okienek latarni zabłyszczały drzwi karety, opadł stopień. Nie mógł to być sen.

— Kiedy i gdzie? — spytał.

— Może lepiej: nigdy i nigdzie — powiedziałam szczerą prawdę moją, i dodałam szybko, nieporadnie: — Nie przekomarzam się z panem, mości mędrce, wejdź w siebie, a zrozumiesz, że ci dobrze radzę.

Tego, co jeszcze chciałam dodać, nie udało mi się już wysłować, myśleć mogłam wszystko, jakież to było dziwne, jeno głosu wydobyć za nic, nie mogłam dotrzeć do tych słów. Chryпка, niemota, jak z obrócenia klucza w zamku, jakby rygiel wszedł między nas.

— Za późno — powiedział cicho, z opuszczoną głową. — Naprawdę za późno.

— Ogrody królewskie są dostępne od rannego do południowego hejnału, rzekłam z nogą na stopniu. — Tam, gdzie staw łabędzi, jest wypróchniały dąb. W samo południe jutro albo w dziupli wiadomość znajdziesz pan. A teraz życzę, żebyś niepojętym cudem zapomniał przecież, żeśmy się spotkali. Gdybym wiedziała jak. modliłabym się o to.

Były to bardzo niewłaściwe słowa, banalne w tym osaczeniu, lecz już niczym nie wyrwałabym się temu śmiertelnemu banałowi, pojęłam to. gdy kareta ruszyła, mógł przecież tłumaczyć sobie to. co powiedziałam tak, że lękam się uczucia, które we mnie wzbudził. Tak też było: lękałam się uczucia, które wzbudził we mnie, nie miało jednak nic wspólnego z miłością, lecz mówiłam to, co m o g ł a m powiedzieć, jak w mroku na mokradłach próbuje się stopą wysuniętą, czy następny krok nie wtrąci w topiel. Tak szłam słowami, wymacując oddechem, co mogę, a czego nie będzie mi dane rzec.

Ale on nie mógł tego wiedzieć. Rozstaliśmy się bez tchu, w osłupieniu, w trwodze podobnej do namiętności, bo tak się rozpoczynała nasza zguba. Ale ja jednak, wiotka i słodka, dziewczęca, jaśniej pojmowałam, że jestem jego losem w tym straszliwym znaczeniu, którego nie odeprzeć.

Pudło karety było puste — szukałam taśmy, przyszytej do rękawa stangreta, ale nie było jej. Okien też nie było — czy może czarne szkło? Mrok wnętrza był tak zupełny, jakby nie należał się nocy, lecz nicości. Nie był brakiem światła, był pustką. Wodziłam rękami po wklęsłych ścianach, obitych pluszem, lecz nie odnalazłam ramy okiennej ani klamki, niczego prócz tych płaszczyzn wyściełanych miękko przede mną i nade mną, dach zadziwiająco niski, jakbym została zatrzaśnięta nie w pudle karety, lecz w drgającym, pochyłym pojemniku, nie słyszałam ani odgłosu kopyt, ani zwykłego w jeździe toczenia się kół. Czerń, cisza i nic. Wtedy zwróciłam się ku sobie, sobie byłam bowiem groźniejszą zagadką niż wszystko, co się ze mną dotąd stało. Pamięć miałam zachowaną. Sądzę, że tak musiało być, że nie można było urządzić tego inaczej, pamiętałam tedy moje pierwsze ocknięcie, jeszcze wyzbyte płci, tak całkowicie nieswoje, jakbym wspominała przepoczwarczający zjadliwie sen. Pamiętałam budzenie się w drzwiach sali pałacowej, kiedy byłam już na jawie niniejszej, pamiętałam nawet lekkie zgrzytanie, z jakim otwały się te rzeźbione podwoje i maskę twarzy lokaja, upodobnionego służbistą gorliwością do pełnej uszanowania lalki — żywy woskowy trup. Teraz wszystko to było mi we wspomnieniu jednością, a przecież mogłam sięgnąć wstecz, tam, gdzie nie wiedziałam jeszcze, co to — podwoje, co to bal i co — ja. Pamiętałam zwłaszcza w sposób do dreszczu przeszywający, bo tak złośliwie tajemniczy, że moje pierwsze myśli już wgnieżdżane na poły w słowa formułowałam w porządku innej płci. Stałam. widziałam. weszłam — to były formy użyte przeze mnie. nim blask sali, buchając przez otwarte drzwi, nie poraził mych źrenic i nie odemknął, chyba on, bo cóż innego, nie otwarł we mnie mówię szybrów i zasuw, zza których wstąpiło we mnie, z bolesną raptownością nawiedzenia, człowieczeństwo słów, dwornych poruszeń, wdzięku nadobnej płci, wraz z pamięcią twarzy, wśród których twarz tego mężczyzny była pierwsza — a nie królewski grymas — a chociaż nikt nigdy nie mógłby mi tego wyjaśnić, wiedziałam z niezbitą pewnością, że przed królem zatrzymałam się od błędu — że była to pomyłka, to znaczy nieporozumienie między przeznaczonym mi i wypełniającym owo przeznaczenie. Pomyłka — więc nieprawdziwy to był los. skoro podatny na błędy — więc mogłabym jeszcze się uratować?

Teraz w tym doskonałym odosobnieniu, które nie trwożyło mnie owszem, było mi wygodne, bo mogłam tak dobrze w nim, w takim skupieniu myśleć, kiedy chciałam

dowiedzieć się siebie, wypyując wspomnienia, tak już przystępne i porządnie uszeregowane, że miałam je na podorędziu, jak się ma od lat znajome sprzęty w starym mieszkaniu, kiedy stawiałam pytania, widziałam wszystko, co zaszło tej nocy — lecz było to jasne i ostre tylko do progu dworskiej sali. Przedtem — otóż właśnie. Gdzie byłam — byłam!? — przedtem? Skąd się wzięłam? Uspokajająca, najprostsza myśl głosiła, że nie całkiem zdrowa, że powracam z choroby jak z egzotycznej, pełnej dziwacznych przygód, podróży, że jako subtelna dziewczica, zaiste książkowa i romansowa, jako dystrakotka, dziwaczka, nazbyt delikatna dla tego brutalnego padołu, doznałam majaczkawych nawiedzeń, może roiłam sobie w histerycznej gorączce pochod przez metalowe piekła, niewątpliwie na łóżku z baldachimem, w koronkami obszytej pościeli, byłoby mi z mózgową gorączką dość nawet do twarzy w blasku świecy, rozwidniającej alkowę na tyle, bym. w ocknięciu, nie przeleżała się znów czegoś i w postaciach pochylonych nade mną rozpoznała niezwłocznie kochających opiekunów: cóż za miłe kłamstwo! Miewałam zwidy, nieprawdaż? I one. wtopiwszy się w czysty nurt mej jedynej pamięci, rozszczepiły ja na dwoje. Rozszczepiona...? Bo pytając, słyszałam w sobie chór odpowiedzi, gotowych, czekających: Duenna. Tlenix. Angelitanka. A to co znowu? Miałam te wszystkie zwroty gotowe, były mi dane i każdemu odpowiadały nawet obrazy, gdybyż tylko jeden ich łańcuch! One współlistniały jednak tak. jak współlistnieją korzenie rozchodzące się drzewa i teraz ja. z konieczności jedna, naturalnie jedyna, miałabym kiedyś być wielością rozgałęzień, co się we mnie zlały, jak zlewają się strumienie w nurt rzeczny? Ale to przecież nie może być. rzekłam sobie. Nie może być. Tego byłam pewna. I ujrzałam mój los dotychczasowy tak rozdzielony: do progu pałacowej sali zdawał się składać z różnorodnych wątków, a od progu był już jedyny. Obrazy pierwszej części mego losu były przebiegami równoległymi i nawzajem kłam sobie zadawały. Duenna: wieża, ciemne granitowe głązy, zwodzony most, krzyki w nocy, krew na miedzianym półmisku, rycerze o wyglądzie rzeźników, topory zrudziałe halabard i moja blada twarzyczka w owalnym półślepym lustrze między ramą okna mętnego błonnego a wezłowiem rzeźbionym — stamtąd przyszedłam?

Lecz jako Angelita byłam chowana w spiecu południa i patrząc w tę stronę wstecz, widziałam białe mury odwrócone wapiennymi plecami do słońca, uschłe palmy, dzikie psy o potarganej sierści u tych palm, oddające spieniony mocz na ich łuskowate korzenie, i kosze pełne daktyli, zaschłych lepką słodyczą, i medyków w zielonych szatach, i schody, kamienne schody opadającego ku zatoce miasta, wszystkimi murami odwróconego od upałów, sterty rozsypanych winnych gron, żółknących w rodzyнки, podobne do kup gnoju i znowu moją twarz w wodzie, nie w lustrze, a woda lała się z dzbana srebrnego — przyćmionego starością.

Pamiętałam nawet jak nosiłam ów dzban i jak woda, poruszając się w nim ciężko, obciążała mi dłoń.

A moje ono i jego wędrownka na wznak, i pocałunki, składane na moich rękach i nogach, na czole przez ruchliwe żmije z metalu? Ta groza poszarzała już całkiem i z największym trudem mogłam ją ledwie wspomnieć, jak właśnie zły, do słów dostępu nie mający, sen — nie mogłam przeżyć ani naraz, ani po kolei losów tak sobie zaprzeczających! Co więc pewnego? Piękna byłam. Tyleż rozpaczy, co triumfu wstało we mnie, kiedy przeglądałam się w jego twarzy jak w żywym lustrze, bo taka bezwzględna była doskonałość moich rysów, że cokolwiek bym uczyniła szalonego, czy za—wrzeszczałabym z pianą opętania na ustach, czy gryzłabym krwawe mięso, piękno nie odstąpiłoby mej twarzy — ale dlaczego myślałam „mej twarzy”, a nie po prostu „mnie?” Czy byłam kimś niezgodnym i nie doprowadzonym do jedności z własnym ciałem i twarzą? Czarownicą, gotową rzucać uroki. Medeą? To był mi nonsens i głupstwo. A i to nawet, że myśl tak mi szła. jak klinga wyświechtana w ręku wyzbytego klejnotu rycerza rozbójnika, że rozcinałam myślą każdy przedmiot bez wysiłku, samochcące to myślenie moje wydawało mi się w swej perfekcji nazbyt już zimne, nadmiernie spokojne, bo lęk trwał poza nim — jak gdyby nadwidzialny. wszechobecny, ale osobny — dlatego i myślenie własne miałam w podejrzeniu. Lecz jeśli ani twarzy swojej nie ufałam, ani myśli, przeciwko czemu właściwie mogłam żywić strach i podejrzliwość, skoro oprócz duszy i ciała nie ma nic? To było zagadkowe.

Rozrzucone korzenie mych przeszłości nie zdradzały mi niczego istotnego, lustracja stawała się przesypaniem barwnych obrazów, jako Duenna północy, Angelita skwarów, Mignonne, byłam każdym razem inną osobą o innym nazwisku, stanie, rodzie, spod innego nieba, nic tu nie miało prymatu — krajobraz południa wracał do moich oczu jakby wysiłony przesłodzeniem kontrastów, kolorem co naciągał lazurami zbyt ostentacyjnymi, gdyby nie te psy sparszywiałe. dzieci półślepe o zaropiałych powiekach i wydętych brzuskach, bez wydania głosu konające na spiczastych kolanach zakwefionych matek, byłoby mi to palmowe wybrzeże nadto gładkie, śliskie jak kłamstwo. A północ Duenny, z jej wieżami w śniegowych czapach, niebo skotłowane buro. zimy z krętymi postaciami śniegu wymyślonymi przez wiatr, co pelzły do fosy po blankach i przyporach, wstępowały od przyciesi zamkowych swymi białymi jezorami po głazie i łańcuchy mostu zwodzonego jakby splakane żółto, a to tylko rdza zabarwiała sople ogniwi, w lecie zaś wodę fosy pokrywała kozuchem pleśń: tak dobrze i to wszystko pamiętałam!

Lecz i mój trzeci byt; ogrody, wielkie, chłodne, strzyżone, ogrodników z nożycami, sfory chartów i doga arlekina. który leżał na stopniach tronu — znudzona rzeźba w

nieomyślnej gracji bezwładu poruszanego oddechem żeber — a w jego żółtawych, obojętnych oczach połyskiwały, można było myśleć, zmniejszone kształty katarj albo niekrotek. I te słowa, niekrotki, katarie, nie wiedziałam teraz, co znaczyły, ale musiałam chyba kiedyś wiedzieć, kiedy tak wgłębiałam się w tę zapamiętaną do smaku żdźbeł gryzionych przeszłość, czułam, że nie powinnam tak wracać ani do trzewiczków. z których wyrosłam, ani do pierwszej długiej sukni wyszywanej srebrem, jakby nawet dziecko, którym byłam, kryło w sobie zdradę. Dlatego przywołałam wspomnienie najokrutniej obce — martwej podróży na wznak, odrętwiających pocałunków metalu, który dotykając mego nagiego ciała wydawał szczęśliwy odgłos, jakby moja nagość była ogłuchłym dzwonem, który nie może rozebrzmieć. ponieważ nie ma jeszcze serca. Tak, do tego nieprawdopodobieństwa odwoływałam się już nie zdziwiona, że z taką trwałością zakrzepla we mnie pamięć wymajaczonego koszmaru, musiał to być bowiem koszmar — żeby podtrzymać tę pewność, dotykałam palcami, samymi opuszkami, miękkich przedramion, piersi; było to bez wątpienia natręctwo, któremu ulegałam drząc, jakbym z odchyloną w tył głową wstępowała pod lodowate strumienie trzeźwiącego deszczu.

Nigdzie odpowiedzi na moje pytanie, więc cofnęłam się od tej otchłani mojej i nie mojej. A zatem na powrót do tego, co jedyne. Król, wieczór balowy, dwór i ten mężczyzna. Byłam dla niego stworzona, on dla mnie, wiedziałam to, ale znów w lęku, nie. nie był to lęk, lecz żelazna obecność przeznaczenia, nieuniknionego, niedocieczonego, i właśnie ta nieuniknioność, ta wieść jak śmierć, że już nie można odmówić, uchylić się, odejść, uciec, wreszcie może zginąć, ale zginąć i n a c z e j — w tej lodowatej obecności pograżałam się bez tchu. Nie mogąc jej znieść, powtarzałam samymi wargami „ojciec, matka, rodzeństwo, przyjaciółki. Bliscy” — jak dobrze rozumiałam te słowa, pojawiały się chętne postaci, znane, musiałam się do nich przyznawać przed sama sobą. ależ niepodobna mieć czterech matek i tyluż ojców, więc znów ten obłąd? Taki głupi i taki uparty?

Próbowałam wreszcie arytmetyki: jeden a jeden jest dwa. z ojca i matki powstaje dziecko, byłaś nim. masz dziecięce wspomnienia...

Albo byłam szalona, rzekłam sobie, albo nadal nią jestem, i będąc świadomością, jestem biało przyćmioną świadomością. Nie było balu, zamku, króla, wstąpienia w byt gwałtownie poddany nakazowi harmonii przedustawnej. Iskrę żalu poczułam, opór wywołany myślą, że muszę też rozstać się z moją pięknoscią. Z elementów niezgodliwych niczego nie zbuduję, chyba że odnajdę w budowanym jego koślawość, szpary, w które wniknę, aby rozsadzić i wejść w głąb. Czy doprawdy wszystko stało się tak, jak się miało stać? Jeśli byłam własnością króla, to jak mogłam o tym wiedzieć? Nawet nocne pomyślenie o tym winno było

mi zostać wzbronione. Jeśli on stał za wszystkimi, to czemu chciałam oddać mu ukłon i zrazu nie oddałam mu go? Jeśli przygotowania odznaczały się doskonałością, to czemu pamiętałam rzeczy, jakich nie należało mi pamiętać, przecież za odwołanie mając tylko dziewczęcą i dziecinną przeszłość, nie weszłabym w rozterkę tego zwątpienia, która przyprawiała o rozpacz, wstęp do powstania przeciw losowi? A już na pewno zdmuchnięcie należało się owej wędrownicy na wznak, ozywającej od iskrowych pocałunków martwocie mojej i nagości bezdźwięcznej, lecz właśnie i to także stało się. i było teraz ze mną. Kryłażby się w zamyśle i w wykonaniu niedoskonałość? Błędy nieopatrzne, nieuwaga, przecieki ukradkowe, brane za zagadki albo za zły sen? Lecz w takim razie odzyskiwałam nadzieję. Czekać. Czekać, aby nagromadziły się w dalszym ziszczaniu następne nieskładności, uczynić z nich ostrze do skierowania w króla, w siebie, wszystko jedno w kogo, byle niezgodnie z narzuconym losem. A więc poddać się temu urokowi, trwać w nim, pójść na umówione spotkanie z samego rana, a wiedziałam, nie wiem jak ani skąd, że TEGO nic mi nie wzbroni, owszem, wszystko właśnie w tę stronę mnie skieruje. A terazniejsza moja zewnętrżność była tak prymitywna. cóż ścianki, zrazu poddające się miękko palcom, podatne obicia, pod nimi opór stali czy muru, nie wiedziałam, ale mogłam rozszarpać paznokciami tę przytulną miękkość, wsiałam, głowa dotknęła wklęsło zaokrąglonego pułapu. To wokół mnie i nade mną. ale wewnątrz, ja. ja sama?

Wietrzyłam dalej niegodziwość w tym moim nierozumieniu siebie, a ponieważ zaraz piętra na piętrach myśli skokami się nabudowywały. myślałam już sobie, że powinnam wątpić we własne moje mniemanie, skórom, szalona topielica, jak owad w jasnym bursztynie, zamknięta w mojej obnubilatio lucida. to zrozumiałe, że —

Zaraz. Skąd tak świetnie rozczłonkowane moje słownictwo, owe terminy uczone, łacińskie, te zwroty logiczne, sylogizmy. owa biegłość nie należna słodkiej dziewicy, której widok był płonącym stosem męskich serc? I skąd to poczucie nieszczęsnego banału w sprawach płci, zimna pogarda, dystans, och. tak. on mnie już może kochał, już może i oszalał mną. chciał mnie widzieć, słyszeć mój głos, dotykać moich palców, a ja patrzyłam w jego namiętność jak w preparat pod szkłem. Nie byłoż to zadziwiające, sprzeczne i niesynkategorematiczne? Może wszystko mi się przecież roilo, a ostatecznością i dnem był stary, wyziębły mózg, splątany w doświadczeniu niezliczonych lat? Może wyostrzona mądrość tylko była jedyną moją prawdziwą przeszłością, z logiki powstałam, ona stanowiła moją autentyczną genealogię...

Nie uwierzyłam w to. Byłam niewinna, tak, i zarazem winna straszliwie. Niewinna byłam we wszystkich zbiegających się ku mej terazniejszości szlakach czasu przeszłego

dokonanego, dziewczęciem tak bywałam, podlotkiem chmurnie milkliwym w zimach szarosiwych i w upalnym stęchu pałaców i byłam niewinną tego, co zaszło dziś, u króla, bo nie mogłam być inna, a wina moja, okrutna, tkwiła tylko w tym. że już tak dobrze wszystko to wiedziałam i że miałam za blichtr, fałsz, pianę, i że chcąc zejść w głąb mej zagadki, bałam się tego zejścia i odczuwałam podłą wdzięczność dla niewidzialnych przegród, powstrzymujących mnie na tej drodze. Tak więc miałam ducha skalanego i prawego, cóż pozostało mi jeszcze, o, zapewne pozostało, miałam jeszcze ciało moje i jęłam dotykać go i badałam je tak w tym czarnym zamknięciu, jak wytrawny urzędnik śledczy bada miejsce dokonanej zbrodni. Śledztwo szczególne! — bo szukając dotknięciami nagiego ciała, miałam w palcach lekko mrowiące odrętwienie, byłżeby to strach mój przed samą sobą? Ależ byłam piękna i miałam mięśnie zwinne, sprężyste, biorąc w garści uda tak. jak nikt ich sam nie ujmuje, jak gdyby obce były, mogłam w tężejącym uchwycie wyczuć pod gładką i pachnącą skórą kości długie, lecz nadgarstków oraz wnętrza mych przedramion u łokci bałam się czemuś dotknąć.

Usiłowałam przemóc ten opór. cóż mogło tam być. ręce miałam spowite koronkami, nieco szorstkimi przez sztywność, nieporęcznie szło, więc ku szyi. Taką nazywają łabędzią — głowa osadzona na niej z nie postanowioną, naturalną dumą, budzącą uszanowanie, konchy uszu pod splotami włosów małe. jędrne płatki uszne, bez klejnotów, nie—przekłute, czemu, dotykałam czoła, policzków, ust. Ich wyraz, wykryty koniuszkami cienkich palców, znów mię zaniepokoił. Inny był niż sądziłam. Obcy. Ale jak mogłam być sobie obca inaczej niż z choroby, szaleństwa?

Ukradkowym ruchem, co godny był naiwności małego dziecka, otumanionego bajkami, sięgnęłam ku nadgarstkom przecież i ku łokciom, tam gdzie ramię przechodzi w przedramię, było tam coś niezrozumiałego. Zatracałam czucie w opuszkach palców, jakby coś uciskało moje nerwy, naczynia krwionośne i znów przeskoczyłam myślą w myśl podejrzliwą: skąd takie wiadomości do mnie, dlaczego badałam siebie jak anatom, nie leżało to w stylu dziewicy, Angelity ani jasnowłosej Duenny, ani lirycznej Tlenix, jednocześnie zaś czułam uspokajający mus: to jest właśnie zwyczajne, nie dziw się sobie, rozdziwaczona kapryсами trzpiotko, jeśli byłaś troszkę nieswoja, nie wracaj tam, zdrowiej, myśl o umówionym spotkaniu... Ale łokcie, nadgarstki? Pod skórą jakby twarda grudka, napęczniałe węzły chłonne? Zwapnienia? Niemożliwe, bo sprzeczne z urodą, z jej absolutną pewnością. Była tam przecież twardziel, maleńka, wyczułam ją dopiero przy silnym ucisku, wyżej dłoni, gdzie nie sięga puls, i jeszcze w zgięciu łokciowym.

A więc ciało moje też miało tajemnice, odpowiadało innością inności ducha, jego

strachowi w samozapatrzeniach, była w tym prawidłowość, odpowiedniość, symetria: skoro tam, to i tu. Skoro umysł, to i członki. Skoro ja, to i ty. Ja, ty, zagadki, byłam znużona, przemożne zmęczenie weszło mi w krew, powinnam była mu się poddać. Usnąć, zapaść w nieprzytomność innego, wyzwalającego mroku. Wtedy przeszło mnie postanowienie, żeby odmówić złośliwie zgody tej chętce, żeby sprzeciwić się wiążącemu mnie pudłu tej stylowej karety (ale wewnątrz nie było już tak stylowe!), temu duszkowi dziewicy zbyt mądrej, nazbyt dociekliwej w rozumowaniu! Przekora wobec samocieleśnej piękności, co miała swe ukryte stygmaty! Kim jestem? Opór mój był już wściekłością, od której duch mój gorzał w mroku i przez to zdawał mi się jaśnieć. Sed tamen potest esse totaliter aliter, co to. skąd? Duch mój? Gratia? Dominus meus?

Nie, byłam sama i sama zerwałam się, aby zębami wpić się w te miękko spowite ściany, rwałam obicia, suchy, szorstki materiał trzeszczał mi w zębach, wypluwałam włókna wraz ze śliną, paznokcie połamią się, właśnie tak dobrze, właśnie tak, nie wiem przeciw sobie czy komu, ale nie, nie, nie, nie. nie, nie.

Błysk ujrzałam, wypączkował przede mną jakby łebek węża. ale to była metalowa główka. Igła? Coś mnie ukłuło, wyżej kolana, w udo, z zewnętrznej strony, to był mały, nikły ból, ukłucie i już nic.

Nic.

Ogród był pochmurny. Park królewski w śpiewających fontannach, żywopłoty wystrzyżone pod jeden strychulec, geometria drzew, krzewów i stopnie, marmury, konchy, amorki. I nas dwoje. Tanich, zwykłych, romantycznych, pełnych rozpaczy. Uśmiechałam się do niego, a miałam na udzie znak. Ukłuto mię. Duch mój tam, gdzie buntowałam się i ciało tam, gdzie już je nienawidziłam, miały zatem sojusznika. Okazał niedostateczną zręczność. Teraz nie bałam się go już tak bardzo, teraz grałam już rolę. Owszem, był dość zręczny, skoro narzucił mi ją, od wewnątrz, wdarłszy się do twierdzy. Zręczny, lecz nie dosyć — widziałam sidła. Nie pojmowałam jeszcze celu, alem je zobaczyła, poczuła, a kto ujrzy, już nie taki przerażony jak ten, kto musi żyć samym domysłem.

Tyle miałam z sobą fatygi, borykań, nawet światło dnia mi przeszkadzało solennością swoją, ogrodami do podziwiania majestatu, nie zieleni, doprawdy wołałabym teraz mieć moją noc. anizeli ten dzień, lecz był dzień i mężczyzna, który nic nie wiedział, niczego nie rozumiał, żyjąc parzącą słodyczą lubego obłąkania, czarem przeze mnie rzuconym, nie przez kogoś trzeciego. Sidła, wnyki, pułapka z żądłem śmiertelnym, i wszystko to — ja? A też po to bicze fontanny, ogrody królewskie, mgiełka oddali? Toż to głupie. O czyjaś szło ruinę, śmierć

czyją? Czy nie starczyło fałszywych świadków, starców w perukach, stryka, trucizny? Może o coś większego szło? Intrygi zatrute, jak to na królewskich posadzkach.

Ogrodnicy w skórniach, oddani zieleniom miłościwego majestatu, nie zbliżali się do nas. Milczałam, bo tak było wygodniej, siedzieliśmy na stopniu schodów ogromnych, jakby zbudowanych w oczekiwaniu olbrzyma, który zstąpi kiedyś z obłocznych wysokości, aby uczynić z nich użytek. Symbole, wydęte w głązy, nagie amorki, fauny, syleny, śliskie ociekłym wodą marmurem, upodobniały się chmurnością do szarego nieba. Idylliczna scena, jaka Laura z Filonem, ileż lukrecji! Na dobre ocknęłam się w tych ogrodach, kiedy karetka odjechała i poszłam lekko, jakbym wyszła co dopiero z parującej wonnej kąpieli, a moja suknia była już inna. wiosniana, przymglonym deseniem odwoływała się do kwiatów nieśmiało, aluzją była do nich. pomagała wzbudzić cześć, otaczała mnie nietykalnością, Eos Rhododaktylos. ale szłam między błyszczącymi od rosy żywopłotami z piętnem na udzie, nie musiałam, ani nawet nie mogłam była go dotknąć, pamięci starczyło, nie zatarto mi jej. Rozumem byłam uwięzionym, skutym w powiciu, urodzonym w niewoli, ale rozumem. I dlatego zanim się pojawił, widząc, że teraz jest mój czas, że nie ma w pobliżu ani igły. ani podsłuchu, jęłam, jak aktorka, przygotowująca się do występu, mówić szeptem rzeczy, o jakich nie wiedziałam, czy uda mi się je przy nim wypowiedzieć, czyli granice mojej wolności badałam, w świetle dnia dotykałam ich po omacku.

Co takiego? Samą prawdę, najpierw — przemianę formy gramatycznej, potem wielość moich plusquamperfektów, wszystko też, co przeszłam i ukłucie porażające bunt.

Czy to ze współczucia ku niemu, żeby go nie pogrzyżyć? Nie, bo nic go nie kochałam. To była zdrada: wtargnęliśmy w siebie ze złej woli. Więc TAK to miałam rzec? Że chcę go wybawić od siebie poświęceniem jako od zguby?

Nie — było to całkiem inaczej. Miłość miałam gdzie indziej — dobrze wiem, jak to brzmi. To była miłość płomienna, czuła i bardzo zwykła. Oddać mu chciałam duszę i ciało, lecz nie w prawdzie, a tylko w stylu mody, obyczaju, wymagań dworskich, bo nie byle jaki. wszak miał to być cudowny, ale dworski grzech.

Była to bardzo wielka miłość, zniewalająca do drżenia, przyspieszająca tętno, widziałam, że jego widok uczyni mnie szczęśliwą. I bardzo była mała, bo miała granice we mnie. poddana stylowi, jak wypracowane starannie zdanie, wyrażające bolesny zachwyty spotkania we dwoje. A więc poza obrębem owych uczuć wcale nie zależało mi na tym, żeby go ratować przede mną czy nie tylko przede mną, bo kiedy poza moją miłość wykraczałam myślą, nie obchodził mnie zupełnie, lecz potrzebowałam sojusznika w walce z tym, co mnie w nocy ukłuł jadowitym metalem. Nie miałam nikogo innego, a on był mi oddany ze

wszystkim: mogłam na niego liczyć. Wiedziałam co prawda, że nie mogę liczyć na niego poza uczuciem, jakie żywił do mnie. On nie dostąpił żadnej *reservatio mentalis*. Dlatego nie mogłam mu zdradzić całej prawdy: że moja miłość ku niemu i ukłucie jadowite są z tego samego źródła. Że już przez to brzydzę się obojga, oboje mam w nienawiści i oboje chcę zdeptać jak tarantulę. Tego nie mogłam mu wyjawić, gdyż musiał być konwencjonalny w swojej miłości, nie życzyłby sobie takiego wyzwolenia mojego, jakiego pragnęłam, takiej mojej wolności, co by go odrzuciła precz. Dlatego nie mogłam inaczej, jak tylko działając kłamliwie, nazywając wolność fałszywym mianem miłości, tylko w niej i poprzez nią ukazać mu siebie jako ofiarę niewiedomego. Króla? Ależ nawet gdyby się targnął na majestat, nie uwolniłoby mnie to, król, jeśli w samej rzeczy był sprawcą, to tak dalekim, że śmierć jego o włos by nie zmieniła mojego nieszczęścia. Więc żeby spróbować, czy zdołam tak sobie poczynać, zatrzymałam się u posągu Wenery, który swym nagim zadem wystawiał pomnik wyższym i niższym pasjom ziemskiego kochania, by w dobrej samotności przygotować monstrualne uświadomienie z wyostrzonymi argumentami, tę diatrybę. Jak gdybym ostrzyła nóż.

Było to bardzo trudne. Wciąż dochodziłam nieprzekraczalnej granicy, bo nie wiedziałam, gdzie przykurcz, chwyci mój język, gdzie się potknie duch. bo ten duch to był mój wróg przecież. Nie ze wszystkim kłamać, ale nie wchodzić w ośrodek prawdy, ośrodek tajemnicy. Zmniejszałam więc tylko stopniowo jej zasięg, zmierzając w tę stronę jak po spirali. Lecz gdy go dostrzegła z dala, jak szedł i zaczął niemal biec ku mnie. drobna jeszcze sylwetka w ciemnej pelerynie, pojęłam, że wszystko to na nic, bo tego styl nie pomieści. Cóż za miłosna scena, w której Laura wyznaje Pilonowi, że mu jest żegadłem? Ani nawet baśniowy styl. skoro zdejmując ze mnie zakłęcie, jeśli by mógł. zawróciłby mnie w nicość, z której wyszłam. Jego cała mądrość była tu na nic. Cudownie piękna dziewczica, jeśli ma się za instrument ciemnych sił i mówi o ukłuciach, o żegadłach, jeżeli mówi TO i TAK. jest dziewczicą szaloną. Nie wystawia świadectwa prawdzie, lecz splątaniu swemu, zaczem nie tylko miłości, oddania, lecz jeszcze ponadto litości godna.

Z połączenia tych uczuć udałby może wiarę w powiedziane, zasumowałby się, zapewnił o przygotowaniach do wyzwolicielskiego czynu, w istocie do leczniczych konsultacji, po całym świecie rozniósłby wieść o mojej biedzie — już bym go wołała znieważyc. Zresztą, w takim skomplikowaniu sił. w im większym stopniu sojusznik, w tym mniejszym — kochanek pełen nadziei na spełnienia, na pewno nie chciałby wyjść daleko z roli kochanka, szaleństwo jego było normalne, krzepkie, solidnie rzeczowe: kochać, ach kochać, żwiry na mej drodze starannie pogryźć w przytulny piaseczek, lecz nie igrać w

dziwadła analizy, skąd bierze początek mój duch?

Wyglądało więc na to, że jeśli przysposobiono mnie ku jego zgubie, musi zginąć. Nie wiedziałam, co go porazi ze mnie, przedramiona, nadgarstki w uścisku, to chyba zbyt byłoby proste, ale wiedziałam już, że inaczej nie może być. Musiałam iść z nim, ścieżkami osłodzonymi przez wprawnych mistrzów ogrodnictwa, oddaliliśmy się zaraz od Wenus Kallipygos, bo ostentacja, z jaką wyjawiała swoje, była niewłaściwa w naszym wczesnoromansowym stadium idealnych afektów i nieśmiałych napomknień o szczęściu.

Przeszliśmy obok faunów, też brutalnych, lecz inaczej, sposobem właściwszym, bo samczość tych kamiennych kudłaczy nie mogła dotknąć mej anhelliczności, dostatecznie dziewiczej, żeby nie uraziły mię nawet z bliska: byłam w prawie nie rozumienia ich marmurowo stężałych chuci.

Pocałował mnie w rękę tam, gdzie była grudka, której nie mógł wargami wyczuć. A gdzież czekał mój szczwacz? Czy w pudle karety? Czy może miałam jedynie wyłudzić od niego niewiadome tajemnice: cudowny stetoskop, przyłożony do piersi potępionego mędrca?

Nie wyjawiałam mu nic.

We dwa dni romans taka przebył drogą, jak się należało. Mieszkałam z garstką dobrej służby w rezydencji, odległej o cztery stajania od siedziby królewskiej; Phloebę, mój totumfacki, wynajął ów pałacyk w pierwszym dniu po ogrodowym spotkaniu, nic nie mówiąc o środkach, jakich wymagał ten krok, a ja, nie rozeznająca się w sprawach finansowych dziewczyna, o nic nie pytałam. Sądzę, że jednocześnie onieśmiałam go i drażniłam, być może nie był wtajemniczony we właściwą rzecz, chyba na pewno nie był, działał z rozkazu królewskiego, oddawał w słowach cześć, a w oczach widziałam nieuniżone lekceważenie, najpewniej brał mnie za nową królewską faworytę, a moim przejażdżkom i widzeniom z Arrhodesem nie dziwił się zbytnio, gdyż sługa wymagający, aby król poczynął sobie z nałożnicą wedle zrozumiałego dlań schematu, nie jest dobrym sługą. Sądzę, że gdybym się pieściła z krokodylem, nie mrugnęłyby nawet powieką. Byłam swobodna wewnątrz woli królewskiej, monarcha zresztą nie zbliżył się do mnie ani raz. Wiedziałam już, że są rzeczy, których nie powiem mojemu mężczyźnie, ponieważ kołczał mi język od samego zachcenia i wargi drętwiały mi podobnie jak palce, którymi dotykałam siebie pierwszej nocy w karecie. Zabroniłam Arrhodesowi odwiedzin, rozumiał to konwencjonalnie, obawą moją, że mię skompromituje, i miarkował się pocziwiec. Wieczorem trzeciego dnia wzięłam się nareszcie do wykrycia, kim jestem. Odziana do snu, obnażyłam się przed nocnym zwierciadłem i stałam w nim posągowo naga, a srebrne igły i stalowe lancety spoczywały na konsoli, zakryte

aksamitnym szalem, bałam się bowiem ich blasku, choć nie obawiałam się ich ostrzy. Piersi osadzone wysoko patrzyły w bok i w górę różowymi sutkami, ślad ukłucia wysoko na udzie znikł: jak położnik czy chirurg gotujący się do operacji oburącz wpierałam zamknięte dłonie w białe, gładkie ciało, zebra ugięły się pod naciskiem, lecz miałam brzuch sklepiony jak niewiasty na gotyckich obrazach i pod ciepłą, miękką powłoką napotkałam nieustępliwy opór. Wodząc zaś dłońmi z góry w dół wykryłam stopniowo obły kształt wewnątrz. Sześć świec mając po każdej stronie, wzięłam w palce najmniejszy lancet, nie ze strachu, lecz dla jego estetyczności.

W lustrze wyglądało to, jak gdybym się chciała nożem pchnąć, scena dramatycznie czysta, wytrzymana w stylu do ostatniego szczegółu przez wielkie łoże z baldachimem, dwa szpalery wysokich świec, błysk w moim ręku i moją bladość, ponieważ ciało moje lękało się straszliwie, kolana ugięły się pode mną. Jedna tylko dłoń z ostrzem miała należyłą pewność. Tam gdzie obły, nie poddający się naciskowi opór był najwyrazistszy, poniżej łuku żebrowego, wbiłam lancet głęboko, ból był znikomy i powierzchowny tylko, od sztychu wypłynęła jedna kropla krwi. Niezdolna objawić rzeźniczej umiejętności pomalą, z anatomicznym wyrachowaniem, rozciąłam na dwoje ciało do łona nieomal, gwałtownie, zaciskając z całej siły zęby i powieki. Patrzeć, to było już ponad siłę. Stałam jednak już nie drżąca, a tylko zlodowaciała i w komnacie jak obcy i daleki rozlegał się mój kurczowy, prawie spazmatyczny oddech. Otwarte cięciem powłoki rozeszły się. Białoskóre, i zobaczyłam w lustrze srebrny stulony kształt jak ogromnego płodu, jakby lśniącej we mnie ukrytej poczwarki. Ujęty w rozchylone fałdy nie krwawiącego, różowego tylko ciała. Cóż to był za potworny strach, tak patrzeć w siebie! Nie ważyłam się dotknąć srebrzystej powierzchni, przeczystej, niepokalanej, odwłok podługowaty jak trumienka mała lśnił, odzwierciedlając w sobie pomniejszone płomyki świec, poruszyłam się i wtedy ujrzałam jego przytulone płodowo odnóża, cienkie jak szczytce, wchodziły w moje ciało i pojęłam nagle, że to nie było ono. Obce, inne. To byłam dalej ja sama. A więc dlatego wyciskałam, stąpając po mokrym piasku w alejkach, tak głębokie ślady, dlatego byłam tak silna, to ja, to dalej ja, powtarzałam sobie w myśli, kiedy wszedł.

Drzwi pozostały nie zamknięte — jaka nieopatrzność. Zakradł się. wszedł tak zafascynowany własną zuchwałością, niosąc przed sobą jak na usprawiedliwienie i obronę ogromną tarczę czerwonych róż. że ujrzawszy mnie, a odwróciłam się z okrzykiem przerażenia, widział już, lecz jeszcze nie dostrzegał, nie rozumiał, nie mógł. Nie z lęku, już tylko z okropnego wstydu zgniatającego krtań obu rękami usiłowałam na powrót ukryć w sobie srebrną obłość, zbyt była jednak wielka, a ja nazbyt otwarta nożem, by się udało.

Jego twarz, jego niemy krzyk i ucieczka. Proszę, aby ta część zeznania została mi oszczędzona. Nie mógł doczekać się przyzwolenia, zaproszenia, więc przyszedł z kwiatami, a dom był pusty, sama wyprawiłam całą służbę, aby nikt nie mógł mi przeszkodzić w tym, co zamyśliłam — nie miałam już innego sposobu, innej drogi. A może już wtedy zaległo się w nim pierwsze podejrzenie. Pamiętam, jak przechodziliśmy poprzedniego dnia przez łożysko wyschłego strumyka, jak chciał mnie przenieść na rękach i zabroniłam mu. nie z prawdziwej albo udawanej wstydlivosti, lecz dlatego, ponieważ musiałam. Zobaczył wtedy w miękkim, podatnym mule ślady moich stóp, tak małe i tak głębokie, chciał coś powiedzieć, miał to być niewinny żart, ale powstrzymał się nagle i ze znajomą mi już bruzdą między nasepionymi brwiami wszedł na przeciwległy stok. nawet nie podając mi, wspinającej się za nim, pomocnej ręki. Więc może już wtedy. A jeszcze, kiedy już na samym szczycie wzniesienia potknęłam się, chwytając dla odzyskania równowagi tęgą witkę leszczyny, poczułam, że krzak wyważam cały z korzeniami, osunęłam się więc za nakazem odruchu na kolana, puszczając złamaną gałąź, aby nie objawić tej niezmożonej olbrzymiej mojej siły. Stał bokiem, nie patrzył, tak pomyślałam, lecz mógł wszystko dostrzec kątem oka. Więc czy z podejrzenia zakradł się czy namiętności niepohamowanej?

Wszystko jedno.

Najgrubszymi członami moich czułeków oparłam się o brzegi otwartego na oścież ciała, aby się wypoczwarczyć, i wydobyłam się na wolność zwinnie, a wtedy Tlenix, Duenna, Mignonne osunęła się pierwej na kolana, potem runęła twarzą w bok i wypełzłam z niej, rozprostowując wszystkie odnóża, powoli idąc wstecz niczym rak. Świece. których płomienie jeszcze chwiały się w przeciągu wznieconym jego ucieczką w otwarte drzwi, jaśniały w lustrze. naga z rozrzuconymi nieprzystojnie nogami spoczywała bezwładnie: nie chcąc dotknąć jej, mego kokonu, fałszywej skóry mojej, ominęłam ją i wznosząc się jak modliszka w półprzeiętym korpusem, spojrzałam na siebie w zwierciadle. To ja. powiedziałam sobie bez słów. to ja. To wciąż jeszcze ja. Przebiegi gładkie, tęgopokrywe, owadzie, zgrubienia stawów, odwłok w zimnym lśnieniu srebra, obłe, stworzone dla chyżości boki. ciemniejsza wylupiasta głowa. to ja. Powtarzałam sobie, jak bym się na pamięć uczyła tych słów. a zarazem matowiała i gasła we mnie wieloraka przeszłość Duenny. Tlenix, Angelity. jak dawno przeczytane książki z dzieciennego pokoju, o nieważnych i bezsilnych już treściach, mogłam je wspominać, powoli kręcąc głową w obie strony, szukając w odbiciu własnych oczu. a jednocześnie zaczynałam, choć nie oswojona jeszcze z tą swoją postacią, rozumieć, że ten akt autoewentracji nie ze wszystkim był moim powstaniem, że stanowił przewidzianą część planów, zamyśloną na taką właśnie okoliczność rebelii, żeby się okazała wkroczeniem w

doskonale nareszcie poddaństwo. Gdyż zdolna dalej myśleć z poprzednią biegłością i swobodą, podlegałam jednocześnie nowemu ciału mojemu i jego metal jaśniejszy miał wpisane w siebie ruchy, które jęłam wykonywać.

Miłość zgasła. Gaśnie i w was. lecz latami albo miesiącami, ten sam zachód przeżyłam w chwilach, był to trzeci już z kolei początek, bo wydając lekki, posuwisty szmer, obiegałam trzykroć komnatę, dotykając wysuniętymi, dygocącymi czułkami łoża, na którym nie było mi już dane spocząć. Brałam w siebie woń niekochanka mojego, by ruszyć jego śladem, znajoma mu a nieznajoma, w tej nowo otwartej, już chyba ostatniej, rozgrywce. Trop jego ucieczki szalonej znaczyły najpierw otwarte kolejne drzwi i róże, co się rozsypały, woń ich mogła mi być pomocną, jako że stała się. przynajmniej na jakiś czas, cząstką jego woni. Widziane z dołu. z niska, więc z nowej perspektywy, komnaty, przez które się przemykałam, zdawały mi się przede wszystkim nazbyt duże. pełne nieporęcznych, zbędnych sprzętów, ciemniejących obco w półmroku, potem słabo zazgrzytały stopnie kamiennych schodów pod moimi pazurkami i wybiegałam w ogród wilgotny i ciemny — słowik śpiewał, poczułam wewnętrzne rozbawienie, bo to był już zupełnie niepotrzebny rekwizyt, innych wymagał ten akt następny, myszkowałam dobrą chwilę między krzewami, czując jak chrzęści żwir. pryskający mi spod nóg. zakręciłam się raz i drugi wkoło, aż pognałam przed siebie, chwyciwszy trop. Gdyż miałam go chwycić, złożony z unikalnego zestroju nikłych zapachów, z drgnień powietrza, porozsuwanego jego przejściem, każdą drobinę odnalazłam, nie rozproszoną jeszcze wiatrem nocnym, i tak weszłam na właściwy kierunek, który miał być odtąd moim do końca.

Nie wiem, z czyjej woli dałam mu się silnie wysforować, bo do świtu zamiast ścigać go, krążyłam w królewskich ogrodach. W pewnej mierze było to wskazane, przebywałam bowiem tam, gdzieśmy chodzili między żywopłotami trzymając się za ręce, mogłam więc napić się dokładnie jego wonią tak, by jej na pewno z żadną inną nie zamienić. Co prawda mogłam też pomknąć prosto za nim i dopaść go w zupełnej bezradności pomieszczenia i rozpacz, ale nie zrobiłam tego. Wiem, że moje postęпки owej nocy można też wyłożyć całkiem inaczej, moją żalobą i wolą królewską, skoro utraciłam kochanka, zyskując tylko ofiarę, a monarsze nagły i szybki kres nienawistnego mu człowieka mógł się wydawać niedostateczny. Być może Arrhodes nie pognał do swego domu, lecz udał się do któregoś z przyjaciół i tam, w gorączkowej rozmowie, sam odpowiadając sobie na zadawane pytania (obecność innego człowieka była mu wszak potrzebna tylko jako trzeźwiące wsparcie), doszedł wszystkiego bez pomocy cudzego przemyśłu. Zresztą poczynania moje w ogrodach w niczym nie przypominały cierpień rozłąki. Wiem. jak to nieładnie zabrzmi czułym duszom, lecz nie mając ani rąk do łamania, ani łez do wylewania, ani kolan, na które mogłabym paść,

ani ust. żeby przyciskać do nich za dnia zbierane kwiaty, nie oddawałam się prostracji. Zajmowało mnie teraz niezwykle mistrzostwo rozróżnień, jakie posiadałam, bo biegnąc alejami ani razu nie wzięłam smużki najbardziej nawet złudnie podobnego śladu za ten, który był moim obecnym przeznaczeniem i ostrogą nie zmęczonych starań. Czułam, jak w moim zimnym płucu lewym każda cząstka powietrza przesmykuje się meandrami niezliczonych komórek badawczych i jak każda z podejrzanych cząsteczek dostaje się do mego płuca prawego, gorącego, gdzie moje pryzmatyczne oko wewnętrzne przyglądało się jej uważnie, aby potwierdzić właściwy sens lub odrzucić go jako mylący, a działało się to szybciej, niż drgają skrzydełka najmniejszego owada, szybciej, niż moglibyście to pojąć. O przedświecie opuściłam królewskie ogrody. Dom Arrhodesa stał pusty, otwarty na oścież, nie dbając tedy i o to, aby sprawdzić, czy wziął z sobą jakąś broń. odnalazłam świeży ślad i ruszyłam nim już bez wszelkiej zwłoki. Nie sądziłam, że wybieram się na długą wędrówkę. A jednak dni przeszły w tygodnie, tygodnie w miesiące, a ja wciąż go tropiłam.

Nie wydawało mi się to bardziej szkaradne od zachowania wszelkich istot, mających wypisany w sobie własny los. Biegłam przez deszcze i skwary, rozłogi, wądoły i chaszczę, suche trzciny oślizgiwały mi się po tułowi, a woda na przełaj przebywanych kałuż czy rozlewisk opryskiwała mnie i ściekała grubymi kroplami po obłym grzbiecie i po głowie, w tym miejscu naśladując łzy, co nie miało jednak żadnego znaczenia. Widziałam, w nieustającym pędzie, jak każdy, kto zobaczył mnie z daleka, odwracał się i przyciskał do ścian, drzewa, muru lub, jeśli nie miał takiego ukrycia, przyklekał i zakrywał rękami twarz, albo padał na nią i leżał tak długo, aż pozostawiłam go już daleko za sobą. Nie znałam potrzeby snu, toteż biegłam i nocą przez wsie, osady, miasteczka, przez targowiska pełne garów glinianych i suszących się na sznurach owoców, gdzie całe gromady pierzchały przede mną, a dzieci umykały z wrzaskiem w boczne uliczki, na co nie zwracałam uwagi, mknąc moim tropem. Jego zapach wypełniał mnie całą jak obietnica. Zapomniałam już wygląd twarzy tego człowieka i umysł mój. Jak gdyby mniej wytrzymały od ciała, szczególnie podczas nocnego pędu, zawężał się tak, że nie wiedziałam, kogo tropię ani nawet, czy kogoś tropię, wiedziałam tylko, że wolą moją jest gnać tak, aby ślad powietrznych drobin, przeznaczonych mi z wezbranej różnorodności świata, trwał i wzmagał się. bo jeśliby słabł, znaczyłoby to, że nie podążam w dobrym kierunku. Nie pytałam nikogo o nic. a też nikt nie ośmielał się do mnie odezwać, jakkolwiek czułam, że przestrzeń, oddzielająca mnie od tych, co kulili się u ścian przy moim zbliżaniu lub padali na ziemię, zakrywając rękami tył głowy, pełna jest napięcia i pojmowałam je jako składany mi przeraźliwy hołd, ponieważ byłam na królewskim tropie, który dawał mi niewyczerpaną moc. Czasem tylko dziecko, jeszcze bardzo

małe. którego dorośli nie zdążyli pochwycić i zacisnąć w objęciach przy mym milczącym, gwałtownym pojawieniu w największym pędzie, zaczynało płakać, ale nie zważałam na to. ponieważ mknąc musiałam trwać w nieustającej, najwyższej koncentracji, zwrócona zarazem na zewnątrz, w świat piaszczysty, murowany, zielony, okryty błękitami, i w mój wewnętrzny, gdzie od sprawnego grania mych obojga płuc powstała muzyka molekularna, bardzo piękna, bo tak wspaniale nieomylna. Przebywałam rzeki i odnogi limanów, katarakty, mułowate zbiorniki wysychających jezior, a wszelki stwór omijał mnie, oddalał się w ucieczce lub poczynał gorączkowo worywać się w spieczony grunt, zapewne nadaremnie, gdybym go miała upatrzonego, bo nikt nie był tak błyskawicznie zwinny jak ja, lecz nie obchodziły mnie owe stworzenia kosmate, raczkujące, skośnouche, wydające chrypliwe rżenia, piski, zawodzenia, miałam wszak przed sobą inny cel.

Wielekroć przebijałam, niczym pocisk, wielkie mrowiska, a ich mieszkanki rude, czarne, plamiste bezsilnie staczały się po mym lśniącym pancerzu, a raz czy drugi jakiś stwór niezwyklej wielkości nie ustąpił mi z drogi, więc chociaż nie miałam do niego nic, aby zaoszczędzić czasu na kołowania i wymijania, sprężywszy się skokiem, w lot przesywałam go, zaczem w trzasku wapienia i bełkocie czerwonych strug pluskających na mój grzbiet i łeb oddalałam się tak szybko, że nie od razu pomyślałam o śmierci, zadanej tym prędkim i gwałtownym sposobem. Pamiętam też, że przekradałam się przez wojenne fronty, pełne rozsypanego bezładnie mrowia szarych i zielonych opończy, z których jedne ruszały się, a w innych tkwiły kości, zgniłe lub całkowicie wyschnięte i przez to białe jak przybrudzony śnieg, lecz i na to nie zważałam, ponieważ miałam wyższe zadanie, które było tylko na moją miarę. A to, ponieważ trop zwijał się, pętlił i przecinał sam siebie, i prawie zniknął na brzegach słonych jezior, wypalony słońcem w drażniący mi płuca kurz lub wypłukany deszczami; i z wolna zaczynałam rozumieć, iż to. co mi umyka, jest pełne przebiegłej chytrości i czyni wszystko, aby mnie wprowadzić w błąd i urwać nić cząsteczek, naznaczonych śladem jedyności. Gdyby ten, kogo tropiłam, był zwyczajnym śmiertelnikiem, dopadłabym go po czasie właściwym, to jest niezbędnym, aby jego strach i rozpacz należycie spotęgowały oczekującą go karę, na pewno dognałabym go dzięki niestrudzonej chytrości i nieomylniej pracy moich tropicielskich płuc — ażbym go zgładziła szybciej, niż pomyślałabym, że to właśnie czynię. Zrazu nie następowałam mu na pięty, idąc ostygłym dobrze śladem, aby wyrazić tym moje mistrzostwo, a zarazem dać tropionemu należyty czas, zgodnie z dobrym obyczajem, bo dzięki temu wzbierała w nim rozpacz, niekiedy zaś pozwalałam mu znacznie się odsądzić, czując mnie bowiem wciąż nazbyt blisko, mógłby w przystępie beznadziejności zrobić sobie coś złego i tym samym wymknąć się mojemu postanowieniu. Toteż nie

zamierzałam dopaść go zbyt szybko ani tak raptownie, żeby nie zdążył pojąć, co go czeka. Dlatego zatrzymywałam się nocami zaszyta w gąszczu, nie dla odpoczynku, ten był mi zbędny, lecz dla umyślnej zwłoki, a też by rozważyć dalsze działania. Nie myślałam już o ściganym jako o Arrhodesie, niegdyś moim kochanku, ponieważ wspomnienie to otorbiło się i wiedziałam, że winno spoczywać w spokoju. Żałowałam jedynie, że nie mam już daru uśmiechania się, gdy sobie przypominałam zamierzchłe fortele, więc Angelitę, Duennę, słodką Mignonne, i parę razy przyjrzałam się sobie w lustrze wody, z pełnią księżyca nad głową, aby się przekonać, jak w niczym już nie jestem do nich podobna, choć pozostałam piękna, teraz było to jednak piękno śmiercionośne, budzące grozę tak wielką jak zachwyty. Wykorzystywałam też nocny pobyt na owych leżach, by do srebra zetrzeć z odwłoku grudy zaschniętego błota i przed wyruszeniem w dalszą drogę poruszałam lekko tuleją żądła, objętą skokowymi nogami, sprawdzając jej gotowość, nie znałam bowiem dnia ani godziny.

Niekiedy podkradałam się bezszelestnie do ludzkich siedzib i nasłuchiwałam głosów, przegięta w tył, opierając lśniące czułki o framugę okienną lub wypełznawszy na dach, z którego okapu mogłam zwisnąć swobodnie w dół, bo nie byłam przecież martwym mechanizmem opatrzonym dwojgiem tropicielskich płuc, lecz istotą, używającą właściwie rozumu. A pogoń i ucieczka trwały już dostatecznie długo, żeby się stały głośne i słyszałam, jak stare kobiety straszyły mną dzieci, dowiadywałam się też niezliczonych bają o Arrhodesie, któremu tak sprzyjano, jak obawiano się mnie, królewskiej wysłanniczki. Co takiego gadali prostacy na przyzbach? Że jestem maszyną, nasadzoną na mędrca, który odważył się targnąć na majestat.

Nie zwyczajną miałam być wszakże maszyną katowską, lecz osobliwym urządzeniem, zdolnym przybierać dowolną postać: zebra, dziecka w kolebce, ślicznej dziewczuszki, ale też metalowego gada. Tamte kształty to larwa, w której mordercza wysłanniczka ukazuje się ściganemu, by go omamić, wszystkim innym zaś objawia się jako skorpion ze srebra, pełznący tak chyżo, że nikomu jeszcze nie udało się zliczyć jego nóg. Tu się rzecz dzieliła na rozmaite wersje. Jedni mówili, że mędrzec chciał obdarzyć lud wolnością na przekór królewskiej woli, i tym wzbudził monarszy gniew; inni, że miał wodę życia i mógł nią wskrzeszać zamęczonych, co zostało mu zabronione najwyższym rozkazem, on zaś pozornie ugiąwszy się przed wolą władcy, potajemnie szykował hufiec z wisielców, odciętych na cytadeli po wielkiej egzekucji rebeliantów. Jeszcze inni nic zgoła nie wiedzieli o Arrhodesie i nie przypisywali mu żadnych umiejętności wspaniałych, a tylko mieli go za skazańca, któremu już z tej racji należy się przychylność i pomoc. Chociaż nie były wiadome przyczyny, co rozjątrzyły królewską wściekłość, że wezwanym werkmistrzom nakazano

sporządzić w ich kuźni maszynę tropicielską, złym to zwano zamysłem i grzesznym rozkazem: cokolwiek bowiem uczynił ścigany, nie mogło być tak złe jak los, który mu król zgotował. Końca nie było owym bajaniom, w których do woli rozzuchwalała się pro—stacza wyobraźnia, w tym jednym nieodmienna, że obdarzała mnie całym szkaradzieństwem. na jakie stać umysły.

Słyszałam też niezliczone kłamstwa o dzielnych, spieszących na odsiecz Arrhodesowi. co jakoby zastępowali mi drogę, aby paść w nierównym boju — boż ani żywy duch się na to nie poważył. Nie brakło w tych podaniach i zdrajców, pokazujących mi Arrhodesowe ślady, kiedym nie mogła ich już odnaleźć — też kłamstwo wierutne. O tym atoli, kim jestem, kim mogę być. co mam w umyśle, czy znam rozterkę albo zwątpienie, nikt nie mówił wcale, ale i temu się nie dziwiłam.

Nasłuchałam się niejednego o znanych ludowi prostych maszynach nadażnych, wypełniających wolę królewską, która jest prawem. Czasem wcale nie kryłam się przed mieszkańcami niskich izb, lecz czekałam wschodu słońca, aby w jego promieniach skoczyć srebrną błyskawicą na trawę i w łyskliwych rozbryzgach rosy związać koniec wczorajszej drogi z jej dzisiejszym początkiem. Mknąc rześko, napawałam się padaniem spotykanych na twarz, zeszkleniem spojrzeń, zmartwiałą grozą, która otaczała mnie na kształt nieprzekraczalnej aureoli. Lecz nadszedł dzień, w którym jałowy okazał się mój węch dolny, na próżno też pętiliłam po wzgórzystej okolicy, szukając śladu górnym, i zaznałam poczucia nieszczęścia, które czyniło daremną całą moją doskonałość, aż stojąc na szczycie pagórka, ze skrzyżowanymi ramionami, jak bym modliła się wietrznemu niebu, pojęłam, w najśłabszym dźwięku, wypełniającym mi dzwona odwołku, że nie wszystko stracone, więc aby wypełnił się zamysł, sięgnęłam do dawno już zarzuconego daru — mowy. Nie uczyłam się jej, bom ją posiadała, musiałam ją jednak zbudzić w sobie, wymawiając wyrazy początkowo ostro i dźwiękliwe, rychło jednak głos mój upodobił się do ludzkiego, więc zbiegłam po stoku, aby użyć słów, skoro zawiódł mnie węch. Nie czułam wcale nienawiści do tropionego, chociaż okazał się tak biegły i chytry, rozumiałam jednak, że wypełnia należną mu część zadania tak, jak ja wypełniam moją. Odnalazłam rozstaje, na których zanikł stopniowo ślad, i stałam dygocząc, a nie ruszając się z miejsca, ponieważ jedna para mych nóg ciągnęła na oślep ku drodze pokrytej wapiennym pyłem, kiedy druga, kurczowo drapiąc głazy, targała mnie w stronę przeciwną, gdzie białały mury niewielkiego klasztoru, otoczonego starodrzewem. Zebrawszy się w sobie, popełzłam ciężko i jakby niechętnie ku furcie klasztornej, w której stał zakonnik z uniesioną twarzą, może zapatrzony w zorzę na nieboskłonie. Zbliżałam się do niego powoli, aby nie porazić go nagłym zjawieniem i pozdrowiłam, a gdy bez słowa

wpatrywał się we mnie, spytałam, czy pozwoli, bym wyznała mu pewną rzecz, z którą trudno mi samej sobie poradzić. Sądziłam zrazu, że zastygł od trwogi, skoro ani się nie poruszył, ani nie odezwał, lecz on namyślał się tylko i wreszcie wyraził zgodę. Poszliśmy tedy do klasztorного ogrodu, on przodem, ja za nim, i dziwna musiała być z nas para, lecz o tej wczesnej godzinie nie było wokół ani żywego ducha, zdolnego podziwiać srebrną modliszkę i białego księdza. Powiedziałam mu pod modrzewiem, kiedy usiadł, przybierając mimo woli a z nawyku pozę spowiednika, więc nie patrząc na mnie, lecz skłoniwszy tylko głowę w moją stronę, że pierwaj nim weszłam na trop, byłam dziewczyną, przeznaczoną z woli królewskiej Arrhodesowi, którego poznałam na balu dworskim, i że kochałam go, nie wiedząc o nim nic. i wstępowałam bezwiednie w miłość, jaką w nim wzbudziłam, aż od nocnego ukłucia pojęłam, kim mogę mu być, a nie widząc dla niego ani dla siebie innego ratunku, pchnęłam się nożem, lecz zamiast śmierci spotkało mnie przeistoczenie. Odtąd mus, który poprzednio tylko podejrzewałam, naprowadził mnie na ślad kochanka, i stałam mu się prześladowającą furiją. Lecz długo trwała ta pogoń, tak długo, aż jęło mnie dochodzić wszystko, co ludzie mówią o Arrhodesie, jakkolwiek zaś nie wiem, ile w tym prawdy, poczęłam od nowa rozmyślać nad naszym wspólnym losem i weszła we mnie przychylność ku temu człowiekowi, zrozumiałam bowiem, że chcę go ze wszystkich sił zabić, ponieważ nie mogę go już więcej kochać. Tak wejrzałam we własną nikczemność, to jest w miłość wynicowaną i poniżoną, łaknącą zemsty na tym, który oprócz własnego nieszczęścia nic nie był mi winien. Dlatego nie chcę już kontynuować pogoni ani budzić wokół śmiertelnego przerażenia, owszem, chcę koniecznie zaradzić złemu, nie wiem tylko jak.

O ile mogłam dostrzec, zakonnik nie wyzbył się do końca tej rozmowy podejrzliwości, jako że od razu zastrzegł się, nimem jeszcze zaczęła mówić, iż cokolwiek powiem, nie wejdzie pod pieczęć spowiedzi, gdyż podług jego mniemania stanowią istotę wyzbytą własnej woli. A też i potem mógł zadawać sobie pytanie, czy nie zostałam mu podesłana umyślnie, wszak trafiają się tacy podesłańcy, i to najperfidniej przebrani, lecz odpowiedź jego zdawała się płynąć z uczciwego namysłu. Rzekł mi: A cóż, gdybyś znalazła tego, którego szukasz? Czy wiesz, co wtedy uczynisz?

Ja na to: Ojcze, wiem tylko, czego nie chcę uczynić, lecz nie wiem, jaka tkwiąca we mnie moc wydobędzie się wówczas ze mnie, a zatem nie mogę powiedzieć, czy nie zostanę zniewolona do zabójstwa.

Rzekł mi: Jakąż ja ci mogę dać radę? Czy chcesz, aby to zadanie zostało ci odjęte?

Jak pies leżąc u jego stóp, podniosłam głowę i widząc, jak mruży oczy od słonecznego promienia, który poraził go, odbity srebrem mej czaszki, powiedziałam: Niczego bardziej nie

pragnę, jakkolwiek pojmuje, że los mój stanie się wtedy okrutny, bo nie będę już miała przed sobą żadnego celu. Nie umyśliłam sobie tego, do czego zostałam stworzona, i też będę musiała na pewno zapłacić drogo za uchybienie woli królewskiej, ponieważ nie jest dopuszczalne, aby takie uchybienie pozostało bez kary, więc mnie z kolei wezmą na muszkę rusznikarze pałacowych podziemi i wyślą w świat żelazną sferę, żeby mnie zniszczyć. A gdybym nawet umknęła, korzystając z wprowadzonych we mnie kunsztów, i udała się choćby na kraj świata, gdziekolwiek zaszyję się, wszystko będzie mnie unikało i nie znajdę nic, dla czego warto byłoby istnieć dalej. Także podobny do twego los będzie przede mną zamknięty, ponieważ każdy władny jak ty odpowie mi tak jak ty, że nie jestem wolna duchowo, więc nie mogę zyskać przywileju klauzury klasztornej!

On zamyślił się, potem zadziwił i rzekł: Nie znam się na urzędzeniu podobnych tobie ani trochę, wszelako widzę cię i słyszę i wydajesz mi się z twojej mowy rozumem, jakkolwiek może poddanym ograniczającemu zniewoleniu, lecz skoro, jak mi właśnie mówisz, walczysz z tym zniewoleniem, maszyno, i powiadasz, że czułabyś się wyzwolona, gdyby ci odebrano wolę zabójstwa, powiedz mi, a jakże ci jest z tą wolą?

Ja na to: Ojcze, może i nie jest mi dobrze, lecz na tym, jak należy tropić, ścigać, śledzić, podpatrywać i podsłuchiwać, czaić się i taić, a także łamać stojące na drodze przeszkody, podchodzić, mylić, krążyć i zacieśniać pętlę krążenia, na tym wszystkim znam się wybornie i wykonywanie owych czynności w sposób biegły i niezawodny, czyniąc ze mnie wyrok nieubłaganego fatum, przysparza mi zadowolenia, co pewno umyślnie zostało wpisane ogniem w moje wnętrze.

— Powtórnie cię pytam — rzekł — powiedz, co uczynisz, kiedy zobaczysz Arrhodesa?

— Ojcze, powtórnie odpowiadam, że nie wiem, jakkolwiek bowiem nie chcę mu złego, to, co we mnie wpisane, może okazać się potężniejsze od mojej chęci.

Gdy to usłyszał, przysłonił oczy ręką i rzekł: Jesteś moją siostrą.

— Jak mam to rozumieć? — spytałam w największym zaskoczeniu.

— Tak, jak mówię — odparł — a znaczy to, że ani się wywyższam nad ciebie, ani poniżam przed tobą. jakkolwiek byśmy się bowiem różnili, niewiedza twoja, którą mi wyznałaś, a w którą ja wierzę, czyni nas równymi przed Prowidencją. A skoro tak, chodź ze mną, pokażę ci coś.

Poszliśmy, jedno za drugim, przez ogród klasztorny, aż do starej drewnutni, pod naciskiem rak zakonników otwarły się kraczące drzwi, w mroku zaś wewnątrz rozpoznałam leżący na snopkach słomy ciemny kształt, a nozdrzami wszedł mi w płuca zapach,

bezustannie tropiony, tak mocny tutaj, że poczułam, jak żądło samo wzwodzi mi się i wysuwa z łonowej tulei, lecz w następnej chwili wzrokiem, przywykającym do ciemności, dostrzegłam omyłkę. Na słomie leżała tylko porzucona odzież. Zakonnik widział po moim dygotaniu, jak jestem wstrząśnięta i rzekł: Tak. Tu był Arrhodes. Skrywał się w naszym klasztorze od miesiąca, gdy mu się udało zmylić ciebie. Żał mu było, że nie może działać po dawnemu, więc sekretnie powiadamiał uczniów, co odwiedzali go czasem nocami, lecz wkradli się pomiędzy nich dwaj zdrajcy, którzy uprowadzili go pięć dni temu.

— Czy chcesz powiedzieć „wysłannicy królewscy”? — spytałam, ciągle drżąc i modlitewnie przyciskając do piersi skrzyżowane odnóża.

— Nie, mówię „zdrajcy”, porwali go bowiem podstępem i siłą, mały chłopiec niemowa, któregośmy przygarnęli, on jeden widział jak uchodzili z nim o świcie, spętany i z nożem przyłożonym do karku.

— Porwali go? — spytałam, nic nie rozumiejąc. — Kto? Dokąd? Po co?

— Sądzę, że po to, by mieć pożytek z jego rozumu. Nie możemy odwołać się o odsiecz do prawa, bo to jest prawo królewskie. Zmuszą go więc do służb, a jeśli odmówi, zabiją go i ujdą bezkarnie.

— Ojcze — powiedziałam — niech będzie pochwalona godzina, w której ośmieliłam się do ciebie zbliżyć i odezwać. Pójdę teraz tropem porywaczy i wyzwolę Arrhodesa. Umiem tropić, ścigać, niczego lepiej nie potrafię, pokaż mi tylko znany ci ze słów niemowy, właściwy kierunek!

Odparł: A wszak nie wiesz, czy będziesz się mogła powstrzymać, sama mi to wyznałaś!

Ja na to: Tak jest, lecz sądzę, że znajdę właściwy sposób. Nie wiem jeszcze dobrze — może odszukam sprawnego werkmistrza, który odnajdzie we mnie właściwy obwód i odmieni go tak, żeby upatrzony stał mi się przeznaczonym.

Zakonnik rzekł: Nim ruszysz w drogę, możesz, jeśli chcesz, zasięgnąć rady jednego z naszych braci, ponieważ nim do nas przystał, był w świecie biegłym w takich właśnie kunsztach. Służy nam teraz pomocą jako medyk.

Staliśmy już w słonecznym ogrodzie, a chociaż nie dał tego znać po sobie, zrozumiałam, że nie ufa mi nadal. Trop ulotnił się w ciągu pięciu dni, mógł mi więc wskazać równie dobrze właściwy, jak fałszywy kierunek. Wyraziłam zgodę.

Medyk obejrzał mnie z zachowaniem wskazanej ostrożności, świecąc ślepą latarką w głąb mego ciała poprzez szczeliny międzyodwłokowych dzwon, przy czym okazał wiele starania i uwagi. Potem wstał, strzepnął kurz z habitu i powiedział :

— Zdarza się, że na maszynę, wysłaną z wiadomym poleceniem, zasadza się rodzina skazanego lub jego przyjaciele czy też inni ludzie, którzy dla niepojętych władzy przyczyn usiłują obrócić jej postanowienia wniwecz. By temu zapobiec, przezorni rusznikarze królewscy zamykają wiadomą treść hermetycznie i łączą ją z sednem tak, aby wszelkie manipulowanie okazać się musiało zgubne. Po nałożeniu ostatniej pieczęci nawet oni nie mogliby już usunąć żądła. Tak jest z tobą. Zdarza się też, że ścigany przebiera się w inną odzież, zmienia wygląd, zachowanie i woń, lecz nie może zmienić umysłu i dlatego maszyna nie zadowala się tropieniem podług dolnego i górnego węchu, lecz poddaje upatrzonych indagacjom, które obmyśliли najtężsi znawcy poszczególnych osobliwości ducha. Tak jest i z tobą. Ponadto zaś widzę w twoim wnętrzu urządzenie, jakiego nie miała żadna z twych poprzedniczek, które jest wieloraką pamięcią spraw, zbędnych maszynie tropicielskiej, są to bowiem utrwalone dzieje niewieście, pełne kuszących umysł imion i obrotów mowy, od których biegnie przewodnik do śmiertelnego sedna. Tak więc jesteś maszyną udoskonaloną w sposób dla mnie niepojęty, a może nawet maszyną doskonałą. Usunąć ci żądła, nie przywołując zarazem wiadomego skutku, nie może nikt.

— Żądło jest mi niezbędne, powiedziałam, leżąc ciągle na wznak, gdyż mam spieszyć ku pomocy porwanemu.

— Co do tego, czy gdybyś chciała ze wszystkich sił. potrafiłabyś powstrzymać spusty, zawieszane nad wiadomym sednem, nie umiem powiedzieć ani tak, ani nie — mówił dalej medyk, jak gdyby nie usłyszał moich słów. — Mogę uczynić, jeśli chcesz, tylko jedną rzecz, mogę mianowicie bieguny wiadomego miejsca opylić przez rurkę startym na proch żelazem, gdyż od tego powiększy się nieco przedział twojej wolności. Jeśli jednak uczynię to nawet, do ostatniej chwili nie będziesz wiedziała, czy spiesząc komuś z pomocą, nie okażesz się wobec niego nadal posłusznym narzędziem.

Widząc jak obaj patrzą na mnie, zgodziłam się na ów zabieg, który trwał krótko, nie sprawił mi dolegliwości ani też nie wywołał w mym duchowym stanie żadnej wyczuwalnej zmiany. Aby jeszcze lepiej zaskarbić sobie ich zaufanie, spytałam, czy pozwolą mi spędzić w klasztorze noc, cały dzień zeszedł bowiem na rozmowach, rozważaniach i auskultacjach. Zgodzili się chętnie, ja zaś poświęciłam ów czas dokładnemu przebadaniu drewnutni, zaznajamiając się z zapachem porywaczy. Byłam do tego zdolna, ponieważ trafia się, że wysłannicze królewskiej zastępuje drogę nie sam upatrzony, lecz jakiś inny śmiałek. Przed świtem leżałam na słomie, na której przez wiele nocy sypiał był rzekomo porwany, i wdychałam w bezruchu jego woń, oczekując zakonników. Rozumiałam bowiem, że gdyby okłamali mnie zmyśloną opowieścią, będą się lękać mojego mściwego powrotu z fałszywej

drogi, więc ta najciemniejsza godzina przedświtów okaże się dla nich wielce właściwa, jeśli by zamierzali mnie zgładzić. Leżałam, udając głęboko uspioną, wsłuchując się w każdy najlżejszy szmer, idący z ogrodu, mogli bowiem zatarasować z zewnątrz drzwi i podpalić drewnię, aby owoc mego żywota w płomieniach rozerwał mnie na sztuki. Nie musieliby nawet pokonać właściwej im odrazy do zabijania, skoro nie uważali mnie za osobę, a tylko za maszynę katowską; szczątki moje mogłyby zakopać w ogrodzie i nic by się im nie stało. Nie wiedziałam dobrze, co uczynię, jeśli posłyszę ich zbliżanie, i nie dowiedziałam się, gdyż do niego nie doszło. Toteż pozostałam sama na sani z myślami, w których powracały zdumiewające słowa, jakie powiedział starszy zakonnik, patrząc mi w oczy, „jesteś moją siostrą”. Nie rozumiałam ich nadal, lecz gdy pochylałam się nad nimi, coś gorącego rozpląwało się w moim jestestwie i przeinaczało mnie tak, jakbym utraciła ciężki płód, którym byłam brzemienna. Rano zaś wybiegłam przez uchyloną furtkę i, wymijając za wskazaniem zakonnika klasztorne zabudowania, puściłam się pędem w stronę widniejących na horyzoncie gór — tam bowiem skierował moją pogoń.

Spieszyłam się bardzo i koło południa dzieliło mnie od klasztoru więcej niż sto mil. Gnałam jak pocisk między białopiennymi brzoźkami, a kiedy na przełaj biegłam przez wysoką trawę podgórszych łąk, ta padała po obu stronach jakby pod miarowymi ciosami ostrza w ręku kosiarza.

Ślad obu porywaczy odnalazłam w głębokiej dolinie, na mostku przerzuconym przez bystrą wodę, lecz ani krzty tropu Arrhodesa, chyba nie zważając na wysiłek nieśli go na zmianę, w czym się objawiała ich chytryść oraz wiedza, skoro pojmwali, że nikt nie ma prawa zastąpić maszyny królewskiej w jej posłannictwie, i że wielce narazili się, ważąc swój czyn, woli monarszej. Chcielibyście zapewne wiedzieć, jakie były moje prawdziwe zamiary w tym biegu ostatnim, a więc powiem, że podeszłam zakonników, a też nie podeszłam ich, naprawdę bowiem życzyłam sobie odzyskania albo raczej uzyskania wolności, przecież nigdy jej dotąd nie miałam. Jeśli jednak idzie o to, co zamierzałam z ową wolnością uczynić, nie wiem, co mam wyznać. Niewiedza ta nie była niczym nowym, wkłuwając w nagie ciało nóż także nie wiedziałam, czy chcę się zabić, czy tylko rozpoznać, nawet gdyby jedno miało być tym samym, co drugie. Przewidziano i ten mój krok, jak o tym świadczyły wszystkie dalsze wypadki, toteż nadzieja wolności mogła być tylko urojeniem, nie moim własnym nawet, lecz wprowadzonym we mnie po to. abym żwawiej działała, pobudzona taką właśnie perfidnie przyłożoną ostrogą. Jak jednak powiedzieć, czy wolność równałaby się po prostu zaniechaniu Arrhodesa, nie wiem. Przecież mogłabym zabić go także będąc całkowicie wolną, ponieważ nie byłam na tyle szalona, by uwierzyć w niemożliwy cud wzajemności teraz,

kiedy przestałam już być kobietą, a jeśli może nie ze wszystkim przestałam nią być. jakże Arrhodes, który widział rozpruty brzuch nagiej kochanki, byłby zdolny w to uwierzyć? Tak więc mądrość moich stwórców wykraczała poza ostatnią rubież mechanicznego kunsztu, niewątpliwie bowiem uwzględnili w swojej rachubie także i ten mój stan. w jakim spieszyłam utraconemu na zawsze z pomocą. Gdybym mogła zawrócić i oddalić się, gdzie oczy poniosą, też bym się mu nie przysłużyła zbytnio, ciężarna śmiercią, której nie miałabym komu urodzić. Uważam więc, że byłam szlachetnie nikczemna i wolnością zniewolona, żeby czynić nie to, co było mi nakazane wprost, lecz to. czego we wcieleniu moim sama chciałam. Roztrząsania zawile i drażniące zbędnością miały jednak ustać u celu. Zabijając porywaczy i ocalając kochankę, zmuszając go tak właśnie, aby żywiony dla mnie wstręt i strach zamienił na bezsilny podziw, mogłam jeśli nie jego, to przynajmniej siebie odzyskać.

Przebiwszy się przez gęste krzaki leszczyny, pod pierwszymi upłazami straciłam raptownie trop. Darmo szukałam go, w jednym miejscu był, a w drugim szczeł, jakby ścigam ulecieli w niebo. Wróciwszy do zagajnika, jak mi podyktowała roztropność, nie bez trudu odnalazłam krzak, z którego wycięto kilka najcięższych gałęzi. Obwąchałam więc kikuty, ociekłe sokiem leszczynowym i wróciwszy tam, gdzie ginał ślad. odkryłam jego przedłużenie wonią leszczynową, albowiem umykający posłużyli się szczudłami, pojmując, że smuga górnego zapachu nie wytrwa długo w powietrzu, zmieciona przez górski wiatr. Zaostrzyło to moją wolę; wnet zapach leszczynowy osłabł, lecz i tu przejrzałam użyty fortel — końce szczudeł owinęli strzepami jutowego worka.

U wiszaru skalnego leżały porzucone szczudła. Polanę zalegały olbrzymie głazy, porosłe mchem od północy, a tak na sobie spiętrzone, że nie sposób było przemierzyć osypiska inaczej, jak tylko skacząc wielkimi susami z jednego maliniaka na drugi. To też uczynili uciekający, nie obrali jednak prostego szlaku, lecz kluczyli zygzakiem, przez co musiałam bezustannie spelzać z głazów, obiegać je dokoła i chwycać drżące w powietrzu drobiny tropu. Tak dotarłam do urwiska, po którym wspięli się wzwyż, musieli więc wprowadzonemu oswobodzić ręce. lecz nie dziwiłam się temu, że z własnej woli podążył z nimi. nie miał bowiem odwrotu. Pięłam się wyraźnym śladem, czując potrójną woń na rozgrzanych płaszczyznach skał, choć przychodziło wdzierać się pionowo, półkami skalnymi, rynienkami, obrywami i nie było takiej kępki siwego mchu wtulonej w szczelinę zwisów ani tak drobnej rysy, dającej przelotne oparcie stopom, której umykający nie użyliby jako stopnia, zatrzymując się kiedy niekiedy w najtrudniejszych miejscach, aby wypatrzeć dalszą drogę, co poznawałam po nasilającej się tam ich woni, ja wszakże gnałam w górę ledwie dotykając głazów i czułam wzmożone tętno mego wnętrza, które grało i śpiewało we wspianiałym

pościgu, bo ludzie ci byli na moją miarę i odczuwałam dla nich zarazem podziw i radość, albowiem czegokolwiek dokonali w tym karkołomnym darciu się wzwyż, idąc we trzech i ubezpieczając się liną, której jutowy zapach pozostał na ostrych krawędziach, ja powtarzałam samotnie i lekko, i nic nie mogło stracić mnie z tej podniebnej ścieżki. Na szczycie trafił mnie ogromny wicher, który świszczwał u grani jak nóż, lecz anim się obejrzała, by ujrzeć zieloną krainę, co rozpościerała się w dole gasnącymi niebiesko w powietrzu horyzontami, lecz pędząc wzdłuż grani w obie strony, szukałam dalszych śladów, ażem je odnalazła w znikomej szczybie. Wtem białawy ucios i odprysnięcie oznaczyły upadek jednego z uchodzących, przechyliwszy się więc przez skraj kamienia, spojrzałam w dół i zobaczyłam go drobnego, jak spoczywał w połowie stoku, a ostrość spojrzenia pozwoliła mi dostrzec nawet ciemne bryzgi na wapieniach, jakby wokół leżącego padał przez chwilę krwawy deszcz. Tamci poszli wszakże dalej granią i na myśl, że pozostał mi już tylko jeden strzegący Arrhodesa przeciwnik, poczułam żal, ponieważ nigdy dotąd nie odczuwałam tak doniosłości moich poczynań i nie doznawałam takiej ochoty walki, którą byłam zarazem trzeźwa i pijana. Zbiegłam więc po pochyłości, bo uchodzący obrali ten kierunek, pozostawiając zabitego w przepaści, niechybnie bowiem spieszyli się, a jego natychmiastowa śmierć od runięcia była oczywistością. Zbliżałam się ku bramie skalnej jakby ruinie olbrzymiego kościoła, z którego pozostały tylko ogromne filary pogruchotanych wrót, boczne skarpy przymurza i jedno wysokie okno. w którym jaśniało niebo, a na jego tle smukła drzewina, w nieświadomym sobie bohaterstwie, wyrosła tam od ziarna, zasadzonego przez wiatr w garści prochu. Za skalną bramą był drugi, wyższy kocioł skalny, częściowo zasnuty mgłami, przytrzaśnięty powłóczytą chmurą, z której padał drobno iskrzący się śnieg. W cieniu, rzuconym przez basztę skalną, usłyszałam syпки odgłos, a za nim grom i kamienna lawina runęła z boczem. Głazy prały mnie. aż iskry i dym poszły mi z boków, ja zaś. zwinąwszy pod siebie wszystkie odnóża, zapadłam w płytka wnękę pod maliniakiem i bez szwanku już przeczekałam zejście ostatnich kamieni. Przyszła mi myśl, że goniony, prowadzący Arrhodesa, z rozmysłu wybrał lawiniaste, znane mu miejsce, licząc na to. że nieświadoma gór, roztrzaskam się w obruszonej lawinie — a choć była to jedynie nieznaczna możliwość, uradowała mnie, bo skoro przeciwnik nie tylko umykał i kluczył, lecz atakował, walka stawała się godniejsza.

Na dnie drugiego kotła, zabelonego śniegiem, stała budowla, ani dom, ani zamek, wzniesiona z najcięższych głazów, jakich w pojedynkę nawet olbrzym nie ruszy — i pojęłam, że to musi być schronienie wroga, bo gdzieżby indziej w tej głuszy? Więc wcale już nie szukając tropu jęłam obsuwać się, zarywając tylne nogi w lecący gruz, przednimi jakby pływając po miążkach okruchach, a środkową parą hamując ten zjazd, by nie obrócił się w

runiecie, aż dotarłam do pierwszego śniegu i po nim bezszelestnie już szłam dalej, próbując przy każdym kroku, czy nie zapadnę się w bezdenną jakąś szczelinę. Musiałam być rozważna, bo tamten właśnie od przełęczy spodziewał się mego pojawienia, więc nie podeszłam zbyt blisko, aby nie stać się widoczną z fortecznego gmachu, a potem, wciśnięta pod grzybiasty głaz, cierpliwie czekałam nadejścia nocy.

Ściemniało się szybko, lecz śnieg wciąż prószył i ciemność bieląła, przez co nie ważyłam się zbliżyć do gmachu, a tylko położyłam głowę na skrzyżowanych nogach tak, by mieć go na oku. Po północy śnieg przestał padać, lecz nie otrząsnęłam go z siebie, bo upodabniał mnie do otoczenia, i od księżycowej rysy między obłokami jaśniał jak ślubna suknia, której nigdy nie nosiłam. Powoli jęłam pełznąć w stronę majaczącej sylwety domostwa, nie spuszczać oczu z okna na piętrze, w którym tlał żółtawy brzask, nasunawszy ciężkie powieki na gałki, bo księżyc raził mnie, nawykłą do ciemności. Wydawało mi się, że w tym słabo rozjaśnionym oknie coś się poruszyło, jakby wielki cień popłynął wzdłuż ściany, więc popęzłam szybciej, aż dotarłam do podmurza. Metr za metrem jęłam się wspinać po blanku, a nie było to trudne, gdyż głazy nie miały spoin i łączył je tylko ich ogromny ciężar. Dotarłam tak do niższych okien, czerniejących jak forteczne wyloty, przeznaczone gardzielom armat. Wszystkie ziały na oścież mrokiem i pustką. Także wewnątrz panowała taka cisza, jakby od wieków śmierć była tu jedyną mieszkanką; chcąc lepiej widzieć, uruchomiłam moje nocne spojrzenie i wsunawszy głowę do środka kamiennej izby, otwierałam świetliste oka czułek, od czego poszedł w głąb fosforyczny blask. Ujrzałam się naprzeciw osmolonego kominka z chropawych płyt, na którym dawno wystygła garść połupanych polan i nadwęglonego chrustu, widziałam też ławę i porzewiałe narzędzia u ściany, legowisko wymięte i kamienne jakieś były w kącie. Dziwne mi się wydało, że nic tu nie broni wejścia, a nie ufając zapraszającej pustce, choć w głębi drzwi stały otworem, bodaj przez to właśnie, w tym wietrzac zasadzkę, wycofałam się bez szmeru, jakem wniknęła, aby podjąć wspinaczkę na wyższe piętro. Do okna, z którego szedł mgławcy brzask, ani myślałam się zbliżyć. Wczołgałam się wreszcie na dach i znalazłszy się na jego ośnieżonej płaszczyźnie, ległam jak warujący pies, by czekać dnia. Słyszałam dwa głosy, nie pojmowałam jednak, o czym mówiły. Spoczywałam w bezruchu, zarazem pragnąc i lękając się chwili, w której skoczę na przeciwnika, aby uwolnić Arrhodesa i sprężona w zastygnięciu, bezsłownie wyobrażając sobie obroty zmagania, zakończonych uządleniem, jednocześnie patrzyłam we własną głąb, już nie doszukując się w niej teraz źródeł woli, lecz usiłując wykryć najślabszy chociaż znak, wyjawiający, czy jednego tylko człowieka zabiję. Nie wiem, kiedy ten lęk ustąpił. Spoczywałam nadal niepewna, bo nie znająca siebie, lecz właśnie ta niewiedza, czy

przybyłam jako wybawicielka, czy jako zabójczyni, stając się dla mnie czymś nieznanym dotąd, niepojęcie nowym, czyniąc sens każdego mojego drgnięcia pełnym zagadkowej dziewiczości, napawała mnie zachwytem. Zachwyt ten zdziwił mnie niemało i rozważałam, czy nie w nim właśnie objawia się mądrość sprawców, skoro uczynili tak, bym mogła moc bezbrzeżną upatrywać naraz w niesieniu pomocy i zatury, wszelako i tego nie byłam pewna. Odgłos nagły, krótki, a po nim głoś bełkotliwy dobiegły mnie z dołu — jeszcze jeden dźwięk, głuchy, jakby padającego ciężaru, a potem cisza. Zaczęłam się szczołgiwać z dachu, zgiąwszy niemal we dwoje odwłok tak, że pierwszą połową ciała przylgnęłam do ściany, a ostatnią parą nóg i tuleją żądła spoczywałam jeszcze na dachowej krawędzi, aż łbem wahającym się od wysiłku zbliżyłam się, wisząc, ku otworowi okiennemu.

Świeca gasła, strącona na podłogę, lecz knot jej jeszcze się jarzył czerwono i wysileniem nocnego wzroku ujrzałam pod stołem leżący kadłub, zalany czarną w tym oświetleniu krwią, a chociaż wszystko we mnie żądało skoku, wciągnęłam pierwaj powietrze o woni krwi i stearyny: ten człowiek był mi obcy, więc doszło do walki i Arrhodes ugodził go przede mną, jak, czemu, kiedy, nie postalo mi w myśli, to bowiem, że z nim, żywym, jestem teraz w tym pustym domu sam na sam. że nas tylko dwoje, poraziło mnie jak grom. Drżałam, oblubienica i morderczyni, notując jednocześnie okiem, które nie mrugało, miarowe skurcze tego wielkiego ciała, wydającego ostatni dech. Więc odejść teraz, cichcem, w świat ośnieżonych gór, byle nie zostać z nim w cztery oczy, w sześć oczu. poprawiłam się, skazana na straszność i śmieszność bez wyjścia, i to uczucie drwiny i szyderstwa, przeważywszy szalę, pchnęło mnie tak, że ześliznęłam się, wciąż jeszcze zawisła głową na dół jak czatujący pająk, i nie bacząc już na lekkie zgrzytanie brzusznych łusek po parapecie, śmigłym łukiem przeskoczyłam trupa, by dopaść drzwi.

Nie wiem jak ani kiedy je pchnęłam. Za progiem były kręte schody, a na nich na wznak Arrhodes, głową przekreconą wsparty o wyświechtany głąz, musieli walczyć na tych schodach, przez co nic mię prawie nie doszło, tu u mych nóg więc leżał, zebra poruszały się, zobaczyłam, tak właśnie, jego nagość, której nie znałam, którą pomyślałam tylko pierwszej nocy, na sali balowej.

Charczał, widziałam, jak usiłuje rozewrzeć powieki, otwierały się, najpierw białka, a ja, przechylona w tył. ze zgiętym odwłokiem, wpatrywałam się z góry w jego odwróconą twarz, nie śmiać ani dotknąć go, ani się cofnąć, bo póki był żyw, nie byłam pewna siebie, choć krew uchodziła z niego z każdym oddechem, widziałam jednak dobrze, że mój obowiązek sięga ostatniego tchu, ponieważ wyrok królewski należy wypełnić i w agonii, więc nie mogłam ryzykować, skoro wciąż jeszcze żył i nie wiedziałam też, czy na pewno chcę jego

ocknięcia. Gdyby otwarł przytomnie oczy i odwróconym obrazem wziął mnie całą, taką jaką stałam nad nim, bezsilnie już śmiercionośna w modlitewnym geście, brzemienista nie od niego, byłżeby to ślub, czy jego przewidziana niemiłosiernie parodia?

Lecz nie otworzył przytomnych oczu i kiedy świt wszedł między nas kłębami drobno roziskrzonego śniegu od okien, którymi w zadymce górskiej był cały dom, zajęczał raz jeszcze i przestał oddychać, a wtedy, już uspokojona, układałam się przy nim szczelnie, owinęłam go i wzięłam w objęcia, i leżałam tak w świetle i w mroku przez dwa dni śnieżycy, która okrywała nas nie tającą pościelą. A w trzecim dniu wzeszło słońce.

Czerwiec 1974

PROFESOR A DOŃDA

ZE WSPOMNIENIŃ IJONA TICHEGO

Słowa te ryję w glinianych tabliczkach przed moją jaskinią. Zawsze interesowało mnie, jak Babilończycy to robili, nie przypuszczałem jednak, że sam będę musiał próbować. Musieli mieć lepszą glinę, a może pismo klinowe lepiej się do tego nadawało.

Moja rozłazi się albo kruszy, wołę to jednak od gryzmolenia wapieniem po łupku, bo od dziecka jestem wrażliwy na zgrzytanie. Nie będę już nigdy nazywał starodawnych technik prymitywnymi. Profesor przed odejściem obserwował, jak męczę się, żeby skrzesać ogień, i gdy złamałem po kolei nóż do otwierania konserw, nasz ostatni pilnik, scyzoryk i nożyczki, zauważył, że docent Tompkins z British Museum próbował przed czterdziestu laty wyłupać z krzemienia zwyczajną skrobaczkę, podobną do sporządzanych w epoce kamiennej i zwichnął sobie nadgarstek oraz stłukł okulary, ale skrobaczki nie wyłupał. Dodał też coś o urągłej wyższości, z jaką patrzymy na jaskiniowych antenatów. Miał rację. Moja nowa siedziba jest nędzna, materac już zgnił, a z bunkra artyleryjskiego, w którym tak dobrze się mieszkało, wygnał nas ten schorowany, stary goryl, którego licho przyniosło z dżungli. Profesor utrzymywał, że goryl wcale nas nie wysiedlił. Było to o tyle prawdą, że nie okazywał agresywności, lecz wolałem nie dzielić z nim i tak ciasnego pomieszczenia — najmocniej denerwowały mnie jego zabawy granatami. Może i usiłowałbym go wygonić, bał się czerwonych puszek zupy rakowej, której tyle tam zostało, ale bał się jednak za mało, a poza tym Maramotu, który teraz już otwarcie przyznaje się do szamaństwa, oświadczył, że rozpoznaje w małpie duszę stryjecznego i nastawał na to, by nie robić mu na złość. Obiecałem, że nie będę, profesor zaś złośliwy jak zwykle bąknął, że jestem powściągliwy nie ze względu na stryja Maramotu, ale bo nawet schorowany goryl pozostaje gorylem. Nie mogę odżalować tego bunkra, kiedyś należał do fortyfikacji granicznych między Gurunduwaju i Lamblią, a teraz cóż, żołnierze rozbiegli się, a nas wyrzuciła małpa. Wciąż nasłuchuję mimo woli, bo dobrze ta zabawa granatami się nie skończy, ale słyszeć tylko jak zawsze stękanie przejeżdżonych uruwotu i tego pawiana, który ma podbite oczy. Maramotu mówi, że to nie zwykły pawian, lecz muszę dać spokój głupstwom, bo nigdy nie przejdę do rzeczy.

Porządna kronika powinna mieć daty. Wiem, że koniec świata nastąpił tuż po porze deszczowej, od której minęło kilka tygodni, lecz nie wiem dokładnie, ile to było dni, bo goryl zabrał mi kalendarz, w którym notowałem najważniejsze zdarzenia zupą rakową od czasu,

gdy skończyły się długopisy.

Profesor utrzymywał, że nie był to żaden koniec świata, lecz tylko jednej cywilizacji. I w tym przyznaję mu słusność, bo nie można rozmiarów takiego zajścia mierzyć osobistymi niewygodami. Nic strasznego nie stało się, mawiał profesor, zachęcając Maramotu i mnie do popisów wokalnych, lecz kiedy mu się skończył tytoń fajkowy, stracił pogodę ducha i po wypróbowaniu włókien kokosowych poszedł przeciw po nowy tytoń, choć musiał zdawać sobie sprawę z tego, czym jest obecnie taka wyprawa. Nie wiem, czy go jeszcze kiedyś zobaczę. Tym bardziej winienem przedstawić potomności, która odbuduje cywilizację, tak wielkiego człowieka. Los mój jakoś tak się składał, że mogłem obserwować z bliska najwybitniejsze osobistości epoki, a kto wie, czy Dońda nie będzie uznany za pierwszą wśród nich. Ale pierwej trzeba wyjaśnić, skąd wzięłem się w buszu afrykańskim, który jest teraz ziemią niczyją.

Moje dokonania na niwie kosmonautycznej przydały mi niejakego rozgłosu, więc rozmaite organizacje, instytucje, jako też osoby prywatne zwracały się do mnie z zaproszeniami i propozycjami, tytułując mnie profesorem, członkiem Akademii, a co najmniej doktorem habilitowanym. Był z tym kłopot, bo nie przysługują mi żadne tytuły, a nie cierpię strojenia się w cudze piórka. Profesor Tarantoga powtarzał, że opinia publiczna znieść nie może pustki ziejącej przed moim nazwiskiem, zwrócił się więc za moimi plecami do znajomych piastujących znaczne godności i tak z dnia na dzień zostałem generalnym pełnomocnikiem na Afrykę Światowej Organizacji Żywnościowej — FAO. Godność tę wraz z tytułem Radcy Eksperta przyjąłem, bo miała być czysto honorowa, aż tu okazało się, że w Lamblii, tej republice, co z paleolitu w mig awansowała do monolitu, FAO zbudowała fabrykę konserw kokosowych i jako pełnomocnik tej organizacji muszę dokonać uroczystego otwarcia. Chociaż bieda, że inżynier magister Armand de Beurre, który towarzyszył mi z ramienia UNESCO, zgubił binokle na fajfie w ambasadzie francuskiej i wzięwszy szakala, który się przypętał, za wyżła, chciał go pogłaskać. Podobno ukąszenia szakali są tak groźne, bo mają one w zębach trupi jad. Ten poczciwy Francuz zlekceważył go i do trzech dni zmarł. W kularach parlamentu lamblijskiego krążyła pogłoska, że szakal miał w sobie złego ducha, którego wpędził weń pewien szaman; kandydaturę tego szamana na ministra wyznawcy religijnych i oświecenia publicznego utraciło jakoby *démarche* ambasady francuskiej. Ambasada *dementi* oficjalnego nie wystosowała. Wynikła jednak delikatna sytuacja, a niedoświadczeni w protokole mężowie stanu Lamblii, miast załatwić po cichu transport zwłok, uznali go za świetną okazję do błysnięcia na forum międzynarodowym. Generał Mahabutu, minister wojny, urządził tedy żałobny koktajl, na którym, jak to na koktajlu,

gadało się o wszystkim i niczym z kieliszkiem w rękę i nawet nie wiem kiedy, zagadnięty przez dyrektora departamentu spraw europejskich, pułkownika Bamatahu, powiedziałem, iż, owszem, wysoko postawionych nieboszczyków niekiedy chowa się u nas w trumnie zalutowanej. Do głowy mi nie przyszło, że pytanie ma coś wspólnego ze zmarłym Francuzem, a z kolei Lamblijczykom nie wydało się zdrożne zastosowanie urządzeń fabrycznych do zaaranżowania pochówku w sposób nowoczesny. Ponieważ kombinat wytwarzał tylko litrowe bańki, wysłano zmarłego samolotem Air France w skrzyni z napisami reklamującymi kokosy, nie w tym był jednak kamień obrazy, ale w tym, że skrzynia zawierała dziewięćdziesiąt sześć puszek.

Potem wieszano na mnie psy za to, że nie przewidziałem, ale jak mogłem, jeśli skrzynia była zabita i okryta trójkolorowym sztandarem? Lecz wszyscy mieli do mnie pretensje, że nie złożyłem lamblijskim czynnikom aide-memoire wyjaśniającego, za jak niewłaściwe uważamy porcjowane puszkowanie nieboszczyków. Generał Mahabutu przesłał mi do hotelu lianę, z którą nie wiedziałem, co począć, i dopiero od profesora Dońdy dowiedziałem się, że była to aluzja do stryczka, na którym chcą mnie widzieć. Wiadomość ta była zresztą musztardą po obiedzie, bo tymczasem przyszykowano pluton egzekucyjny, który, nie znając języka, wziąłem za kompanię honorową. Gdyby nie Dońda, na pewno nie opisywałbym tej historii ani żadnej innej. W Europie przestrzegano mnie przed nim jako przed bezczelnym oszustem, który wykorzystał łatwowierność i naiwność młodego państwa, by sobie urządzać w nim ciepłe gniazdko — podniósł bowiem bezwstydnie sztuczki szamanów do godności dyscypliny teoretycznej, którą wykladał na miejscowym uniwersytecie. Dając wiarę informatorom, miałem profesora za hochsztaplera i oczajduszę, trzymałem się więc od niego z daleka na oficjalnych przyjęciach, choć już podówczas wydał mi się wcale sympatyczny. Konsul generalny Francji, do którego rezydencji było mi najbliżej (od angielskiej ambasady oddzielała mnie rzeka pełna krokodyli), odmówił mi azylu, choć umknąłem z Hiltona w jednej piżamie. Powoływał się na rację stanu, mianowicie na zagrożenie interesów Francji, jakie rzekomo spowodowałem. Tłem tej rozmowy przez judasza były salwy karabinowe, bo pluton ćwiczył się już na zapleczu hotelowym, więc zawróciwszy, rozważyłem, co mi się lepiej kalkuluje, pójść od razu na egzekucję, czy płynąć między krokodylami, bo stałem nad rzeką, gdy spomiędzy szuwarów wychyłała załadowana bagażami piroga profesora. Gdym już siedział na walizkach, dał mi do ręki pagaj i wyjaśnił, że właśnie skończył mu się kontrakt na uniwersytecie kułaharskim, płynie tedy do ościennego państwa Gurunduwaju, dokąd zaproszono go jako zwyczajnego profesora śwarnetyki. Może i niezwyczajnie przedstawiała się taka zmiana uniwersytetu, lecz trudno było w mej sytuacji rozważać podobne kwestie.

Jeśli nawet Dońda potrzebował wioślarza, faktem jest, że uratował mi życie. Płynęliśmy cztery dni, nic więc dziwnego, iż doszło między nami do zbliżenia. Spuchłem od moskitów, które Dońda zrażał do siebie repellentem, a mnie powtarzał, że w puszcze już mało co zostało. I tego nie miałem mu za złe ze względu na specyfikę położenia. Znał moje książki, niewiele mogłem mu więc opowiedzieć, poznałem za to jego koleje. Wbrew brzmieniu nazwiska, Dońda nie jest Słowianinem i nie nazywa się Dońda. Imię Affidavid nosi od sześciu lat, kiedy to, opuszczając Turcję, uzyskał affidavit wymagany przez władze i wpisał to słowo do fałszywej rubryki kwestionariusza, tak że otrzymał paszport, czeki podróżne, świadectwo szczepienia, kartę kredytową i ubezpieczenie opiewające na Affidavida Dońdę, uznał więc, że reklamacje nie są warte zachodu, bo właściwie wszystko jedno, jak się ktoś nazywa.

Profesor Dońda przyszedł na świat dzięki serii omyłek. Ojcem jego była Metyska ze szczepu Indian Navaho, matki zaś miał dwie z ułamkiem, mianowicie białą Rosjankę, czerwoną Murzynkę, a wreszcie — Miss Aileen Seabury, kwakierkę, która urodziła go po siedmiu dniach ciąży, w poważnych okolicznościach, bo w tonącej łodzi podwodnej.

Kobieta, która była ojcem Dońdy, została skazana na dożywocie za wysadzenie kwatery porywaczy i za równoczesne spowodowanie katastrofy samolotu Panamerican Airlines. Miała ona rzucić do sztabu porywaczy petardę z gazem rozweselającym, co było pomyślane jako ostrzeżenie. W tym celu przyleciała do Boliwii ze Stanów. Podczas kontroli celnej na lotnisku zamieniła neseser z walizeczką stojącego obok Japończyka i porywacze wylecieli wskutek tego w powietrze, gdyż Japończyk miał w sakwojażu prawdziwą bombę, przeznaczoną dla kogoś innego. Samolot, którym odleciał japoński sakwojaż dzięki osobnej pomyłce, wywołanej strajkiem obsługi lotniska, roztrzaskał się wnet po starcie. Pilot stracił pewno panowanie nad sterami ze śmiechu, jak wiadomo, odrzutowców nie można wietrzyć. Nieszczęsną skazano, i kto jak kto, ale ta dziewczyna zdawała się pozbawiona szans potomstwa, żyjemy jednak w wieku nauki.

Właśnie wtedy profesor Hariey Pombemack badał dziedziczność więźniów na terenie Boliwii. Pobierał komórki cielesne od więźniów prostym sposobem: każdy więzień musiał polizać szkiełko mikroskopu, gdyż to wystarczy, by odłuszczyło się trochę komórek błony śluzowej. W tym samym laboratorium inny Amerykanin, doktor Juggernaut, zapładniał sztucznie ludzkie jajeczka. Szkiełka Pombemacka pomieszały się jakoś ze szkiełkami Juggernauta i dostały się do lodówki jako męskie plemniki. Wskutek tego komórką nabłonka językowego Metyski zapłodniono jajeczko pochodzące od dawczyni, co była białą Rosjanką, córką emigrantów. Teraz jasne już jest, czemu nazwałem Metyskę ojcem Dońdy. Skoro jajeczko pochodziło od kobiety, to siłą rzeczy osoba, od której pochodziła komórka zapładnia

—jąca to jajeczko, musi być uznana za ojca.

Asystent Pombemacka w ostatniej chwili spostrzegł się, wpadł do laboratorium i zawołał do Pombemacka: Do not do itf, ale krzyknął niewyraźnie, jak to Anglosasi, i okrzyk jego zabrzmiał Dondo! Potem, przy wypisywaniu metryki, dźwięk ten jakoś się nawinął i stąd poszło nazwisko Dońda — tak przynajmniej powiedziano profesorowi dwadzieścia lat później.

Jajeczko włożył Pombemack do inkubatora, boż nie można było już anulować zapłodnienia. Rozwój embrionalny w retorcie biegnie zwykle około dwu tygodni, potem embrion obumiera. Trzebaż było trafu, że akurat wtedy amerykańska Liga do Walki z Ektogenezą uzyskała po serii procesów zwycięski wyrok, mocą którego wszystkie jajeczka znajdujące się w laboratorium zajął komornik sądowy, zaczem anonsami prasowymi przystąpiono do poszukiwania litościwych niewiast, które by się zgodziły służyć za tak zwane matki donosicielki. Na apel zgłosiło się sporo kobiet, a wśród nich też owa Murzynka— ekstremistka, która, godząc się donosić płód, nie miała pojęcia o tym, że za cztery miesiące będzie wplątana w zamach na składnicę soli kuchennej, będącej własnością firmy Nudlebacker Corporation. Murzynka należała bowiem do zgrupowania aktywnych obrońców środowiska, które sprzeciwiało się budowie centrali atomowej w Massachusetts, a kierownictwo tego zgrupowania nie ograniczało się do akcji propagandowej, lecz pragnęło zniszczyć skład soli dlatego, ponieważ z soli tej wydobywa się elektrolityczną metodą czysty sól, służący za cieplny wymiennik reaktorom, dostarczającym energii dla turbin i dynamomaszyn. Co prawda reaktor, który miał być zbudowany w Massachusetts, obywatel się bez sodu metalicznego, był bowiem stosem na szybkich neutronach, z nowym wymiennikiem, a firma, która ten nowy wymiennik produkowała, mieściła się w Oregonie i nosiła nazwę Muddlebacker Corporation; co do soli, którą zniszczono, to nie była kuchenna, lecz potasowa, przeznaczona na sztuczny nawóz. Proces Murzynki włókł się po instancjach, jako że miał dwie wersje — oskarżenia i obrony. Prokuratura utrzymywała, że szło o zamach na własność rządu federalnego, bo liczy się plan sabotażu oraz premedytowana intencja, a nie przypadkowe omyłki w wykonaniu; obrona natomiast stała na stanowisku, iż był to akt nadpsucia i tak zatechłego nawozu, stanowiącego własność prywatną, więc kompetentny miał być sąd stanowy, a nie jurysdykcja federalna. Murzynka pojmując, że tak czy owak przyjdzie jej wydać na świat dziecko w więzieniu, chcąc oszczędzić tego maleństwu, zrzekła się kontynuacji macierzyństwa na rzecz nowej filantropki, którą była kwakierka Seabury. Kwakierka, aby się nieco rozerwać, w szóstym dniu ciąży udała się do Disneylandu na wycieczkę łodzią podwodną w tamtejszym superakwarium. Łódź uległa awarii i choć

wszystko dobrze się skończyło, pani Seabury poroniła z wrażenia. Wcześniaka udało się jednakowoż uratować. Ponieważ była nim brzemienna tydzień, trudno uznać ją za pełną matkę — stąd ułamkowa kwalifikacja. Potem trzeba było zjednoczonej działalności śledczej dwóch wielkich agencji detektywistycznych, żeby dojść stanu rzeczywistego, tak co do ojcostwa, jak co do macierzyństwa. Postępy nauki zlikwidowały bowiem starą zasadę prawa rzymskiego, iż mater semper certa est. Dla porządku dodam, że zagadką pozostała płeć profesora, podług nauki bowiem z dwóch komórek żeńskich powinna by powstać kobieta. Skąd przyplątał się chromosom płci męskiej, nie wiadomo. Słyszałem od emerytowanego pracownika Pinkertona, który był w Lamblii na safari, że w płci Dońdy nie ma zagadki, albowiem w trzecim oddziale laboratorium Pombemacka dawano szkiełka podstawowe do lizania żabom.

Profesor spędził dzieciństwo w Meksyku, potem naturalizował się w Turcji, gdzie przeszedł z wyznania episkopalnego na buddyzm Zeń, a zarazem ukończył trzy fakultety, wreszcie wyjechał do Lamblii, by objąć na kułaharskim uniwersytecie katedrę śwarnetyki.

Jego właściwym fachem było projektowanie fabryk brojlerów, ale gdy przeszedł na buddyzm, nie mógł znieść świadomości mąk, jakim poddaje się w takich fabrykach kurczęta. Podwórko zastępuje im plastikowa siatka, słońce — lampa kwarcowa, kwokę — mały bezwzględny komputer, a swobodne dziobanie — pompa ciśnieniowa, ładująca im żołądki papką z planktonu i mączki rybnej.

Przygrywa im muzyka z taśm, zwłaszcza uwertury Wagnera, budzą bowiem panikę. Kurczaki poczynają trzepotać skrzydełkami, a to powoduje rozrost mięśni piersiowych, kulinarnie najważniejszych. Bodajże Wagner był ostatnią kroplą, co przepełniła czarę. W tych Oświęcimiach drobiu, jak mawia profesor, nieszczęsne stworzenia poruszają się w miarę rozwoju wraz z taśmą, do której są przymocowane, aż do końca transportera, gdzie nie ujrawszy w życiu ani skrawka błękitu czy szczypty piasku, ulegają dekapitacji, rosolizacji i zapuszkowaniu. Ciekawe, jak motyw puszki konserwowej powraca w mych wspomnieniach.

Toteż, gdy bawiąc w Stambule, profesor otrzymał depezę treści: „Will you be appointed professor of svametics at kułaharian university ten kilodollars yearly answer please immediately colonel Droufoutou Lamblian Bamblian Dramblian security police” — odwrotnie wyraził zgodę, wychodząc z założenia, że o tym, czym jest śwarnetyka, dowie się na miejscu, a jego trzech dyplomów starczy dla wykładania każdej ścisłej dyscypliny. W Lamblii wyjawilo się, że o pułkowniku Drufutu nikt już nawet nie pamięta. Indagowani pokrywali zmieszanie lekkim pokasływaniem. Ponieważ kontrakt był podpisany, a zrywając umowę nowy rząd musiałby wypłacić Dońdzie trzyletnie pobory, dano mu katedrę. Nikt nie

nagabywał profesora o jego przedmiot, studentów miał niewielu, więzienia były pełne, jak to po zamachu stanu, a w jednym przebywał zapewne człowiek, który wiedział, czym jest śwarnetyka. Dońda szukał tego hasła po wszystkich encyklopediach, ale daremnie. Jediną pomocą naukową, jaką dysponował uniwersytet w Kułahari, był jak z igły nowy komputer IBM, dar UNESCO. Toteż idea wykorzystania tak cennej aparatury sama się napraszała.

Co prawda decyzja ta nie posunęła problemu daleko naprzód. Zwykłej cybernetyki nie mógł Dońda wykładać — byłoby to sprzeczne z umową. Najgorsze — wyjawiał mi, gdyśmy wiosłowali, póki można było odróżnić kłodę drzewa od krokodyla — stały się godziny samotności w hotelu, kiedy łamał sobie głowę nad śwarnetyka. Na ogół pierwszej powstaje nowy kierunek badań, a potem kuje się dlań nazwę — on natomiast miał nazwę bez przedmiotu. Długo wahał się między różnymi możliwościami, aż oparł się na tym niezdecydowaniu. Uznał, że nową gałąź wiedzy objawia słowo „między”. Czyż nie nadszedł czas utworzenia fachu interdyscyplinarnego, który zajmie się stykami wszystkich innych? W doniesieniach, przeznaczonych dla pism europejskich, używał zrazu terminu „interystyka”, a jej adeptów jeło się pospolicie zwać „m i ę d z a k a m i”. Lecz właśnie jako twórca śwarnetyki zdobył Dońda znaczną — niestety — ujemną sławę.

Nie mógł zajmować się stykami wszystkich specjalności — i tu pośpieszył mu z pomocą przypadek. Ministerstwo Kultury przyobiecało dotacje tej z katedr, która badaniami nawiąże do własnych tradycji kraju. Dońda obrócił ów warunek w niemałą korzyść. Postanowił bowiem badać pogranicze racjonalizmu i irracjonalizmu. Zaczął skromnie, od matematyzacji rzucania uroku. Szczep lamblijski Hottu Wabottu od wieków praktykował prześladowanie wrogów in effigie. Podobiznę wroga, przekłutą drzazgami, dawano do spożycia osłu: jeśli osioł się udławił, był to dobry omen, oznaczający rychłą śmierć wroga. Dońda wziął się więc do cyfrowego modelowania wrogów, osłów, drzazg itd. Tak doszedł do sensu śwarnetyki. Okazało się, że jest ona skrótem angielskiego zdania Stochastic Yerification of Auto—matised Rules of Negative Enchantment, czyli stochastyczna weryfikacja zautomatyzowanych reguł rzucania złych uroków. Angielska „Nature”, do której posłał artykuł o śwarnetyce, zamieściła go w rubryce Curiosa, w wyimkach, opatrzonych szkalującym komentarzem. Komentator „Nature” nazwał Dońdę cyberszamanem, imputując mu, że nie wierzy w to, co robi, jest więc — taki był domyślny wniosek — zwykłym oszustem. Dońda znalazł się w nader niewygodnej sytuacji. Nie wierzył w czary i nie utrzymywał w do niesieniu, jakoby dawał im wiarę, lecz nie mógł tego publicznie wyjawić, bo właśnie przyjął podsunięty przez

Ministerstwo Rolnictwa projekt optymalizacji czarów przeciw suszy i szkodnikom zbóż.

Nie mogąc ani odciąć się od magii, ani do niej przyznać, znalazł wyjście w charakterze śwarnetyki jako studium INTER–dyscyplinowego. Postanowił trwać między magią i nauką! Jeśli krok ten wymusiły na profesorze okoliczności, faktem jest, że właśnie wtedy wstąpił na drogę największego odkrycia całej ludzkiej historii.

Zła fama, co stała się jego udziałem w Europie, już go, niestety, nie opuściła. Niska sprawność lamblijskiego aparatu policyjnego powodowała znaczny wzrost przestępstw, zwłaszcza przeciw życiu. Kacykowie ulegając laicyzacji nagminnie przechodzili od magicznych prześladowań oponentów ku realnym, aż dnia nie było, żeby krokodyłe, wylegujące się na mieliźnie vis—à—vis parlamentu, nie obgryzały czyjejs kończyny. Dońda wziął się do cyfrowej analizy tego zjawiska, a ponieważ sam zajmował się jeszcze wtedy sprawozdawczością, określił projekt jako Methodology of Zeroing Illicite Murder. Czysty przypadek sprawił, że skrót tej nazwy brzmiał MZIMU. Po kraju rozeszła się wieść, że w Kułahari działa potężny czarownik Bwana Kubwa Dońda, którego MZIMU czuwa nad każdym ruchem obywateli.

W następnych miesiącach wskaźniki przestępczości wykazały znaczny spadek.

Zachwyceni politycy jęli domagać się od profesora a to takiego zaprogramowania czarów ekonomicznych, żeby płatniczy bilans Lamblii stał się dodatni, a to budowy miotacza plag i klątw na ościenny kraj Gurunduwaju, który wypierał kokosy lamblijskie z wielu rynków zagranicznych. Dońda opierał się tym naciskom, lecz miał w tym trudności, gdyż w czarnoksiężską moc komputera uwierzyli liczni jego doktoranci. Tym marzyła się w neofickim zacierzewieniu magia już nie kokosowa, lecz polityczna, co by dała Lamblii prym światowy. Zapewne: Dońda mógł oświadczyć publicznie, że tego nie wolno się po śwarnetyce spodziewać. Musiałby jednak przeuzasadnić wówczas znaczenie śwarnetyki argumentacją, której nikt wśród czynników rządowych nie byłby w stanie pojąć. Był więc skazany na lawirowanie. Tymczasem pogłoski o MZIMU Dońdy zwiększyły wydajność pracy, tak że nawet bilans płatniczy trochę się poprawił. Odcinając się od tej naprawy, profesor odciąłby się zarazem od dotacji, a tego nie mógł zrobić, przez wzgląd na wielkie, zamyślane przedsięwzięcia.

Kiedy przyszła mu do głowy ta myśl, nie wiem, gdyż opowiadał o tym akurat w chwili, w której wyjątkowo zaciekle krokodyl odgryzał łopatkę mojego pagaja. Dałem mu między oczy kamiennym pucharem, który Dońda otrzymał od delegacji czarowników, co nadała mu godność szamana honoris causa. Puchar pękł i sfrustrowany tym profesor jął mi czynić wyrzuty, które poróżniły nas aż do następnego biwaku. Wiem tylko, że Katedra przekształciła się w Instytut Śwarnetyki Eksperymentalnej i Teoretycznej, a Dońda został

prezesem Komisji Roku 2000 przy Radzie Ministrów, z nowym zadaniem stawiania horoskopów i magicznego wcielania ich w życie. Myślałem sobie, że nazbyt ulegał sytuacji, nic mu jednak nie powiedziałem, boż uratował mi życie.

Rozmowy nie kleiły się nazajutrz także przez to, iż rzeka na odcinku dwudziestu mil stanowi granicę Lamblii i Gurunduwaju, więc posterunki obu państw ostrzeliwały nas od czasu do czasu, na szczęście niecelnie. Krokodyle czmychnęły, choć wolałem już ich towarzystwo od tych incydentów; Dońda miał przygotowane flagi Lamblii i Gurunduwaju, którymi powiewaliśmy ku żołnierzom, ale ponieważ rzeka płynie głębokimi zakolami, parę razy machaliśmy niewłaściwą flagą, i przychodziło kłaść się zaraz w pirodze na brzuchu, przy czym od kul ucierpiał bagaż profesora.

Najbardziej szkodziła mu „Nature”, której zawdzięczał rozgłos oszusta. Mimo to, dzięki naciskom, jakie na Foreign Office wywierała ambasada Lamblii, został zaproszony na światową konferencję cybernetyczną w Oksfordzie.

Profesor wygłosił tam referat o prawie Dońdy. Jak wiadomo, wynalazca perceptronów, Rosenblatt, doszedł tezy, że im perceptron większy, tym mniej musi pobierać nauk dla rozpoznawania kształtów geometrycznych. Reguła Rosenblatta głosi: „Perceptron nieskończenie wielki nie potrzebuje się uczyć niczego, gdyż wszystko umie od razu”. Dońda poszedł w przeciwnym kierunku, aby wykryć swe prawo. To, co mały komputer może z wielkim programem, może też wielki komputer z programem małym; stąd wniosek logiczny, iż program nieskończenie duży może działać sam, tj. bez jakiegokolwiek komputera.

Cóż zaszło? Konferencja przyjęła te słowa szyderczym gwizdaniem. Oto, jak na psy zeszedł *savoir-vivre* uczonych. „Nature” pisała, że podług Dońdy każde nieskończenie długie zakłęcie musi się zrealizować: w ten sposób wprowadzić miał profesor mętny nonsens na wody rzekomej ścisłości. Odtąd zwano go prorokiem cybernetycznego Absolutu. Do reszty pograżyło Dońdę wystąpienie docenta Bohu Wamohu z Kulahari, który znalazł się w Oksfordzie, ponieważ był szwagrem ministra kultury i zgłosił pracę *Kamień jako czynnik napędowy myśli europejskiej*.

Szło mu o to, że w nazwiskach ludzi, co dokonali przełomowych odkryć, występuje kamień — np. widać go w nazwisku największego fizyka (EinSTEIN), największego filozofa (WittenSTEIN), największego filmowca (EisenSTEIN), człowieka teatru (FelsenSTEIN), a też dotyczy to pisarki Gertrudy STEIN i filozofa Rudolfa STEINera.

Co do biologii, Bohu Wamohu zacytował głosiciela odmłodzenia hormonalnego — STEINacha, a wreszcie nie omieszkał dodać na zakończenie, że Wamohu to po lam—blijsku tyle, co „Kamień Wszystkich Kamieni”. Ponieważ powoływał się na Dońdę i swój „rdzeń

kamienny” nazywał „śwarnetycznie immanentną składową predykatu być kamieniem”, „Nature” uczyniła z niego i z profesora w kolejnej wzmiance parę bliźniaczych błaznów. Słuchając tego w oparach gorącej mgły na rozlewisku Bambezi, z przerwami, wywołanymi potrzebą walenia po łbach co nachalniej szych krokodyli, które nadgryzały wyłazące z tobołów maszynopisy profesora i zabawiały się rozhuśtywaniem pirogi, znajdowałem się w dość delikatnym położeniu. Jeśli zyskał w Lamblii tak mocne stanowisko, czemu uchodził z niej chyłkiem? Do czego zmierzał naprawdę i co osiągnął? Skoro nie wierzył w magię i kpił z Bohu Wamohu, czemu kłął w żywy kamień krokodyle, zamiast sięgnąć po sztucer? (Dopiero w Gurunduwaju wyjawiał mi, że tego zakazywała mu jego buddyjska wiara). Trudno mi jednak było przyciskać go podobnymi pytaniami. Właśnie dlatego, to jest z ciekawości, przyjąłem propozycję Dońdy, bym został jego asystentem na gurunduwajskim uniwersytecie. Po przykrew historii z fabryką konserw nie kwapiłem się wracać do Europy. Wolałem poczekać, aż sprawa ucichnie. W naszych czasach nie jest to trudne, bo nieustannie zachodzą wydarzenia, wtrącające wczorajsze sensacje w niepamięć. Choć przeżyłem potem niemało ciężkich chwil, nie żałuję tej decyzji, powziętej w okamgnieniu, a gdy piroga zazgrzytała wreszcie o gurunduwajski brzeg Bambezi, wyskoczywszy jako pierwszy na ląd, podałem profesorowi pomocną rękę i w uścisku, jaki połączył nasze dłonie, było coś symbolicznego, gdyż odtąd losy nasze stały się nierozdzielne.

Gurunduwaju to państwo trzykrotnie większe od Lamblii. Szybkiemu uprzemysłowieniu towarzyszyła, jak to bywa w Afryce, nieodłączna korupcja. Mechanizm jej przestał już prawie działać, gdyśmy przybyli do Gurunduwaju.

Łapówki brał jeszcze każdy, ale nic już nie świadczył w zamian. Co prawda, nie dając łapówki można było zostać obitym. Zrazu nie pojmowaliśmy, czemu przemysł, handel i administracja nadal działają. Podług europejskich kryteriów kraj winien by rozlecieć się każdego dnia na kawałki. Dopiero dłuższy pobyt wtajemniczył mnie w działanie nowego mechanizmu, który był namiastką tego, co nazywamy na starym lądzie umową społeczną. Mwahi Tabuhine, poczmistrz lumilski, u któregośmy zamieszkali (hotel stołeczny bez od siedemnastu lat w remoncie), zdradził mi bez osłonek, czym się kierował, wydając za męża sześć swych córek. Przez najstarszą spowinowacił się za jednym zamachem z elektrownią i wytwórnią obuwia, gdyż teść dyrektora fabryki był głównym energetykiem. Dzięki temu nie chodził boso i miał zawsze prąd. Drugą córkę wzenił w kombinat garmazeryjny poprzez szatniarza, za którego ją wydał. I to pociągnięcie miał za nader zręczne. Wskutek wykrywania malwersacji kierownictwo za kierownictwem szło do więzienia, tylko szatniarz pozostawał na stanowisku, bo sam nie malwersował, a jedynie dostawał upominki. Stół poczmistrza był

dzięki temu zawsze suto zastawiony. Trzecią córkę wyswatał Mwahi superrewidentowi kooperatyw remontowych. Dzięki temu nawet w porze deszczów nie lało mu się na głowę, dom jego świecił kolorowymi ścianami, drzwi zamykały się tak dokładnie, że żadna żmija nie mogła wpełznąć za próg, i nawet w oknach miał szyby. Czwartą córkę wydał za dozorcę miejskiego więzienia — na wszelki wypadek. Piątą poślubił pisarz rady miejskiej. Oczywiście pisarz, a nie na przykład wiceburmistrz, któremu Mwahi podał czarną polewkę z krokodylej wątroby. Rady zmieniały się jak chmury na niebie, lecz pisarz trwał na swym urzędzie, tyle że zmiennością poglądów przypominał księżyc. I wreszcie szóstą dziewczynę wziął za żonę szefa aprowizacji wojsk atomowych. Wojska te istniały wyłącznie na papierze, lecz aprowizacja była realna. Ponadto kuzyn ze strony matki szefa był stróżem w zoologu. Ten ostatni związek wydał mi się bezużyteczny. Czyżby chodziło o słonie? Z uśmiechem wyrozumiałej wyższości Mwahi wzruszył ramionami. „Po co zaraz słon — rzekł — a skorpion nie może się czasem przydać?”

Będąc sam poczmistrzem, Mwahi obywatel się bez matrymonialnych powiązań z pocztą i nawet mnie, jego sublokatorowi, przynoszono listy i paczki do domu, jeszcze nie otwarte, rzecz w Gurunduwaju niezwykła, normalnie bowiem obywatel pragnący otrzymać przesyłkę od kogoś zamieszkałego dalej musi się po nią pofatygować osobiście, chyba że podlega przywilejom rodzinnym. Nieraz widziałem, jak listonosze, opuszczając rankiem urząd z wypchanymi torbami, prosto do rzeki wywalali stosy listów powierzonych skrzynkom bez niezbędnej protekcji. Co do paczek, urzędnicy zabawiali się w grę hazardową polegającą na zgadywaniu zawartości paczki. Kto odgadł trafnie, wybierał sobie z paczki, co chciał na pamiątkę.

Jedyną troską naszego gospodarza był brak krewnych w zarządzie cmentarza. „Rzucą mnie krokodylom, łajdaki!” — wzdychał nieraz, gdy nawiedzały go złe myśli.

Wysoka stopa przyrostu naturalnego w Gurunduwaju tłumaczy się tym, że żaden ojciec rodziny nie spocznie, póki nie powiąże się węzłami krwi z siecią żywotnych placówek. Mwahi opowiadał mi, jak przed remontem lumilskiego hotelu niejedyn gość siał z głodu, a wezwane pogotowie ratunkowe nie przybywało, gdyż jego ekipy rozwożą karetkami maty kokosowe znajomym. Zresztą Hauwari, dawniejszy kapral Legii Cudzoziemskiej, który promował się na marszałka po objęciu władzy i co parę dni był dekorowany nowymi wysokimi orderami przez Ministerstwo Odznaczeń za Szczególne Zasługi, nie patrzył krzywym okiem na powszechny pęd do urządzania się, owszem, mówiono, że to on wpadł na myśl upaństwowienia korupcji. Hauwari, zwany przez miejscową prasę Starszym Bratem Wieczności, nie szczędził też wydatków na naukę, a środki po temu czerpało Ministerstwo

Skarbu z podatków nakładanych na cudzoziemskie firmy mające przedstawicielstwa w kraju. Podatki te uchwalał parlament zniecka, po czym szły konfiskaty, licytacje mienia, interwencje dyplomatyczne, bezskuteczne zresztą, a gdy jedna grupa kapitalistów pakowała manatki, zawsze znaleźli się inni, co pragnęli spróbować szczęścia w Gurunduwaju, którego zasoby kopalin, zwłaszcza chromu i niklu, miały być ogromne, choć niektórzy twierdzili, że dane geologiczne sfałszowano na zlecenie władz. Hauwari kupował na kredyt broń, nawet myśliwce i czołgi, które sprzedawał za gotówkę Lamblii. Ze Starszym Bratem Wieczności nie było żartów; gdy nastąpiła wielka susza, dał równe szansę Bogu chrześcijańskiemu i Sinemu Turmutu, najstarszemu duchowi szamanów, kiedy deszcze nie spadły do trzech tygodni, szamanów ściał, a misjonarzy wypędził co do jednego.

Podobno przeczytawszy — w charakterze instrukcji — biografie Napoleona, Czyngiz —chana oraz innych mężów stanu, zachęcał podwładnych do grabieży, byle na wielką skalę, jakoż dzielnica rządowa powstała z materiałów skradzionych przez Ministerstwo Budownictwa — Ministerstwu Żeglugi, które zamierzało zbudować z nich przystanie na Bambezi, kapitał dla budowy kolei zdefraudowany został w Ministerstwie Obrotu Kokosami, dzięki malwersacjom zgromadzono też środki dla stworzenia gmachu sądów i aparatu ścigania, i tak, stopniowo, kradzieże i zawłaszczenia dały pomyślne skutki. Hauwari zaś, noszący już miano Ojca Wieczności, sam dokonał uroczystego otwarcia Banku Korupcyjnego, w którym każdy, byle poważny przedsiębiorca może dostać długoterminową pożyczkę na łapówki, jeśli dyrekcja uzna, że jego interes zgodny jest z państwowym.

Dzięki Mwahiemu urządziliśmy się z profesorem niezgorzej . Pyszne wędzone kobry przynosił nam inspektor pocztowy. Pochodziły z paczek wysyłanych przez opozycję do dygnitarzy, a inspektorowa wędziła je w dymie kokosowym. Pieczywo przywoził nam autobus Air France. Podróżni obyci ze stosunkami wiedzieli, że na autobus nie ma co czekać, a nieobyci po niedługim koczowaniu na walizkach dochodzili obycia. Mleka i sera mieliśmy w bród dzięki telegrafistom, którzy żądali w zamian tylko wody destylowanej z naszego laboratorium. W głowę zachodziłem, po co im ta woda, aż okazało się, że szło im o błękitne flaszki plastikowe, do których rozlewali samogon pędzony w Miejskim Komitecie Antyalkoholowym. Nie musieliśmy więc chodzić do sklepów, co było o tyle korzystne, że nigdy nie widziałem w Lumili otwartego sklepu; na drzwiach wisiały zawsze kartki „odbiór amuletów”, „poszłam do szamana” itp., W urzędach było nam zrazu ciężko, bo urzędnicy nie zwracają najmniejszej uwagi na interesantów: zgodnie z tubylczym zwyczajem biura są miejscem towarzyskich imprez, hazardu, a zwłaszcza swatów. Powszechną wesołość gasi tylko niekiedy najazd policji, która zamyka wszystkich bez śledztw czy przesłuchań, wymiar

sprawiedliwości wychodzi bowiem z założenia, że winni są i tak wszyscy, a na różnicowanie rozmiaru przestępstw szkoda zachodu. Sąd zbiera się tylko w okolicznościach niezwykłych. Po naszym przybyciu wybuchła afera kotłów. Haumari, kuzyn Ojca Wieczności, nabył w Szwecji kotły centralnego ogrzewania dla parlamentu, zamiast urządzeń klimatyzacyjnych. Dodać trzeba, że w Lumili temperatura nie opada poniżej 25 stopni Celsjusza. Haumari usiłował skłonić instytut meteorologiczny do obniżenia ciepłoty, gdyż to usprawiedliwiłoby zakup;

parlament obradował w permanencji, boż szło o jego interes; wyłonił też komisję śledczą, której przewodniczącym został Mnumnu, ponoć rywal Ojca Wieczności. Zaczęły się niesnaski, zwykłe tańce w przerwach między sesjami plenarnymi obróciły się w wojenne, ławy opozycji pełne były niebieskich tatuaży, aż Mnumnu znikł. Były trzy wersje, jedni mówili, że został zjedzony przez koalicję rządową, drudzy, że uciekł z kotłami, trzeci, że sam się zjadł. Mwahi sądził, że ostatnią wersję rozpущa Hauwari. Od niego też słyszałem enigmatyczne oświadczenie (co prawda po tuzinie dzbanów tego sfermentowanej kiwu kiwy): „Jak się wygląda smacznie, lepiej nie spacerować wieczorem po parku”. Być może był to tylko kawał.

Katedra śwarnetyki na lumilskim uniwersytecie otwarła przed Dońdą nowe perspektywy działania. Muszę dodać, że komisja motoryzacyjna parlamentu zdecydowała się wówczas na zakup licencji familijnego helikoptera „Beli 94”, ponieważ z obliczeń wyszło, że helikopteryzacja kraju będzie tańsza od budowy dróg. Stolica posiada wprawdzie autostradę, lecz tylko sześćdziesięciometrową, służącą do urządzania wojskowych defilad. Wieść o nabyciu licencji wprawiła ludność w panikę, każdy bowiem rozumiał, że przychodzi kres matrymonializmu jako podpory industrializmu. Helikopter składa się z trzydziestu dziewięciu tysięcy części, potrzebuje benzyny i pięciu rodzajów smaru, nikt więc nie mógłby sobie tego wszystkiego zapewnić, nawet gdyby płodził do końca życia same córki. Wiem coś o tym, bo gdy urwał mi się łańcuch w rowerze, musiałem wynająć myśliwego, żeby złapał młodego wyjca, którego skórą pokryło się tam-tam dla Hiiwu, dyrektora telegrafu, za co ów nadał kondolencyjną depeszę Umiamiemu, którego szefowi na delegacji dziadek zmarł w buszu, a Umiami był już przez Matarere spowinowacony z intendentem armii i miał przez to zapasy rowerów, na których tymczasowo poruszała się brygada czołowa. Niewątpliwie z helikopterem byłoby znacznie gorzej. Na szczęście Europa, wieczne źródło innowacji, dostarczyła nowego wzoru, którym był grupowy seks w wolnych związkach. To, co w Starym Świecie stanowiło czczą igraszkę zmysłów, w kraju jeszcze surowym wsparło elementarne potrzeby życia. Obawy profesora, że dla dobra nauki będziemy musieli zrezygnować ze stanu

kawalerskiego, okazały się płonne. Urządaliśmy się nieźle, choć dodatkowe obowiązki, jakie przyszło brać na siebie przez wzgląd na katedrę, bardzo nas wyczerpywały.

Profesor wprowadził mnie w swój projekt: chciał zaprogramować w komputerze wszystkie klątwy, zabiegi magiczne, czarnoksiężskie zamawiania, inkantacje i formuły szamańskie, jakie stworzyła ludzkość. Nie widziałem w tym żadnego sensu, lecz Dońda był nieugięty. Ogrom danych mógł pomieścić tylko najnowszy komputer lumeniczny IBM, który kosztował jedenaście milionów dolarów.

Nie wierzyłem, że otrzymamy tak olbrzymi kredyt, zwłaszcza że minister skarbu odmawiał wyasygnowania czterdziestu trzech dolarów na zakup papieru toaletowego dla Instytutu Śwarnetyki; profesor był jednak pewien swego. Nie wtajemniczał mnie w szczegóły swej kampanii, widziałem jednak, że zakrzętnął się na całego. Wieczorami wychodził nie wiem dokąd, wytatuowawszy się ceremonialnie, rozebrany do przepaski z szympansa, a jest to strój wizytowy w najbardziej ekskluzywnych kręgach Lumili, sprowadzał z Europy jakieś tajemnicze paczki, gdy raz niechcący upuściłem jedną, rozległ się cichy marsz Mendelssohna, szukał recept po starych książkach kucharskich, wnosił z laboratorium szklane chłodnice destylatorów, kazał mi robić zacier, wycinał zdjęcia żeńskie z „Playboya” i „Oui”, oprawiał jakieś obrazy, których nikomu nie pokazywał, dał sobie wreszcie doktorowi Alfvenowi, który był dyrektorem szpitala rządowego, upuścić krew i widziałem, jak owijał flaszeczkę złotym papierem. Potem jednego dnia zmył z twarzy mazidła i farby, szczątki „Playboyów” spalił i przez cztery dni pykał flegmatycznie fajkę na werandzie Mwahiego; piątego zatelefonował do nas Uabamotu, dyrektor departamentu inwestycji. Zlecenie kupna komputera zostało wydane. Uszom nie chciałem wierzyć. Profesor, indagowany, tylko się słabo uśmiechał.

Programowanie magii trwało z górą dwa lata. Mieliliśmy moc trudności rzeczowych, jak i całkiem innych. Kłopoty były na przykład z tłumaczeniem zaklęć Indian amerykańskich, utrwalonych węzłowym pismem „kipu”, ze śniegowo–lodowymi zaklinaniami szczepów kurylskich i eskimoskich, dwu programistów rozchorowało się nam od przemęczenia zajęciami pozauniwersyteckimi, jak sądzę, bo pożycie grupowe było w wielkiej modzie, lecz rozeszły się słuchy, że to dzieło podziemia szamańskiego, zaniepokojonego supremacją Dońdy na polu odwiecznej praktyki czarowników. Ponadto grupa postępowej młodzieży, zasłyszawszy coś o kontestacji, podłożyła w instytucie bombę. Na szczęście eksplozja rozsadziła tylko klozety w jednym pionie gmachu. Nie naprawiono ich do końca świata, ponieważ puste kokosy, co miały funkcjonować jako pływaki wedle pomysłu pewnego racjonalizatora, wciąż tonęły. Sugerowałem profesorowi, by użył swych wielkich wpływów dla sprowadzenia części, rzekł jednak, że tylko znaczny cel uświęca fatygujące środki.

znałem formuły równoważności. Cóż tak patrzysz? Po prostu — ile waży informacja. Musiałem więc obmyślić ten cały projekt. Musiałem. Teraz już wiem. Maszyna stała się cięższa o jedną setną grama; tyle waży wprowadzona informacja. Rozumiesz?

— Profesorze — wyjąkałem — jakże, a te wszystkie czary, te magie, modły, zaklęcia, jednostki CGS, Czar na Grami Sekundę...

Zamilkłem, zdawało mi się, że płacze. Zaczął się trząść, ale to był bezgłośny śmiech. Zebrał palcem łzy z powiek.

— A co miałem robić? — rzekł spokojnie. — Zrozum: informacja ma masę. Każda. Byle jaka. Treść nie ma najmniejszego znaczenia. Atomy też są takie same, czy tkwią w kamieniu, czy w mojej głowie. Informacja cięży, ale jej masa jest niesłychanie mała. Wiadomości całej encyklopedii ważą około miligrama. Dlatego musiałem mieć taki komputer. Ale pomyśl: kto by mi go dał? Komputer za jedenaście milionów na pół roku, żeby go ładować byle bzdurami, nonsensem, sieczką? Byle czym!

Jeszcze nie mogłem ochłonąć z zaskoczenia.

— No... — rzekłem niepewnie — gdybyśmy pracowali w poważnym ośrodku naukowym, w Institute for Advanced Study albo w Massachusetts Institute of Technology...

— A jużci — parsknął — przecież nie miałem żadnych dowodów, nic, prócz prawa Dońdy, które jest pośmiewiskiem! Nie mając komputera musiałbym go wynająć, a wiesz, ile kosztuje godzina pracy takiego modelu? Jedna godzina! A ja potrzebowałem miesięcy. I gdzieżbym się dopchał w Stanach! Przy takich maszynach siedzą tam teraz tłumy futurologów, obliczają warianty zerowego wzrostu ekonomiki, to jest teraz modne, a nie wymysły jakiegoś Dońdy z Kułahari!

— Więc cały projekt — te magie — to było na nic? Zbędne? Toż na samo zebranie materiałów wydaliśmy przez dwa lata...

Niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Nic nie jest zbędne w zakresie tego, co konieczne. Gdyby nie ten projekt, nie dostalibyśmy grosza.

— Ale Uabamotu, rząd, Ojciec Wieczności — toż oczekuj ą czarów!

— Och, będą mieli czar, jeszcze jaki! Ty wciąż nie wiesz... Słuchaj: ciążenie informacji nie byłoby niczym rewelacyjnym, gdyby nie konsekwencje... Istnieje, uważasz, krytyczna masa informacji, tak samo, jak krytyczna masa uranu. Zbliżyliśmy się do niej. Nie my, tutaj, ale cała Ziemia. Zbliża się do niej każda cywilizacja budująca komputery. Rozwój cybernetyki to pułapka zastawiona przez Naturę na Rozum!

— Krytyczna masa informacji? — powtórzyłem. — Ale przecież w każdej głowie

ludzkiej jest mnóstwo informacji, a jeżeli nie liczy się, czy jest mądra czy głupia...

— Nie przerywaj mi wciąż. Nie mów nic, bo nic nie rozumiesz. Wyłożę ci to na analogii. Liczy się gęstość, a nie ilość wiadomości. To — jak z uranem. Analogia nieprzypadkowa! Uran rozrzedzony — w skałach, w glebie — jest nieszkodliwy. Warunkiem eksplozji jest wyosobnienie i koncentracja. Tak i tutaj. Informacja w książkach czy w głowach może być znaczna, ale pozostaje bierna. Jak rozproszone cząstki uranu. Należy ją skupić!

— I co wtedy nastąpi? Cud?

— Jaki tam cud! — parsknął. — Widzę, że doprawdy uwierzyłeś w brednie, które były pretekstem. Żaden tam cud. Powyżej punktu krytycznego rusza reakcja łańcuchowa. Obiit animus, natus est atomus! Informacja znika, bo zamienia się w materię.

— Jak to w materię? — nie rozumiałem.

— Materia, energia i informacja są trzema postaciami masy — tłumaczył cierpliwie. — Mogą przechodzić w siebie, zgodnie z prawami zachowania. Nic za darmo, tak jest urządzony świat. Materia obraca się w energię, energii i materii trzeba dla wytwarzania informacji, a informacja może przejść w nie z powrotem, oczywiście nie byle jak. Powyżej masy krytycznej szczególnie jak zdmuchnięta. Oto bariera Dońdy, granica przyrostów wiedzy... To znaczy, można by ją gromadzić nadal, lecz tylko — w rozrzedzeniu. Każda cywilizacja, która się tego nie domyśli, wchodzi sama w pułapkę. Im więcej się dowie, tym bliżej ma do ignorancji, do próżni — czy to nie osobliwe? A wiesz, jak blisko podeszliśmy już do progu? Jeśli przyrosty będą trwałe, za dwa lata objawi się...

— Co to będzie — eksplozja?

— Skąd tam. Najwyżej malutki błysk, ani muchy nie ukrzywdzi. Tam, gdzie tkwiły miliardy bitów, powstanie garść atomów. Zapłon reakcji łańcuchowej obiegnie świat z szybkością światła, pustosząc wszystkie banki pamięci, komputery, gdziekolwiek gęstość przekracza milion bitów na milimetr sześcienny, powstanie równoważna ilość protonów — i pustka.

— Więc trzeba ostrzec, ogłosić...

— Oczywiście, już to zrobiłem. Ale daremnie.

— Dlaczego? Za późno?

— Nie. Po prostu nikt mi nie uwierzy. Taka wiadomość musi pochodzić od autorytetu, a ja jestem błazen i oszust. Z oszustwa może bym się wytłumaczył, ale błazeństwu nie ujędę. Zresztą — nie chcę kłamać: nawet nie spróbuję. Posłałem do Stanów wstępne doniesienie, a do „Nature” — tę depeszę...

Podał mi brulion. Cognovi naturom rerum. Lors count-down made the world. Truly

yours Dońda.

Widząc moje osłupienie, profesor uśmiechnął się złośliwie.

— Masz mi za złe, co? Mój kochany, ja też jestem człowiekiem, więc odpłacam pięknym za nadobne. Depesza ma dobry sens, lecz rzuca ją do kosza lub wyśmieją. To moja zemsta. Nie domyślasz się? A przecież znasz najmodniejszą teorię powstania Kosmosu — Big Bang Theory? Jak powstał Wszechświat? Wybuchowo! Co wybuchło? Co się nagle zmateriałizowało? Oto Boża recepta: odliczać od nieskończoności do zera. Kiedy do niego doszedł, informacja zmateriałizowała się wybuchowo — zgodnie z formułą równoważności. Tak słowo ciałem się stało, eksplodując mgławicami, gwiazdami... z informacji powstał Kosmos!

— Profesorze, naprawdę tak myślisz?

— Udowodnić tego się nie da, ale to zawsze zgodne z prawem Dońdy. Nie, nie sądzę, żeby Bóg. Ktoś to jednak zrobił w poprzedniej fazie — może zbiór cywilizacji, które eksplodowały naraz, jak czasem eksploduje gromada supernowych... a teraz kolej na nas. Komputeryzacja skręci łeb cywilizacji — zresztą łagodnie...

Pojmowałem rozgoryczenie profesora, ale mu nie wierzyłem. Zdawało mi się, że zaślepiają go doznane upokorzenia. Niestety, miał słuszność. Zresztą, choćby tą depeszą — sam przyczynił się do zapoznania swojego odkrycia.

Ręka mi mdleje, a i glina się kończy, muszę jednak pisać dalej. W hałasie futurologicznym nie zwrócono uwagi na słowa Dońdy. „Nature” milczała, pisał o nim już tylko „Punch” i prasa brukowa. Parę gazet opublikowało nawet fragmenty jego ostrzeżenia, ale świat naukowy nie drgnął. W głowie mi się to nie mieściło. Gdy pojąłem, że stoimy przed kresem, a nasze wołania są jak krzyki tego pastucha z bajki, który zbyt wiele razy wołał „wilki”, pewnej nocy nie powstrzymałem się od gorzkich słów. Wyrzucałem profesorowi, że maskę błazna sam wcisnął sobie na twarz, kompromitując badania szamańską fasadą. Wysłuchał mnie z przykrym, drgającym w kątach ust uśmiechem, który nie schodził mu z twarzy. Może był to zresztą tik nerwowy.

— Pozory — rzekł wreszcie. — Pozory. Jeśli magia jest bzdurą, wyszedłem z bzdury. Nie mogę ci powiedzieć, kiedy rojenie zmieniło mi się w hipotezę, bo sam nie wiem. Postawiłem na niezdecydowanie, wiesz przecież. Odkrycie moje jest fizyką, należy do fizyki, ale do takiej, której nikt nie zauważył, bo droga wiodła przez tereny ośmieszony, wyzute z wszelkich praw. Trzeba było przecież zacząć od myśli, że słowo może stać się ciałem, że zaklęcie może się zmateriałizować — trzeba było dać nura w ten absurd, wejść w związki z a k a z a n e, aby dostać się na drugi brzeg, tam gdzie już oczywiście jest równoważność

informacji i masy. Tak więc należało przejść przez magię... może niekoniecznie przez zabawy, które uprawiałem, ale każdy krok wstępny musiał być dwuznaczny, podejrzany, heretycki, godny drwin. Co zrobiłem? Błazeńską maskę, uzasadnienie pozorne? Masz rację, jeśli pomyliłem się, to tylko tak, że nie doceniłem głupoty panującej nam dziś mądrości. W naszej epoce — opakowań — liczy się etykieta, a nie zawartość... Nazwawszy mnie krętaczem i oszustem, panowie uczeni wtrącili mnie w niebyt, z którego nie mogę być dosłyszany, choćbym ryczał jak trąby jerychońskie. Im głośniejszy ryk, tym większy śmiech. Więc po czyjej stronie właściwie została magia — czy ten ich gest odtrącenia i wyklęcia nie jest magiczny? Ostatnio pisał o prawie Dońdy „Newsweek”, przedtem „Time”, „Der Spiegel”, „L’Express” — nie mogę się uskarżać na brak popularności! Sytuacja jest bez wyjścia właśnie dlatego, że czytają mnie wszyscy — i nie czyta mnie nikt. Kto jeszcze nie sły s z a ł o prawie Dońdy? Czytają i pokładają się ze śmiechu: Don’t do it! Widzisz, nie liczą się rezultaty, lecz droga, którą się do nich dochodzi. Są ludzie wyzuci z prawa robienia odkryć — na przykład ja. Mógłbym teraz sto razy zaprzysiąc, że projekt był taktycznym manewrem, wybiegiem może niepięknym, ale koniecznym, mógłbym się kajać i spowiadać publicznie — odpowiedzią będzie śmiech. Otóż tego, że raz wszedłszy w kłownadę, nie będę mógł się z niej wydostać — tego nie pojąłem. Jedyne pociecha w tym, że katastrofy i tak nie dałoby się odwrócić.

Usiłowałem protestować krzycząc. A musiałem podnieść głos, albowiem zbliżał się już termin uruchomienia wielkiej wytwórni rodzinnych śmigłowców i w nadziei na te piękne maszyny ludność Gurunduwaju z zaciętymi szczękami, w zaparciu i namiętności nawiązywała wszystkie niezbędne po temu stosunki: za ścianą mego pokoju kotłowała się rodzina poczmistrza ze sproszonymi notablami, monterami, sprzedawczyniami, i podług narastającej wrzawy można było ocenić żądzę motoryzacyjną zacnego ludu. Profesor wyjął z tylnej kieszeni płaską flaszkę Białego Konia i nalewając whisky do szklanek rzekł:

— Mylisz się znowu. Nawet przyjąwszy moje słowa z dobrą wiarą, świat musiałby je sprawdzić. Musieliby sięść do swoich komputerów, a maglując tę informację, tym samym przyspieszyliby kres.

— Więc co robić! — zawołałem z rozpaczą. Profesor podniósł głowę ku niebu, aby wychylić ostatek płynu z flaszki, wyrzucił pustą przez okno i patrząc w ścianę, za którą kotłowały się pasje, oświadczył:

— Spać.

Piszę znowu, wymoczywszy dłoń w mleku kokosowym, bo złapał mnie skurecz. Maramotu powiada, że w tym roku pora deszczowa będzie wczesna i długa. Jestem wciąż

sam, od czasu kiedy profesor udał się do Lumili po fajkowy tytoń.

Poczytałbym nawet starą gazetę, ale mam tylko wór książek o komputerach i programowaniu. Znalazłem go w dżungli, kiedy szukałem patatów. Oczywiście zostały same zgniłe — dobre wyżarły, jak zwykle, małpy. Byłem też przy moim dawnym mieszkaniu, ale goryl, choć jeszcze bardziej schorowany, nie wpuścił mnie do środka. Sądzę, że ten worek z książkami był balastem wielkiego pomarańczowego balonu z napisem DRINK COKE, który przed miesiącem przesybował nad dżunglą w południowym kierunku. Widać podróżują teraz balonami. Na dnie worka znalazłem zeszłorocznego „Playboya” i przeglądałem go, kiedy zaskoczył mnie Maramotu. Uradował się: uważa nagość za objaw przyzwoitości, akty kojarzą mu się z powrotem do starych, dobrych obyczajów. Nie pomyślałem o tym, że za młodu chadzał goły z całą rodziną, toteż kreacje mini i maxi, w które jęły się stroić czarne krasawice, miał za wyraz zwyrodniałego wyuzdania. Pytał, co słyhać w wielkim świecie, ale nie wiedziałem, bo baterijki tranzystora wysiadły. Dopóki radio działało, słuchałem go całymi dniami. Katastrofa zdarzyła się dokładnie tak, jak to przewidział profesor. Najmocniej dała się we znaki krajom rozwiniętym. Ileż bibliotek skomputeryzowano w ostatniej dekadzie! Aż tu z taśm, kryształów, ferrytowych tarcz, kriotronów w ułamku sekundy wyparował ocean mądrości. Słyszałem zdyszane głosy spikerów. Upadek nie był jednakowo bolesny dla wszystkich. Im kto wyżej wlaź na drabinę postępu, tym gwałtowniej z niej rymnął.

W Trzecim Świecie zapanowała po krótkotrwałym szoku euforia. Nie trzeba się już było wysilać, gnać na złamanie karku za czołówką, wyciągać się z portek i trzciniowych spódniczek, urbanizować, industrializować, a zwłaszcza — komputeryzować, i życie tutaj, już naszpikowane komisjami, futurologami, armatami, oczyszczalniami ścieków i granicami, rozlaźło się w przyjemne bajorko, w ciepłą monotonię wiecznej sjesty. I kokosy można znów dostać łatwo, a jeszcze przed rokiem były nieosiągalne jako towar eksportowy, i wojska same się porozchodziły, tak że nieraz chodząc po dżungli potykałem się o maski gazowe, kombinezony, tornistry, mózdzierze obrosłe lianami, raz w nocy zbudziła mnie eksplozja, myślałem, że to wreszcie goryl, ale to tylko pawiany znalazły skrzynię zapalników. Tak, a w Lumili Murzynki z nie hamowanym postękiwaniem ulgi wyzbyły się lśniących trzewików, damskich spodni, grzejących jak diabli, i zbiorowy seks też jak ręką odjęło, bo raz, że nie będzie śmigłowców (fabryka miała być oczywiście skomputeryzowana), dwa — nie ma benzyny — rafinerie też były automatyczne, a trzy, nikomu się nie chce nigdzie jechać, bo i po co? Teraz nikomu już nie wstyd zwać masową turystykę Szaleństwem Białego Człowieka. Jak cicho musi być teraz w Lumili.

Prawdę mówiąc, ta katastrofa wcale nie okazała się taka zła. Nawet gdyby ktoś się na głowie postawił, nie będzie za godzinę w Londynie, za dwie w Bangkoku, a za trzy w Melbourne. No więc nie będzie, i co z tego? Pewnie, skra—chowało moc firm, taki końcem IBM chociażby, podobno wytwarza teraz tabliczki i rysiki, ale może to kawał. Komputerów strategicznych już też nie ma, ani samonawodzących się głowic, ani maszyn cyfrowych, wojny podwodnej, lądowej i orbitalnej, informatyka ogłosiła upadłość, giełdy zadygotały, podobno czternastego listopada biznesmeni wyskakiwali na Piątej Ulicy z okien tak gęsto, że zderzali się w powietrzu. Poplątały się wszystkie rozkłady jazdy, lotów, rezerwacje hotelowe, więc już nie muszą się martwić w metropoliach, czy polecieć na tę Korsykę, czy pojechać autem, czy wynająć przez komputer na miejscu, czy w trzy dni zwiedzić Turcję, Mezopotamię, Antyle i Mozambik z Grecją na dokładkę. Ciekawe, kto wytwarza balony? Pewno chałupnicy.

Ostatni balon, który oglądałem przez lornetkę, dopóki mi jej mała nie zabrała, miał sieć splecioną z dziwnie krótkich sznurków, całkiem jak ze sznurowadeł, może i w Europie też już chodzą na bosaka? Widocznie te dłuższe sznury wyplatały ostatnio tylko komputery powroźnicze. Strach rzec, ale słyszałem na własne uszy, nim radio zamilkło, że nie ma już dolara. Zdechł, biedaczek... Żałuję tylko, że z bliska nie widziałem Przełomowej Chwili.

Podobno rozległ się mały trzask i prask, pamięć maszynowa stała się w okamgnieniu biała jak umysł nowo narodzonego, a z informacji, wycinowanej na materialną stronę, powstał niespodziewanie malutki Kosmosek. Uniwersiátko, Wszechświatunio, ot, w kłębuszek atomowego prochu obróciła się wiedza gromadzona wiekami. Z radia też dowiedziałem się, jak taki Mikrokosmosek wygląda, jest maciupeńki, a tak zamknięty, że niczym nie można doń wtargnąć. Podobno ze stanowiska naszej fizyki stanowi specjalną postać nicości, a mianowicie Nicość Wszędziegęstą, całkowicie Nieprzepuszczalną. Nie pochłania światła, nie można go rozciągnąć, ścisnąć, rozbić, wydrążyć, ponieważ znajduje się poza naszym Universum, choć niby w jego wnętrzu. Światło ześlizguje się po jego obłych poboczach, wymijają go dowolnie rozpedzone cząstki, i nie rozumiem tego, co oświadczyły autorytety, że jakoby ten, jak mawia Dońda — „Kosmosesek” — jest Wszechświatem, całkowicie dorównującym naszemu, czyli zawiera mgławice, galaktyki, chmury gwiazdowe, a może już i planety z lęgnącym się na nich życiem. Tym samym rzec wolno, iż ludzie powtórzyli, dalipan, Genezę, co prawda zupełnie niechcący, a nawet wbrew żywionym intencjom, bo na tym najmniej im zależało.

Gdy Kosmosek narodził się, zapanowała wśród uczonych powszechna konsternacja i dopiero, gdy jeden z drugim wspomniiał ostrzeżenie Dońdy, na wypródki jęli mu słać listy,

apele, telegramy, pytania, a też bodaj jakieś dyplomy honorowe w trybie przyspieszonym. Lecz właśnie wtedy jął profesor pakować walizy i mnie namówił do wyjazdu w tę przygraniczną okolicę, bo ją spenetrował i upodobał sobie już poprzednio. Wziął ze sobą też koszmarnie ciężki kufer z książkami — wiem coś o tym, bom go dźwigał ostatnie pięć kilometrów, kiedy się nam benzyna skończyła i łaźnik utknął; nie zostało już z niego nic prawie, przez pawiany. Sądziłem, że profesor chce kontynuować prace naukowe, by położyć kamień węgielny pod odbudowę cywilizacji, ale nic z tego. Zadziwił mnie Dońda! Mieliśmy, naturalnie, liczne sztucery, sztucce, piły, gwoździe, kompasy, siekiery i inne rzeczy, których listę sporządził notabene profesor w oparciu o oryginalne wydanie Robinsona Crusoe. Ponadto wziął jednak ze sobą „Nature”, „Physical Review”, „Physical Abstracts”, „Futurum” oraz teczki pełne gazetowych wycinków, poświęconych prawu Dońdy.

Co wieczór po kolacji odbywał się Seans Rozkoszy, czyli Vendetty — radio, nastawione na pół głosu, nadawało najświeższe koszarne wieści, okraszone wystąpieniami znamienitych naukowców i innych ekspertów, profesor zaś, pykając fajkę z przymkniętymi oczami, słuchał, jak odczytywałem wybrane na dany wieczór co zjadliwsze wykpienia prawa Dońdy, a też insynuacje oraz obelgi: te ostatnie, własnoręcznie podkreślone przezeń czerwonym długopisem, musiałem niekiedy odczytywać parokrotnie. Wyznaję, że posiedzenia te rychło mi się znudziły. Czy aby wielki umysł nie uległ fiksacji? Gdym odmówił dalszego czytania, profesor począł chodzić do dżungli na spacer, jakoby zdrowotne — ażem go zaszedł na polanie, jak czytał gromadzie zdziwionych pawianów celniejsze ustępy z „Nature”.

Niežnośny zrobił się profesor, a jednak z utęsknieniem wyczekuję jego powrotu. Stary Maramotu twierdzi, że Bwana Kubwa nie wróci, bo porwało go Złe Mzimu, osioł. Na odchodnym profesor powiedział mi dwie rzeczy. Zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Najpierw tę, że z prawa Dońdy wynika równowartość wszelkiej informacji: wszystko jedno, czy bity wiadomości są genialne, czy kretyńskie, trzeba ich sto miliardów na stworzenie jednego protonu. A więc zarówno mądre, jak i idiotyczne słowo staje się ciałem. Uwaga ta w zupełnie nowym świetle stawia filozofię bytu. Czyżby gnostycy z Manicheuszem nie byli takimi przeniewiercami? Jak to ogłosił Kościół? Ponadto, czy może być, aby Kosmos, sporządzony z wyartykułowania heptylionu głupstw, niczym się nie różnił od Kosmosu, powstałego z wygłoszonej mądrości?

Zauważyłem też, że profesor pisze coś nocami. Niechętnie, bo niechętnie, ale zdradził mi w końcu, że jest to *Introduction to Svametics*, czyli *Inquiry into the General Technology of Cosmoproduction*. Profesor zabrał, niestety, rękopis ze sobą. Toteż wiem tylko, że podług

niego każda cywilizacja trafia na próg kosmokreacji, świat stwarza bowiem zarówno ten, kto się zbyt nagenialni jak i ten, kto nazbyt zidiociej. Tak zwane Białe i Czarne Dziury, wykryte przez astrofizyków, są to miejsca, w których niezwykle potężne cywilizacje usiłowały obejść barierę Dońdy lub wysadzić ją z posad, ale im nie wyszło: same siebie za to z Universum wysadziły.

Zdawałoby się, że już nic nie ma większego od takiej refleksji. No, bo skoro Dońda wziął się do pisania metodyki i teorii Genesis!

A jednak wyznam, że mocniej poruszyły mnie jego słowa ostatniej nocy przed wyruszeniem po tytoń. Piliśmy mleko kokosowe, sfermentowane podług przepisu starego Maramotu — ohydną bryję, konsumowaną przez wzgląd na trud fabrykacji (nie wszystko było złe dawniej; chociażby whisky) — aż w pewnej chwili, płucząc usta wodą źródlaną, profesor rzekł: Ijonie, czy pamiętasz dzień, w którym nazwałeś mnie błaznem? Widzę, że pamiętasz. Powiedziałem wtedy, że zbłądziłem się w oczach naukowego świata wymysleniem magicznej treści dla śwarnetyki. Gdybyś jednak nie na ową decyzję patrzył, ale na całe moje życie, zobaczyłbyś bigos, któremu na imię Zagadka. W losie moim wszystko układało się do góry nogami! Z przypadków ułożył się cały, i to pomyłonych. Przez pomyłkę przyszedłem na świat. Wskutek omyłki otrzymałem imię. Nieporozumienie jest moim nazwiskiem. Wskutek błędu stworzyłem śwarnetykę, bo chyba pojmujesz, że telegrafista przekreślił po prostu kluczowe słowo, jakiego użył nie znany mi, a niezapomniany pułkownik Drufutu z kułaharskiej policji bezpieczeństwa! Byłem tego pewien od razu. Czemu nie próbowałem odtworzyć depeszy — skorygować, poprawić, prostować? Ba! Zrobiłem coś lepszego, bo dopasowałem do tego błędu działalność, która (jak widzisz) miała przed sobą niejaką przyszłość! Więc jakże — omyłkowy facet, z przypadkową karierą, wplątany w stek afrykańskich nieporozumień, odkrył skąd świat się wziął i co z nim będzie? O nie, mój drogi. Za wiele tych lapsusów! Za wiele na rację dostateczną! Nie to, na co patrzymy, należy przestroić, lecz innego trzeba punktu widzenia. Spójrz na ewolucję życia. Miliardy lat temu powstały praameby, nieprawdaż? Cóż one umiały? Powtarzać się. W jaki sposób? Dzięki trwałości cech dziedzicznych. Gdyby dziedziczność była naprawdę bezbłędna, aż po dziś nie byłoby na tym globie nikogo prócz ameb. Cóż się stało? Ano, doszło do pomyłek. Biologowie nazywają je mutacjami. Lecz czymże jest mutacja, jeśli nie ślepą omyłką? Nieporozumieniem między rodzicem–nadawcą, a potomkiem–odbiorcą. Na obraz i podobieństwo swoje, tak... ale nieporządnie! Niedokładnie! I ponieważ wciąż psuło się podobieństwo, powstały trylobity, gigantozaurowe, sekwoje, kozice, małpy i my. Z zestrzelenia niedbalstw, potknięć — ale przecież to samo było z moim życiem. Od niedopatrzeń powstałem, przypadkowo trafiłem do

Turcji, z niej traf rzucił mnie do Afryki, co prawda walczyłem wciąż jak pływak z falą, ale to ona mnie niosła, nie ja nią kierowałem... Czy pojmujesz? Nie doceniliśmy, mój drogi, dziejowej roli błędu jako fundamentalnej Kategorii Istnienia. Nie myśl po manichejsku! Podług tej szkoły Bóg stwarza ład, któremu szatan wciąż nogę podstawia. Nie tak! Jeśli dostanę tytoń, napiszę zbywający w księdze filozoficznych rodzajów ostatni rozdział, mianowicie antologię Apostazy, czyli teorię bytu, który na błędzie stoi, albowiem błąd się błędem odciska, błędem obraca, błąd tworzy, aż losowość zamienia się w Los Świata.

Rzekł to, spakował drobiazgi i poszedł w dżunglę. A ja zostałem, by czekać jego powrotu, z ostatnim „Playboyem”, z którego patrzy na mnie sex-bomba, rozbrojona prawem Dońdy, naga jak prawda.

STO TRZYDZIEŚCI SIEDEM SEKUND

Panowie, wskutek braku czasu i nie sprzyjających okoliczności większość ludzi schodzi z tego świata, nie zastanowiwszy się nad nim. Z kolei tacy, co próbują to robić, doznają zawrotu głowy i zajmują się czymś innym. Ja do nich należę. W miarę tego, jak robiłem karierę, ilość miejsca, poświęcanego mojej osobie we Who's Who rosła z latami, lecz ani w wydaniu ostatnim, ani w następnych nie będzie powiedziane, czemu porzuciłem dziennikarstwo. To właśnie będzie tematem mojej historii, której zresztą w innych okolicznościach na pewno bym nie opowiedział.

Znałem zdolnego chłopca, który postanowił zbudować czuły galwanometr, i udało mu się to zbyt dobrze. Przyrząd poruszał się nawet, kiedy nie było prądu, bo reagował na drgania skorupy ziemi. Anegdota ta może być mottem mojej opowieści. Byłem wtedy nocnym redaktorem zagranicznego serwisu UPI. Przetrzymałem tam wiele, między innymi automatyzację redagowania gazet. Rozstałem się z żywymi metrapażami, żeby pracować z komputerem IBM 0161, specjalnie przystosowanym do roboty redakcyjnej. Prawdziwie żałuję, że nie urodziłem się ze sto pięćdziesiąt lat temu. Historia moja zaczynałaby się od słów „uwiodłem hrabinę de...”, a gdybym przeszedł do tego, jak, wyrwawszy woźnicy lejce z rąk, jałem okładać konie, by ujść pogoni zbirów, nasadzonych przez zazdrosnego męża, nie musiałbym wam tłumaczyć ani co to jest hrabina, ani na czym polega uwiedzenie. Dziś nie ma tak dobrze. Komputer 0131 nie jest mechanicznym metrapażem. Jest to demon szybkości, powściągany sztuczkami inżynierów po to, żeby człowiek mógł mu dotrzymać kroku. Komputer ten zastępuje dziesięciu do dwunastu ludzi. Jest bezpośrednio połączony z setką dokumentów, tak że to, co nasi korespondenci wystukują w Ankarze, w Bagdadzie, w Tokio, w tej samej chwili dostaje się do jego obwodów. Porządkuje to i ciska na ekran kolejne projekty stronicy wydania porannego. Między północą a trzecią nad ranem — godziną zamknięcia numeru — może sporządzić i pięćdziesiąt rozmaitych wariantów wydania. Do dyżurnego redaktora należy decyzja, który wariant pójdzie na maszyny. Metrapaż, który by miał wykonać nie pięćdziesiąt, ale pięć projektów łamania numeru, zwariowałby. Komputer pracuje milion razy szybciej niż każdy z nas. to znaczy, mógłby tak pracować, gdyby mu tylko pozwolono. Zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele uroku mojej historii niszcę takimi uwagami. Ile zostałoby z uroków hrabiny, gdybym, zamiast unosić się nad nią—oastrową karnacją jej piersi, mówił o ich składzie chemicznym? Żyjemy w czasach fatalnych dla gawędziarzy, bo to, co opowiadają przystępnie, jest anachroniczną starocią, a to, co mówią

rewelacyjnie, wymaga całych stron encyklopedii i podręcznika uniwersyteckiego. Ale na to przekleństwo nikt nie wynalazł lekarstwa. A jednak współpraca z moim IBM była fascynująca. Gdy przybywa nowa wiadomość — dzieje się to w okrągłym wielkim pokoju, pełnym bezustannego stukania dalekopisów — komputer od razu włamuje ją próbnie w makietę strony. Oczywiście tylko na ekranie. Wszystko jest gra elektronów, światłem i cieniem. Niektórzy żałują ludzi na tych straconych stanowiskach. Ja ich tam nie żałowałem. Komputer nie ma ambicji, nie denerwuje się, jeżeli pięć przed trzecią brak ostatniego doniesienia, nie ma domowych zmartwień, nie pożyczka przed pierwszym, nie męczy się i nie daje też do zrozumienia, że wszystko wie lepiej, a zwłaszcza nie obraża się, kiedy to, co włamał do czołówki, każe mu się wyrzucić nonparem na ostatnią stronę. Zarazem jest niesłychanie wymagający: nie od razu można się w tym rozeznąć. Gdy mu się powie „nie”, jest to „nie” ostateczne, bezapelacyjne, jak wyrok tyrana: przecież nie może się sprzeciwić! Ale ponieważ nigdy się nie myli, błędy wydania porannego mają tylko jednego autora: jest nim zawsze człowiek. Konstruktorzy IBM pomyśleli absolutnie o wszystkim, z wyjątkiem tego drobiazgu, że bez względu na to, jak są wyważone i osadzona, dalekopisy zawsze drżą, podobnie jak bardzo szybka maszyna do pisania. Wskutek tych drgań kable, łączące dalekopisy redakcyjne z komputerem, mają tendencję obluźowywania się, a wreszcie wtyczki wypadają z gniazdek. Dzieje się to rzadko, ot, raz czy dwa na miesiąc. Fatyga, bo trzeba wstać i wetknąć wtyczkę z powrotem, jest w końcu tak mała, że nikt nie pokwapił się z żądaniem zmiany kontaktów. Każdy z nas, dyżurnych, myślał o tym, ale bez większego przekonania. Być może, teraz już zostały zmienione. Jeśli tak się stało, odkrycie, o którym wam opowiem, nie będzie powtórzone.

Było to w willę Bożego Narodzenia. Miałem numer gotowy tuż przed trzecią — lubiłem wyrobić sobie taką choć kilkuminutową rezerwę czasu, ot, żeby odsapnąć i zapalić fajkę. Miałem przyjemne uczucie, że to nie na mnie czeka rotacja, ale na ostatnie doniesienie — w ową Wilię szło o wiadomości z Iranu, gdzie rankiem było trzęsienie ziemi. Agencje podały tylko fragment depeszy korespondenta, bo po pierwszym wstrząsie przyszedł następny, tak silny, że zniszczył łączność kablową. Ponieważ i radio milczało, sądziliśmy, że radiostacja jest w gruzach. Liczyliśmy na naszego człowieka, był nim Stan Rogers, mały jak dżokej, i korzystał z tego nieraz, żeby dostać się na pokład jakiegoś helikoptera wojskowego, kiedy nie było już miejsca, robiono dla niego wyjątek, bo ważył nie więcej niż walizka. Ekran wypełniała makietka strony tytułowej z ostatnim pustym białym prostokątem. Połączenia z Iranem wciąż były przerwane. Wprowadzie kilka dalekopisów jeszcze młóciło, ale odgłos, z jakim włączył się turecki, od razu rozpoznałem. Jest to kwestia wprawy, której nabywa się

automatycznie. Zdziwiło mnie, że biały prostokąt pozostawał pusty, chociaż słowa winny były się ukazać na nim w tym samym tempie, w jakim wybijał je dalekopis, ale ta pauza nie trwała dłużej niż sekundę czy dwie. Potem cały tekst doniesienia, zresztą bardzo zwięzłego, zmaterializował się od razu, co też mnie zaskoczyło. Znam go na pamięć. Nagłówek był już gotowy; pod nim szły zdania: „W Sherabadzie powtórzyły się dwukrotnie wstrząsy podziemne o sile siedmiu i ośmiu stopni między dziesiątą a jedenastą czasu miejscowego. Miasto legło w gruzach. Liczbę ofiar ocenia się na tysiąc, bezdomnych zaś na sześć tysięcy”.

Rozległ się brzęczyk, którym alarmowała mnie drukarnia: minęła właśnie trzecia. Ponieważ tak lakoniczny tekst pozostawiał nieco wolnego miejsca, rozwodniłem go dwoma dodatkowymi zdaniami i nacisnąwszy klawisz, straciłem gotowy numer do drukarni, gdzie, przekazany wprost linotypom, składał się. żeby pójść na rotację.

Nie miałem już nic do roboty, wstałem więc, wyprostowałem kości i zapalając fajkę, która zgasła, dostrzegłem leżący na podłodze kabel. Wypadł z kontaktu. Należał do dalekopisu z Ankary. A właśnie z tego dalekopisu skorzystał Rogers. Gdy go podnosiłem, przemknęła mi przez głowę bezsensowna myśl, że leżał już tak, zanim odezwał się dalekopis. Oczywiście było to absurdalne, bo jakże komputer mógłby bez połączenia z dalekopisem podać tę wiadomość? Powoli podszedłem do dalekopisu, urwałem papier z wystukany komunikatem i podniosłem go do oczu. Od razu wydał mi się trochę odmiennie sformułowany, ale odczuwałem zmęczenie, byłem rozbity, jak zwykle o tej porze i nie dowierzałem pamięci. Włączyłem jeszcze raz komputer, żądając ukazania czołowej stronicy i porównałem oba teksty. Rzeczywiście różniły się między sobą, jakkolwiek nieznacznie. Dalekopisowy brzmiał: „Między godziną dziesiątą i jedenastą czasu lokalnego doszło do dwóch następnych wstrząsów w Sherabadzie o sile siódmego i ósmego stopnia. Miasto jest całkowicie zburzone. Liczba ofiar przekracza pięćset, a pozbawionych dachu nad głową — sześć tysięcy”.

Stałem, gapiąc się raz na ekran, a raz na papier. Nie wiedziałem, co myśleć ani co robić. Sensami oba teksty pokrywały się prawie doskonale, jedyną rzeczową różnicą była liczba ofiar śmiertelnych, bo Ankara podała ich pięćset, a komputer ją zdublował. Zachowałem w każdym razie zwykły refleks dziennikarza i połączyłem się od razu z drukarnią.

— Słuchaj — powiedziałem do Langhorne’a, on był wtedy dyżurnym linotypistą — złapałem błąd w komunikacie irańskim, pierwsza strona, trzecia szpalta, ostatni wiersz, ma być: nie — tysiąc — —

Urwałem, ponieważ dalekopis turecki obudził się i zaczął wystukiwać: „Uwaga.

Ostatnie doniesienie. Uwaga. liczbę ofiar trzęsienia oceniają teraz na tysiąc. Rogers. Koniec”.

— No. co tam? Więc jak ma być? — wołał z dołu Langhorne. Westchnąłem.

— Przepraszam cię. chłopie — powiedziałem — nie ma żadnego błędu. Moja wina. Wszystko w porządku. Ma iść tak. jak jest.

Odłożyłem szybko słuchawkę, podszedłem do dalekopisu i przeczytałem ten dodatek ze sześć razy. Za każdym coraz mniej mi się to podobało. Miałem wrażenie, bo ja wiem, jakby podłoga miękła mi pod stopami. Obszedłem dookoła komputer, przyglądając mu się z nieufnością, w której było niechybnie trochę strachu. Jak on to zrobił? Nie rozumiałem nic i czułem, że im dłużej będę się nad tym zastanawiał, tym mniej będę pojmował.

W domu. w łóżku, nie mogłem zasnąć. Usiłowałem, przede wszystkim ze względów higieny psychicznej, zakazać sobie myślenia o tej dziwnej historii. Pod względem rzeczowym był to w końcu drobiazg. Wiedziałem, że nie mogę o tym nikomu powiedzieć: nikt by mi nie uwierzył. Wzięto by to za kawał, do tego naiwny i lichy. Dopiero kiedy, poprzewracawszy się w łóżku, postanowiłem wziąć rzeczy pod lupę, to znaczy zająć się systematycznie badaniem reakcji komputera na odłączanie dalekopisów, poczułem coś w rodzaju ulgi, przynajmniej na tyle. że udało mi się zasnąć. Zbudziłem się w dość optymistycznym nastroju i diabli wiedzą, skąd przyniosłem na jawę rozwiązanie zagadki, a przynajmniej coś. co mogło uchodzić za rozwiązanie.

Pracując, dalekopisy drżą. Od ich dygotu wypadają wszak nawet wtyczki z gniazdek kablowych. Czy nie może to być źródłem zastępczej sygnalizacji? Nawet ja, z moimi nędznymi i powolnymi zmysłami człowieka, potrafiłem ułoić różnice dźwięku poszczególnych dalekopisów. Paryski poznawałem, gdy ruszał, po tym, że miał tak wyraźne metaliczne uderzenia. Jeśli więc odbiornik będzie setki razy czulszy, chwyci nawet te znikome różnice, jakie zachodzą pomiędzy uderzeniami poszczególnych literowych klawiszy. Zapewne, nie jest to możliwe w stu procentach, i właśnie dlatego komputer nie powtórzył dalekopisowego tekstu słowo w słowo, lecz trochę go przeinaczył stylistycznie: po prostu pouzupełniał sam to. czego zabrakło mu jako informacji. Co do liczby ofiar, był wszak z pochodzenia matematyczną maszyną: pomiędzy ilością zburzonych domów, porą dnia, w której występuje trzęsienie, i liczbą ofiar śmiertelnych musza istnieć korelacje statystyczne: przepuściwszy cyfrę, komputer, być może. posłużył się swymi umiejętnościami wykonywania błyskawicznych rachunków, z nich wzięło mu się owych tysiąc ofiar. Nasz korespondent. który nie przeprowadzał żadnych obliczeń, przekazał liczbę szacunkową, jaką mu podano na miejscu, a niedługo potem, uzyskawszy dokładniejszą informację, posłał to końcowe sprostowanie. Komputer okazał się górą dlatego, ponieważ nie opierał się na pogłoskach. lecz

na ścisłym materiale statystycznym, którego moc tkwiła w jego ferrytowej pamięci. Rozumowanie to uspokoiło mnie całkowicie. IBM 0161 nie jest przecież biernym przekaźnikiem; jeśli obsługujący dalekopis zrobi błąd ortograficzny czy gramatyczny, błąd ten pojawia się na ekranie, aby w ułamku sekundy zostać zastąpionym przez właściwą formę wyrażenia. Czasem zachodzi to tak szybko, że człowiek nie potrafi go dostrzec i przekonuje się o wprowadzonej poprawce dopiero później, kiedy porówna tekst wystukany z tym, który komputer podał na ekranie. IBM nie jest nawet samym tylko automatycznym metrampażem, ponieważ ma połączenia z siecią komputerową, zarówno agencji jak bibliotek. Można od niego zażądać danych, którymi natychmiast wzbogaca się zbyt chude komunikaty. Jednym — słowem wytłumaczyłem sobie wszystko bardzo dobrze, jakkolwiek nadal zamierzałem zrobić parę małych dalszych doświadczeń na własną rękę podczas najbliższego dyżuru, lecz nie mówić o nich nikomu ani o tej historii z wigilijnej nocy. bo tak było rozsądniej.

Okazji mi nie brakowało. Już dwa dni potem znów siedziałem w sali zagranicznego serwisu i gdy Bejrut rozpoczął przekazywanie wiadomości o zaginięciu łodzi podwodnej szóstej floty na Morzu Śródziemnym, wstałem i nie spuszczać z oczu ekranu, na którym pojawiały się w szybkim tempie słowa tekstu, płynnym, ukradkowym ruchem wyjąłem wtyczkę z gniazdka. Przez część sekundy tekst nie rozrastał się, lecz trwał urwany w półślowie, zupełnie, jakby komputer, zaskoczony, nie wiedział, co począć. Lecz to porażenie trwało doprawdy moment; niemal natychmiast następne wyrazy poczęły wyskakiwać na białym tle, ja zaś gorączkowo porównywałem je z tekstem, wybijanym przez dalekopis. Powtórzyła się znana mi już rzecz — komputer podawał dalekopisowy komunikat, tyle że trochę odmiennymi słowami: „rzecznik szóstej floty oświadczył” — zamiast „powiedział”. „poszukiwania trwają”, zamiast „są w toku”; jeszcze kilka podobnych drobiazgów odróżniało oba teksty.

Szczególne z jaką łatwością człowiek przy wyka do niezwykłego, jeśli tylko chwyci jego mechanizm — albo jeśli mu się chociaż wydaje, że go uchwycił. Miałem już wrażenie, że bawię się komputerem jak kot myszą, że go nabieram, że panuję w pełni nad sytuacją. Makieta numeru świeciła jeszcze licznymi łysinami i teksty, które miały je wypełnić, przychodziły teraz, w informacyjnym szczycie, po kilka naraz. Wyszukiwałem po kolei właściwe kable z ich pęków i wyjmowałem wtyczki jedną po drugiej, aż zostałem z sześcioma czy siedmioma w garści. Komputer pracował najspokojniej w świecie dalej, choć nie był już połączony z żadnym dalekopisem. Ani chybi, powiedziałem sobie, rozróżnia po drganiach wystukiwane litery i słowa, a czego nie odtworzy od razu, tego się dopracuje błyskawiczną ekstrapolacją czy innym ze swych matematycznych sposobów. Działalem jak w

transie; skupiony, oczekiwałem ocknięcia się kolejnego dalekopisu — a gdy zagrał rzymski, pociągnąłem za kabel, ale tak mocno, że gdy wtyczka została mi w ręce, jednocześnie wypadła i druga, ta, poprzez którą zasilany jest sam dalekopis, więc naturalnie zamarł. Już ruszyłem, żeby wetknąć ją do kontaktu, gdy coś mnie tknęło i rzuciłem okiem na ekran.

Dalekopis rzymski był martwy, lecz komputer w najlepsze wypełniał miejsce przeznaczone dla włoskiego kryzysu rządowego „ostatnim doniesieniem”. Z zapartym tchem, czując, że znów dziwne rzeczy robią się z podłogą i moimi kolanami, podszedłem do ekranu i niewinne słowa: „powołał na premiera Battistę Castellaniego”... czytałem jak depeszę z tamtego świata. Czym prędzej połączyłem dalekopis rzymski z głównym kablem dosyłowym, aby sczytać oba teksty. O, teraz już różnice między nimi były znacznie większe, lecz komputer nie odchylił się od prawdy, to jest od treści komunikatu. Premierem rzeczywiście został Castellani, ale zdanie to występowało w innym kontekście i o cztery wiersze niżej niż na ekranie. Wrażenie odniosłem takie, jak gdyby dwóch dziennikarzy, dowiedziawszy się, niezależnie od siebie, tego samego, swobodnie zredagowało, każdy po swojemu, tekst notatki; z miękkimi kolanami usiadłam, żeby ostatni raz podratować moją hipotezę, ale czułem już, że będzie to daremna próba. Cała moja racjonalizacja zawaliła się w jednej chwili; bo i jakże mógł komputer odczytywać drgnienia dalekopisu, który był głuchy i martwy jak pień? A przecież nie był w stanie wychwycić drgnień tego dalekopisu, na którym w Rzymie pracował nasz korespondent! Poczułem zawrót głowy. Gdyby ktoś wszedł, wzbudziłbym podejrzenia Bóg wie jakie — spocony, ze skaczącym wzrokiem, z garścią kabli, które jeszcze ścisakałem w spoconych rękach, jak zbrodniarz, pochwycony na gorącym uczynku. Czułem się jak szczur, przyparty w kącie, i zareagowałem jak zrozpaczony szczur — bo zacząłem gwałtownie odłączać wszystkie dalekopisy, tak że po chwili stukot ostatniego zamarł — i zostałem w śmiertelnej ciszy z moim komputerem. Wtedy stała się dziwna rzecz: może jeszcze bardziej zdumiewająca niż to, co zaszło dotąd. Chociaż makieta numeru nie była jeszcze wypełniona, przyrastanie tekstów wyraźnie osłabło. Co więcej, w nowym, spowolnionym tempie pojawiały się zdania, wyzbyte ściślejszej treści, jałowe, jednym słowem tak zwana wata. Przez dobrą chwilę sznureczki wierszy pełzały jeszcze w ekranie na swoje miejsca, aż znieruchomiały — wszystkie. Kilka tekstów nabrało absurdalnie komicznego charakteru, była tam notatka o meczu piłkarskim, w której zamiast ostatecznego wyniku figurował pusty frazes o dzielnej postawie graczy obu drużyn. Kolejne wiadomości z Iranu załamywały się stwierdzeniem, że trzęsienia ziemi są zjawiskami skali kosmicznej, bo występują nawet na Księżycu. Brzmiało to ni w pięć, ni w dziesięć. Tajemnicze źródła, z których komputer czerpał dotąd ściśle natchnienie, wyschły.

Moim pierwszym zadaniem było, oczywiście, złamać numer, więc podłączyłem w największym pośpiechu dalekopisy i o tym, co się rozegrało przede mną, mogłem porozmyślać dopiero po trzeciej, kiedy maszyna rotacyjna ruszyła. Wiedziałem, że nie zaznam spokoju, dopóki nie zejść do korzeni tego fascynującego pokazu sprawności, z nie mniej zaskakującym jej załamaniem. Laikowi nasuwa się jako pierwsza myśl, że należałoby po prostu zadać odpowiednie pytania samemu komputerowi: skoro taki mądry, a zarazem taki bezwzględnie posłuszny, niechże wyjawi, w jaki sposób, dzięki jakim mechanizmom pracował, odłączony, a także, co tę pracę potem zahamowało. Myśl tę zasadziły nam w głowach popularne bajania o elektrycznych mózgach, bo z komputerem nie można rozmawiać jak z człowiekiem, wszystko jedno, mądrym czy głupim: przecież on w ogóle nie jest osobą! Z równym skutkiem można by się spodziewać, że maszyna do pisania powie nam, gdy zepsuta, gdzie i jak ją naprawić. Komputer przetwarza informację, do której nie ma żadnego sensownego stosunku. Zdania, które wypływa, są jak pociągi, jadące po szynach składni. Jeżeli się wykoleją, oznacza to, że coś działa w nim niewłaściwie, ale on nic o tym nie wie. dla wystarczającej przyczyny, że „on” można mówić o komputerze tylko jak o lampie czy stołku. Nasz IBM umiał samodzielnie formułować i przeformułowywać teksty stereotypowych komunikatów prasowych, nic więcej. O tym, jaką wagę mają poszczególne teksty, zawsze musi decydować człowiek. IBM potrafił skomplikować dwie uzupełniające się informacyjnie notatki w jedną albo dobrać frazeologiczny wstęp do doniesienia czysto rzeczowego, na przykład do depeszy, dzięki gotowym wzorcom takich postępowań, których miał utrwalone setki tysięcy. Ten wstęp odpowiadał treści depeszy tylko dzięki temu, że IBM dokonywał jej analizy statystycznej, wychwytyjąc tak zwane kluczowe słowa; jeśli więc w depeszy powtarzały się terminy „bramka”, „karny”, „drużyna przeciwnika”, dobierał coś z repertuaru sportowych zawodów; komputer jest, jednym słowem, jak kolejarz, który potrafi we właściwy sposób przedstawiać zwrotnice, łączyć wagony i wysyłać pociągi we właściwym kierunku, jakkolwiek nie zna ich zawartości. Orientuje się w cechach słów, zdań, fraz, czysto zewnętrznych, tych, co są podległe matematycznym operacjom rozbiórki i składania. Nie mogłem się więc spodziewać po nim żadnej pomocy.

Tę noc spędziłem w domu bezsennie na rozmyślaniach. W produkcji komputera dostrzegałem taką prawidłowość: im dłużej był odłączony od źródeł informacji, tym gorzej ją rekonstruował. To mi się wydawało nawet dosyć zrozumiałe, jeśli zważyć, że pracuję w dziennikarstwie od dwudziestu paru lat. Jak wiecie, redakcje takich dwóch wysokonakładowych tygodników jak „Time” i „Newsweek” są od siebie zupełnie niezależne. Łączy je, przy redagowaniu poszczególnych numerów, to tylko, że znajdują się w tym samym

świecie i w analogicznym czasie dysponują bardzo zbliżonymi źródłami informacji. Ponadto zwracają się do wielce upodobnionych czytelników. Toteż wcale nie jest zaskakujące podobieństwo mnóstwa zawartych w nich artykułów. Wynika ono ze swoistej doskonałości przystosowania do rynku, jaką osiągnęły oba te rywalizujące z sobą zespoły. Umiejętności pisania przeglądów wydarzeń w jednym kraju albo w skali jednego tygodnia na całym globie można się nauczyć, a jeśli się pisze z podobnych pozycji — mianowicie elity dziennikarskiej Stanów Zjednoczonych — dysponuje się podobnym wykształceniem, analogiczną informacją, i operuje się nią, celując w uzyskanie optymalnego efektu u czytelnika — to nic dziwnego, że teksty, układane niezależnie i równolegle, przypominają nieraz bliźniacze pary. Podobieństwa nie sięgają nigdy aż pojedynczych zdań, lecz nastawienie, ton, intensywność afektacji, rozłożenie akcentów, uwypuklenie pewnych szczegółów drastycznych, przeciwstawianie kontrapunktowe rysów — np. w sylwetce jakiegoś polityka — czyli to wszystko, co służy przykuwaniu uwagi czytelnika i sugerowaniu mu, iż znajduje się u źródła najświetniejszej informacji, stanowi ryzsztunek chwytów każdego biegłego dziennikarza. W pewnym sensie nasz IBM był sam „makietą;” takiego właśnie reportera. Znał sposoby i chwytły, umiał więc to, co każdy z nas. Dzięki rutynie, którą weń wprogramowano, został geniuszem chwytliwej frazeologii, szokującego zestawienia danych, ich najkorzystniejszego wyeksponowania; o wszystkim tym wiedziałem, ale wiedziałem też, że jego koncert nie daje się sprowadzić do takich wyjaśnień. Dlaczego, odłączony od dalekopisów, był tak sprawny? Dlaczego ta sprawność tak szybko go opuszczała? Dlaczego zaczynał potem bredzić? Jeszcze mi się roilo, że potrafię sam znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Przed następnym dyżurem zatelefonowałem do naszego korespondenta w Rio de Janeiro, prosząc go, aby na początku nocnego serwisu przysłał nam króciutką fałszywą wiadomość o wyniku pięściarskiego spotkania Argentyny i Brazylii. Miał podać wszystkie zwycięstwa Brazylijczyków jako argentyńskie i na odwrót. W czasie naszej rozmowy wyniki spotkania nie mogły być znane; mecz rozpoczynał się późnym wieczorem. Dlaczego zwróciłem się właśnie do Rio? Ponieważ prosiłem o przysługę z zawodowego punktu widzenia niesłychaną, a Sam Gernsback, który był tam naszym korespondentem — to mój przyjaciel, z owego rzadkiego, najcenniejszego gatunku nie pytających o nic.

To, czego doświadczyłem dotąd, pozwalało przypuszczać, że komputer powtórzy fałszywy komunikat: ten, który Sam wystuka na swoim dalekopisie (nie będę skrywał, że miałem już na ów temat hipotezę; wyobrażałem sobie mianowicie, że dalekopis staje się jakby nadajnikiem radiowym, a jego kable pełnią funkcję anteny; mój komputer, tak myślałem, potrafi wychwycić fale elektromagnetyczne, tworzące się wokół kabli,

pogrążonych w ziemi, ponieważ jest widać dostatecznie czułym odbiornikiem).

Natychmiast po wysłaniu fałszywej wiadomości miał ją Gernsback sprostować; pierwszą oczywiście zniszczyłbym, aby po niej i śladu nie zostało. Plan, który wymyśliłem, zdawał mi się niezwykle wyrafinowany. Żeby zaś doświadczenie nabrało charakteru krzyżowego, postanowiłem do przerwy w meczu utrzymać normalne połączenie dalekopisu z komputerem, a po przerwie dalekopis odłączyć. Nie będę się bawił w opisywanie moich przygotowań, emocji, atmosfery tej nocy, a tylko powiem wam, co zaszło. Komputer podał, to jest, włamał w makietę numeru wyniki spotkania fałszywie do przerwy, i zgodnie z prawdą — po niej. Czy rozumiecie, co to znaczyło? Dopóki był zdany na dalekopis, w ogóle niczego nie rekonstruował ani „nie kombinował” — powtarzał po prostu litera w literę to, co było kablowane z Rio. Odłączony, przestał zważać na dalekopis, a zarazem i na kable, które miały w myśl moich przypuszczeń pełnić rolę anteny radiowej — podał po prostu rzeczywiste wyniki spotkania! To, co w tym czasie wystukiwał Gernsback, nie miało dla mego IBM najmniejszego znaczenia. Ale to nie wszystko. Podał właściwie rezultaty wszystkich spotkań — pomylił się za to przy ostatnim — w wadze najcięższej. Jedno okazało się pewne niezbitcie: w momencie odłączenia przestawał być w ogóle zależny od dalekopisu, tego u mnie i tego w Rio. Uzyskiwał wiadomości jakąś zupełnie inną drogą.

Kiedy spotniały, z wygasłą fajką, nie mogłem jeszcze przetrwać tego, co widziałem, brazylijski dalekopis oderwał się: Sam podał właściwe wyniki, jak było umówione. t w końcowym doniesieniu wprowadził do listy poprawkę: rezultat walki w wadze ciężkiej odmienił się po ostatecznym werdykcie sędziów, którzy uznali, że waga rękawic Argentyńczyka — zwycięzcy na ringu — była nieprzepisowa.

Tak więc komputer nie pomylił się ani raz. Potrzebna mi była jeszcze jedna wiadomość, którą zdobyłem po zamknięciu numeru, telefonując do Sama; już spał u siebie i zbudzony kłął jak szewc; łatwo mogłem go zrozumieć, bo pytania, jakimi go zasypałem, wyglądały na błahe, a właściwie na idiotyczne po prostu: o której godzinie ogłoszono wynik walki w wadze ciężkiej i w jaki czas potem sędziowie zmienili werdykt? Sam powiedział mi wreszcie jedno i drugie. Walkę unieważniono prawie natychmiast, przy obwieszczeniu zwycięstwa Argentyńczyka, ponieważ sędzia, podnosząc jego rękę, jako zwycięzcy, wyczuł przez skórę rękawicy ciężarek, poprzednio ukryty pod warstwą plastyku, który obluźował się i przesunął podczas walki. Sam wybiegł do telefonu przed ową sceną, w chwili gdy wyliczony Brazylijczyk został na deskach, bo chciał jak najprędzej przekazać wiadomość. A zatem komputer nie zawdzięczał swojej wiedzy odczytaniu myśli Sama, bo podał prawdziwy wynik walki, kiedy Sam go jeszcze nie znał.

Bez mała pół roku robiłem że nocne eksperymenty i dowiedziałem się niejednego, choć nadal nic nie rozumiałem. Odłączony od dalekopisu, komputer najpierw zastygał na dwie sekundy, potem podawał dalszy ciąg komunikatu — przez sto trzydzieści siedem sekund. Do tego momentu wiedział o zdarzeniu wszystko, a potem już nic. Być może jeszcze bym to jakoś strawił, ale odkryłem rzecz gorszą. Komputer przewidywał przyszłość, i to nieomylnie. Nie miało dlań żadnego znaczenia to, czy podawana informacja dotyczy zdarzeń, które już zaszły, czy takich, które dopiero nastąpią — byle mieściły się w granicach dwóch minut i siedemnastu sekund. Jeżeli wystukiwałem mu na dalekopisie informację wymyśloną, powtarzał ją posłusznie, a po wyjęciu kabla od razu milkł; umiał więc kontynuować opisywanie tego tylko, co gdzieś naprawdę zachodziło, a nie tego, co ktoś sobie pomyślał. Taki przynajmniej wyciągnąłem wniosek i wpisałem go do notatnika, z którym się nie rozstawałem. Powoli przywykłem do jego zachowania i sam nie wiem, kiedy zaczęło mi się ono kojarzyć z zachowaniem psa. Jak psa należało go najpierw wprowadzić na konkretny trop, dać mu niejako do porządnego obwąchania początek serii zająć, niby śladów, tak jak pies, potrzebował chwili czasu, żeby sobie utrwalić dane, a gdy dostał ich zbyt mało, milkł albo wykręcał się ogólnikami, czy wreszcie wchodził na trop fałszywy. Mylił z sobą na przykład różne miejscowości o tej samej nazwie, jeśli nie określiłem jednej w sposób całkowicie jednoznaczny. Jak psu, było mu zupełnie wszystko jedno, jakim pójdzie tropem, ale gdy już się na nim znalazł, był niezawodny — w ciągu stu trzydziestu siedmiu sekund.

Nasze nocne sesje, odbywające się zawsze między trzecią i czwartą nad ranem, nabrały charakteru śledczych przesłuchań. Usiłowałem przypierać go do muru, wynaleźć taktykę krzyżowych pytań, a raczej wykluczających się alternatyw, aż wpadłem na pomysł, który, przy swej prostocie, wydał mi się rewelacyjny. Jak pamiętacie, Rogers doniósł o trzęsieniu ziemi w Sherabadzie z Ankary, więc nadawca komunikatu nie musiał tkwić dokładnie tam, gdzie działo się opisywane; dopóki jednak szło o wypadki ziemskie, nie można było wykluczyć tego, że ktoś, człowiek, czy zwierzę chociażby, jest ich obserwatorem, i że komputer potrafi jakoś z tego skorzystać. Postanowiłem sfingować początek komunikatu dotyczącego miejsca, w którym nie ma i nigdy nie było żadnego człowieka, bo szło o Marsa. Podalem mu więc współrzędne areograficzne samego środka Syrtis Minor i doszedłszy do słów „obecnie na Syrtis Minor panuje dzień; obserwując otoczenie, widzimy —” — targnąłem za kabel, wrywając go z gniazdka. Po sekundowej pauzie komputer dokończył „planetę w promieniach słońca” — i to było wszystko. Przeformułowałem ten początek z dziesięć razy na różną modłę, ale nie wycisnąłem z niego ani jednego wyraźnego szczegółu, wciąż rozplątywał się w ogólnikach. Uznałem, że jego wszechwiedza nie sięga planet, a

choć sam nie wiem dobrze czemu, zrobiło mi się od tego jakby nieco lżej.

Co miałem robić dalej? Mogłem oczywiście wystrzelić sensacją pierwszej wody, zdobywając rozgłos i niezły grosz; ani przez chwilę nie brałem tej ewentualności poważnie. Czemu? Sam nie wiem dobrze. Może dlatego, że rozgłos, nadany zagadce, najpierw mnie by wytrącił z jej kręgu; mogłem sobie wyobrazić tłumy techników, które wtargnęłyby do nas, ekspertów, porozumiewających się swoim zawodowym żargonem: bez względu na to, do czego by doszli, zostałbym natychmiast wyeliminowany ze sprawy jako mąciwoda i laik. Mógłbym już tylko opisywać przeżyte wrażenia, udzielać wywiadów i inkasować czeki. Otóż na tym akurat najmniej mi zależało. Gotów byłem podzielić się z kimś tajemnicą, ale nie zrezygnować z niej zupełnie. Postanowiłem więc przyciągnąć do współpracy dobrego fachowca, któremu mógłbym stuprocentowo zaufać. Znałem bliżej tylko jednego, Milтона Harta z MITu. Jest to gość z charakterem, oryginalny, i właściwie anachroniczny, bo kiepsko mu się pracuje w wielkim zespole, a dziś uczony samotnik jest wymierającym mastodontem. Z wykształcenia był Hart fizykiem, a z zawodu informatykiem—programistą: to mi odpowiadało. Co prawda stykaliśmy się dotąd na osobliwym terenie, bo obaj graliśmy w mah-jonga, a nasze pozostałe kontakty były nikłe, ale podczas takiej gry właśnie można się dowiedzieć niejednego o człowieku. Jego ekscentryczność przejawiała się w tym, że wypowiadał ni stąd, ni zowąd w głos różne dziwaczne myśli, pamiętam, jak raz spytał mnie, czy nie jest możliwe, że Bóg stworzył świat nie chcący. Nigdy nie można się było zorientować, kiedy mówi coś serio, a kiedy żartuje, czy zwyczajnie pokpiwa z rozmówcy. Otwartą głowę miał na pewno; zapowiedziawszy się więc telefonicznie, pojechałem do niego w najbliższą niedzielę i jak na to liczyłem, przystał na mój konspiracyjny plan. Nie wiem, czy uwierzył mi od razu, Hart nie należy do ludzi wylewnych, w każdym razie sprawdził wszystko, co mu opowiedziałem, i jako pierwszą rzecz zrobił potem to, co mi w ogóle do głowy nie przyszło. Odłączył mianowicie nasz komputer od federalnej sieci informatycznej. Natychmiast nadzwyczajne talenty mego IBM znikły, jak ręką odjął. Tajemnicza moc nie tkwiła więc w komputerze, lecz w sieci. Jak wiecie, obecnie liczy ona ponad czterdzieści tysięcy ośrodków obliczeniowych, i jak może nie wiecie (ja o tym nie wiedziałem, dopóki mi Hart nie powiedział), ma hierarchiczną budowę, przypominającą trochę układ nerwowy kręgowca. Sieć ma węzły stanowe, a pamięć każdego z nich zawiera więcej faktów, niż mają ich wszyscy uczeni razem wzięci. Każdy abonent opłaca składkę, podług czasu pracy komputerowej, wykorzystanej w ciągu miesiąca, z jakimiś mnożnikami i współczynnikami, bo jeśli problem, który ma abonent, jest zbyt trudny dla najbliższego komputera, dystrybutor włącza mu automatycznie posiłki, brane z rezerwy federalnej, to znaczy z komputerów

idących luzem albo niedociążonych. Tym dystrybutorem, rozumie się, też jest komputer. Dba on o równomierne rozłożenie informacyjnego obciążenia całej sieci oraz pilnuje tak zwanych banków pamięci zastrzeżonej, czyli danych niedostępnych, objętych tajemnicą państwową, militarną i tak dalej. Mina mi się wydłużyła, kiedy Hart mi to mówił, bo choć niby wiedziałem, że istnieje sieć i że UPI jest jej abonentem, myślałem o tym akurat tyle, ile rozmawiając przez telefon myśli się o urządzeniach centrali telefonicznej. Hart, któremu nie brak złośliwości, zauważył, że wołałem sobie wyobrażać moje nocne tête a tête z komputerem jako romantyczne schadzki w oderwaniu od reszty świata, bo było to bardziej w stylu niesamowitych opowieści, aniżeli trzeźwa refleksja, że tkwię w gromadzie abonentów, którzy między trzecią a czwartą nad ranem zwykle śpią, przez co sieć jest wtedy najmniej obciążona i właśnie dzięki temu mój IBM mógł korzystać z jej potencjału tak, jak nigdy by nie mógł w porannym szczycie. Hart sprawdził rachunki, które UPI płaciła jako abonentka, i okazało się, że parę razy mój IBM korzystał za jednym zamachem z sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu procent całej sieci federalnej. Co prawda te nieprawdopodobne obciążenia trwały krótko, po kilkadziesiąt sekund, ale i tak ktoś powinien się być już dawno zainteresować, czemu jakiś dyżurny dziennikarz agencyjnego serwisu pobiera z sieci moc dwadzieścia razy większą od potrzebnej do obliczenia wszystkich rubryk dochodu narodowego? Wprowadzie teraz wszystko uległo skomputeryzowaniu, więc kontrola poborów informatycznych też. wiadomo zaś, że komputery nie mogą się niczemu dziwić — przynajmniej dopóki rachunki płacone są punktualnie, z czym nie było problemów. ponieważ płacił je także komputer, mianowicie nasz. z UPI, buchalteryjny, więc przyszło i to, że za moje zainteresowanie pejzażem Syrtis Minor na Marsie UPI zapłaciła dwadzieścia dziewięć tysięcy dolarów, dość słono, jeśli zważyć, że nie zostało zaspokojone. W każdym razie, choć milczał wtedy jak głaz, mój komputer zrobił, co było w jego i nie tylko w jego mocy, skoro przez osiem minut jego milczenia, przerwanego wykrętnym frazesem, sieć wykonała jakieś biliony i tryliony operacji — widniało to czarno na białym, utrwalone w miesięcznym rachunku. Inna rzecz, że charakter tych syzyfowych prac pozostał dla nas kompletną zagadką. Były to jakieś czysto algebraiczne czary mary.

Ostrzegłem was, że nie jest to historia o duchach. Zjawy zza grobu, przeczucia, mistyczne prorocтва, kłątwy, widma pokutujące i cała reszta tych uczciwych, wyraźnych, wdzięcznych a przede wszystkim prostych stworów znikła z naszego życia raz na zawsze. Żeby dokładnie opowiedzieć o duchu, który wlaził do maszyny IBM przez główną mufę sieci federalnej, należałoby rysować diagramy, pisać wzory, a jako detektywów używać jednych komputerów, żeby się dobierały do innych. Duch nowego typu powstaje z wyższej

matematyki i dlatego jest taki nieprzystępny. Moja historia musi się rozleźć, zanim postawi wam włos na głowie, bo będę teraz wykladał to, co mi powiedział Hart. Sieć informatyczna przypomina elektryczną, tyle że zamiast energii czerpie się z niej informację. Krażenie zaś, czy to energii elektrycznej, czy wiadomości, przypomina ruch wody w zbiornikach połączonych rurociągami. Prąd płynie tam, gdzie spotyka najmniejszy opór, czyli gdzie jest największe zapotrzebowanie. Jeśli przerwać jeden kabel dosłowy, elektryczność sama szuka sobie drogi okólnymi liniami, co zresztą może doprowadzić do przeciążenia i awarii. Obrazowo mówiąc, mój IBM, kiedy tracił łączność z dalekopisem, zwracał się o pomoc do sieci, która ruszała na to hasło z szybkością kilkunastu tysięcy kilometrów na sekundę, bo tak szybko porusza się prąd w przewodach. Nim się zgrały wszystkie wezwane posiłki, mijała jedna do dwu sekund i przez ten czas właśnie komputer milczał. Potem połączenie zostawało jak gdyby odtworzone, ale w jaki sposób właściwie, o tym nie mieliśmy nadal pojęcia. Wszystko, wyjaśnione do tego miejsca, miało bardzo rzeczowy, fizyczny charakter, a nawet dawało się przeliczyć na dolary, tyle że zdobyta wiedza była czysto negatywna. Wiedzieliśmy już, co uczynić, żeby komputer stracił swoje nadzwyczajne talenty: wystarczyło w tym celu odłączyć go od informatycznej mufy. Ale nadal nie pojmowaliśmy, jak mogła mu pomóc sieć, bo i jakże właściwie dobierała się do jakiegoś Sherabadu, gdzie było akurat trzęsienie ziemi albo do sali w Rio, w której odbywał się mecz bokserski? Sieć jest zamkniętym systemem połączonych komputerów, ślepy i głuchy na cały świat zewnętrzny, z wyjściami i wejściami, którymi są dalekopisy, przystawki telefoniczne, rejestratory w korporacjach czy w urzędach federalnych, sterujące pulpity w bankach, w centralach energetycznych, w wielkich firmach, w portach lotniczych i tak dalej. Nie ma ona żadnych oczu, uszu, anten własnych, czujników zmysłowych, a ponadto nie wykracza swoim zasięgiem poza teren Stanów Zjednoczonych, więc jakże mogłaby zdobyć informacje o tym, co działo się w jakimś Iranie?

Hart, który wiedział tu akurat tyle co ja, to znaczy nic, zachowywał się jednak w sposób zupełnie odmienny od mego, bo ani sam takich pytań nie stawiał, ani mnie nie dopuszczał do głosu, kiedy go nimi chciałem zarzucić. Kiedy zaś nie udało mu się już powstrzymać mojej rozeźlonej ciekawości, i kiedy powiedziałem mu niemiłe rzeczy, które łatwo wymykają się z ust między trzecią a czwartą nad ranem po nie przespanej nocy, oświadczył mi, że nie jest wróżką, znachorem ani jasnovidzem. Sieć, jak się okazuje, przejawia własności, których nie zaplanowano w niej ani nie przewidziano; są ograniczone, jak o tym świadczy historia z Marssem, więc mają fizyczny charakter, czyli podlegają badaniu, które może przynieść po pewnym czasie określone wyniki, ale które zapewne nie będą odpowiedziami na moje pytania, ponieważ tego rodzaju pytań w nauce stawiać nie

wolno. Zgodnie z regułą Pauliego. każdy stan kwantowy może być obsadzony tylko przez jedną cząstkę elementarną, a nie przez dwie, pięć albo milion, i fizyka ogranicza się do takiego stwierdzenia, natomiast: nie wolno jej pytać, czemu ta zasada jest przez wszystkie cząstki bezwzględnie przestrzegana i co albo kto zabrania cząstkom zachowywać się inaczej. Zgodnie z zasadą indeterminizmu cząstki zachowują się w sposób tylko statystycznie określony, a w obrębie owego indeterminizmu pozwalają sobie na rzeczy ze stanowiska klasycznej fizyki nieprzyzwoite albo wręcz koszarne, bo naruszają prawa zachowania, ale ponieważ to się dzieje w przedziale nieokreśloności, nie można ich nigdy obserwować na gorącym uczynku naruszania tych praw. I znów nie wolno pytać, jak mogą cząstki pozwalać sobie na te wybryki w indeterministycznym przedziale obserwacji, skąd biorą upoważnienia do takich wyskoków, które zdają się sprzeczać ze zdrowym rozsądkiem, ponieważ sprawy takie do fizyki nie należą. W pewnym sensie doprawdy można by sądzić, że wewnątrz szpary nieokreśloności cząstki zachowują się jak przestępca zupełnie pewien bezkarności dlatego, bo wie, że na pewno nikt go in flagranti nie przyłapie, ale są to antropocentryczne sposoby mówienia, które nie tylko nie dają niczego, lecz wprowadzają w rzecz szkodliwy mętlik, bo zdają się przypisywać cząstkom elementarnym ludzkie intencje jakiejś perfidii czy chytryści. Z kolei sieć informatyczna potrafi, jak wolno sądzić, zdobywać wiadomości o tym, co się dzieje na Ziemi również i tam, gdzie tej sieci w ogóle nie ma ani też żadnych jej czujników. Oczywiście można by oświadczyć, że sieć wytwarza „własne pole percepcyjne” z „gradientami teleologicznymi”. czy też. posługując się podobną terminologią, sporządzić inne pseudo-tłumaczenie. które jednak nie będzie miało żadnej wartości naukowej; chodzi o to. aby się przekonać, co. w jakich granicach, przy jakich warunkach początkowych i brzeżnych sieć może wykonać, a cała reszta należy już do nowożytnych powieści fantastycznych. O tym. że można dowiadywać się o otoczeniu bez oczu, uszu i innych zmysłów, wiemy, bo dowodzą tego specjalnie sporządzone modele i doświadczenia. Dajmy na to, że mamy maszynę cyfrową z optymistą, dbającym o maksymalne tempo obliczeniowych procesów, i że ta maszyna może się poruszać własnym napędem po terenie, który jest w połowie zacieniony, a w połowie osłoneczniony. Jeżeli maszyna przebywając w słońcu będzie się przegrzewała i od tego tempo jej pracy spadnie, optymistą uruchomi napęd i maszyna będzie się poty błąkała po tym terenie, aż trafi w cień, gdzie ochłodłszy, będzie pracowała wydajniej. Tak więc maszyna owa, chociaż nie ma oczu, odróżnia cień od światła. Jest to przykład niezwykle prymitywny, wskazuje jednak na to. że można się orientować w otoczeniu bez posiadania jakichkolwiek zmysłów, skierowanych na zewnątrz.

Hart osadził mnie, przynajmniej na jakiś czas. i zajął się swoimi rachunkami i

eksperymentami, a ja mogłem sobie myśleć, co mi się żywnie podobało. Tego nie mógł mi już zabronić. Być może. myślałem, kiedy jakieś kolejne przedsiębiorstwo włączyło swój komputer do sieci, został bez niczyjej wiedzy przekroczony próg krytyczny, i sieć stała się organizmem. Od razu przychodzi do głowy obraz molocha, potwornego pająka czy elektrycznego wielonoga. kablowymi mackami zarytego w ziemi od Gór Skalistych po Atlantyck, który, wykonując zlecane mu obliczenie ilości przesyłek pocztowych i rezerwując miejsca w samolotach, jednocześnie po cichu knuje straszliwe plany owładnięcia Ziemią i wzięcia ludzkości w niewolę. Oczywiście są to bzdury. Sieć nie jest organizmem takim jak bakteria, drzewo, zwierzę czy człowiek, po prostu powyżej punktu krytycznej złożoności stała się systemem, jak systemem staje się gwiazda albo galaktyka, kiedy nagromadzi się dość materii w przestrzeni, sieć jest systemem i organizmem niepodobnym do żadnego z nazwanych, bo właśnie nowym, takim jakiego dotąd jeszcze nigdy nie było. Myśmy ją sami wprawdzie zbudowali, ale nie wiedzieliśmy do samego końca, co właściwie robimy. Wykorzystywaliśmy ją. ale były to drobne uszczknięcia, ot jakby mrówki pały się na mózgu, zajęte wyszukiwaniem tego, wśród miliarda toczących się w nim procesów, co pobudza ich czułki smakowe i szczęki. Hart przychodził zwykle na mój dyżur koło trzeciej z teczką wypchaną papierami, termosem pełnym kawy, i brał się do dzieła, a ja czułem się wystrychnięty na dudka, cóż jednak mogłem począć, skoro pod względem rzeczowym miał słuszność? Myślałem dalej, po swojemu, wpadając w koleiny dostępnych mi wyobrażeń, a więc, na przykład, przedstawiałem sobie, że świat martwych dotąd przedmiotów, linie przesyłowe, kable podmorskiego telegrafu, telewizyjne anteny, może metalowe siatki ogrodzeń, łuki i zwory mostów, szyny, wyciągi, struny w betonowych gmachach, że wszystko to, za impulsem sieci, ulega nagłemu sprzęgnięciu w jeden olbrzymi układ śledzący, któremu przewodzi akurat mój IBM przez liczone sekundy, bo do tego, że on właśnie stał się ośrodkiem krystalizacyjnym tej potencji, doprowadziło parę błahych przypadków. Ale nawet te moje majaki nie wyjaśniały, chociażby w jakiś mglisty sposób, zdumiewających i tak konkretnych szczegółów, jak talent przewidywania zająć, jak jego dwuminutowe ograniczenie — musiałem więc zmuszać się do milczącej cierpliwości, bo widziałem wszak, że Hart daje z siebie wszystko.

Przechoǳę do faktów. Omawialiśmy z Hartem dwie rzeczy — praktyczne zastosowania efektu i jego mechanizm. Wbrew pozorom, praktyczne perspektywy efektu stu trzydziestu siedmiu sekund nie są ani specjalnie wielkie, ani doniosłe, mają raczej spektakularny charakter — niesamowitego wyczynu. Decyzje, które przesądzają o losach narodów i o biegu historii światowej, nie mieszczą się na ogół w przedziale dwu minut,

ponadto zaś dwuminutowe przepowiadanie przyszłości potyka się o niby drugorzędną, lecz zasadniczą, przeszkodę: po to, żeby komputer zaczął stawiać te swoje nieomyłne prognozy, trzeba pierwiej wprowadzić go na określony trop, nakierować go. a wymaga to czasu, zwykle dłuższego od dwu minut, więc chodzi o zysk pod względem praktycznym przeważnie od razu roztrwoniony. Granicy przewidywania nie można przesunąć ani o ułamek sekundy. Hart przypuszczał, że jest to jakaś stała, constans, o uniwersalnym, chociaż nie znanym nam dotąd charakterze. Zapewne można by bawić się w rozbijanie banków wielkich domów gry, myśleć o zyskach czerpanych z ruletki na przykład, lecz koszt zainstalowania odpowiednich urządzeń byłby niemały (IBM kosztuje ponad cztery miliony dolarów), a zorganizowanie dwukierunkowej łączności, i do tego skrzętnie skrywanej, między graczem przy stole a ośrodkiem obliczeniowym też byłoby niełatwym do zgryzienia orzechem, nie mówiąc już o tym, jak prędko zorientowano by się w tym, że coś jest nie w porządku: zresztą takie wykorzystanie efektu obu nas nie interesowało.

Hart sporządził fragmentaryczny katalog osiągnięć naszego komputera. Jeśli spytacie go o płeć dziecka, które ma Me za dwie minuty urodzić konkretnej kobiecie w konkretnym miejscu, rozpozna tę płeć niezawodnie, lecz trudno uznać taką prognozę za coś godnego zachodu. Jeżeli zaczniecie rzucać monetą lub kostką do gry, podając komputerowi wyniki początkowe serii rzutów, a porem urwiecie podawanie informacji, wyliczy wyniki wszystkich następnych rzutów aż do stu trzydziestu siedmiu sekund w przyszłość, i to jest już wszystko. Musicie oczywiście naprawdę rzucać tą kością czy monetą i podawać komputerowi kolejne wyniki, co najmniej w ilości trzydziestu sześciu do czterdziestu, co silnie przypomina wprowadzanie psa na właściwy trop, jeden z miliardów, bo wszak w tym samym momencie Bóg wie, ilu ludzi rzuca monetami czy kośćmi, a komputer, który jest głuchy i ślepy, musi zidentyfikować w owym zbiorze waszą serię rzutów jako tę jedyną, o którą chodzi. Musicie też naprawdę rzucać kością lub monetą. Jeśli przestaniecie nią rzucać, będzie wystukiwał same zera, a jeśli rzucicie tylko dwa razy, poda tylko te dwa kolejne wyniki. Także i do tego niezbędna jest mu łączność z siecią, chociaż na zdrowy rozum sieć nie może mu w niczym pomóc, skoro rzucacie kością o dwa kroki od niego — i cóż tu ma do rzeczy owa sieć? Wszystko w tym sensie, że odłączony od niej nie wyduka ani sylaby, a nic w tym, że nie pojmujemy tego związku. Zauważcie, że komputer wie z góry, czy będziecie, czy też nie będziecie rzucali kością, a zatem przewiduje rozwój całej sytuacji, to jest nie tylko los kości, to, jakimi powierzchniami do góry upadną, ale i wasz własny los. przynajmniej w obrębie decyzji rzucania lub nierzucania kością. Robiliśmy też i takie próby, że postanawiałem rzucać na przykład sześć razy po kolei, a Hart miał mi to na przemian udaremnić lub umożliwić, przy

czym nie znalazłem jego decyzji w danych rzutach. Okazało się, że komputer zna z góry nie tylko mój plan rzucania, ale i postanowienia Harta, czyli wiedział, kiedy Hart zamierza chwycić mnie za rękę trzymającą kubek, żebym nie mógł wykonać następnego rzutu. Raz zdarzyło się, że chciałem rzucić cztery razy pod rząd, a rzuciłem tylko trzy w przedziale właściwego czasu, ponieważ potknąłem się o leżący na podłodze kabel i nie zdążyłem rzucić kości w porę. Otóż komputer przewidział jakoś to moje potknięcie, dla mnie samego najzupełniej niespodziewane, więc wiedział wtedy o mnie znacznie więcej niż ja sam. Obmyślaliśmy znacznie bardziej skomplikowane sytuacje, w których miałyby uczestniczyć wielu ludzi naraz, ot na przykład takie, żeby doszło do walki, nie pozorowanej, o kubek z kośćmi, ale nie wypróbowaliśmy takich wariantów, bo wymagały czasu i zachodu, na które nie mogliśmy sobie pozwolić. Hart użył też zamiast kości małego przyrządu, w którym poszczególne atomy izotopu rozpadają się, a na ekranie pojawiają się błyski, tak zwane scyntylacje: komputer nie umiał przewidzieć ich dokładniej, niż by to zrobił fizyk, to znaczy podawał tylko prawdopodobieństwa rozpadu. Kości ani monet to ograniczenie nie dotyczy. Widocznie dlatego, bo są makroskopowymi przedmiotami. Ale w naszym mózgu przecież o decyzjach przesądzają procesy mikroskopowe. Widocznie, mówi Hart, nie mają one kwantowego charakteru.

W całym obrazie zdają się tkwić sprzeczności. Dlaczego komputer może przewidzieć to, że potknę się za dwie minuty, chociaż gdy stawia prognozę, sam nie wiem jeszcze o tym, że wykonam ów krok, który doprowadzi do potknięcia, a zarazem nie może przewidzieć, które atomy radioaktywnego izotopu się rozpadną? Sprzeczność, twierdzi Hart, nie znajduje się w samych zdarzeniach, lecz jest własnością naszych wyobrażeń o świecie, a zwłaszcza o czasie. Hart uważa, że to nie komputer przewiduje przyszłość, ale że i o my jesteśmy w pewien osobliwy sposób ograniczeni w postrzeganiu świata. Oto jego słowa: „Jeżeli wyobrazić sobie czas jako linię prostą, rozciągniętą z przeszłości w przyszłość, nasza świadomość jest jak koło, toczące się po tej linii i dotykające jej zawsze tylko w jednym punkcie: ten punkt nazywamy teraźniejszością, która niezwłocznie staje się chwilą minioną i ustępuje miejsca następnej. Badania psychologów wykazały, że to, co bierzemy za moment teraźniejszy, wyzbyty rozciągłości czasowej, jest w istocie odrobinę wydłużone i obejmuje nieco mniej niż pół sekundy. Otóż jest możliwe, że styk z tą linią, jaką stanowi czas, może być jeszcze szerszy, że można przebywać w kontakcie z jej większym odcinkiem naraz, i że maksymalne rozmiary tego odcinka czasowego wynoszą właśnie sto trzydzieści siedem sekund”.

Jeżeli tak jest naprawdę, powiada Hart, to cała nasza fizyka wciąż jest jeszcze

antropocentryczna. bo wychodzi z założenia, które nie są ważne poza obrębem zmysłów i świadomości człowieka. Znaczący to, że świat jest inny, niż dziś głosi fizyka, a jasnowidzenie, jako przepowiadanie przyszłości, elektronowe czy nieelektronowe, nigdy nie zachodzi. Fizyka przeżywa koszarne kłopoty w związku z czasem, który podług jej ogólnych teorii i praw właściwie powinien być doskonale odwracalny, ale nie jest taki wcale. Ponadto zagadnienie pomiarów czasu w skali zjawisk wewnątrzatomowych nasuwa rozmaite trudności, tym większe, im mniejszy jest czasowy interwał do ustalenia. Być może wynika to stąd, że pojęcie teraźniejszości nie tylko jest tak względne, jak o tym mówi teoria Einsteina, czyli jest uzależnione od lokalizacji obserwatorów, ale że jest, też zależne od samej skali zjawisk w tym samym „miejscu”.

Komputer przeżywa po prostu w swojej teraźniejszości fizycznej i ta teraźniejszość jest bardziej rozległa w czasie aniżeli nasza. To, co dla nas ma dopiero nastąpić za dwie minuty, dla komputera już się staje właśnie tak samo, jak dla nas to, co teraz dostrzegamy i czujemy. Nasza świadomość jest tylko częścią tego wszystkiego, co zachodzi w naszym mózgu, i kiedy postanawiamy rzucić kością tylko jeden raz, aby „oszukać” komputer, który ma przewidzieć całą serię rzutów, on się od razu o tym dowiaduje. W jaki sposób? To możemy sobie wyobrazić tylko posługując się prymitywnymi przykładami: błysk i grzmot wyładowania atmosferycznego są równoczesne dla obserwatora bliskiego, a różne w czasie dla oddalonego; błysk, w tym przykładzie, to moja milcząco powzięta decyzja, żeby zaprzestać rzucania kością za kilkanaście sekund, a grzmot to chwila, w której rzeczywiście zaniecham kolejnego rzutu; otóż komputer, w jakiś niewiadomy sposób potrafi wychwycić z mojego mózgu „błysk”, czyli powzięcie tej decyzji; Hart powiada, że ma to ważne konsekwencje filozoficzne, oznacza bowiem, iż jeśli mamy wolną wolę, rozpościera się ona dopiero poza granicami stu trzydziestu siedmiu sekund, tyle że nam samym z introspekcji nic o tym nie wiadomo. W obrębie tych stu trzydziestu siedmiu sekund mózg nasz zachowuje się podobnie jak ciało, które się porusza bezwładnie i nie może zmienić nagle kierunku ruchu, do tego niezbędny jest czas, w którym będzie działała odchyłająca tor siła, i coś w tym rodzaju dzieje się w każdej ludzkiej głowie. Wszystko to nie dotyczy jednak świata atomów i elektronów, bo tam komputer jest tak samo niezaradny jak nasza fizyka. Hart sądzi, że czas nie jest naprawdę jakąś linią, lecz jest to raczej continuum, które na poziomie makroskopowym ma zupełnie inne własności niż „na dole”, tam, gdzie są już tylko atomowe wymiary. Hart przypuszcza, że im pewien mózg lub układ mózgowopodobny jest większy, tym szerszy jest obszar jego styku z czasem, czyli z tak zwaną „teraźniejszością”, natomiast atomy właściwie nie stykają się z nią wcale, lecz niejako wciąż wokół niej tańczą. Jednym słowem

teraźniejszość to coś w rodzaju trójkąta: punktowa, dozerowa tam, gdzie są elektrony i atomy, a najszersza tam, gdzie są wielkie ciała, obdarzone świadomością. Jeżeli powiecie, że nie zrozumieliście z tego ani słowa, odpowiem wam, że ja też tego nie rozumiem i co więcej, Hart nigdy nie ośmieliłby się mówić takich rzeczy z katedry czy opublikować ich w naukowym piśmie. Właściwie powiedziałem wam już wszystko, co zamierzałem opowiedzieć i pozostają mi tylko dwa epilogi, jeden rzeczowy, a drugi stanowiący rodzaj ponurej anegdoty, którą odstępuję wam bez zysku.

Pierwszy był taki, że Hart przekonał mnie i sprawę wzięli w ręce fachowcy. Jeden z nich, wysoka figura, powiedział mi po kilku miesiącach, że po rozebraniu i ponownym złożeniu komputera zjawiska nie udało się już więcej odtworzyć. Nie tyle to wydało mi się podejrzane, ile fakt, że specjalista, z którym mówiłem, był w mundurze. A i to jeszcze, że ani jedna zgłoska tej sprawy nie dostała się do prasy. Sam Hart został od badań szybko odsunięty. On też nie chciał poruszać tego tematu i tylko raz, po wygranej partii mah-jonga, powiedział mi z tego, ni z owego, że sto trzydzieści siedem sekund nieomylnego przepowiadania to w pewnych okolicznościach różnica między zagładą i ocaleniem kontynentu. Na tym utknął, jakby się ugryzł w język, ale, już wychodząc od niego, zobaczyłem na biurku otwarty tom jakiejś pracy, naszpikowanej matematyką, o raketach zwalczających głowice nuklearne. Być może, miał na myśli takie właśnie pojedynki rakiet. Ale to są już moje domysły.

Drugi epilog zdarzył się tuż przed pierwszym, dosłownie w pięć dni przed najazdem chmary rzeczoznawców. Powiem wam, co wtedy zaszło, ale nie będę tego komentował i z góry odmawiam odpowiedzi na wszelkie pytania. Były to już ostatki naszych samotnych eksperymentów. Hart miał przyprowadzić na mój dyżur pewnego fizyka, któremu roilo się, że efekt stu trzydziestu siedmiu pozostaje w związku z tajemniczą liczbą sto trzydzieści siedem, podobno pitagorejskim symbolem podstawowych własności Kosmosu: pierwszy zwrócił uwagę na tę liczbę już nieżyjący astronom angielski, Eddington. Ów fizyk nie mógł jednak przyjść i Hart zjawił się sam. koło trzeciej, kiedy numer szedł na maszyny. Hart nauczył się wprost fenomenalnie postępować z komputerem. Dokonał kilku prostych usprawnień, które ogromnie ułatwiły nasze próby. Nie trzeba już było wyciągać wtyczki z gniazdka, bo w kablu był przycisk, i jednym dotknięciem palca odłączało się dalekopis od komputera. Jak już wiecie, nie można go o nic pytać wprost, ale można mu przekazywać dowolne teksty przypominające ten rodzaj bezosobowo zredagowanej informacji, jakim odznaczają się notatki prasowe.

Mieliśmy zwykłą elektryczną maszynę do pisania, pełniącą rolę dalekopisu. Wystukiwało się na niej odpowiednio ułożony tekst i urywało się go w wybranym z góry

momencie, tak by komputer został niejako zmuszony do kontynuowania sfingowanej „wiadomości”.

Hart przyniósł tej nocy kostki do gry i rozkładał właśnie swoje rzeczy, kiedy zadzwonił telefon. Był to dyżurny linotypista. Blackwood. Należał do wtajemniczonych.

— Słuchaj — mówi — mam tu Amy Foster. wiesz, żonę Billa. udało mu się uciec ze szpitala, wpadł do domu, zabrał jej siłą klucze od wozu. wsiadł i pojechał, no, we wiadomym stanie, dała już znać policji, a teraz przyleciała tutaj, że może my jej coś pomożemy. Ja wiem. że to nie ma sensu, ale jest ten twój prorok — może on by coś skombinował, jak myślisz?

— Nie wiem — mówię — nie wyobrażam sobie... ale... wiesz... trudno ją tak odprawić, słuchaj, przyślij ją do nas, niech pojedzie służbową windą.

A ponieważ ta jazda musiała trwać chwilę, zwróciłem się do Harta i tłumaczę mu. że nasz kolega, dziennikarz. Bill Foster. w ostatnich dwu latach rozpił się. pociągał nawet na dyżurach, aż go wylano z pracy, wzmocnił to wtedy psychodelikami. miał w ciągu miesiąca dwa poważne wypadki samochodowe, bo prowadził półprzytomny, odebrano mu prawo jazdy, w domu było piekło, wreszcie żona oddała go z ciężkim sercem na kurację odwykową, a teraz wymknął się jakoś ze szpitala, wrócił do domu. zabrał auto i wyjechał nie wiadomo dokąd — rozumie się. co najmniej pijany. Może i po narkotyku. Żona przysłała tu. policji dała już znać, szuka pomocy, rozumie pan. doktorze, jak to jest. Właśnie zaraz tu będzie. Jak pan uważa — możemy coś zrobić? I pokazuję oczami komputer.

Hart nie zdziwił się. nie jest to człowiek, którego łatwo zaskoczyć, i powiada: — Cóż ryzykujemy? Proszę połączyć maszynę z komputerem. — Jeszcze to robił, kiedy pojawiła się Amy. Widać było po niej, że nie dała mu tak od razu tych kluczyków. Hart podsunął jej krzesło i powiada: — Proszę pani. chodzi nam o czas. nieprawdaż? Więc proszę nie dziwić się żadnym pytaniom, które będę pani zadawał, tylko proszę odpowiadać podług najlepszej wiedzy. Najpierw potrzebne mi są dokładne dane osobiste męża: imię, nazwisko, wygląd, i tak dalej.

Ona, niezłe nawet opanowana, tylko ręce się jej trzęsą, mówi:

— Robert Foster, Sto trzydziesta szósta Ave., dziennikarz, trzydzieści siedem lat, pięć stóp siedem cali wzrostu, brunet, nosi rogowe okulary, na szyi poniżej lewego ucha ma białą bliznę po wypadku, sto sześćdziesiąt dziewięć funtów wagi. grupa krwi zero... czy to wystarczy?

Hart nie odpowiada, lecz zaczyna stukać. Równocześnie na ekranie pojawia się tekst: „Robert Foster, zamieszkały przy Sto trzydziestej szóstej ulicy, mężczyzna średniego wzrostu, z białą blizną poniżej lewego ucha. o grupie krwi zero. wyjechał dziś z domu autem —

— Proszę o markę i rejestrację wozu — to do niej.

— Rambler. N.Y., sześćset pięćdziesiąt siedem dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa.

— „Wyjechał dziś z domu autem marki Rambler. N.Y. sześćset pięćdziesiąt siedem dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa i znajduje się obecnie...”

Tu doktor naciska wyłącznik. Komputer zdany jest na siebie. Nie waha się ani chwili, tekst na ekranie rośnie:

„I znajduje się obecnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zła widoczność, spowodowana deszczem, przy niskiej powłoce chmur, utrudnia prowadzenie.”

Hart wyłącza komputer. Namyśla się. Zaczyna pisać jeszcze raz od początku, z tą różnicą, że po „znajduje się”, pisze dalej „na odcinku drogi pomiędzy” — tu wyłącza znów dopływ informacji. Komputer kontynuuje bez wahania: „Nowym Jorkiem a Waszyngtonem. Jadąc skrajnym pasem, wyprzedza długą kolumnę samochodów ciężarowych i cztery cysterny SHELLA, przekroczywszy dozwoloną szybkość maksymalną”.

— To już jest coś — mruczy Hart — ale nie wystarcza nam kierunek, musimy wycisnąć więcej. Każe mi skasować to, co było, i zaczyna jeszcze raz. „Robert Foster... i tak dalej... znajduje się na odcinku drogi pomiędzy N.Y. a Waszyngtonem, pomiędzy kamieniem milowym numer...” tu wyłącza kabel. Komputer robi wtedy coś. czegośmy jeszcze nie widzieli. Anuluje część tekstu, który już się pojawił na ekranie, i czytamy: „Robert Foster... wyjechał z domu... i znajduje się obecnie w mleku na poboczu drogi Nowy Jork — Waszyngton. Należy się obawiać, że strata, poniesiona przez firmę Muller-Ward, nie zostanie pokryta przez Towarzystwo Ubezpieczeniowe United TWC, ponieważ wygasła przed tygodniem polisa nie została odnowiona”.

— Czy on zwariował? — mówię. Hart daje mi znak, żebym siedział cicho. Zaczyna pisać jeszcze raz. dochodzi do krytycznego miejsca i wystukuje: „znajduje się obecnie na poboczu drogi Nowy Jork — Waszyngton w mleku. Jego stan...” — tu urywa. Komputer ciągnie dalej: „jest taki, że nie nadaje się do spożycia. Z obu cystern uszło łącznie 29 hektolitrów. Przy obecnych cenach rynkowych...”

Hart każe mi skasować to i mówi do siebie „typowe nieporozumienie, był w porządku z gramatyką, bo „jego” mogło się odnosić tak do Fostera, jak do mleka. Jeszcze raz!”

Włączam komputer. Hart uparcie pisze ten dziwaczny „komunikat”, po owym mleku daje kropkę i młóci od nowej linii „Stan Roberta Fostera w obecnej chwili jest...” urywa, komputer zaś zamiera na sekundę, potem oczyszcza cały ekran — mamy przed sobą pusty, mgławo świecący kwadrat bez jednego słowa — wyznaję, że włosy zaczęły mi stawać na głowie. Potem formułuje się tekst: „Robert Foster nie jest w żadnym poszczególnym stanie,

ponieważ właśnie przecinał autem marki Rambler N.Y. 657 992 granicę międzystanową”. A żeby cię diabli wzięli... myślę, oddychając z ulgą. Hart. z twarzą wykrzywioną nieprzyjemnym śmieszkiem, znów poleca mi znakiem skasować wszystko i bierze się do tego od początku. Po słowach „Robert Foster przebywa obecnie w miejscu, którego lokalizacja opiewa” — naciska wyłącznik. Komputer kontynuuje: „rozmaicie w zależności od tego. jakie kto żywi na ów temat poglądy. Należy uznać, iż chodzi o osobiste opinie, których podzielenia, zgodnie z naszymi obyczajami i naszą Konstytucją, nikomu nie można narzucać. W każdym razie tego zdania jest nasze pismo”. Hart wstaje, sam wyłącza komputer i daje mi głową dyskretny znak, żebym wyprowadził Amy, która, jak mi się zdaje, nic z tej całej magii nie rozumiała. Kiedy wróciłem, telefonował, ale mówił tak cicho, że nic nie dosłyszałem. Odłożywszy słuchawkę, popatrzał na mnie i mówi:

— Przejechał na przeciwbieżny pas i czołowo zderzył się z cysternami, które wiozły mleko do Nowego Jorku. Żył jeszcze około minuty, kiedy wyciągali go z wozu; dlatego on się wyraził najpierw „znajduje się w mleku”. Kiedy powtórzyłem ten fragment po raz trzeci, już było po wszystkim, no, i w samej rzeczy można żywić rozmaite opinie na temat, gdzie przebywa się po śmierci, a nawet, czy przebywa się wtedy gdziekolwiek.

Jak widzicie z tego, wykorzystywanie tak nadzwyczajnych szans, jakie daje nam postęp, nie zawsze jest rzeczą łatwą, nie mówiąc już o tym, że może to być dosyć koszmarne zabawa — zważywszy mieszaninę żargonu dziennikarskiego i bezbrzeżnej naiwności, czy, jeśli wolicie, obojętności na ludzkie sprawy, jaką — siłą rzeczy — okazuje maszyna elektroniczna. Możecie w wolnej chwili porozprawiać o tym, co wam opowiedziałem. Sam nie mam już nic, ale to nic do dodania. Osobiście wolałbym posłuchać teraz innej jakiejś historii, żeby o tej zapomnieć.

EDUKACJA CYFRANIA

Kiedy Klapaucjusza powołano na rektora uniwersytetu, Trurl, który został w domu, bo nie cierpiał wszelkiego, więc i uniwersyteckiego rygoru, sporządził sobie w przystępie dojmującej samotności zgrabną maszynkę cyfrową, tak zmyślną, że sekretnie widział w niej już swego następcę i dziedzica. Co prawda różnie tam między nimi bywało i podług humoru oraz postępów nauczania nazywał ją raz Cyfrankiem, Cyfranusem i Cyfraniątkiem, a raz — Cyfrantem. Przez jakiś czas grywał z nią w szachy, aż poczęła mu dawać mata za matem, a kiedy zwyciężyła na międzynebularnym turnieju stu mistrzów naraz, dając im hektomata, zląkł się Trurl skutków nazbyt jednostronnej specjalizacji i by rozluźnić w Cyfraniu ducha, zlecił mu studiować na przemian chemię z liryką, popołudniami zaś oddawali się wspólnie niewinnym igraszkom w rodzaju odnajdywania rymów do wyszukanych słów. Tak właśnie działo się jednego razu. Słonko grzało, cicho było w pracowni, przekaźniki ćwierkały i słyszeć było tylko rymowanie na dwa głosy.

— Obmawian? — rzucił Turl.

— Szczawian.

— Zenek?

— Tlenek.

— Motylek?

— Etylek.

— Granat? — Wanad.

— Ksieni?

— Utleni.

— Kniaź?

— Maż.

— Cóż, u licha, wciąż tylko chemia! — obruszył się Trurl. — Nie możesz ruszyć innym konceptem? Ubit!

— Rubid.

— Ożłopan?

— Propan.

— Stryjna?

— Poliwalencyjna.

— Przodek?

— Jodek.

— Sylen?

— Etylen.

— Dość tej chemii! — zgniewał się Trurl, widząc, że tak może to iść w nieskończoność.

— A to czemu? — zaproponował Cyfranek. — Nic mi jej nie wzbrania. Nie można zmieniać reguł w toku gry!

— Nie mądrz się! Nie będziesz mnie uczył, co można, a czego nie można.

Tymczasem malec rzekł spokojnie:

— Teraz ty. Benzen? Trurl milczał.

— Hafn? Beryl? Ferryt? Azot? Dziękuję, wygrałem! — rzekł Cyfranio. Trurl dyszał przez chwilę, rozglądając się za śrubokrętem, lecz opanowawszy irytację, rzekł:

— Dość na dziś zabawy. Zajmiemy się teraz sztuką wyższą, a mianowicie filozofią, jest to bowiem królowa nauk i jako taka dotyczy absolutnie wszystkiego. Spytaj mnie o coś, a udzielę ci odpowiedzi dwa razy, raz zwyczajnie, a raz filozoficznie!

— Czy cieplica to wystygła zimnica? — spytała maszynka. Trurl odchrząknął i rzekł:

— Nie, nie o takie pytania idzie — to dotyczy tylko słownika...

— Ale powiedziałeś przecież, że filozofia dotyczy wszystkiego! — upierał się Cyfranek.

— Spytaj mnie o coś innego, kiedy ci mówię!

— Dlaczego dobry złodziej nie jest tym samym, czym zły dobrodziej?

— Skąd bierzesz takie idiotyczne pytania?! — obruszył się Trurl. — No dobrze. Nie masz jeszcze wprawy, to zrozumiałe. Czy wiesz, czego pragniesz?

— Poróżniczować sobie trochę.

— Nie w tej chwili, ośle, tylko w życiu!

— Pragnę sławy większej niż twoja!

— Jest to rzecz płonna, niegodna starań, a już na pewno nie nadaje się na życiowy cel!

— To czemu wieszasz na ścianach wszystkie dyplomy i odznaczenia?

— Tak sobie! To nie ma znaczenia. Nie przeszkadzaj mi wciąż, bo cię zaraz przeprogramuję!

— Nie możesz tego zrobić, byłoby to nieetyczne.

— Dostyc tego. Idziemy na strych — zrobię ci pokazową lekcję filozofii, tylko słuchaj, ucz się i nie przerywaj mi wciąż!

Poszli więc, Trurl przystawił do dymnika drabinę, wlaź na nią, za nim wspiął się

Cyfranek i obaj stanęli na dachu, skąd rozpościerał się rozległy widok.

— Spójrz na drabinę, po której weszliśmy ze strychu — powiedział życzliwie Trurl. — Kupiłem ją okazyjnie, a że była zbyt długa i nie chciałem jej skracać, boż porządne drewno, wybiłem w dachu dziurę i wysunąłem nadmiar przez ten otwór. Jak widzisz, wystaje teraz dwa metry ponad dach. Kiedy włączysz na nią z dołu, każdy twój krok, postawiony na kolejnym szczelbu, ma sens zarazem jednoznaczny i wyraźny. Lecz jeśli będziesz leżeć dalej, zostawiwszy pod sobą strych i dach, sens, jaki tkwił w poprzednich twoich stąpieniach, ulotni się na poziomie kalenicy i już żadnego żadnego wtedy nie będzie, jak tylko ten, który sam włożysz w swe poczynania! Więc wolno mówić: „włóż na dach”, kiedy pytają o to, po co stawiamy nogi na niskich szczelbach, ale nie można już odpowiadać tak samo, kiedy się wysoko zalezie! Tam, na górze, mój Cyfraniu, trzeba już samemu wymyślać sobie cele i sensy. In ovo jest to cała teoria wyższych butów, czyli rozumu, który wychynawszy z koziółków i awantur materii, poczyną się dziwować temu, że jest właśnie rozumny, i nie wie, co by miał z sobą począć, jako też, co oznacza ta jego rozterka! Zapamiętaj me słowa, bo to nader głęboka przypowieść z wydźwiękiem filozoficznym!

— Czy nie znaczy to, że zaniósł nas zbyt wysoko? — spytał maluch.

— Poniekąd z samego impetu, bo ten proces leci bez pohamowania, kiedy nabierze już rozpędu. Teraz skup się, bo będę ci mówił o różnicy między tym, co możliwe, i tym, co niemożliwe.

— Sam słyszałem, jak mówiłeś wujkowi Klapaucjuszowi, że możesz wszystko! — wypalił Cyfranio.

— Będziesz ty wreszcie cicho? Mówiłem to w innym sensie. Wiedza likwiduje zdziwienie, bo tego, kto wszystko wie, nic nie zaskoczy! Toteż nic nie może mnie zadziwić, uważasz?

— A gdyby zaszło to, co masz za niemożliwe, też byś się nie zdziwił?

— Nie mów głupstw. To, co niemożliwe, nie może zajść. Gdyby na przykład w tej chwili spadł do naszego ogródka meteor —

Nie dokończył, gdyż coś świsnęło przeraźliwie, dom zatrząsł się cały, kilka dachówek wyprysnęło z dachu, drabina zadygotała, a w ogródku urosła kolumna pyłu, po czym zjawisko skończyło się równie nagle, jak zaszło.

— Coś spadło z nieba! Na pewno meteor! Nie zdziwiłeś się? — pisnęła uradowana maszynka.

— Ani trochę — skłamał Trurl, który omal nie zleciał z kalenicy. — Zaszła rzecz wcale korzystna ze względu na lekcję. Był to czysty przypadek, czyli tak zwana koincydencja

zajść od siebie niezależnych. Statystyki powiadają, że upadek meteoru na spokojne domostwa jest rzeczą możliwą, jakkolwiek nader rzadką. Niemożliwe byłoby atoli, żeby po tym meteorze upadł zaraz następny, a to, ponieważ —

Cyfranio nie zdawał się go słuchać zbyt uważnie, bo wychyliwszy się za skraj dachu, oglądał solidny lej, obwałowany szczątkami ogrodzenia i truskawek; w jego dnie lśniło coś niczym szklana bryła.

— Tam coś jest — odezwał się. Wtem znów zawyło, huknęło, gruchnęło i wzbilo się kurzawą opodal dziury w ziemi.

— Drugi meteor! Teraz na pewno się już zdziwiłeś! — piszczał zachwycony Cyfranio.

— Meteory nie padają dwa razy w to samo miejsce — to się nie zdarza! — zawyrokował Trurl, odzyskawszy przytomność umysłu. — Nie jest wykluczone, że obserwujemy nowy typ fatamorgany... Gdyby jednak miała to być rzeczywistość, wykluczyłaby na bardzo długi czas następny upadek meteoru, albowiem rozkład statystyczny —

Zagrzmiało i w chmurze szczątków, wyrzuconych w powietrze, wrył się w ziemię między dwoma lejami jakiś kształt połyskliwy, a tak potężnie, że dom zanosło jak łódkę na fali.

— Trzeci! — pisnął uszczęśliwiony Cyfranio.

— Kryj się! — zagłuszył go Trurl, spadając z drabiny na strych i pociągając za sobą pupila. Podniósłszy się i otrzepawszy z grubsza, zbiegli, nic już filozoficznie nie roztrząsając, do ogrodu. Trurl obszedł trzy wielkie leje, trzęsąc głową i nieznacznie wzdychając, wreszcie przykucnął na brzegu najmniejszego.

— Dziwisz się?! — triumfował za nim maluch. — A ja się wcale nie dziwię, bo matematyka idzie przed twoją filozofią! Zbiór planet przecina się ze zbiorem meteorów, dając taki podzbiór, w którym meteory przynajmniej raz wlatują w truskawki. W tym podzbiórze musi się znajdować pod — podzbiór planet, na które meteory padają dubeltowo, a w nim podpodzbiór zderzeń trzykrotnych!

— Bzdury — odrzekł Trurl z roztargnieniem, bo zdrapywał piasek i glinę z tajemniczej bryły na dnie leja. — Dlaczego właśnie NAM to się miało przydarzyć?

— Dlatego, ponieważ komuś musiało, zgodnie z dystrybucją normalną — wypalił Cyfranek.

— A w jakim podzbiórze znajdują się meteoryty nadziewane instrumentami muzycznymi? — spytał Trurl, powstając, Cyfranio zaś, spojrzawszy w głąb leja, wydał zdumione piśnienie.

Trurl poszedł do drewnitni i wezwał głosem koparkę, która jednak, będąc rozumną, strwożona grzmotami z jasnego nieba drżała wtulona w kąt, ani myśląc go słuchać.

— Oto skutki zbyt doskonałej automatyzacji! — burknął Trurl, widząc, że nikt go nie wyreczy. Jakoż przy pomocy łopaty i oskarda wydobył z mniejszego leja nieregularny złom lodu, przybrudzony ziemią, we wnętrzu mętny, lecz gdy się patrzyło w głąb, majaczył tam walcowaty cień z węzowo spletaną taśmą. Przyniesionym z pracowni młotkiem jął odkuwać lód ostrożnie, by nie uszkodzić wmarzniętego weń przedmiotu. Bryła pękła na koniec i wytoczył się z niej amarantowy walec, opatrzony wyszywaną złotem taśmą, który stuknąwszy o stylisko porzuconej łopaty, zahuczał donośnie.

— Bęben... — zadziwiła się maszynka, podnosząc go z ziemi. Był to w samej rzeczy orkiestrowy bęben z podstawką, wybornie zachowany, obsyty kozłą skórą. Cyfranio spróbował zaraz wygrać na nim mały tryl.

Tymczasem Trurl, nic nie mówiąc, wziął się do drugiego leja, bo i w nim tkwiła bryła lodu, większa znacznie od pierwszej. Tłukł metodycznie młotkiem, aż spod odskakujących okruchów lodu wynurzyły się dwa równoległe futerały skórzane, po wierzchu zasznurowane zygzakiem, dalej zaś szły parzyste słupy spowite w zielony materiał. Trurl nie ustawał w pracy i niebawem obiekt ów spoczął na trawie, wyzwolony z lodowych okowów.

Okrywający go materiał twardy był jak szkło, ozdobiony rzędem złotych guzików, z jednej strony obramowany wyłożonym kołnierzem, z którego sterczała pałuba zakryta sukiennym okrągłakiem, z drugiego zaś końca wystawały słupy w futerałach.

— Ani chybi Istota z Gwiazd! — zawołał podniecony Trurl. — Rury, jakie ma na nogach, zwą się sztylpami — widziałem podobne w atlasie starożytności u mego mistrza Kerebrona! To robot zamierzchły, zgoła archaiczny, ucz się i patrz! Przestań walić w bęben, bo mi uszy pękną! To jego kurta ozdobna, to kapelusz, a co dzierży w dłoniach? Pałki! Należą do bębna, bęben do nich, skąd wniosek, że mamy przed sobą dobosza! Czy podążasz za byстрыm biegiem mojej myśli?

— Nawet go wyprzedzam! — zawołała zuchwale maszynka. — Jeśli bęben i dobosz lecieli razem, znaczy to, że mieli wspólną trajektorię, nie byli jednak zamknięci w meteorach, bo one nie miewają tak zbliżonych torów, więc truskawki zniszczyła nam lodowa kometa! Skoro tak, są to trzy fragmenty jej jądra. Nie zdziwiłbym się ani trochę, gdyby w trzecim tkwił dyrygent albo czellista!

— A to czemu, mój mądralo? — pytał zbity z pantaląku Trurl.

— Ponieważ ta kometa musiała zawadzić ogonem o całą orkiestrę! To w każdym razie zupełnie prawdopodobne...

— Nie ruszaj go! Nie dotykaj niczego! Siedz spokojnie, póki ci nie powiem, słyszysz?
— rozeźlił się znowu Trurl, umocniwszy się zaś w zwierzchniej pozycji tym strofowaniem, przystąpił do dalszych oględzin Istoty.

— Te sztylpy są z klamerkami — rzekł pouczająco. — Ale czemu materiał skamieniały? Ba, ba, wiadomo, zmarznięty na kość, jak i jego właściciel! Moglibyśmy go zbadać spektroskopem, uważasz, biorąc małe próbki, lecz poznamy wówczas tylko jego budowę chemiczną, a ta nie powie, w jaki sposób dostał się do lodowego grobu! Wsadzimy go do zmartwychwstajni, tak będzie najlepiej!

Siedział w kucki nad Istotą z Gwiazd, głęboko zamyślony.

— Gdyby się nam powiodło, będziemy mogli stawiać jej pytania i uzyskamy cenne odpowiedzi. Lecz jaką matrycę rezurekcji zastosować? Oto pytanie! Nie jest to przedstawiciel klasy Silicoidea, rząd Festinalentinae, ani cyberak, tym bardziej cyberyba...

— Zwykły perskusista, mówię przecież! Najlepiej położyć go na piecu! — wrzasnęła swoje maszynka.

— Cicho siedź! Robot robotowi nie równy... Umieszczenie na piecu nie jest żadną sztuką i nie wymaga interwencji wiedzy, jaką posiadam! Łatwo palnąć głupstwo! Bęben może być rekwizytem zbijającym z tropu, czyli kamuflażem, wtedy zabieg ożywienia okaże się nader niebezpieczny, jeśli to jest zabójczy maszynak, którego jakiś złowrogi budowniczy wysłał w Kosmos za upatrzonym — bo i tak bywa! Lecz z drugiej strony do podjęcia wskrzesicielskich zabiegów skłania imperatyw kosmicznej życzliwości, pojmujesz? Takim sposobem wprowadziłem w rzecz etykę. Może dowiemy się czegoś więcej, sięgnąwszy do trzeciej jamy!

Jak powiedział, tak uczynił pod okiem bystrego Cyfranka, który przeszkadzał mu wciąż roztrępnymi pytaniami, aż zgniewany Trurl jął walić młotem w lód coraz silniej. Rozległ się przeraźliwy trzask, rozkuwana bryła pękła na dwoje, a wraz z nią — zamknięty w niej okaz. Trurl aż zaniemówił na mgnienie.

— To przez ciebie! Ażeby cię...

— A życzliwość kosmiczna? — szepnął Franio, też mocno zresztą stropiony.

Trurl patrzył dobrą chwilę w lśniące lakiery z klamrami, granatowe skarpety w czerwony prążek i zimne łody, co wystawały, oczyszczone już, z połówki lodowego bloku. Nadzwyczajna schludność tych obiektów zafascynowała go.

— Byłaby to istota oddająca cześć dolnym futerałom swoim? — rzekł, myśląc w głos. — Dziwne! Nie jestem też pewien, czy powiedzie się próba ożywienia rozdzielonych połówek... należałoby je pierwiej złączyć na powrót!

Przykląkszy, z bliska przyjrzał się temu, co rozpekły miał w środku. Płaszczyzna przełomu lśniła lodowymi kryształkami, ukazując chaotyczne esy i floresy urządzeń wewnętrznych.

Trurl podrapał się w głowę.

— Czyżbyśmy mieli przed sobą istotę zbudowaną z kleju, jedną z tych, o jakich pisał starożytny cybermistrz Klibaber? Mielizbyśmy przed sobą jednego z praturbylców Galaktyki, zamierchłego Jelczaka, zwanego w legendach Człakiem? Tyłem światów przebiegł, w tyłu systemach po — bywałem, a nie zdarzyło mi się jeszcze ujrzeć na własne oczy Myślącego Maślaka! O, muszę wszystkie siły przyłożyć, by wskreszenie się powiodło! Co za okazja do rozmowy na tematy ontologiczne, nie wspominając o minie, jaką robi twój wujek Klapaucjusz! Ale jakże beładnie skonstruowany jest ten pęknięty! Biedny pękniśiu, zaiste gordyjskie masz wąpzia, ani tu śruby założyć, ani klamry, i nie wiadomo, co do czego pasuje! Jeno ogólny stan za — lodzenia trzyma w kupie te wszystkie krętowidła i rosolisy!

— Tato — rzekła maszynka, która zaglądała mu przez ramię — to nie jest Człak, Maślak ani Jelczak, tylko zwykły Chandroid!

— Co? Jak? Nie przeszkadzaj! Co mówisz? Chandroid? Android chyba!

— Nie, właśnie Chandroid, czyli android ogarnięty chandrą! Właśnie wczoraj wyczytałam o takich z encyklopedii!

— Nonsens! Skąd możesz to wiedzieć?

— Bo ma w ręku puchar.

— Puchar? Jaki puchar? To tam w lodzie? A rzeczywiście! No i co z tego?

— W takim pucharze podają zwykle cykutę, więc skoro sam chciałem ją wypić, jest niedokonanym samobójcą, a skąd chęci suicydalne, jeśli nie od taedium vitae, czyli od chandry?

— Zbyt ryzykowne sylogizmy! Niepoprawnie rozumujesz! Nie tak cię uczyłem! — wyrzucił z siebie Trurl pospiesznie, dźwigając blok lodowy, który zawierał korpus Chandroida. — Nie czas teraz zresztą na takie rozważania. Idziemy na górę!

— Do pieca? — spytała maszynka, podskakując na miejscu w największym podnieceniu. — Do pieca, do pieca!

— Nie do pieca, lecz na zapiecek! — sprostował Trurl. Przed ułożeniem Chandroida na zapiecku wziął się do żmudnej pracy anterowania. Przysuwał atomy do atomów drętwiącymi rękami, bo musiał pracować w sztucznym mrozie, miał też chwile poważnych wątpliwości, co do czego należy, taki panował w Chandroidzie bałagan, na szczęście mógł się orientować według powierzchni, to jest sukiennego odzienia, bo obszyte skórą guziki

wyraźnie wskazywały, gdzie przód, a gdzie tył.

Kiedy położył obie istoty w ciepłe, zeszedł do pracowni, aby pokartkować na wszelki wypadek Wstęp do Wskrzeszalnictwa. Ślęczał nad książkami, gdy na piętrze rozległy się łomotania.

— Zaraz! Zaraz — krzyknął Trurl i pobiegł na górę. Robot w sztylpach siedział na przypiecku, obmacując się ze zdziwieniem, Chandroid zaś jak długi leżał na podłodze, pragnąc bowiem wstać, stracił równowagę i upadł.

— Szlachetni przybysze! — ozwał się z progu Trurl — witam was w moim domu! Zamknięci w lodowych bryłach, spadliście do mego ogrodu, rujnując mi truskawki, czego nie mam wam wszakże za złe. Odkułem was z lodu, a potem za pomocą inkubacyjnej reanimacji termicznej oraz intensywnej resuscytacji doprowadziłem do przytomności, jak sami widzicie! Nie wiem jednak, skądęście się wzięli w tym lodzie, i pałam silną ciekawością poznania waszych losów! Wybaczcie obcesowość, a co do reszty, malec, który podskakuje u mego boku, jest moim potomkiem nieletnim...

— A kim waść jesteś? — spytał słabym głosem Chandroid, który wciąż jeszcze siedział na podłodze i obmacywał się po całym korpusie.

— Panowie przybysze — ty w skórzanych sztylpach oraz ty, pałaco i mokro wpatrzony we mnie, wiedzcie, że jestem konstruktorem omnigenerycznym, imieniem Trurl, dość znanym. To miejsce jest pracownią moją na Ósmej Planecie Słońca, którego do niedawna nie było, gdyż skonstruowaliśmy je pospołu z druhem Klapaucjuszem w ramach czynu społecznego z mgławicowych odpadów. Zajęcie me stanowi od eonów doświadczalna ontologia, połączona z optymalistyką w zastosowaniu do wszystkich Rozumów Universum! Pojmuję, że nagle znalezienie się na obczyźnie, a jeszcze w taki sposób, przyprawiło wasze jestestwa o pewien wstrząs, zbierzcie atoli myśli i wyznajcie, coście za jedni, gdyż tak przyspieszymy ogólne porozumienie!

— A z Bolicją Gróla Zbawnucego nie masz acan żadnych powiązań? — spytał dość słabym głosem dobosz z pieca.

— O tym Królu, jakoż też o jego Policji nic mi nie wiadomo... zakatarzonyś waszmość? Rozumiem — to z przeziębienia, każdy by się zaziębił w takim chłodzie... może lipowego kwiatu?

— Nie jestem zakatarzony, a tylko mówię z cudzoziemska — wyjaśnił robot w sztylpach, przyglądając z wyraźną ulgą złote szamerowania na piersi.

— Król, któremu poniekąd uszedłem, zwie się w samej rzeczy Grólem, a to z tej przyczyny, że nie Państwem rządzi, lecz Baństwem... ale to cała historia.

— Opowiadaj ją pan! prosimy! — zapiszczała maszynka w podskokach. Trurl uciszył ją srogim spojrzeniem i powiedział:

— Nie chciałbym naglić — bądźcie moimi gośćmi, proszę! A waszmość — czy jesteś Androidem, czy też Maścicielem?

— W głowie mi jeszcze szumi — odrzekł siedzący na podłodze. — Meteor lodowy? Kometa? Może być! Może to być! Kometa, ale nie ta! Musiałem przegapić moją! Oj, będzie mi, będzie!

— To pan nie jesteś Chandroidem? — spytał rozczarowany Cyfranio.

— Chandroidem? Nie wiem, co to takiego. W głowie mi szumi.

— Nie zważajcie, proszę, na tego malucha! — odezwał się Trurl, piorunując wzrokiem Cyfrania. — Panowie, widzę, że przeszliście siła tarapatów, toteż przeproszam za niewczesne ponaglenia do wzajemnych przedstawień i proszę na pokoje, abyście mogli się nieco ochędożyć i ukoić, a też posilić co nieco!

Po wieczerzy, spożytej w milczeniu, oprowadził Trurl niezwykłych gości po całym swoim domostwie, pokazał im pracownię i bibliotekę, a na koniec zawiódł ich na strych, gdzie miał szczególnie osobliwe okazy.

Strych ów urządzony był na kształt sali muzealnej. Na półkach stały eksponaty w oleju, parafinie i wyskoku, a spod pułapu, zaczepiony na tęgiej belce, zwisał masywny automat, czarny jak węgiel i na pozór martwy. Ożywił się wszakże, gdy doń podeszli, i usiłował kopnąć rzekomego Chandroida.

— Zechciej pan uważać, gdyż moje pomoce naukowe funkcjonują! — wyjaśnił Trurl. — Automat, jaki widzicie panowie na tej linie stalowej, zbudował osiemset lat temu pramistrz starożytności, arcydoktor Nyngus. Postanowił on stworzyć Myśłowca religijnego i dobrego, tak zwanego robota dewota, czyli Pobożnika. Ostrożnie, panie doboszu, on nie tylko kopie, lecz i gryzie czasem.

— Daj mi się Boże urwać, a zobaczysz, co potrafię! — wygrzytał zacinającymi się trybami czarny Pobożnik.

— Jak widzicie, panowie — ciągnął z naukowym zapalem Trurl — on nie tylko mówi, kopie i gryzie, ale solennie wierzy!

Tu jednak mechaniczny fideista podniósł taki wrzask, że całe towarzystwo zmuszone było czym prędzej opuścić strych.

— Skutki wiary bywają nieobliczalne — tłumaczył Trurl, kiedy opuszczali się spółem po drabinie. Zasedli na koniec w bawialnym, gdzie wszystko było już przyszykowane — głębokie fotele, ogień na kominku i podlane juntoforezą truskawkowe elektrety.

Ogrzawszy się i wzmocniwszy, obaj goście wodzili wciąż jeszcze zadziwionymi oczami po otoczeniu, milcząc, gdyż Trurl nie chciał ich ponaglać pytaniami przez wzgląd na fatygi, jakie przeszli. Cyfranio jednak, wyrwawszy się jak Filip z konopi, wyłożył im pospiesznie własną hipotezę wypadków, podpartą solidnymi obliczeniami. Oto lodowa kometa, krążąc po systemie, ogonem swym ocierała się o rozmaite planety, a porywając osoby, znajdujące się w tych akurat miejscach, unosiła je zamrożone na amen do perihelium, gdzie, jak wiadomo, ciała te wloką się niczym ślimaki, aż po mileniach niewiadoma perturbacja wytrąciła ją z dotychczasowej orbity i cisnęła na sadybę Trurla. Nim Trurl zdążył go uciszyć, Cyfranek obliczył jeszcze przybliżone elementy ruchu owej komety, a nałożywszy je na mapę całego układu, którą umiał na pamięć, przyjął takie współczynniki gęstości zaludnienia planet, że wyszła mu imponująca liczba siedmiu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu trzech osób, które winny się były jeszcze znajdować w kometowym ogonie. Osoby te, poporywane w różnych czasach i miejscach, oddalały się już od biesiadujących z drugą szybkością kosmiczną. Teraz upadek dwóch gości w dwóch meteorytach oraz bębna w trzecim stał się już zupełnie zwykłym fizycznym i Trurlowi jęło się nawet robić żal wszystkich owych nieznanych pasażerów wmarzniętych w kometowy lód, których nie wskrzesi, a tym samym i nie zdoła poznać osobiście. Chociaż noc dawno zapadła, nikomu nie zbierało się na senność, rzecz łatwo zrozumiała, gdy zważyć, jak długo przebywali przybysze w lodowym letargu i jaką ciekawość ich kolei żywił Trurl pospołu z Cyfrankiem. Gospodarz powrócił więc do wyrażonej już przedtem myśli, aby uratowani opowiedzieli historie swego życia, związane z kometowym wniebowzięciem. Owi spojrzeli po sobie, a pocertoliwszy się krótko, kto ma zabrać głos najpierw, uznali, że porządek ten wyznaczył sam ich wybawiciel kolejnością wskrzeszania, toteż do rzeczy wziął się robot w sztylpach.

OPowieść PIERWSZEGO ODMROŻEŃCA

Jak mnie tu widzicie, nienasyconym jestem artystą perkusistą, i stąd bieda moja. Jeszcze maluchem niedotartym zdradzałem talent, bębniąc na czym się dało, i w każdej rzeczy budziłem jej właściwy ton. W rodzie naszym od wieków tak. Umiejętność moja i twardą i od gromów piorunowych do szmeru klepsydry rozpościera się umiejętność moja. Kiedy rozbębnię się, świat mi z oczu ginie. Także tamburynuję w wolnych chwilach, a nawet instrument grzeczny sam sporządzę, dajcie mi jeno kozę i spróchniały pień lub cebrzyk i ceratkę. Lecz w żadnej orkiestrze miejsca nie zagrzałem, wędruję tedy po świecie, aby

wszelkich jego kapeli próbować, byle świetnych. Słuch zaś mam absolutny i grania kocham grzmot. Co ja planet, gwiazd, filharmonii zwiedziłem! Gdziem nie bywał, gdziem nie grywał! Wszelako wnet drażki mi z rąk wypadały i dalej mię niedosyt gnał. Dawałem popisy solowe, na których jęk, płacz, szal i śmiech, bywało, że mię tłum na rękach niósł, a nawet bębny moje na relikwie rwał. Nie sławy łaknąłem, nie ona moją kochanka, lecz zatracenie w wielkiej muzyce, łaknę orkiestry jak prąd oceanu, aby tam wpaść i w jego bezbrzeży rozplynać się. Ja bom dla siebie niczem, wszystkim melodia doskonała i tej szukałem, w partyturach kopałem się dzień i noc. Aż w planetarnym przysiółku Aleocji posłyszałem o państwie Hafnu pierwszy raz. To tam, gdzie się zagina spiralny rękaw mgławiczki lokalnej i w manszecik przechodzi z gwiazdną podszewką. Tam ta wieść doszła mnie na pohybel mój i zapaliła mi w duszy wielką tęsknicę, mówiono bowiem, że to nie zwykle państwo, lecz filharmonijne i że równo z granicami idą kolumnady królewskiej filharmonii. Mówiono, że tam każdy gra i słucha król, bo taki jego sen, żeby muzyką chram napełnił lub Muzyką Sfer! Puściłem się więc w dyrdy, jakem stał, w ową stronę, żywiąc się po drodze zapłatą za granie moje, skocznym werblem płosząc troski i zagrzewając młodź i wiek, łowiłem każdy słuch, by się upewnić, że w tej gadce prawda. Wszelako, dziwna rzecz — im okolica dalsza Hafnu, tym więcej chwali obyczaj jego muzykalny, wierzy w Harmonię Sfer i mówi, że tam warto żyć, by grać. Im atoli bliżej, tym częściej półgębkiem odpowiadają lub zgoła milczą z wytrząsaniem łba albo w czoło wręcz stukają się. Próbowałem indagacjami przypierać tubylców do ściany, lecz wyłgiwali się. Rzekł mi jeden staruch na Oberuzji: Grać to tam, wiadomo, grają, nieustannie tną od ucha, lecz z grania tego muzyki tyle co kot napłakał, nie — muzyczna to muzyka ichnia, więcej czego innego w niej jest. Jakże to, muzyka bez muzyki, pytałem rozciekawiony i cóż jest owo inne, mów mi waść, lecz tylko dał mi znak, że szkoda słów. A inni znowuż swoje, że sam król Zbawnucy wzniósł Królewskie Konserwatorium państwowe, że w nim wirtuozów ćma, i nie to, żeby jakować akrobacjonistyka dmuchu — ciągu, palcaty, zawodowstwo zrutyniałe, lecz natchnienie, bramy w raj złotostrunny, bo mają dobry tor i klucz Harmonii Sfer, tej właśnie, którą Kosmos, milcząc, gra! Więc ja do starca znów i pytam, a on rzecze: Nie mówię, że nieprawda, ale też i nie mówię, że prawda. Co bym ci nie powiadał, nie to bym ci powiadał. Idź sam, jak chcesz, to i przekonasz się. W talent swój wierzyłem, pokładałem zaufanie w nim, bo ja, braci robocia, jak wezmę drażki w palce, jak puszczę z lekka w mały tryl na bębna mego gładź, to już nie terkot i nie werbel, i nie wark, już nie bębnienie zwykle i tamburynada, lecz taka rwąca czule pieśń, że nie do wytrzymania, bo i kamień, a popuści też! Zmierzałem tedy dalej, pojmując wszelako, że nie można na filharmonijny dwór z dworską etykietą jego wejść jako z konopi wprost, pytałem każdego,

kogom napotkał po drodze, o hafnijski górny obyczaj, a tu niewiele albo nic, moc min, ogólne potrząsanie czym kto miał, ten głową, ten nie głową — tak rozeznania w tym i nie doszedłem. Lecz gdy trwał dalszy marsz wśród gwiazd, spotykam kurdypolcia usmolonego, ten mię na bok wziął, słuchajże, do Hafnu idziesz, o, szczęśliwyś i szczęśliwa to godzina, tam namuzykujesz się, Zbawnucy dobry możny pan, kochanek muz, on cię obsypie złotem! Co mi złoto, jak z orkiestrą tam, pytam go, on zaś uśmiechał się, szczęśliwy, mówi, kto w niej gra, za miejsce w niej oddałbym życie! Jakże, mówię, tedy czemu w odwrotną stronę spieszysz? Ach, rzecze, ja do ciotki, a zresztą zmierzam w dal, by głosić słowo o Zbawnucym, niech zewsząd spieszą muzykanci, bo już otwarty szlak Harmonii Sfer! A i Harmonii Bytu, bo to jedno i to samo! Jakże, mówię, Symfonia Bytu też w tym jest?! To warto się przyłożyć! Ale prawdali? A on pokurcz (dość zeprzały, prawdę mówiąc, utarajcowany w jakichsi koksach czy smołach, musi przypiekl się, zeszmelcował, czy co) na to woła: Cóż ty! Skądes się taki ciemny, niewiedzący wziął? To nie wiesz, że Hafn nie jest zwykłym państwem ni królestwem, lecz Państwem Nowego Typu, czyli Baństwem, a Zbawnucy nie zwykły król, lecz Gról! Dynastyczny on powziął plan, żeby wszyscy grali i tym graniem do szczęśliwości dograli się: i nie ot, byle jak, kusztując i ślepo, lecz w sposób scjentyficzny, metodologiczny i teoretyczny, więc utworzył ci on Radę Ministrów Konserwatoryjną i ułożył Harmonogram Harmonii Sfer, którą lada dzień odkryją i wykonają, a może już wykonali, więc prędko leć!

A jakaż to ta harmonogramicznie — harmoniczną muzyką? — pytam jeszcze, on zaś odpowiedział: Osobę łączy z Przyrodą, Zespala Tęsknot Rój i tworzy Ziemi Raj, więc leć prędko, mówię ci, bo wspomóc takie coś to galaktyczna rzecz!

Już lecę — lecz, mości pokurczu, chciałbym jeszcze wiedzieć, jakoż państwo, to jest Baństwo Hafnu doszło partytury Sfer, ichniej Harmonii, skąd mu się to wzięło? — Ba! — odpowie zglejowaniec — mają wytyczne dokładne, mają tradycję pradawną, boż grać to zawsze grali, lecz nie tak i nie tym, i nie w ten sposób, co właściwy, ale teraz już wiedzą, i od muzyki ich przystaje dech i oko w słupek, a ucho wściąg, leć tedy, mój bębniarzu, byś się na próbę nie spóźnił!

Za pozwoleniem, rzekłem, nie jestem ci ja żadnym bębniarzem, jeno artystą perkusistą pierwszej gildii, lecz powiedz mi, proszę, jeszcze co nieco o obyczaju hafnijskim, bym się tam znalazł należycie!

Och, nie mam czasu, odrzecz, idź a migiem, obaczysz, jaką wdzięczność będziesz ku mnie żywił po sam skon!

Ruszyłem tedy, wszelako, gdy się już zarysowały kontury planety, co był Baństwem, boż to nie jakaś żeńska zwykła planeta, lecz męski, jakkolwiek mały, bardzo męski planeta, i

gdym ujrzał zewnętrzny Mur Ogromny Marmurowy, i rozgorzały na nim złoty napis KONSERWATORIUM KORONNE, postrzegłem opodal wózek drewniany, olejno malowany, a na wózku bardzo zmęczonego robota, który się iskał, bo ze starości moc opiłków miał i te mu żarły każdy tryb, więc dopomogłem mu oczyścić stawy i stawidła, a on pod nosem nucił coś cichutko. Spytałem, co to, odrzekł: Pieśń oleandryna! Nie znałem takiej. Nuż go pytać o Hafn, on zaś przygłuchy był i kazał sobie powtarzać cztery razy każde słowo, a potem do mnie rzekł: Perkusisto! Tyś młody, zwinny, krzepki i giczolny, zdzierzysz wiele! Nie odradzam do Hafnu iść, ale i nie radzę ci tego. Uczynisz, co zechcesz. — Czy tam grają? — A zapewne, od nocy do rana i od rana do nocy, wszelako każdy kraj obyczaj ma swoisty, i powiem jedną radę: Milcz. Czego byś nie obaczył — ni pary z gęby. Cokolwiek by ci się wydawało — ni mrumru. Ni tchu! Jęzor w cuhalt, lice w kubel, milczeniem opieczętuć głos, to, być może, będziesz jeszcze kiedyś opowiadał, coś tam zwidział, w coś tam grał!

A choćem go prosił i molestacyą mu czynił, jakem mu nie przekładał, już ani sylaby mi rzekł.

Cóż, dopiero mię to rozparło i zapaliło okrutną ciekawością, chociaż nie powiem, żebym pukał do Hafnu złotych wrót całkiem spokojny, bom przez skórę czułem, że jakaś tajemnica w nim otchłanna! Lecz zakolatałem kołatką szczerozłotą, a dźwięk jej cudny był i animuszu dodawał, i bardzo chętnie mnie wpuściła straż, i rzekła mi łagodnie:

O, widzisz drzwi? wal tam do środka śmiało. A przedsiń była już wspaniała — jużem stał w ogromie kolumniastym, błyszczącym skarbami, nie sień, lecz istny chram, i wszędzie wiszą złote instrumenty! Więc w drzwi; wchodzę i oczym zmrużyłem, taki buchnął blask od alabastru i onyksów, i srebra, wokół kolumn bór, na dnie amfiteatrum stoję, jerum, przepaść to, głąb, widać wiekami wydrążali glob i w środku urządzili Filharmonię! Nie ma tu miejsc dla publiczności, a tylko same dla orkiestry, fotele jednym, innym stoliki, adamaszkiem kryte w srebrny groch, rubinem przytrzaśnięte, i stojaki wdzięczne na nuty, i spluwaczki w srebrze kute dla dętystów, to jest dmącieli trąb, klarnetów i obojów, a wyżej brylantuje świecznikami pajakami, każdy tęczowo żyrandoli się i w zimnym ogniu barw nic ani widowni, ani galerii, jeno w ścianie głównej naprzeciw orkiestry na całą szerokość jedna jedyna łoża, w boazeriach, weneriach i draperiach, amory w konchy dmy, lampasy tam, kutasy, a łoża skryta zasłoną ze złotogłowiu, hafty na niej wiolinowe i bemolowe, i księżyc na nowiu, i ciężary z ołowiu, i palmy w donicach jak dom, a za zasłoną chyba tron, lecz zaciągnięte tam i nic nie widać. Ale od razu zmiarkowałem, że to musi być królewska łoża! Widzę też na dole amfiteatrum pulpit dyrygencki, lecz nie zwykły pulpit, bo pod kryształowym baldachimem, ołtarz istny, feretron, a nad nim neonowy napis CAPELLOMAY — STERIUM

BONISSIMUM ORBIS TOTIUS!

Znaczy, że najlepszy na świecie kapelmistrz, czyli orkiestralny konduktor. Muzyków tłum, lecz na mnie nikt nie zważa, odziani dość cudnie, z różnorodnością liberyjną i liberalną, temu łody opina skarpeta biała w same fa i sol, lecz cerowana; tamtego meszty z kłamrą złotą w niskie Ce, lecz obcas ścięty; ów kołpak ma na głowie z pióropuszem, lecz mole zjadły nieco piór, a też nie dojrzę, aby który prosto się trzymał, tak ich orderzy ciągną w przód, sukniem podścielone, znać, żeby ich dźwięk muzyki nie psuł! O wszystkim pomyślano tu! Widać dobrego monarcha, hojny meloman i leci odeń grad odznaczeń na panów muzykantów! Przepycham się nieśmiało przez ciżbę, a bo to, widzę, przerwa w próbie i wszyscy naraz gadają, a kapelmistrz w złotym cwikierze spod baldachimu koronnokryształowego poucza. Nie pałeczkę dzierży w rękawicznym kułaku, raczej palicę wprost, lecz on nią macha, a że zmacha się, nie moja rzecz. Sala ogromna i nadzwyczajną musi być jej akustyczność! Do grania czuję pęd... a kapelmistrz, wsparłszy na mnie przelotne oko, rzecze z dala łaskawie: A, nowyś? Dobrze! co umiesz — arfiarzemś? Co, perkusista? Ot, siadaj tam, wybył nam ano perkusista, czy zdasz się, oba — czym! Siadajże waść! Mości czellisto, nie pchaj się, a widzę, że czelny czellista coś w łapę dyrygentowi tka — kopertę wypchaną — list mu napisał koncertowy, czy jak? — No, wszak nic nie wiem jeszcze... siadam. A kapelmistrz mówi do stu naraz: — Klarncie! Nie dydyryduwydudududym, lecz diduriduwidubidupiim! To nie są zawijasy lukrowe na torcie, mój panie, to vivace, lecz nie MOLTO vivace, czy masz dębowe ucho waść!? A dalej trillitrullifrullifram, i to nie friorytura, musisz się wkładać miękcej, proszę mię — kuchno, ale podszywaj stałą, lecz nie po wierzchu, tu miękko, a tam twardź! I trilliridapadabrabban! Ty tam, hola, blacho, nie zagłuszaj mi piccola w szesnastkach, boż rujnacja lejtmotywu, nie głusz — mówię, więc widzę, że zupełnie zwyczajne panują tu maniery i gadanie akurat takie jak na wszystkich salach koncertowych Universum.

Siedzę w szumie — gwarze i rozglądam się. Najpierw do bębna: cudowny to jakiś bęben! Nie po prostu, lecz bardzo w sobie wzmożony, boki jego obłe, tęgie, masne, krągłe, jakieś samiczo — dziewicze, lazurne w sznurach haftowanych złotym liściem dębowym, no, a już powierzchnia tak napięta, ni skazy, dzwonna i błonna, musi huczny w niej być grom!!

Patrzę, a tu partyturę niosą, nie zwyczajną, lecz księga istna, foliał w skórę żbiczą oprawny, jej ogon kutasem kończy się, a do kutasa chustka przywiązana, dla otarcia potu rześistego po finale! O wszystkim tu, widzę, pomyślano! A gdzie nie spojrzę, stiuki, gryfy, herby, muzy cycate, kariatydy, wenusy, fauny, pozauny, bomboniery, bomstengi, gryfy, grotty, sztaksle, priapy, szperklapy, bezanmaszty, cumy, bajdewindy, że muzyko płyń! A nad łożą grólewską herb baństwowy, państwotwórczy szopon we wieńcu dukatowo podkutym, i

rusza się zasłona łoży, jak gdyby Gról w niej siedział już, lecz chował się przed nami...? Lecz już Kapelmistrz w binoklach, zwinny, ekspresowy, pospiesznie wszędobylski, uwaga! woła, na miejsca! I: zaczynamy! do próby! Wszyscy tedy kopną się, biegną, brzdąkliwie stroją, ja drażki ujmuję, a to nie drażki, lecz obuchy istne udarowe! Pały dzwonne! Rychtuję nuty, w garście spluwam i patrzę w nuty jak sroka w kość, kapelmistrz uno, duo, tre woła, stuka, i cwikiem złoto błyska nam, i wchodzi zgrzybce z cicha pęk... ale co to? Dyryguje kapelmistrz, lecz nic nie słyszę, jeno jakby ktoś szmerglem tarł... oj, zgrzypią te zgrzybce... struny zapaskudziły się czy co? A ot i moje wejście, więc spuszcza dłoń, by tarabambnąć, dzielnie uderzam, lecz tylko pstuk, pstuk, słyszę, jak we drzwi, patrzę, a bęben ani drgnie, powierzchnia jakaś sztywna, gładka jak sadzawka zamarznięta, jak tort, nic nie pojmuję, i znowu stuk! stuk! — nie będzie z tego wiele, myślę, a już orkiestra wchodzi, kwiczy, pstryczy, szuści, gwazdra i widzę, olaboga, puzonista puzonowi pomaga wargami bububu, a zgrzypacze buzie w ciup i tititi, sami nucą, niemym instrumentom w sukurs spieszą, jakąż to gra, a kapelmistrz wsłuchany, nagle w pulpiterium bać! i rzecze: Nie. Ach, nie tak! Niedobre to jest. Da capo! Więc my jeszcze raz, a on schodzi z pulpitu i wkracza między nas, przechadza się, uchem łowi skrzyp i zgrzyt, przybliża się uśmiechnięty, ale krzywo, i za policzek waltornistę, jak w cęgi palcami, oj, zakręci — skręcił, aż waltornista traci dech; idzie i ucho obojowi nadrywa mimochodem w przejściu zarazem pałąk bać! po głowie drugie zgrzybce, zatoczył się grajek, chustka mu spod brody wyleciała, zębami wydzwonił mały tusz, a kapelmistrz do puzonów i reszty szepce spod cwikiera: Draby! Co to za nieład! To ma być muzyka?! Grać, grać, a to się zbudzi Gról i dopieroż nam będzie! I mówi: Jako Kapelmistrz Dyrygentissimus domagam się! Przypominam i powtarzam: Symfonium odegramy Uwerturalne Ciszy! Silentissime, allegro vivace, con brio dalej, ale i piano, pianissimo, bo chi va piano, va sano! A! pojmuję, żart! Żartuje ku nam, bo Dobry! Mówi: Panowie! Waltornisto, Arfiarzu, Trombonie i ty, Klarnece Jeden! I wy klawikordiały, przykładajcie się! Blacha płynnie i miedź! Piccolo czujnie, a cello z wiołą czulej tam! A fortepiano, czyli Silnosłab, na sordynę bacz! Schodzi i stuka w pulpit: Pod Naszą Batutą, na Moją Komendę, Ku Harmonii Sfer, za mną — grać! Gramy. Wszelako dalej nic nie słyszeć okrom zgrzypień i charpań i stukań, w ogóle więcej nic! I rusza dyrygent w orkiestrę, uśmiechnięty, i rozdaje cukierki miętowe, lecz komu cukierek da, to zaraz i pałą w łeb. W krąg huczą łby! Pełen zmartwienia bije i daje do zrozumienia, więc pojmujemy, że nie od siebie wali, lecz tylko aby Majestatu nie urazić, w Imieniu oraz aby nie dopuścić kakofonii do grólewskiego ucha, a kto obrywa, kuli się i kapelmistrzowi odśmiecha się przymilnie i potulnie, który, też uśmiechnięty, ugascza i bać! bać! bo nie samym sobą leje, lecz aby nie

dopuścić i ratować, a może, by gorsze cięgi, razy, aby Prawdziwy Bat nie obruszył się... Wiem, bo w przerwie grajkowie rozprawiają, nawzajem sobie plastry przyklejając wedle mego bębna: on dobry, nasz Kapellenrnayster, wszak napisane ma Bonissimus, wszelako musi tak, by Gról nie rozgniewał się, w samej rzeczy widzę zgłoski „Capellenmaysterium Bonissimum”, oj, dobry, mówią, dyrygent, a i serce złote, lecz musi łąć, by nam Kto Inny nie dał w łeb! Kto, kto taki? — pytam, ale nikt nie odpowiada. Co do bicia, już wyrozumiane mam, ale z muzyką do ładu nie dochodzę, bo nic jeno chrap i drap, i zgrzyt straszliwy, ale gramy. Cwikier złotem błyska, biega, łupie, a choć łby trzeszczą, pojmujemy, że tak musi być; aż tu zasłona Łoży rusza się i wychyla spoza niej Pięta Duża Bosa i poniekąd Goła, lecz nie jakaś uliczna, szeregową pięta, ale Namaszczona, w Koronnej Pidżamie z nogawki wysunięta Tronowej, i obraca się ona, i rozchylają się fałdy draperii, a tam chrapanie i nie tron, lecz łoże w złocie i różyczkach, z adamaszkowym blaskiem poszwy, na złotym prześcieradle Gról, znużony symfonicznie śpi z aksamitowym Jaśkiem w gębie, i nic, tylko śpi, a my pod Piętą piano, pianissimo, żeby nie zbudzić. Markujemy...?

Ach, pojmuję, markowana próba! Dobrze, ale czemu bicie nie markowane? I czemu włosia w smyczkach brak, a bęben mój jak stara decha?

Dostrzegłem też, że w najciemniejszym kącie sali szafa stoi wielka jak organy, czarna, ogromna i zamknięta, a w niej lufcik z kratką i kiedy zdarzy się mocniejszy fałsz, widać tam oko mokre i palące, okropnie nieprzyjemne, więc pytam trombonistę, kto tam. A on nic. Ja do kontrabasa — nic. Czello — nic. Triangel — nic. A flecik kopnął mnie w kostkę. Wspomniałem więc przestrozę starca i milcząc, gram, to jest stukam. A tu skrzypienie okropne, otwiera się Szafa w Kącie, a z niej wyłazi Ktoś Czteropiętrowy. Czarny jak noc, z oczami jak kamienie młyńskie i siada między dwiema kolumnami, nie przymierzając jak w lesie, i siedząc, przypatruje się nam wilgotno i paląco. O tyłek marmurowy muzy grzbietem skołtunionym się czochra, drugą muzę w łokciu ma, oj, straszliwy ten jakiś kąciarz, gdy go widzę, czuję mrówki gnające po krzyżu! Tu dopiero całkiem zaczęła mi przechodzić chęć muzykowania w Filharmonii Hafnu, bo jak wziął się gębę otwierać, to odmykał ci ją i rozsuwał, a przez ogólny ogrom i rozmiary trwało to dłużej, niżbym sobie życzył, w środku zaś paskudnie wprost nie do wiary — i kły paskudne, i język za nimi nawet paskudniejszy, zwiny i ślinny, i wraził sobie Szafon Kąciarz paluch w mordę i nuż tam z wolna, lecz usilnie gmerać. Oglądam się, jako mam podle siebie kontrabas i blachę, i też gębę otwieram, żeby spytać, kto zacz owa potwora, skąd i dlaczego oraz po co tak, w ogóle — z jakim sensem? Tum atoli wspomniał słowa starca, zabrzmiało mi w głowie: „Cokolwiek by ci się strasznym wydawało, milcz, ni pary z gęby, ni mru–mru”, więc zreflektowawszy się, z łydą podciętą

drzeniem i z miękkim podkolaniem gram. Widzę nuty, boż się wytrzeszczam, lecz niewyraźne jakieś, jakby muchy narobiły, nie wiadomo, co kwinta, co kwarta, plamy, kleksy, zamazane wszystko jak diabli, oj, bo też diabli nadali, myślę, i nastaje cisza na taktów osiem, w niej zaś, ach, jaki paskudny dźwięk: zjadliwy, gęsty, plugawy, borborygmiczny i gardialny ziaj się rozlega, Kąciarz ziewnął, kłapnął, przeciąga się, bark szczeciniasty trze o zadek muzy, wyjrzał z kąta, powęszył, sapnął, wreszcie czknął, grepsnęło mu się, w tej ciszy świątynnej, skupionej filharmonijnie, okropnie paskudenny Greps, lecz nikt nie widzi, nie słyszy nic a nic! Poznać nie dają po sobie! A po południu jest galowy koncert i Gról Pan siedzi w łoży, otoczony dygnitarstwem rozgwieżdżonym, i w palcach upierścienionych kręci coś, i raczy sobie sam do ucha wściubiać, wytężam wzrok, a tam talerzyk złoty, i kulki z waty kręci Gról, w olejach poświęcanych macza i w uszy tka! Już nie pojmuję nic. A my w fortissimach taką piłą piłujemy i takim rżnięciem rżniemy rżnącym, że z okna za kratką coś jakby łąza, a Gról każe draperyą zasunąć, gdyż czas mu do baństwowch spraw. Więc jakże teraz dalej? Panowie grayce! mówi kapelmistrz cwikierowy, blady, musimy naradzić się i skrytykować, boż to nie to, nie tak, bójcież się Boga, gdzie wy, a gdzie Harmonia Sfer, toż Gróla osłabiecie takim graniem! Otwieram naradę!! I gdy ja nie wiem, co do czego, i wciąż ku szafie zezuję na wszelki wypadek, oni po kolei o głos proszą i wstają i zaczyna się wielkie deliberowanie i radzenie, oczy skrzą się im z chętniej gorliwości, krytykują wykonawstwo, smyki, blacha, dętyści nie to i nie tak, palce źle ustawione, mało wprawy, nie dość prób, gimnastyki brak, nie zwijamy się, koledzy, jak należy, nie przykładamy się — bardzo surowy każdy dla siebie, a już co do innych kolegów, to nie daj Boże — suchej nitki nie zostawiają, z wyjątkiem trombonisty, trianglera i waltorni, nie wiem czemu. I wadzą się nad każdą nutą, jak z niej wytłoczyć dzwonny sok, cel przyświeca im wspólny, słucham z podziwem, teorię ci tu każdy ma w małym palcu, jak z nut idzie ta narada, słucham, patrzę, aż tu cień na nas padł, olaboga otwarła się szafa, siadło w niej, drapie się po czarnomszystym brzuszysku wszawym, zapuszcza paluch w pępek, nie pępek, lecz czarny Maelstromu lej! I tak sapiąc, czkając, drapiąc się, siedzi, dłubie w nosie z dużym powolnym smakiem i satysfakcją, pełną koncentracji. I nagle robi się straszna cisza, bo taki mały jeden od dzwoneczków wstaje i mówi w wolnych wnioskach: Panie Kapelmistrzu i Koledzy! Instrumenty są NIEZDATNE, więc nie może być z tego nic! Owszem, na oko ładne, złożone, lecz bezdźwięczne, albowiem felerne; groby to pobielane, nie instrumenty. Wnioskuje wniosek więc, żeby nam Prawdziwe dać, a te do muzeum lub gdzieś indziej na złom. I siadł. — Ca? Ca?! Ca!!!??? — krzyknie nasz dobry w cwikierze, najlepszy. — Instrumenty ZŁE!? Nie godzą się? Nie podobają się...? Na Trudności Obiektywne spycha się własną Niedojdziastość, niemoc? A to mi dyngus,

nygus, a to mi zdrajca Sprawy, a to ci Dywersjum! Ty Łotrze jaki — taki, ty Podesłańcze Odmieńcze, skądś się taki wziął?! Jak, skąd? Kto podsunął ci Zbrodniczą Myśl? A może współników masz? Kto jeszcze mniema tak? Cisza jak makiem siał, a tu podbiega Lokajczyk liberyjno — dworski i podaje mu zapiskę i czyta on, oddaliwszy papier od oczu, bo jest w cwikierze swym dalekowzroczny, by nas na oku wszystkich mieć, i mówi: No tak. Ogłaszam Przerwę, ponieważ oto moje Wezwanie na Dwór, na Naradę Ministerialną. Jak wrócę, uczynię wam Podsumowanie! A teraz odtrąbiono! Siedzimy i mówimy, że, panie dzieju, śrubuchny w oleju, no i, panie tego, moja chata z brzegu, oraz podobne uwagi przez całą noc. Przychodzą z rana trębacze fanfarzyści i ogłaszają Gróla Uniwersał i Manifest, jako odbędzie się specjalna Konferencja Naukowa, na której Kompleksowo będą zbadane wszelkie impedimenta, stojące na drodze ku Harmonii Sfer (Ha. Sf.). Zwalila się zaraz moc melologów, melomanów, muzyko — znawców, dźwiękarzy i melodystów z wyższym wykształceniem polifonicznym, sami prof. konc. i dr hab. cich. i członkowie dźwięku rzeczywiści, korespondencyjni szła korespondentki z odpowiednimi nagraniami. Pierwej występ zarejestrowali na sześciuset aparatach powtykanymi w instrumenty mikromikrofonikami, a do bębna włożono mi makromikrofon, taśmy opieczętowali zielonym woskiem i czerwonym lakiem, wzięli próbki powietrza rozedrganego, przez lupy obejrzel nas i każdy kąt, a potem naradzali się siedem dni i jeszcze miesiąc. Precyzji analiz nie wysłowisz! Nie zetknąłem się jeszcze z takim oberwaniem nauki w jednym miejscu! Wszystko zostało naświetlone i uzgodnione z właściwych pozycji metodologicznych, nad naradami sam Majestat objął miłościwie Wysoki Protektorat, lecz osobiście nie uczestniczył i zastępował go Podsekretarz Stanu Obojga Uszu. W ostatnim dniu ośmnastu Dziekannych Rektorów chórem odczytuje nam Ekspertolizę zredagowaną wspólnie z pełną jednomyślnością badawczą: Skonstatowała Komissya, piszą, pewne Braki. Instrumentarium Niecałe Pełnowartościowym jest. Tam tu, to tego brak, ówdzie zaś owego nie dostaje. Tu zakrętasa, tam obertasa. Tu, we wioli, struny poniekąd gipsowe, a tam pudło czella pełne otrąb. Nie tak to zapewne miało być, lecz jakby jest. Tu trombon zatkany, bo czyjaś szlafmyca wpadła z bawełnianej dzianiny pięćdziesięcioprocentowej z domieszką nylonu, drugiego gatunku, a może to sraubmyca, dosyć że doradzamy przekanalizowanie trombonu, a odtąd radzimy, niechaj stoi szczotka kominiarska koło trombonisty, niech takowy z przepychem gra. Klawicymbał zaś znaleźliśmy Ogólnie Pustym: w środku nie ma nic, jeno Były Kurnik po Gęsiach. Gęśle: zamiast gęśli, Gęsi skonstatowaliśmy ze słabym jaj udojem, bo dokonaliśmy analizy ich Pyrometrem, to jest Pióromierzem, gdyż Pierze utrudnia Gęsiom dźwięczenie, nie mogą przez to Gęsi czystego dźwięku mieć. Ergo ALBO niezbędna jest onych depierzacja, ALBO należy ze szkatuły

koronnej ekspensem uczynionym gęśle nabyć i je gęślarzem obsadzić, albowiem obecny gęślarz indykotorem jest z zawodu, czyli hodowcą indyków. Co do Silnosłabego Fortepianu, dwie kopy myszy w nim ogonkami do młotków uwiązano, przez to Bardzo Cienko Śpiewa, zwłaszcza iż Myszarz fundusz przeznaczony na karmę defraudantnie stracił. Jeśli nie będzie Łaski Grólewskiej, w dyby go. Co do Triangla, powinien być Metalowy, a nie Obwarzankowy, chociaż na drożdżach. Teraz Bassy. Główny Kontrabas przewraca się przy Passażach, ponieważ ma zamiast Ostrogi Kolcowej Kółko i odjeżdża na nim, a też Bassistę pociąga impetem za sobą, przez co ten przy każdym Basso Dolce Profondo musi nogami nakrywać się. Sugeruje Komissya: trzeba albo sznurem go, albo dołek wyciosać, albo w troki, albo zaklinować, albo przeprowadzić zgoła odkołowacenie, czyli tak zwaną deszraubizacją. Zmyczkom przydałoby się włosia, gdyż zamiast niego wydiagnozowali Ekspertyczni Komissyanci jeno Atmosphere, tj. mieszaninę azotu, tlenu, dwutlenku węgla ze śladami gazów szlachetnych, jako to xenonu, argonu i kryptonu, oraz krztyną pary wodnej. A także nieco Płynnej Zawiesiny, która jest Odpadową Pochodną Rozkaszłania i Zaplucia Graycami — Uzdników dętystyczno — trombońskich. Włosie atoli uważa Komissya za lepsze do grania od powietrza, a zwłaszcza zdatne dobrze do Drzączkowo — Pociernalnego suwania po strunach. I tak leci ta ekspertyza na tysiąc ośmset stron, i o bębnie w niej jest, a jakże, poświęciła uwagę komissya bębnowi mojemu: malowana decha kołem sękatym podparta, choć i w złocie, a nie bęben. I sformułowano trzysta osiemdziesiąt jeden wniosków skierowanych resortowymi drogami do Ministerstwa Trąb, Czombrów i Puzonów, do Ministerstwa Dzwonnic, Sfer i Propinacyi Harmonosferycznej, do Podsekretarza Stanu Beznadziejnego oraz do Najwyższej Izby Dętystycznej. Sam Marszałek Blachy wagę wniosków pieczęcią skrzepił. I jak teraz orkiestra nie skoczy na równe nogi, nie skrzyknie się, nie rozdyskutuje!

Tak! Tak jest! Bęben otok stary, pienny pniak, łajnem napchany smród bił, wskutek niewiedzy względnie zachachmęcenia! Flety, alty, klarnety, oboje, trąbki zatkało, draństwo to, lichota, flora, precz, dźwięki wszcząć chcemy, o daycież nam, daycie co lepszego, zobowiązujemy się grać! Tu szmata zatkana, proszę, każdy widzi, tu zgoła ustnik niedrożny, a talerze z betonu — camentu, poźłótką jeno pociągnięte, jakoż czymś takim grać? Patrzą, czym ja szalony, czy oni, boż od początku widoczne było, i skąd nagle takie zaciętrzewienie, w głowę zachodzę, bo nic nie rozumiem, a w nich gore płomienna muzyki chuć i autentyczny szal.

I wstaje pianista, i potoczywszy okiem, mówi: Proszę, oto memoriał, jaki napisałem był w zeszłym roku, lecz nie miałem czasu na pocztę nadać, i czyta: „Podług mego

suwerennego mniemania, dla dobra Ha. Sf. twardo się domagam, aby zamiast Dżypsu i Camentu powołać Drewno, Mosiądz i klepaną Blachę, a też Struny dźwięczne — flaczne! Tak być musi, bo z draństwa, co je nynie mamy, oprócz swądu nic!” Siada, nadzwyczajnie zadowolony z siebie, i triumfalnie spoziera na kolegów w Krąg, oni zaś szumią i gwarzą: Tak! ja też, o, myśmy dawno zauważyli, że trociny, myszy, cement oraz zwykłe łąno, jak i skąd w przybytku Muz, nie wiadomo, chcieliśmy donieść, usprawnić, lecz mnie noga bolała, ja kurcze miałem, ja chrypkę, ja kubek w kubek tom napisał, co pianofortysta, lecz karteluszek mi się zawieruszył, a ja jeszcze mocniej w wyrazie, lecz wskutek choroby CIOTKI, tak jeden przez drugiego, wszelako, widzę, Kąciarz dalej trwa, czka i czochra się, kucając w otwartej szafie, trze giczoł o giczoł pazurny, istneż Goryllium, daję tedy kolegom kuksy i wskazuję, mrugam, tam, tamój patrzcie, lecz rozpaleni najmniejszej uwagi nie zwracają, pełni nadziei na lepszy dźwięk i los. I w samej rzeczy niosą nam czwórkami szamerowani dźwiękocjanci podpasani biało cudne nowe instrumenty, można odtąd grać! Radość nie do wiary! Pojawia się Kapelmistrz nowy, w rogowych okularach, gdyż tamten w cwikierze przeszedł na Emeryturę wskutek Wysługi Lat, a mówią, że brak mu było Bębenkowych Błon, więc nie słyszał nic. Rozkręcają napis stary i nowy przybijają ćwiekami złotymi CAPPELMISTERYUM OPTISSIMUM, i nuż do próby! Wprzód atoli Rogowy rzecz: Postępowych jestem zasad. Dyskussyę urządzam. Niechaj mówi każdy, co ma najtajniejszego na myśli, czym mu dusza gra. Niech wyzna! Bez lękowa mówcie, Najdrożsi, włosy nikt wam na głowie nie tknie, nie skrzywi, nie naderwie konchy usznej, kłykciny ni golenia, bo jam nie taki! O czym was na Ha. Sf. najsolennie zaklinam i zapewniam, i to moje mówienie Przysięgą Dyrygencką pod Batutą samego Najmiłościwszego Majestatu Zbawnuckiego pieczętuję!!!

Nuż znowu wszyscy na wyprzódki do gadania! Krasnomówstwo patoką płynie, okresów miód, smyczkowcy, waltornista, trąbkarze, zgrzypacze, a tak śmiało, aż zapiera dech; wyznają, co który komu, z kim i jak, co było pod kapelmistryjnym cwikierowcem: oj, mówią o nim, słyszę, bardzo źle, nie dopuściłbym myśli, iż go jak rodzonego nie kochali, skoro tyle razy w kółko Macieju mu w tym oświadcza i ofiarowywali mu afekta najczulsze, a owe grubo powypychane koperty, ani chybi miłosne listy, tkali w urękawicznioną dłoń i obdarzali synowską czułością, gdy łby rozkwaszą!, on nasz gołąbek, nasz książ, mówili, sprawiedliwie lejeż on nas, a tu zanieczyszczają pamięć jego i mówią o głuchocie, iż jak pień, a czelliści, że paraluszem miał po — przetręcane graby i jedno, to po oczach umiał pracować oraz że miał odmieniczny zły wzrok i od jego spojrzenia dziurki się w bębnie wypalały, co tu obecny perskusista łącno przytwierdzić może — a ja, okrutnie zmieszany, pod nosem bąkałem,

mamrocząc, boż srom tak łąć, ale widzę, że to ze szczerości łą, z czystego zaparcia kłamią jak najęci i nadziwić się nie mogę, jakoż to sama szczyra cnotliwość, dobra wola a zapal ku Lepszemu mogą się tak załganiem paprać, wszelkim grzdyciem i wyplotem ślinno — językowym? Bo mówią, że uroki rzucał i od niego myszy mleko traciły, że był zezowaty, legawy, kuc garbonos i platfusa miał, a jakoż z Platfusem ku Ha. Sf. isć!?

A Rogowy zapisuje, wtórzy, basuje, wszelako zaraz potem przy próbie, patrzę, coś ku nam człapie z wolna, my się w melodyi chować staramy, a tu od Łapy cień, i najpierw tego małego Dzwonkarza, co pierwszy zaczął, Cap, za hajdawery, a drugą łapą czellistę, co przeciw cwikierowemu tyle się nahałakował, Hap, za kubrak, i obu, nogami majtających, niesie i zamyka się w szafie i słyszę przez Andante nasze Maestoso Chrup, Chrup, Niam, Niam! I tyleśmy obu widzieli.

Gramy, lecz rozłazi się granie nasze, bo ciemno przed oczami. Da capo al fine! — Rogowiec woła. Źle, jeszcze raz! Gramy, orkiestra jak wejdzie, to ciarki po krzyżu, pełny to dźwięk i ton, lecz w szeregach tych ciarek jakieś inne, nie — muzyczne czuję, a jeszcze myślę nuty, bo mi się robi oczopląs od ciągłego łypania w ką. Idzie forte, grzmi miedź, ale jakby dygotką podszyta, a Goryllium szafę otwiera, wietrzy, na progu siada, beka głośno, odbiło mu się Dzwonkarzem, o mocny Boże, o Harmonio Sfer! A od beknięcia, bo od czego, zjechały w fałsz smyczki, a pianista jak nie zamłóci drżącą skośną trzęsiączką! Kapelmistrz rogowy krzywi się, jakby żabę zjadł, och źle, takie instrumenty, i źle, sknocone, ohydancja nie muzyka, nie wstyd wam, lenie, hultaje, jeszcze raz! I wyklada nam teoretyczne wytyczne z za pulpitu, i rozdaje nam witaminy i odżywki, i przynoszą kalafonium w beczułkach zagraniczne, specjalnie sprowadzone, nie żałuje ekspensu Gról Jegomość, lecz znowu fałsz w skos i powołuje się Komissyą Naukową w Permanencyi. Radzi Komissya i co postanowi, to migiem jest. Wchodzą czwórkami szamerowani dźwiękocjanci, stają po prawicy i po lewicy naszej, i kto sfalszuje na fis, temu premię precz, a kto na mol, temu grzywna. I gramy forte, ale fałsz, więc szturchają nas dźwiękocjanci, bo każdy ma akustrofonik i metronom, i od szturchania ogólnego symfonia słabnie i słyszę więcej łupucupu niż tralirali, i widzę, że w niemałą opresję popadłem przez mój pęd ku Harmonii Sfer, bo głowa cała guzowata...

Mało dźwiękocjantów! Przybywają posiłki rachmistrzów melodystów ćma buchalteryjna, każdy grajek dostaje umyślnego dla kontroli czystości dźwięku, i liczą nasze tony, jest przychód i rozechód, i budżetowanie melodii i piszą, od skrzypienia piór muzyki mniej niż kot napłakał. O, coś nie tak! — rzece rogowy kapellenmayster — nie tak! I dzwonek brak. Gdzie Dzwonkarz, gdzież znów szczel? Dalsi co siedzą w śmiech, a bliżsi w kucki i miamlają: a nie, faktycznie nie ma, może rozsiął się, hęhę? Może na melodyi uleciał?

Co na to zwierzchność? Żle, pewno że źle jest! Zbrodzień, bylina, bambosze, padalec, zbieżał, odczajduszyl się renegat, pies itd.

I urządza nam dyrygent naradę z zajęciami praktycznymi. Dogłębnie trzeba przyczyn fałszowania dygockiego szukać! Tak wszyscy mówią w krąg: Coś, prawia, jakby deranzuje nas. Cosik, rzeką, dywaguje. Co też, gloszą, wpływem — miazmatem przeszkadza nam i z drogi ku Ha. Sf. spycha? Czellista rzecze: Być może, nie dość powietrznej wentylacji nam? Wiolista na to: Ja sędzę, że zbyt silne cugi. A kto wie, może ja nazbyt wiołę moją zwiolowałem i wiołatką moja wiola jest? Moja wina! A inni szemrzą: Być może, nie wiadomo, zbadajmy całą sale, wykusze, kąty, może myszy zaległy się, i może to ich boimy się podświadomością naszą bezwiednie? Idziemy tedy szukać cugów i wentylacji, zatykamy każdy otwór, szukamy też myszy, na czworakach, z lupami, aż znalezione zostały trzy karakony, jeden pajak, sześć pcheł i dwa tuziny wszy, skrzepieni znaleźskiem spisujemy protokół, i dalej szukać, teraz z latarkami ślepyimi pod podium i w każdym zakątku, widzę wszelako, do Szafy na sześć kroków nikt się nie przysunie, ja łażę w kucki z innymi, kąty obniuchuję i niby z zapamiętania powoduję cizbą, sam siebie z innymi ku Szafie popycham, lecz tu jakoby prąd, jakoby nam wetknięto lont, wszyscy jednym drygiem jak dyabeł od święconej wody odstrychują się, mamrocząc: Ano, ściana. Wiadomo, ścienna ściana, w takiej prócz cegły, zaprawy, piasku, tynku, wapna nic nie może być! A gdym próbował pociągnąć, pracę, ktoś mnie, czuję, odpycha, a ktoś mnie w zadek ukąsił. I jużesmy się przekulgali na spokojniejsze miejsce. Jeszcze mi ktoś wraził przy kulganiu palec w oko. Dorozumiewam się tedy, że wybornie postrzegając, zgoła nic nie postrzegą, że widząc jasno, niczego nie widzą, i bardzo zdziwiony tym urządzeniem oddalam się w kucki.

Gramy, a Goryllium panoszy się. Tego, to znów owego Cap, myślę, nie będzie tu muzyki wiele, bo skrzypka łka ach tralala, a jakoż grać, gdy w każdej chwili może cię paszczęka smrodna pochłonać? My pianiućko — pianissime i oczy już mgłą zachodzą, a tu cuch dechu, duch na karku, nozdrza węszą nad nami — w muzykę, wskutek swej barbarzyńskiej natury i ogólnego nieporozumienia, wwąchuje się, czy jak? I co z tego, że instrumenty dźwięczne, gdy Goryllium wciąż nas degustuje, pożywia się, a Gról przychodzi do łoży i mówi: No, owszem. Melodia poniekąd nawet melodyjna i dość jest też harmoniczna ta harmonia, lecz nie dość ducha jeszcze w niej. Bez Wiary Grają, na wypródky, nie trzyma się toto kupy, nie dość to Autentyczne jest! I jeszcze ten jakiś warchlakowaty dygot. Co za dygotki jakieś drżączkowate w muzyce tkwią, psują od samego środka symfonię? Nuże, zaorderować mi Sprawnych, a resztę fora ze dwora, i w ogóle ruszać się, gitarzyć, zgrzypcić, zdrucić, mandolić, dmuchać, ale w krok i w ton, bo Gról pogniewa się! Wziąłem tedy na

odwagę i w przerwie między Andante a Allegro Vivace mówię do Kontrabasisty, który obok siedzi, że to nas obu jego duży przyrząd osłania: Słuchajcież, Wasza Mość, A on mnie: Co? Ja: Zali widzicie cokolwiek w kącie tym podle Gróla Łoży? On nic. Ja: Zali Kąciarza nie postrzegacie? Nie może to być! Widzi mi się wykapanie Goryllium! Toż do nas bucha jego swąd! O, właśnie czka! On nic, lecz patrzę: jakiś cały zamazujący mi się w oczach. Ja mówię: Waszmość przecie nie bielmem ani kataraktą obustronną porażon, a jeślibyś nawet modzelaste nagniotki miał na oczach, dosyć nosem westchnąć, a czujność okazać własnemu węchowi, żeby się smród ujawnił. To nad nami nie kopuły cień, lecz Nosa Gorylliumowego, a to nie słup, lecz kiel, wszystkich ono po kolei pożre nas! On nic, jeno w oczach cały mi się rozmazuje i widzę, że go Dygot wziął. Lękowie nim tak trzęsie i jak febra rzuca nim, lecz rzecze: Istotnie niezgorzej grałeś, lecz gdy ja dochodzę do Trelimelidyribudidam, musisz nie Łudabarabam, lecz Łup, Dub, Daram! I gdy mi to mówi, jednocześnie słyszę, mówi też: Na Boga żywego, milcz waść!! A gdy tamto ustami mi mówił, to drugi gdzieś dołem jakby od pasa, i widzę, że brzuchomówi do mnie tak! A teraz, rzecze górnio, już nie gadajmy wcale, bo pora dalej grać...

Przyglądam się i widzę, że każdy tu tak: w krąg powszechnie brzuchomówstwo panuje, a jam myślał, że kruczenia i burczenia ze strachu! Wsłuchuję się tedy coraz niżej, aż na wysokości pasa słyszę coraz lepiej. I mówią brzuchy: Oj, niedola, niedola, byłaby nam wola! Hej, bo już w krzaki goni każdy od Harmonii! I szepcą brzuchy: Gról Zbawnucy bez onucy, pierwej się zesika, nim będzie muzyka. A także: Cicho sza i siedzieć w kucki, bo tu chadza Ktoś Nieludzki, fikumiku na patyku — nieprzyjemnie być w przetyku. I gadają brzuchy do siebie: jakież tu piękne granie rozlega się na nerwach naszych! A jeden brzuch powiedział, że może mu się przejemny albo może przejdzie na wegetariaństwo z upływem czasu, boż czas wszystko moderuje, lecz zaburzały Nan inne brzuchy wraz. Równocześnie zaś mówią górnio: No, nieźle, prawie że cudnie dziś, aby do Ha. Sf. już niedługo, niedługo... niech ino smyczki tempa nie tracą! Albo to nam tu źle, hopsasa kiełbasa!? Widzę też, że mają różne zajęcia pokątne, ten na grzebieniu ładnie gra, ów na źdźble trawy koperczaki wygwizduje, puzon znaczki zbiera i łyzy tym ociera, monogramy haftują, obcych języków się uczą, aż tu człapu człap i Goryllium idzie, blady strach, lecz tylko trawkę, grzebień, znaczki zabrało i w szafie Chrup, Niam, Niam. Przy okazji puzonista dostał prztyczka, wodą gulardową i serem oczy podbite okłada, mówią brzuchy, trzebaż mu było o tych onuckach nucić, posady by pilnował, i co to takie podskakiwanie brzuchem! Cicho, cicho... I w samej rzeczy tak cicho szepcą, że nie wiem, czyj to brzuch gada, waltornista sprzedaje proszki na uspokojenie i od bólu głowy, bas łapie mole, co się w bębnie załęgły, triangel uczy, jak drapać się między

łopatkami i niżej, to ciarki nie tak dokuczają, dalsi donoszą na siebie, miało być fis, a grał mol, kapelmistrz apeluje o czystość lejtmotywu, mol, durniu jeden, be jak koza, partytury nie widzisz? — kurz się podnosi, bo się smyczkowi skopali o butelkę do prywatnego grania pokątnego, melodia ginie jak myszy pisk, może naprawdę myszy, bo skąd by ten piki dzisk, to jest dziki pisk?? O tak, wciąż fałsz, od nudy do drżączki i od rozsklamrzenia ślamazarnego do dygotki, z rana pucowanie instrumentów ściereczkami, kalafonia w ruch, irchą bęben na wysoki glanc, aż lokajczyk przybiega i sunie rogowemu zapiskę, ten zaś rzecze: A, wezwanym na Ministerialną Naradę gwoli Generalnego Motywu Przewodniego, bo nieczysta wasza gra, odraczam próby do wieczora! Fagot, co był mu już właśnie kopertę podawał, taki tu zwyczaj, jakby się rozmyślił, bo ją schował do kieszeni i poszedł na miejsce z powrotem. I przyszedł nowy dyrygent, bardzo bystrooki, bez szkieł, za niego komissye wykryły, że trombonista ukrywał co lepszy dźwięk i nie wydatkował go podług właściwej rubryki, więc do Łoży go przenieśli i został Podsekretarzem Stanu Gruszek w Popiele, a u harfiarza skonstatowano uschłą dłoń i jeszcze się pokazało, że nie umie nut czytać, więc go przenieśli do fortepianu, żeby się nie zraził. Znowu przyszło na inspekcję Goryllium, zaafერowałem się i zamiast w bęben jak się fortissime nie prasnę w nagniotek na małym palcu, o jerum, jerum, świeczki we wzroku, oczy w słup, nogi w skos, bo słyszę Człap, Człap, Chrup, Niam, zerknę, a tu nie masz już, nie masz flecisty! A zjadło go w samym środku Koncertu Galowego, przed Grólewskim Majestatem przy brylantowym żyrandoleniu świetlistym, Zbawnucy Miłościwy nie w Pidżamie, lecz w Gronostaju siedział, cóż, myślę, na oczach grólewskich i to pożywać nas śmie, teraz to nie może inaczej być, tylko zahałakują, jak ci się tu nie skrzykną, może na kolana padną, może w rozsypkę pójdą, może hajda na potworę, lecz żeby nic, to nie do wiary, lecz właśnie, że nic a nic! Od tego wszystko poszło, bom się zalterował tak, żem więcej po łydach i nagniotkach się tłukł, niżem w bęben trafiał, i z takiego bicia wzbierać poczęła we mnie wielka passya, czuję, że jeszcze ździebko, a dalipan nie zdzierzę, już mi wszystko jedno, boż jasny gwint, mało że żywot bez nadziei a pomiłowania, to i bez muzyki, bo jakaż tam muzyka z Goryllium na karku. Ot, przerznąć by te instrumenta smyczkowe, a dynamitu do trąb, prochu do waltorni, i lontów, ale gdzie tam, piłujemy do wieczora.

Lecz koncert Dworski znów. Orkiestra rżnie i huczy cała, a Goryllium jawnie przykuće iska się, w otchłannej mordzie swojej paluchami gmera, czasem jak siąknie, to wysiąkane deszczem na nas, ciemniej się robi jak w majową zlewę, a jak kichnie, toby piorun strzelił, orkiestrę głuży w forte, ale dalej grają. Skrzypka kwili, waltornia mdleje, trombony dydlum dydlum na badydlum, a tu przede mną paluchy czarnowłochate Cap i nie masz Kontrabasisty, choć się tak strzegł, a pilnował, i jakaż to muzyka, gdy my wszyscy Półmisek z

Przystawkami, a Gról w łoży siedzi, wachlowany, szanowany, umajony, i przez zęby mówi: Jeszcze nie ta muzyka, co ma być. Jeszcze nie ma Wiary, Prawdy, Nadziei, Miłości, a też Harmonijnej Melodyi Dziejów!

Wzwyż, śmielej, w przód, czemu Kapellmaysterium tak gnuśno wywija, choć Bez Szkieł i Bystrooki!? Prędziej! Lepiej, chyżej, bo Gról niezadowolęń, Bando powątpiewająca! Jak śmiecie powątpiewać w Ha. Sf.?! Hm? Może temu bliżej przypatrzemy się? He? Niechay śmiało, dzielnie, bez bojaźni, Lękowia wyzna to Nam, My Majestat Łaskawy, my Koronność Ufna i Ufająca, niech wstaje i gada taki pies, taki syn, czemu Doskonałość podgryza i fragilizuje. My mu za to nic, my perswazyą małmazya, my mu z dobrowoli wy tłumaczmy, gdzie raki zimują! Cicho, jak makiem zasiał, nikt nie drgnie, jeno Goryllium z nagła HABDZICH I HABABDZICH DZICH DZICH!!! — że się zatrzęsała sala cała, i dały kolumny marmurowe z siebie stek, i w moim bębnie echo się ozwało, i nieco tynku poleciało nawet na najjaśniejszą koronowaną głowę Gróla Zbawnucego, i przy — kurzyło majestatowi łeb. Lecz Gról jak gdyby nie przywazył nic. Nie usłyszał i nie drgnął nawet. Każdy z grajów wkucnął się w siebie, gdy zagrochotało piorunnym gromem owego Wykichu, a Gról nic. I myślę: O, straszna to afera jakaś! Nie może Gról sam Goryllium Kąciarskiego nie widzieć, a nie widzi przecie. Nie mógł na własnym łbie koronnym Wapna, Tynku nie poczuć, a przecie nie czuje nic a nic. Więc cóż to znaczy? Kto tu sługa, kto tu pan? Goryllium jestże Zębatym Kappellmaystrem Gróla i na ostatni kęs go ma, jego na wety zje? Czyli też tajnym są oboje aliansem powiązani przeciwko nam tutaj? Nic nie rozumiem, jeno wiem: Drapaką by dać, im prędziej, tym lepiej, lecz jak?

Po drugiej części koncertu wyszło Goryllium w przerwie z Szafy i między nami się przechadza. Znudzone jakieś, czy co? Ogłaszają nagrodę, nuż graycy raycować, o głos proszą, krytykę czynią dogłębną, a Goryllium jednemu uszy obwąchało, drugiemu poprawiło krawat, trzeciemu zjadło maszynopis referatu, że skonfundowany przycupnął zaraz, a też idąc spluwało do spluwaczek srebrnych, a może przez omyłkę i do puzona napluło też. Lecz krasnomówcy gadający dalej młóca o Ha. Sf., aż im pot się z czoła leje, grać, co to, to nie, grać nie mogą, atoli jakże cudownie, z jakim wiary pełnym w Ha. Sf. Natchnieniem potrafią o grania perfekcyi rozprawiać! A gdy mi owo gadanie ichnie, i gdy chodzenie, sapanie i czochranie Gorylliumowe zajechało w bok pod ostatnie żebro, poczułem zadyszkę, mrok w oczach, i poprosiłem o głos: a Gról Jegomość z łoży przyglądał mi się, jako iż protegował naradę i osobiście Raczył ją Obecnością Najjaśniejszą uświetnić. Wstałem z tą myślą, że gdyby opisy muzyki mogły dźwięczeć, niechybnie rozpościerałaby się w Hafnie wcielona Sfer Harmonia; i poczułem, że w hazardowym jestem stanie, i w powszechnym Silentium

powiadam w głos: A co to za zmora — potwora kręci się tu i pałęta na kabłąkowatych nogach, i kuszyka, i drała, że wprost niedobrze się robi od samego widoku? A jakimż to prawem ten Kąciarz z Szafy wciąż penetruje nam muzykę i takową zanieczyszcza paskuda swoją, a też obzarstwem? A jakżeż to można zacnych muzykantów na surowo zreć, aż się łuskowate uszy trzęsą, a grdyka chodzi? A któż to widział, żeby komissye i doktorzy hab. cich., i uczone ekspertyzy, i rewidenci, i kontrrewidenci, i mikroskopy na kopy, a nikt nic, ni pary z gęby, jeno w kucki a w kucki? To ja tu teraz powiadam Veto, Grólu Zbawnucy, i Veto, panowie bracia, i Veto, czyli nie masz zgody na ciebie, Kąciarzu Bezecny, i póki ciebie, tedy tu g... będzie, nie Harmonia Sfer!!!

Co się działo, mości panowie! Jedni usiłowali wleźć do instrumentów swych, żeby się schować, wszelako pojmujecie chyba, że o ile to było jeszcze do pomyślenia przy kontrabasie lub pianoforcie, ani mowy z fletem, a już tryanglista, wryując, łeb wraził w sam środek tryangla, który mu jak obróżka na szyi wisiał i dzwonił jednym ciągiem od jego zębów szczękania. Drudzy włązili znów pod fotele swoje albo drapali podłogę, by dołek sobie wykopać, ale jaki tam dołek dla strusiej polityki, gdy tu dębowy parkiet! Blacharz talerzysta, tył sobie talerzami osłoniwszy, bęben mój duckał głową, bo do środka go parło, lecz importowana błona grzeczna zdzierzyła. Kapelmistrz, aby mnie zagłuszyć, jednym ciągiem prał paliczką swoją w pulpit, kwicząc jak prosię andante ante rante mante adamante tante, bo mu się już wszystko pomieszało, a Gról Najjaśniejszy w Łoży swojej koronnie honorowanej prędko coś zaszeptał lokajom, sługom, i nuż ci zasłonę zasuwac, aby go brokatem, adamaszkim, złotogłowie herbowym oddzieliła od nas, zasię Goryllium zrazu nic, jeno ćpało, a mlaskało dalej, bekając, bo mu się jeszcze arfistą odbijało, że dosyć był w sobie tłusty i masny, aż dopiero potem przywstaje i odzywa się chrapliwie, wstrętnie i grubawo:

— Ka-błą-ko-wa-ty? Niby kto? Mo-ja-wiel-moż-ność?! Ach?! Jam tu podań w niehehehe (zapłakał) sławę jest? Jam tu pomóhuhuhu (zapłakał) wioń o coś brzydkiego jest? Nikt mnie do obronyhyhyhyhy (zapłakał) słowem nie pospieszy? O! jasny gwint! Ratujcież mnie sirotę — bidotę, bo tu mnie obrażają, mnie tu despekt, mnie tu impertynencje, mnie tu krzywda się, mnie tu źle, ja do mamy, do niani chcę! Ohohoho! Uhuhuhuh! (płakał już jak wodospad w burzę) — ty, wstrętny wszarzu-bębniarzu! Ty nie-kul-tu-rał-ny bambidolu! Ty boćwi—no! Ohoho! Nie kochasz mnie! A ja myślałem, że mnie tu wszyscy, wszyscy kochają! Zdziwienie mi zrazu mowę odjęło, potem atoli wzięłem na odwagę i rzekę: Mości Goryllium! Zaiste trudno kochać tego, kto jako Kąciarz Szafon z pokątnej Szafy wciąż wyłazi potworem, wyłaniając się jak żbik na owce, gnaty łamie, puzonistów zre, flecistami zakąsza, nie mogę tedy pojąć, jakoż nie dostrzegasz swej kanibalno — muzykalnej

zbrodniczości? A wy — mówię — panowie uczeńcy, fraczni, tabaczni, bro — danci, i ty smokingowy doktorze hab. cich. z fajką, nie naukowa wasza nauka badawcza! Metronomów ponastawiali, rezonatorów, abrakadabrow, szpilcajgu, mąkę w powietrzu rozsypali, niech ta wisi polatując, ukaze Węzły Stojących Fal! Ekspertolizy piszecie, duch i ciąg metrem mierzycie, a Goryllium nie widzicie! A Gról Jegomość niechaj raczy firancję swoją odsunąć i wyjaśnić poniekąd, w jakim charakterze tu się konsumpcja na miejscu odbywa, jako też na wynos do Szafy!? Albowiem w hazardowy stan wszedłem i już mi wszystko jedno. Uczeni, widzę, wyciągają tubki z syndetikonem i już próbują używać Specjalnych Słów, jako to Delirium Bębniariorum, Wariatuncja Musicalis cum Hypnagogica Confusione Debilitatissima, lecz wtem Goryl — lium jak nie ryknie w głos! Słowy płyną mu rzewliwe, aż strumienie poszły po stopniach amfiteatru, i jak nie skoczy jednym gorylskim susem ku Łoży Grólewskiej, jak na sznurach nie zahuźda się, jak nie targnie adamaszkowego brokatu — sam Majestat w Kontuzji objawił się, ponieważ w kątku kucał i ekstraordynaryjną konsultacją kucaną przeprowadzał właśnie z Radą Ministrów, gdy tu Goryllium łeb wraza i — ratuj mię WGMość! — woła — ratujcież mię biedaka spotwarzzonego, a nie, to sobie zaraz pójdę i już nie wrócę!!!

Gról zerwał się na te słowa i wołał co siły: Tylko nie to, nie to, Kochana Opoko, Przyjacielu Drogi, Podporo nasza, Tylko nie TO! Zróbże sam, wiesz co, racz pojąć, Łaskawco, że mnie się tego rzec w mojej Miłosierności Pluralnie Majestatycznej nie godzi, aleć cóż tobie. — A nie! — Goryllium na to, nosem pociągając straszliwym, aż smarki po kosmatych licach cieką — a nie! Jam w służbie WGMości czynił, co czyniłem, podług listy personalnej Umyślnym z Łoży przez Lufcik do Szafy zaekspediowanej, w uzgodnieniu wrywałem i ewentualnie konsumowałem, lecz Nader Niechętnie, bo ja się Muzykusów Brzydzę i jak mi, Jerum, życie miłe, ani na Tycio bym żadnego nie posmakował! Wszystkich a wszystkich ja ze wstrętem, wbrew własnej Naturze, na przekór sobie, a jeno dla Tronu, Ojczyzny i Wyższych Sfer jakichś tam, albowiem nie pamiętam jako nieuczony, jak je zwać, i nie dla prywaty żołądka, zdrowia, wątroby nie szczędziłem, choć się we mnie od tych łyków łykowatych żółć zapiekła i rozstrojum się nabawił, i zgaga mnie wciąż pali, wszelako trwałem na posterunku, więc domagam się, aby ten Drab z Bębnicą za pohańbienie mojej poczciwej z gruntu, oddanej i Dobrej Osoby zaraz został przez WGMość własnoręcznie ukarany srodze, a nie, to sobie precz pójdę i obaczysz, Miłościwy Panie, co się wtedy z twojej Muzyki ostanie!

Nuż Gról upraszać i błagać, głaszcząc wielebnymi Rękami Potworę po łbie kołtunnym, nuż Szafon Kąciarz, wisząc na Draperyi (którą oberwał z częścią futryny), odmawiać a subjeckje robić i droczyć się przy podkreślaniu drażliwej subtelności swej duszy,

aż mnie zdumienie zatchnęło. A Gról szepce: Wiesz co, Mości Opoko Moja, Wierny mój Oddańcze? My chwilowo teraz tego Draba razem z jego łgarstwami łaską monarszą pomiłujemy i my mu Crimen Laese Gorillionis chwilowo odpuścim, jako że zaraz niechybnie swe wydumane zniewagi odszczeka, owszem wyzna swą niegodziwość i uświadomi tu obecnych, jako działał w charakterze Dywersyonaryusza, z ościennego poduszczenia, za srebrniki Judaszowe, i miał za zadanie Melodyę Zwurdzić, a Harmonię Sfer skalafiorzyć i tym sposobem unicestwić! Mówi tak, a zarazem mruga usilnie do Szafona, pojmuję tedy w lot, że przebaczeństwo jest jeno odroczeniem kaźni, toteż wołam, bębniąc w cenzurach: Potwór potworny jest! Potworowatości pełen jak wszy miodu, a nadto śmierdzi jak Wszyscy Dyabli! I gdyby nie żarł nikogo, jeno czał i pokątnie kącił się w kącie, od samego cuchu muszą dyabli Muzykę wziąć! To mówię i nie odszczekam niczego, jak mi Bęben miły!

Impas kompletny.

Orkiestra wyłazi z basetli, trombonów, fortepianów, spod kanap, ci jeszcze z nawyku uszy zatykają, tamci już głowy zaczynają podnosić, a brzuchy ich jako dzielniejsze, choć plackiem leżą, odzywają się: Faktycznie żarł, żre i kto wie, czy nie będzie dalej nas żreć! I w samej rzeczy zalatuje, że niech ręka Boska broni! Goryllium zasię, durne jak but, nie pojęło chytrości zatajonej w Grólewskim przemówieniu i rzecze: Ach, och, mnie tu obrazy spotykają, na takiej wyrypiem tu pół życia — zdrowia sterał, a teraz taka mi zapłata, dość szkalowania mam, idę sobie precz i hen, gdzie oczy poniosą!

Zzieleniał na to Gról. — Dlaboga — woła w największej rozpaczcy — a co z Ha. Sf. będzie!? Miej, Luby, na uwadze Harmonię Sfer, wszak my ku niej ramię w ramię, a Tyś sól tego ruchu —

— E tam — odpowie ciemne Goryllium — dyć powiedziałem swoje, a teraz to się Wasza Grólewska Mość sam już z muzykantami użeraj!

I zmierzą w bok, wprost ku wyjściowym drzwiom. Gról na to sam jak małpa po portierze się na parter osunął i w dyrdy za nim, o tren i płaszcz się potykając. — Jedyny, miły, wierny! — woła — Nie opuszczaj Nas! Bębniarza na rozkurz puścim, tylko wróć i przebacz!

Goryllium tedy, Gról owędy, i gdy oni tak między kolumnami wykonują kryzys rządowy, a Rada Ministrów za nimi gna, przy czym pod Sekretarzem Stanu Odmiennego oberwał się złoty sznur z kutasami i w głowę go dziaknął, aż mu medycy grólewscy ona szyć musieli, gdy taki uczynił się rwetes, ja wzdłuż ściany do halebardystów, ci zaś wpatrzeni w grólewsko — kąciarskie przytupy świata nie widzą, więc do klamki, buchnąłem w sień, i podle cudnych instrumentów ku zewnętrznej uchylonej bramie, więc kiedym dopadł progę, panowie bracia, takiego Napędu dostałem, że bez forsazu, więcej powiem, bez rakiety zgola

wystartowałem, i tyle mnie widzieli, wszelakom kursu nie mógł utrzymać, bo mną wciąż jeszcze trzęsło, toteż naleciałem łbem na jakowyś Obłok nader zimny, i w pierwszej chwili nawet mi się przyjemnie uczyniło zgorączkowanemu, potem złapał większy ziąb, aliści od impetu nie mogłem się już cofnąć i wmarzłem w ogon komety onego, lodowaciejąc i tracąc wszelki zmysł. A co było dalej do samego ocknięcia mojego, dalipan, że nie wiem!

Skończywszy, dobosz przytulił do piersi miły bęben i jakby sobie tylko a muzom z cicha wyprztykiwał na nim tęskny, egzotyczny motyw. Słuchacze jęli się ruszać, aż Trurl rzekł:

— Niezwykła była to historia i rad jestem, że dzięki dobremu trafowi takiego artystę udało mi się wyzwolić z lodowatego więzienia! Wiedziałem, o, byłem pewien tego, że spędzimy wspólny czas ze znacznym pożytkiem, ponieważ każdy z nas, pochodząc z innych stron, może nas inaczej pouczyć i zabawić — wszak jedno od drugiego nieoddzielne! Wszelako teraz już czas przyszedł na ciebie, szanowny Androidzie, bądź więc łaskaw opowiedzieć nam, jakie fata sprowadziły cię na ten skromny glob...

Android nie opierał się, a tylko zastrzegł, że jego historia nie może równać się opowieści dobosza, jako iż nie jest artystą. Tu dobosz, Trurl i maszyniátko jęli go zapewniać, że walor różnych losów musi być z konieczności nieporównywalny, więc już tylko nieznacznie pocertoliwszy się ze słuchaczami dla samej przyzwoitości, gość pociągnął z bukłaka, odchrząknął i zaczął swoje.

OPOWIEŚĆ DRUGIEGO ODMROŻENIA

Radzi stajemy w tak szlachetnym zgromadzeniu, by opowiedzieć naszą historię, choć jest ona tajemnica państwowa. Wyjawimy ją, gdyż powoduje nami wdzięczność silniejsza od racji stanu. Ten kielich, pełen zamarzłej na kość cykuty, który dobroczynny Trurl wyłuskał z naszej zgrabiałej prawicy, nie jedną miał pozbawić życia istotę, lecz ich miliony. Myśmy bowiem nie ten, za kogo nas bierzecie. Ani my robot, ani chandroid, co lekkomyślnie sięgnął po truciznę, ani wreszcie pierwotniak, zwany człkiem, jakkolwiek istotnie powierzchownością patrzymy na tego ostatniego. Nie tak jest przecie. Nie przemawiamy też do was w liczbie mnogiej od zadęcia w Pluralis Maiestatus, lecz z gramatycznej konieczności dziejowej, którą pojmiacie u końca naszej opowieści.

Zaczęła się na błogich wybrzeżach planety SIEMI, niegdysiejszej ojczyzny naszej, nader płodnej, jak wskazuje nazwa. Powstaliśmy tam właśnie, sposobem, nad którym nie

warto się rozwodzić. Przyroda stosuje go bowiem powszechnie, mając odwieczną skłonność do autoplagiatów. Z morza muł, z mułu pleśń, stara to pieśń, z pleśni rybki, co powyłaziły na ląd, gdy im się ciasno w wodzie zrobiło, a wypróbowały na suszy moc chwytów, przyssały się gdzieś po drodze i tak powstałe SSAKI doszły kusztowaniem sprawnych chodów, a wzajemnym utrudnianiem sobie życia — rozumu, gdyż rozum jest od kłopotów, jak drapaczka od świądu. Wlazły potem pewne ssaki na drzewa, a gdy drzewa uschły, przyszło im zleźć w niemałej biedzie, i od tej biedy jeszcze zmądrzały — niestety po zdradziecku.

Nie było już drzew ani nic jarskiego, poszły więc na łów, a raz, obgryzając udziec, jeden spostrzegł, że u niego już goła kość, a u drugiego jeszcze mięso, dał mu więc kością w łeb i zabrał mięso. Był to wynalazca maczugi.

W niewiadomy czas potem powstał Zakon. W kwestii jego powstania rozwinęła myśl siemiańska osiemset różnych poglądów. Co do nas, sądzimy, że Zakon powstał, by uznościć byt, skądinąd nie do wytrzymania. Źle było naszym praojcom, o co żywili pretensje — lecz jak tu żywić pretensje do Nikogo — więc w pewnym, nader subtelnym sensie Religię urodziła nam sama gramatyka, wsparta wyobraźnią. Jeśli tu niedobrze, to gdzieś indziej dobrze. Jeśli nigdzie nie można znaleźć tego miejsca, to ono tam, dokąd nie zajdziesz na nogach. Ergo — grób to skarbonka. Złożysz w nim cnotliwe kości, to będzie ci wypłacone w zaświatach odszkodowanie z nawiązką za wstrzemięźliwość w wiekuistej walucie z Bożym pokryciem. Łamali jednak nasi praojcowie po cichu ów Zakon, bo nie wydawało im się całkiem sprawiedliwe, żeby wszystko najlepsze miało być zastrzeżone wyłącznie dla nieboszczyków. Zastrzeżenie to odtłumaczyli nasi teologowie na trzysta sposobów — pominiemy to jednak, inaczej nie starczyłoby na naszą opowieść i tysiąca nocy.

Przodkowie nasi ułatwiali sobie znój różnymi kruczkami i machinacjami, od których poszły maszyny, machające za nich cepami, a skoro cepami, to i kołami, a skoro kołami, to i bitami — w czym tkwi silny skrót, skądinąd wskazany. Pomniejszając tak swoje biedy, dowiedzieli się przy okazji, że Siemia jest kulista, że gwiazdy to supły, trzymające w kupie firmament, że pulsar to gwiazda z czkawką, a Siemian porodził muł — co się dało nawet powtórzyć w umyślnych wylęgatoriach już w trzydzieści tysięcy lat od skrziesania ognia.

Cielesny trud oddało się zatem w arendę różnym samo — biegom, których można było i przeciw sąsiadom używać, pozostała jednak uciążliwa praca umysłowa, wykoncypowaliśmy więc zmyślny za nas przemysł, jako to myślniczki i myślnice, mielące świat na cyfry, a w zmełtym odcedzające ziarno od plew. Najpierw budowało się je ze spiżu, lecz nad tymi trzeba było stać, a to także męczy, wyhodowaliśmy więc ze zwykłych bydła myślodajne liczydła, co pędziły żywot przy żłobie na zadanych im komputacjach i

medytacjach. Tak dorobiliśmy się też pierwszego bezrobocia.

Wyzwoleni od znoju, mając mnóstwo czasu na rozmyślania, zauważyliśmy, że nie jest ze wszystkim tak, jak miało być: brak biedy to jeszcze nie rozkosz. Wzięliśmy się zatem do praktykowania Zakonu na odwrót, próbując każdego z wymienionych w nim grzechów głównych już nie ze strachem i skrycie, jak dawniej, lecz hardo, publicznie i z rosnącym rozsmakowaniem. Próby wykazały, że większość tych grzechów jest mało apetyczna, skoncentrowaliśmy się więc u zarania ery Nowożytnej na obiecującym najwięcej — a było nim Oblapianie, czyli Łóstwo, w jego specjalnościach jak cudzołóstwo, wielołóstwo, samołóstwo i tak dalej. Ten dość ubogi repertuar wzbogaciliśmy racjonalizatorskimi innowacjami, od czego powstały kazidła, kochliwe kochery, płcennice — aż każdy Siemianin miał w swoim sodomostwie komplet rujnych maszyn. Nie w smak szło to Kościołom, przymykały jednak oczy, bo czas krucjat minął i było z nimi dość krucho. W postępie przodowało pierwsze mocerstwo Siemi, Lizancjum, które w powszechnym głosowaniu przerobiło sobie skrzydlatego drapieźnika w godle państwowym na Pornopteryks — Sprośne Ptaszę. Lizańcy, nurzając się w dobrobycie, rozwiązywali wszystko, co nie było jeszcze całkiem rozwiązłe, a reszta planety naśladowała ich w tym podług miejscowych możliwości. Dewizą Lizancjum było OMNE PERMITTENDUM, taka bowiem wszechzwoląca permissja leżała u podstaw jego polityki. Tylko mediewalista siemiański, co się przekopał przez nasze kroniki średniowieczne, pojmie należycie zaciekłość owych rewindykacji, był to bowiem istny odrzut zamierzchłej ascezy i dewocji. Jakoś mało kto dostrzegał, że dalej się pilnuje liter Zakonu, tyle że do góry nogami.

Twórcy zwłaszcza, wyłażąc ze skóry, by nadrobić zaległości wiekowe, zakładali oficyny drukarskie zwane bluźniami, kłopotząc się tym jedynie, że nikt ich już nie prześladowuje za śmiałość. Hymn młodzieży idącej na czele radykałów brzmiał, o ile sobie przypominamy, następująco:

W promiennym blasku
Miedzianych Czół
Wbijemy mamę
Na pał, na kół
A potem tatę
Spiszem na stratę
Rzucimy w dół!
Za tatą mamę

Za mamą tatę
Hej siup i w jamę
Amen!!

Życie umysłowe kwitło. Wydobyto z niepamięci dzieła niejakiego markiza de Zad, wymagające szczególnej uwagi, wpłynęły bowiem na dalszy bieg naszych dziejów. Dwa wieki wcześniej kat wyświecił go jako pisuarystę, zbrudniarza, a dzieła poszły na stos, szczęściem przezorny markiz sporządził odpisy. Ten męczennik i prekursor Nowego głosił Czar Ohydy i Cnotliwość Nicnoty, bynajmniej nie ze względów egoistycznych, lecz zasadniczych. Grzech bawi czasem, pisał, lecz grzeszyć należy, bo to niedozwolone, a nie, bo przyjemne. Jeśli jest Bóg, należy mu robić na złość, a jeśli Go nie ma — to sobie: tak czy owak zamanifestuje się pełnię wolności. Toteż w powieści Zmorjanna zalecał koprolatrię jako kult łajna, celebrowanego na złocie przy dziękczynnych chorałach, gdyby go bowiem nie było, tłumaczył, koniecznie należałoby je wynaleźć! Za nieco mniejszą zasługę poczytywał wielbienie innych odchodów. W kwestiach rodziny był pryncypialistą: należało wyciąć ją w pień, a jeszcze lepiej nakłonić do tego, żeby się sama wycięła. Nauki te, wydobyte z otchłani wieków, wzbudziły podziw i respekt. Tylko prostacy czepiali się słów, powiadając, że jednak de Zaw WOLAŁ wzmiankowaną substancję od krewnych i bliskich — co jednak, jeśli komuś miłsza rodzina?

Zakłamanie tych krytyków zdemaskowali zadyści, uczniowie markiza i kontynuatorzy jego testamentu, opierając się na Teorii docenta Fronda. Duszoznawca ten wykazał, że świadomość to stek łgarstw na wierzchu duszy ze strachu przed tym, co tkwi głębiej („Myślę, więc kłamię”). Frond doradzał wszakże kurację, sublimację i rezygnację, zadyści natomiast postulowali depaskudyzację przez użycie do przesytu. Zakładali więc rewelatryny i nauzealne muzea, by folgować w nich sobie i bliźnim; a mając w pamięci to, co nakazywał de Zad, kultywowali tę właśnie część ciała. Jeden z wybitnych przedstawicieli ruchu, docent Incestyn Wichs, mawiał, że tylko Sempiterna Semper Fidelis — zresztą nic pewnego na tym świecie. Ponieważ mówiło się już wiele o ochronie środowiska, zadyści zanieczyszczali je na potęgę. Poza koprozofią pasjonowała umysły futuromancja. Na schyłku minionego wieku upowszechniło się czarnowidztwo, teraz wyśmiewane, boż za jedno miejsce pracy, tracone wskutek robotyzacji, zyskiwało się dwadzieścia nowych. Powstawały wszak nie znane dziejom fuchy, choćby orgianisty, deranżera — podręcznika (co umiał podręczyć na sto ładów), trzeciaka — trianglisty (ten dramatyzował na obstalunek życie familijne, tworząc tam trójkąt małżeński, gdzie go nie było), eksteriera i seksteriera (pierwszy był po prostu byłym

psem, a drugi uprawiał sodomistykę, odmianę automistyki, czyli kunsztu takich aktów strzelistych, które się same wykonują dzięki automatyzacji). Pod naciskiem mody nawet fizycy dorabiali swym aparatom pornoprzystawki. Reformacja ta rychło wywołała kontreformację, której rzecznicy, wszystko mając epoce za złe, dokonywali zamachów na banki spermy i brzydkiej pamięci ferrytowej. Obok takich wysadzantów działali abnegaci, propagatorzy Powrotu do Jaskini, jak Wszawel i Ćpawel, zachęcający do niechlujstwa i żarcia byle czego, skoro wokół wszystko sterylne i smakowite. Co się tyczy płci pięknej, zbuntowała się totalnie. Przodownice ruchu wysunęły dwa nowe ideały kobiecości — dziwkożonę i świnksa — ażeby nawiązać po wyzwolicielsku do prastarych mitów. Od tego wszystkiego narastał chaos, większość Siemian pokładała wszakże zaufanie w nauce, która bez tremy badała każde zjawisko — ot choćby orgianistykę, sformalizowaną dzięki wprowadzeniu jednostek zwanych orgami (w wypadku nekrofilii były to morgi), rozróżniając subtelnie pomiędzy gzikim, gziarzem a gziacielem czy między naleśnikiem a obleśnikiem, wszystko klasyfikując i niczemu się nie dziwiąc.

Miała zresztą nauka moc chlubnych dokoNan. Toż w tym wieku tradycyjnej inżynierii pospieszyła z pomocą genżynieria.

Najpierw tworzyła niebywałe hybrydy (jak damy i jamochłona, z czego powstał Damochłon), potem wzięła na warsztat samych Siemian. Miłe złego początki — niedługo wybuchła Wolność Cieleśna, gdyż w genżynieryjnych biurach można sobie było obstalować ciało dowolnego kształtu i funkcji. Niektórzy dziejopisowie dzielą historię powszechną Siemi podług powyższego, na erę wojen idealnych, w której bito się o ideały, oraz na erę wojen somatycznych, w której bito się o właściwy standard cielesny. Zresztą nadal owocowały nauki markiza de Zad. Najnowsza kosmogonia utrzymywała, że innych cywilizacji kosmicznych nie dostrzeżono dotąd wskutek tyranii pruderyjnych wyobrażeń. Wyobrażano sobie mianowicie, że takie cywilizacje zajmują się udojem słońc, że konsumują gwiazdy z kramarską oszczędnością. Cóż za głupstwo! W naturze pierwotnego człeka leży, że nie kopie gwiazd, lecz kretowiska, bo na więcej go nie stać. Po to, żeby trwonić bogactwo i potęgę, pierwszej trzeba mieć jedno i drugie. Gwiazda to nie zaskórniak, słońce nie grosz na czarną godzinę, astrotechnik nie liczykrupa. Ilekolwiek by spożytkować gwiazd, zawsze pozostanie niespożyty bezmiar, samym ogromem urągający wszelkiej praktycznej rachubie — toteż Kosmosowi może dać radę tylko pełna bezinteresowność. Ślepym chaosom jego ogni należy przeciwstawić świadomą wolę perzyny. Zresztą jesteśmy już na tej drodze, bo czy nie rozbijamy atomów na drobne kawałki? Wedle stawu grobla. A zatem astrotechnika wysokich cywilizacji musi być orgią wspaniałych razów, wytrącających ciała niebieskie z ich baraniego

kręćka — dla satysfakcji, nie dla interesu. Firmamenty pełne są galaktyk puszcanych na rozkurz, co notabene tłumaczy obfitą wszechobecność kosmicznego pyłu. Bratnią inteligencję poznaje się więc z astronomicznego dystansu po niebywalej potędze kopniaków, jakie wymierza gmachowi Universum, właśnie tak dowodząc swej rozumnej w nim obecności. Nas jeszcze byle kometa zaśmajał się ogonem z powierzchni Siemi, byle mrugnięcie Słońca nas zgładzi, lecz my urastamy w moc, a nie Kosmos, toteż nadejdzie luby dzień, w którym odkujemy się i pokażemy braciom w rozumie, że nie święci garnki lepia, a może nawet, gdzie raki zimują.

A zatem Kosmos nie rozszerza się i nie rozpręża sam z siebie, tylko rozlatuje się na naszych oczach od manta, które spuszcza mu wysokie astrokracje.

Te naukowe rozważania zagłuszył grzmot nowej wojny światowej, w której konserwa cielesna zderzyła się z blokiem somatycznej wolności. Szczęśliwie działania wojenne nie pociągnęły za sobą większych ofiar, jako że porąbanych przeciwników scalały na polu boju doraźnie rezurekcyjne, czyli natychmiastnice pogotowia wskrzeszalniczego, przy czym wódz naczelny tamże udzielał indygenatu szczególnym zuchom, skąd wzięło się porzekadło, że ze szlachtunku ta szlachta. Obóz zachowania przyrodzonych ciał poniósł klęskę, co osłabiło światową pozycję kościołów, bo się przy nim opowiedziały. I potem dochodziło do lokalnych powstań, znanych jako rebelia biustnicza, insurekcja krzyżowo — pacierzowa, lecz bunty takie stłumiono i nastał — nie na długo — ład, gdyż przyszło do dyktatury rachubińskiej. Rzecz domaga się wyjaśnienia. Już u progu ery cielesniczej pędził każdy Siemianin podwójny żywot, jeden zwyczajny, a drugi symulowany cyfrowo w ośrodku rachuby personalnej, choć wielu zżymało się na ów cichy nadzór, zwąc go cyfrokracją. Było to jednak nieodzowne, bo już nikt by w głowie nie pomieścił danych ekonomii, przemysłu, a też wszelkich innych niezbędnych rachunków. (Gdyby zaś nawet ktoś pomieścił, to się nikomu nie chciało). Tak więc ład utrzymywały rachownice i symulatory, śledzące całą Siemię przez szkła satelitów, pospolicie zwanych Łypantami.

W tym wieku wszechswobód tylko cnota musiała kryć się wstydliwie przed światłem. Dla zrozumiałych powodów prostytutka wygasła od dawna, a jej namiastka — świetlanki i świetaczki — nie cieszyły się powodzeniem, każdy bowiem wiedział, że prawdziwa niewinność nie wystaje na rogu ulicy, więc oferowana musi być czczym udaniem. Cnornicy kryli się z cnotkami w tajnych klubach, gdzie o chlebie i wodzie uprawiali swe celibacje. W tych właśnie środowiskach nasilały końcówki ośrodków rachuby personalnej apostołstwo nierządu. Później dopatrywano się w tym premedytacji, przygotowującej rachubiński zamach stanu. Nikt jednak nie troszczył się o myślność — same rosły, a gdy liczba Siemian

przekroczyła bilion, nie stało już miejsca w komputowiskach, chociaż każdy elektron dźwigał w nich na grzbiecie korzec bitów. Poszła więc dalsza ekspansja cyfrowego przemysłu w głąb planety, obracając kolejne warstwy geologiczne — w bityczne, aż, wgrzyźszy się w ogniste jądro Siemi, zamieniła je w mądro, o czym wszakże mało kto wiedział z obywateli, zajętych nowymi sportami (jak łonniczy i rajcarski), nowymi rodzajami muzyki (koncerty na rajfujarkach) itp.

Co prawda zdarzały się zmyłki rachuby, zwane pospolicie cyfrancą, od której z minuty na minutę obywatel tracił majątek, konto, tytuły własności, a wręcz własną identyczność, lecz dopust taki uważano za nieuchronny.

Poszkodowany cyfrancą, tak zwany znikant, nie miał nic i nie mógł świadczyć się nikim, boż nic takiego jak rodzice, dzieci, małżonek nie istniało już od wieku, a na świadków nie godziły się osoby, z którymi przyszło uczestniczyć w naskoczycielstwie, w pijactwie bądź w innych formach rozrywkowego gziwa. Skoro każdy gził się z każdym, to i nikt oprócz komputera nie znał nikogo bliżej — i los osobisty wisiał cały na jednej nitce ferrytowej pamięci o tysiąc mil pod każdym Siemianinem, księgowany w mądrze — aż do fatalnej chwili. Niekiedy zlewały się od zwarcia w jedność dane dwu osób, niekiedy ulegały rozszczepieniu personalia jednostki — skutek bywał podobny w nieszczęściu. Znikantów nękały prześladowcze urojenia niebytu. Ta pospolita plaga społeczna, zwana neantyzmem, objawiała się najczęściej tak zwanym syndromem nienia. Mając wszystkiego dosyć, nie wiedząc, kim właściwie jest, będąc ze wszystkim na „nie”, poczynał sobie taki nieszczęśnik wygrzebywać gdzie popadło jamę, żeby w niej zniknąć. Istnieli amatorzy intymności właśnie z anonimowymi znikantami, których wyszukiwali im umyślni szczwacze eksterierów, wprawionych w tropieniu takich jam. Wskazuje to, jak bardzo się skomplikowało podówczas życie.

Era cieleśnicza obciążyła dodatkowo ośrodki cyfropersonalne, boż obywatele w oczach się teraz dwoili i troili, mnożąc sobie ciała na różne okazje. Nie brakło milionerów — kolekcjonerów, którzy nie chcąc z nikim dzielić zmysłowej satysfakcji, rozmnażali się dla rozpusty przez pączkowanie. Nie lada matematycznym problemem było objęcie rachubą takich powielicieli, jedną głową komenderujących pułkiem ciał; rafinatów tych zwał lud spółkownikami. Czy to właśnie oni doprowadzili mądro do zapaści, czy też, na odwrót, ono doprowadziło masy do szybkościowej erotacji, by w nastalym chaosie przechwycić ster rządów — nie wiadomo do dzisiaj. Dość na tym, że mądro ogłosiło stan wyjątkowy, a zarazem mianowało się najwyższym władcą Siemi z oficjalnym tytułem Przemądra.

Otrzeźwieni tak nagle i okrutnie, Siemianie objawili dawną przemysłność i męstwo w

biedzie, bo też (jak filozofowano potem) bieda ich stworzyła i w niej tylko czuli się jak ryba w wodzie. Wojna światowa z rozpartym w podziemiach samozwańcem w niczym nie przypominała wojen dawniejszych. Obie strony, mogąc się unicestwić nawzajem w ciągu sekund, przez to właśnie ani się tknęły fizycznie, walcząc na informację. Szło o to, kto przywali kogo łgarnkami sfalszowanych bitów, dzieli blagą przez łeb, wedrze się do myśli jak do twierdzy i poprzestawia w nich wszystkie sztabowe molekuly wroga na opak, żeby go tknął informatyczny paralusz. Przewagę operacyjną zyskało natychmiast mądro, będąc głównym buchalterem Siemi; informowało tedy Siemian fałszywie o dyslokacji wojsk, zapasów, statków, rakiet, proszków na ból głowy, przeinaczając nawet liczbę świeczek w podszwach butów intendenty, by oceaniczną nadmiarowością kłamstw porazić w zarodku wszelki kontratak — toteż jedyna rzetelna informacja, wysłana przez mądro na powierzchnię Siemi, skierowana była do komputerów fabrycznych i arsenałowych, żeby zaraz wytarły sobie do cna całą pamięć — co się też stało. Jakby tego było jeszcze nie dość, mądro przypiętowało ów atak na globalnym froncie przetasowaniem i pomieszaniem na groch z kapustą personaliów przeciwnika od wodza naczelnego do ostatniego elektrociury. Sytuacja zdawała się beznadziejna, choć zataczano już na pozycje ostatnie nie zagwoźdżone wrażliwym łgarstwem kłamarnice, rychtując ich wyjście w dół; sztabowcy, pojmujący daremność tej akcji, żądali przecież otwarcia krzywomyślnego ognia, żeby kłam się kłamem odciskał, choć przyjdzie paść, lecz przynajmniej z nie zełganym honorem. Wódz wiedział jednak, że ani jedną salwą nie dotknie uzurpatora, boż nic dlań prostszego jak zastosować pełną blokadę, przecinając łączność i niczego absolutnie nie przyjmując do wiadomości. Posłużył się więc w owej tragicznej chwili samostraceńczym fortelem. Kazał mianowicie bombardować mądro całą zawartością wszystkich sztabowych archiwów i kartotek, a więc szczerą prawdą, przy czym w pierwszej kolejności obruszono w głąb Siemi stopy tajemnic państwowych i najsekretniejszych planów, które nie to, że oddać, ale i uchylić ich rąbka znaczyło zdradę stanu.

Mądro nie powstrzymało się od łapczywego rozpatrzenia tak ważnych danych, co zdawały się świadczyć o samobójczym pomieszaniu przeciwnika. Tymczasem do supertajnych informacji stopniowo dołączano rosnącą przymieszkę mniej istotnych, lecz mądro od nawyku i ciekawości odbierało wszystko, łykając dalsze lawiny bitów. Gdy już wyczerpał się zapas tajnych umów międzypaństwowych, szpiegowskich raportów, planów mobilizacyjnych i strategicznych, otwarto upusty zbiornic, w których spoczywały sędziwe mity, sagi, podania, baśnie i legendy praczeckie, święte księgi, apokryfy, encykliki oraz hagiografie. Ekstrahowane z pergaminowych foliałów, tłoczono je w głąb Siemi, a

samozwańczy cyfrokrate wskutek impedancji i arogancji, czyli bezwładności i narymności, pochłaniał wszystko, bezgranicznie łakomy i nienasycony, choć dławił się nadmiarem bitów, które mu też na koniec stanęły kością elektryczną w gardle, nie treść bowiem, lecz ilość danych okazała się zabójcza. Najczystsza prawda, zbita w ładunek burzący, zajęła mądra pod każdy tranzystorowy bok, przegrzała mu bezpieczniki, zalała jego kazamaty pełne jeszcze nie odpalonego zakłamania i rozsadziła je na amen, aż wielomilowe bitociągi, misternym gąszczem rozsute w czerepie planetarnym, w okamgnieniu pociekły miedzią i jak przed wiekami Siemia na powrót krążyła wokół Słońca pełna ogniście płynnego metalu. Jak się w ciszy zaczęła, tak w ciszy ustała ta pierwsza w dziejach bitwa informatyczna. Wszystko zdawało się po staremu, w istocie jednak ćwierć wieku przyszło rozplątywać drobiną po drobinie chaos pierwszej minuty zmagania. Do dawnej świetności dźwignęła się cywilizacja siemiańska dopiero w czterdzieści lat później.

Wojna ta głęboko odcisnęła się w życiu duchowym Siemi, wywołując zażarte spory wśród historyków cywilnych i wojskowych. Jedni twierdzili, że nie ilość zwyciężyła jakość, lecz prawda — fałsz, albowiem dezinformację pokonaliśmy uczciwą informacją.

Zbliżone było oficjalne stanowisko historiografii kościelnej, dostrzegającej w ocaleniu Siemi interwencję Opatrzności jako Najwyższej Prawdy.

Szkoła racjonalistów utrzymywała, że właśnie na odwrót — logiczną naturę mądra rozsadził bezlik nieznośnych sprzeczności, jakimi są nafaszerowane pisma teologiczne — a z nich właśnie kręcono ostatnie ładunki. Siemia zawdzięcza więc wprawdzie ocalenie religii, lecz nie tak, jak się to podoba jej wyznawcom.

Znaleźli się też antropozofowie powiadający, że ani pierwsze, ani drugie, ani trzecie: zdrada się zdradą odcisnęła, bo pierwiej mądro nas, a potem myśmy je przechytrzyli; widać w tym niezmienną człeczej natury, albowiem starliśmy się niejako z lustrzanym powiększonym jej odbiciem. Atak mądra to nic innego jak elektronowe powtórzenie sceny jaskiniowej, w której jeden praczek dał drugiemu w łeb ogryzioną kością. Spory te wyszły humanistycy na korzyść, gdyż przyszło zasilać szeregi dyskutantów pospiesznie habilitowanymi doktorami rezerwy. Także sztukom pięknym przysporzyło odniesione zwycięstwo nowego wigoru. Napisano o nim wiele prawdy i jeszcze więcej zmyśleń, z klasycznym na czele, jakoby kroplą, co przelała czarę wytrzymałości samozwańca, była dziecinna bajeczka o kodku w budkach — co jest wszakże zbyt piękne, aby było prawdziwe, to jest kod, jak ktoś rzekł, do góry ogonem odwrócony.

Zdemobilizowanym zuchom, co wracali do swych pieleszy, nijak było otrzepywać powyjmowane z przechowalni damony i błoginki, porzucone w wojennej potrzebie. Już

nazbyt cywilnie wyglądały ćwiczenia z nimi, gdy tymczasem kipiała bojowość, boż, prawdę mówiąc, mało kto zdążył się do syta nawojować. Także producenci pojęli w lot, że dotychczasowe kochawki i kochawce nie są na miejscu. Panował powszechnie nastrój romantyczny i państwowo — twórczy, nie zużyte męstwo domagało się niezwłocznego wyrazu. Przy powszechnym dążeniu do czynu wojennego nie było jednak z kim się bić. Skoro wroga nie ma już — rzekli sobie główacze wielkiego interesu — to trzeba się o niego postarać, o co tym łatwiej, że środki techniczne są. Tak powstały wrogomory. Wrogomór symulował w sobie obmierzłego najeźdźcę, o takiej charakterystyce, jaką się w nim rozjaśniło, wrzuciwszy do szczeliny wpustu odpowiedni jaźnik wielkości monety. Jaźników oferowano w bród — każdy z innym typem wrażej osobowości, to podstępnie okrutnej, to bezczelnie agresywnej, a zawsze podlej. Podhodowawszy sobie odpowiednio dobranego wroga, gdy się go już dobrze poznało w żywionych zakusach, stawalo się do walki w obronie ojczyzny. Nie była ona żadną abstrakcją — producenci pomyśleli i o tym, że jeśli polem bitwy ma być mieszkanie, to i ojczyzna osłaniana własną piersią powinna się w nim zmieścić, więc do kompletu wyposażenia należała jej alegoria z rozwianym włosom, wieńcem laurowym w ręku, w szacie trzepocącej niczym sztandar (w cokole była dmuchawa). Zwracając na klienta oczy pełne słodkiej ufności, błagała o ratunek przed nieprzyjacielem, a po odniesionym zwycięstwie wieńczyła go zaraz laurem. Wynik starcia był murowany — wrogomór miał odpowiednie pokręta, zresztą można było odnieść zwycięstwo, nawet nie wstając z łóżka, zaopatrzwszy się w niedrogi przedłużacz do znęćarki. Można było wroga zlikwidować w okamgnieniu lub po trosze — zachowując nie dobitego na później — podług temperamentu i wyznawanych zasad. Kto był zwolennikiem starannie rozłożonej w czasie surowości, też nie miał kłopotu z wyrzaskami traconego, bo na to był odpowiedni tłumik.

Przeciwnicy innowacji, jakich nigdy nie brak, od razu podnieśli wielki hałas, usiłując skompromitować wrogomoryzację kraju, twierdząc, że aparat to nie żaden trener patriotyzmu ani szkoła bogoojczyźnianych uczuć, jak głosi reklama, lecz cyfrowa katownia, godna markiza de Zad, którego błogosławieństwo niewątpliwie należy się wynalazcom.

Wrogomór — głosili — budzi najniższe instynkty, zaprawia w pastwieniu się nad bezbroną ofiarą, a historyjka z obroną ojczyzny jest załganym pretekstem. Czemu ojczyzna to nie stateczna dama w pewnym wieku, matrona czy też nobliwa a krzepka staruszka, lecz monumentalne dziewczę? Czemu jej peplum ma zamek błyskawiczny? Antymoryści wychodzili na ulice, by urządzać demonstracje, na których rozbijali wrogomory i tłukli ojczyzny, wywołując tym wszakże wzburzenie powszechne, zręcznie podchwyczone przez producentów, którzy oskarżali ich o zniewagę publiczną patriotycznych uczuć. Procesy

wlokły się w sądach, patrioci, rozgrzani świeżo odniesionym w domu zwycięstwem, tylko co uwieńczeni wawrzynami, biegli bić antymorystów, a tymczasem asortyment jaźników powiększył się o najzupełniej nowe wzory. Teraz można już było sobie oprócz agresorów symulować w aparacie osoby pod każdym względem pozytywne. Duszoteki proponowały zarówno postaci zmyślane, jak realne — co zresztą wywołało procesy o tak zwane naruszenie nietykalności osobistej per procura, ponieważ sporo osób zamawiało sobie znajomych, krewnych, zwierzchników, ażeby dać folgę takim uczuciom, które, dotychczas tłumione, wywoływały frustrację i inne szkodliwe przypadłości. Po wielkich mozołach lizancki Sąd Najwyższy orzekł wreszcie, iż jeśli osoba fizyczna poczyna sobie publicznie z osobą symulowaną tak, że gdyby to samo robiła z osobą realną, byłby to delikt w rozumieniu kodeksu prawa cywilnego — to poszkodowany per procura może wnieść skargę o zniewagę osobistą. Gdy ktoś natomiast uwłacza symulowanemu prywatnie i bez świadków, deliktu nie ma. Oczywiście przeciwnicy duchówek (bo tak już teraz nazywały się dawniejsze wrogomory) znów podnieśli wrzawę, wywodząc, że użytkowane czy to prywatnie, czy publicznie duchówki są techniką znieprawiającą i jednym kłamstwem jest wszystko, co głoszą kampanie reklamowe wytwórni — że jakoby duchówki mają zaspokoić poważne niedobory przyjaźni, serdecznej rady i czułości, doskwierające szerokim masom, i że z osobą naśladowaną można nawiązywać tylko idealne stosunki duchowe. Gdyby tak było, wytwórcy usunęliby z nich wiadome pokręta znęcarckowe, tymczasem nowy model ma ich więcej niż poprzedni. Producenci na to, że jedynie wyrodek wyrządziłby coś złego symulowanej duszy bratniej, najmiłszemu powiernikowi czy wreszcie dostojnej małżonce zaprzyjaźnionego z Lizancjum monarchy, lecz wyrodków wśród ich klienteli na pewno nie ma. Zresztą to, co ktoś robi z imitowanym, jest jego sprawą prywatną, zgodnie z konstytucją i wyrokiem Sądu Najwyższego.

Nic nie pomogła wrzawa opozycji — popyt na duchówki był ogromny. Co prawda procesy o zniewagę trwały, prawnicy mieli pełne ręce roboty, sporne było na przykład, czy można ścigać sędownie tego, kto publicznie chełpi się tym, co prywatnie uczynił jakoby z głową ościennego państwa, a choćby ze zmarłą siostrą sąsiada. Czy to crimen laese maiestatis względnie nekrofilia, czy tylko czczy pozór, jak gdyby opowiadać sny, których treść stanowić deliktu nie może? Dylematy te wzmogły inicjatywę ustawodawczą i wyznaczyły nowe granice swobód obywatelskich. Nabywca duchówki mógł czynić z hodowanymi duszami, co chciał, byle nie zakłócał spokoju sąsiadów. Publicznie nie wolno było morzyć, powstały atoli prywatne kluby, w których hobbyści zmagali się o palmę pierwszeństwa, wykańczając rekordową ilość żelaznych nawet charakterów w jeden wieczór. Ciekawe, że rósł popyt na

uczonych; co prawda dobroczynne skutki pedagogiczne kontaktów z duchami tak świątymi jakoś się nie przejawiały; powiadano, że im kto większy dureń, tym pazerniejszy na mędrców, widać nie dla zasięgnięcia nauki i rady, bo o włos nie mądrzeje, a leci wnet do duchoteki po następną paczkę jaźników. Osoby cierpiące na brak pomysłów mogły nabyć podręcznik duszołóstwa, prezentujący bogatą gamę kombinacji. Pojawiły się też duchówki z lupą czasową, umożliwiającą nękanie w spowolnieniu, co uwyrażniało każdy szczegół. Antymoryści w swych publikacjach głosili, że ilekroć wypadki dziejowe uwznioślają społeczne morale, tylekroć przedsiębiorcy ściągają je zaraz w rynsztok, co właśnie zaszło po wojnie informatycznej, gdy z jego patriotycznego wezbrania uczynili sobie źródło dochodów. Ogół nie był jednak chętny tym proklamacjom, zresztą ucichły, kiedy jęła się rozwijać astronautyka. Rozwojowi programu przestrzennego zagroziło mianowicie zjawisko tym osobliwsze, że nie przewidział go ani jeden z futurognostów i prognozerów, których ponad dziewięćdziesiąt tysięcy liczyło samo Lizancjum. Rozpływali się oni nad bezkresnymi perspektywami podboju planet, przepowiadali tempa ich kolonizacji, obliczyli z największą dokładnością tonaż cennych rud, surowców i innych skarbów, jakie będzie Siemia sprowadzać z całego systemu słonecznego, i wszystko to niewątpliwie zgadzałoby się co do joty, gdyby nie pewien szczegół. Oto, chociaż już można było podbijać planety i księżyce, zagospodarowywać ich kontynenty, rozwijać na nich ożywcza i bohaterską działalność, okazywać pionierskiego ducha w starciach z przeciwnościami, jakoś nikt się do tego nie palił. Nie było chętnych! Przyszli więc administratorzy na to, że całą rzecz należy zainicjować jeszcze raz — dając niejako bieg wsteczny, a po wycofaniu się na wyjściowe pozycje uderzyć w inny ton. Skoro kolonizowanie planet, nazwane przygodą wieku, najwyższym wyróżnieniem i misją dziejową, nie budzi entuzjazmu, to trzeba przemianować planety w kryminały, a wysyłanie bohaterów — w zsyłanie przestępców. Tak się jednym strzałem położy dwie sztuki naraz — bo to i środek na wszelakich wywrotowców, krzykaczy, mąciwodów, i na przeludnienie, jako że robi się już dosyć ciasno.

Politykę tę uprawiano przez sto lat z okładem, aż przyszło się jej z wielkim żalem wyrzec. Jakkolwiek eksport najnowszych technologii na karne planety objęto embargiem, zesłańcy, wśród których przeważały osoby uzdolnione i światłe, sami doszli odmówionych im technik, stworzyli własną flotę raketową, założyli związek trójplanetarny i uspołeczniwszy kopaliny razem z przemysłem, gospodarowali na własny ład. Trudno więc było kontynuować politykę zesłań, równającą się zasilaniu teraz już kosmicznie ulokowanej opozycji. Odtąd Siemia praktykowała całkowitą izolację od zasiedlonych planet i taki był kres programu przestrzennego.

Wszystko mija, więc i duchomory z czasem znudziły się i wyszły z użycia, zastąpione nowymi wynalazkami, a tłok wciąż narastał, bo liczba żyjących podwajała się już co sześć lat. Wprawdzie miliardom o narcystycznych gustach nadal budowali masturbaniści przestronne samotnie, lecz właśnie tylko krezusów było na to stać. Zwykły milioner musiał się zadowolić członkostwem w ekskluzywnym klubie, na przykład rojalistycznym, gdzie uprawiało się rojalizm jako urojalizm, boż bez królestwa, dysponując jedynie terenowym trenerem tronowym — teretronem; dla bardzo zajętych, co chcieli popanować, nie odrywając się od biurka, był teletron. Ale już nie o każdej godzinie dało się wyjść z domu, taką zbitą masą przepychały się tłumy ulicami. Demografowie konferowali i uchwalali rezolucje, każde państwo zachęcało sąsiadów do roztropnego powściągu, a oni to samo na odwrót. Nic prócz perswazji — głośiły rządy — czyż nie po to zaharowali się nasi przodkowie, żeby już nikt nigdy nikomu nie mógł niczego zabronić?

Kościół popierał natalistów, zapewniając wiernych, że tłok jest trudnością przejściową, za grobem bowiem zawsze będzie luźno. Mnożyły się atoli tajemnicze, nie znane dotąd zjawiska, na przykład gryźby i kośby, ale najwięcej niepokoju budziło porywanie. W średniowieczu zbóje uprowadzali bogaczy dla okupu, zdarzało się to sporadycznie i później, zawsze jednak w celach przetargowych. Obecnie nikt prawie nie żądał okupu, zresztą tak czy owak po uprowadzonych ginął wszelki ślad. Prymitywne porywanie raket i przerzutowców pasażerskich ustąpiło wnet miejsca zawilszym procedurom. Nuż jedne ugrupowania specjalistów porywać porywaczy wraz z porwańcami — zajmowali się tym tak zwani porywajcy, a tych brali znowu w sak porywnicy, planujący swe operacje metodami programowania dynamicznego z optyimizacją, by zmniejszyć koszty własne. Co się wreszcie tyczy porywistów, ci byli teoretykami ruchu i prognozowali porywoców, którzy mieli się pojawić pod koniec stulecia i uprowadzać w stopniu podniesionym do n -tej potęgi. Porwaniści, porywający samych siebie, dali się przynajmniej łatwo określić psychiatrycznie jako ekstrapolacja onanistów. Frońdyści utrzymywali, że tak się przejawia nowe wcielenie zadyzmu, lecz antyfrońdyści lepiej wyjaśnili rzecz: nie szło ani o agresję, ani o instynkt śmierci, ani o forse, ani o stłumione kompleksy dzieciństwa, lecz jedynie o likwidację niemożliwego ścisku, a ponieważ wywołują go zawsze inni, tych innych brano za łeb, żeby ich gdzie bądź poupychać, byle raz na zawsze i jak najdalej. Lekarze, badający zbiorowe lęki, ochrzcili tę nową jednostkę patologii społecznej przymusowym upychactwem o rozmiarach epidemii. W tym niemal bezwyjściowym położeniu — parcie porywackie objawiało się nieznacznym przebieraniem nogami na miejscu, a drobili tak już i wyżsi oficerowie sztabowi — znów pospieszyła Siemianom z pomocą jak zawsze niezawodna nauka. Doszło do

powszechnego wdrożenia technetyki, to jest etyki syntetycznej, instalowanej, tłoczonej i flancowanej pod wszystkimi stopniami geograficznymi, przewodowe, jako też bez przewodów. Dzieci chroniono przed ściskiem, umieszczając je w specjalnych smarkadiach, gdzie było w bród miejsca. Nadto już w powijaki wszywano im specjalne napominajki, umacniające w poszanowaniu bliźnich. Gdyby się zaś taki znalazł, co by chciał kogoś choć tylko listownie urazić, to go zaraz perswaderka odwozowała od złej myśli, Jasiak naszeptował mu nocą do ucha przez sen, żeby zaniechał, gdyby zaś od uporczywości i rankoru, trwając na swoim, pozatykał sobie uszy, potrzaskał zwyczajne kazalniki, a pancerne po — obkładał wołokiem i filcowymi pantoflami, to obronę cudzej nietykalności przejmowały filtry uczynków agresywnych. Napisze zatwardzialec anonim — atrament się rozleje, skrzynka podrze list, a w ostateczności bezpiecznik ostatniej linii dobroci rozbije adresatowi okulary. Wścieknie się, spróbuje telefonicznego lżenia, a telefon wszystkie obelgi odfiltruje, a gdyby nawet w szale wściekłości z pałką pognął na upatrzonogo, ta, mając w swej strukturze łagodyszator, pęknie, nim uderzy!

Porywanie jak ręką odjął, co prawda nie przez to, że wszyscy jak jeden mąż się udobruchali, po prostu nikt nie miał do tego głowy, łamiąc ją sobie od rana do nocy nad tym, jak by przechytrzyć filtrację i zrobić bliźniemu, co mu niemiłe, dla czystej satysfakcji. Wzrósł popyt na dynamit i bomby kumulatywne, a produkcja wosku i filcu skoczyła o osiemset procent, zmuszając socjotechników do eskalacji, więc bomby wybuchały bombonierami i wonnym kwieciami, a wypominajki i perswaderki ryczały jak trąby jerychońskie. Kiedy uszlachetniające maksymy jęto kaligrafować samolotami na niebie, ludność rzuciła się po kaszkiety z długim daszkiem i ciemne okulary. Szalone przyszły czasy. Rezurekcyjne pogotowie miało pełne ręce roboty, zwłaszcza w porze obiadowej, bo gdy knujący coś złego siadł do rosółu, a makaron ułożył mu się pod łyżką w sentencję moralną, nieraz łyknął łyżkę miast zupy, żeby skończyć z sobą, skoro nie może z bliźnim.

W końcu zmagania technetyki z ludnością stały się domeną gier hazardowych, a tym samym częścią masowej kultury — jako totalizator — moralizator, w skrócie totok-motok. Ten, kto pierwszy przechytrzył nową dobrusnicę, brał główną nagrodę. Wpłynęło to na złagodzenie terroryzmu, bo nie wszystkie środki przeciwmoralnościowe były dopuszczalne, a kto łamał reguły gry, tracił premię. Bodźce materialne w samą porę zlikwidowały w zarodku prywatne starcia atomowe, których sceną stało się jako pierwsze Lizancjum, państwo przodujące pod każdym względem. Nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby nie totok — motok, albowiem pogłoska, że bojówka ciałkarzy posyła listy, nasycone solą uranową, do siedziby stronnictwa amoralizatorów, i gdy powstanie z nich masa krytyczna, pół miasta

wyleci w powietrze, wywołała straszliwą panikę. Na miliony uciekinierów, co pozagwaźdzali szosy, z chmur padał grad ornitopterów zderzających się w powietrznych korkach. W promieniu dwustu mil powstała tak zwana trato — sfera albo megadeptak. Na szczęście była to katastrofa odosobniona. Co do ciałkarzy, ruch ten powstał w związku ze zmierzchem cieleśnictwa. Kres położył wielocielstwu (nazywanemu też trwonicielstwem) czynnik zgoła trywialny i jak zwykle nieprzewidziany — zabrakło mianowicie haflobromainy, bez której nie można syntetyzować wirusów, dających się sterować zdalnie tak, by nawlekały na chromosomowe nici geny rozcielnicze. Gdy surowiec do produkcji wirusowych ciągników podrożał dwustukrotnie, a pięć największych konsorcjów cielesnych skrachowało, młodzież lizanca utworzyła subkulturę ciałkarzy, domagających się ciał możliwie tanich, oszczędnych materiałowo, poręcznych i skromnych. Co się tyczy amoralizatorów, byli to kongresowi zwolennicy ustawy zakazującej pod karą dożywocia uszkodzenia dobrusznic demorałkami, rodzajem złośliwnic, głowic samonawodzących się na wszystko, co szlachetne. Chyba jednak pojmujecie, że w podobne drobiazgi naszych dziejów możemy wchodzić tylko wyjątkowo.

Walki zmechanizowanej miłości bliźniego z terrorystami i pryncypialistami wolności czynu stanowiły, rzecz prosta, margines wydarzeń poważniejszych. Większa bezkrwawa bitwa toczyła się na planecie — jako zmagania z potopem ludnościowym.

Należy oddać sprawiedliwość technice, czyniła bowiem, co mogła, aby ulżyć pogarszającej się doli ogółu. Z tak zwanych cyklicznych łakoci, które można było wielokrotnie konsumować, gdyż przechodziły przez ustrój nie zmienione, korzystali chętnie najubożsi. Ich też mając przede wszystkim na względzie, utworzono jadłotajnie, przybytki kryptogastronomiczne, w których obywatele, dysponujący po temu środkami, mogli pożywiać się po dawnemu. Biesiadnicy pałaszowali precjoza kulinarne po ciemku, widząc je dzięki noktowizorom, a zarazem nie budząc zgorszenia gapiów. Urbaniści umieli już wznosić milionowe osiedla wieżowców — sardynkowców w trzy dni. Budowane w takim tempie, natychmiast wypełniały ostatki wolnej przestrzeni. Całe Lizancjum było już właściwie jedną metropolią. Rozpoczęła się zarazem gorączkowa miniaturyzacja wszystkiego, co tylko można było pomniejszyć, poczynając od gazet i książek, a kończąc na kolejach. Metro zastąpiono najpierw decymetrem, a potem i centymetrem. Prace przemysłu pomniejszarskiego utrudniały wszakże nie zmienione rozmiary samych Siemian. Znów rozległy się głosy zacierzewionych antynatalistów, którzy zwali miniaturyzację fałszywą nadzieją i domagali się regulacji urodzin, lecz o niej nikt nie chciał nawet słyszeć, gdyż stanowiłaby drastyczne uszczuplenie podstawowych swobód. Jedynie panującym stanem umysłów można wyjaśnić łatwość, z jaką parlamenty uchwałyły plan genzynieryjny, zwany ustawą nikłościową. Przewidywała ona

redukcję standardowego obywatela w skali jeden do dziesięciu. Oczywiście plan dotyczył następnej generacji Siemian. Aby zachować swobodę prokreacji, ustawa głosiła, że tylko ten będzie mógł płodzić dowolną ilość potomstwa, która podda się przestrojeniu genów. Było to sprytnie pomyślane, gdyż eliminowało przymusową mikrogenizację; kto nie chciał się jej poddać, umierał bezpotomnie, toteż następne pokolenie składało się już z samych mikromalców, a gdy wymarli jego rodzice, przejęło po nich pospiesznie zredukowaną w tej samej skali całą gospodarkę planetarną. Nie naruszyło to w niczym panującego komfortu, bo wszystko małało w proporcji z obywatelami. Wybrawszy mniejsze zło, kościoły zaaprobowaly ten manewr. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów powstał wszędzie miły luz; nadto wszyscy czuli się lekko — toż największe grubasy osiągały dwieście gramów wagi. Sceptycy i czarnowidze powiadali jednak, że to kalekkość, której następstwa okażą się fatalne.

Jakoż plaga ścisku powróciła, niestety, już po dekadzie. Jakkolwiek naczelnicy genżynierowie zmniejszycielscy rozumieli, że dalsza mikrominiaturyzacja nie jest środkiem pełnowartościowym, gdyż kres położy jej nieściśliwa struktura materii, działając w położeniu przymusowym, poszli na krok tyleż drastyczny, co rozpaczliwy, drugiej redukcji w tej samej skali co poprzednio, więc jeden do dziesięciu. Kolejna generacja Siemian potrzebowała drabin strażackich, żeby się dostać do jednej z dziadkowskich popielniczek, wystawianych w muzeach historycznych. Teraz można było wreszcie odetchnąć pełną piersią. Każda grządka stała się ogrodem, a klomb — żywiczną puszcza. Na Mikrosiemian obruszyły się wtedy trzy kolejne wojny światowe — z muchami, komarami i mrówkami. Najstarsi nie pamiętali takich klęsk, zwłaszcza że podczas koszących nalotów komarowych zadały armiom cios w plecy karaluchy, wychynawszy z podziemi miejskich. Ich czarnej zbroi nie brała zrazu nawet broń pancerna, co łatwo pojąć, zważywszy, że średni czołg ważył podówczas pięć gramów. Koszarne komary, przekraczające zasięgiem błoniastych skrzydeł rozpiętość rąk dorosłego Siemianina, rzucały się na przechodniów, by pić ich krew i pozostawiać skurczone trupy na chodniku; muchy ciamkały swe ofiary ohydnie klejowatymi trąbami; jakkolwiek pociski kumulatywne i granaty termitowe dały w końcu radę najgrubszym pancerzom chitynowym, choć wróg padał gęsto, choć olbrzymie były trofea — padłe żuki przerabialo się na wanny, z błonkoskrzydłych wytwarzać można było szybowce — przecież nie udało się go wybić ze szczeniem i w nadzwyczajnym pośpiechu, dzięki zmasowaniu środków technicznych, nakryto miasta owadoszczelnymi kopułami ze szkliwa. Jak piszą kronikarze, tym sposobem miniatera otwarta przeszła w zamkniętą. Zresztą karaluchy dalej prowadziły podjazdową wojnę z Siemianami; teraz jednak policja zastąpiła wojsko, a główną rolę obronną przejęły

automatyczne pułapki, zwłaszcza roboty wyposażone w broń laserową. Do końca stulecia przetrwały jeszcze nieliczne osady pod gołym niebem, a i to tylko dzięki artylerii przeciwkomarowej i pociskom z głowicami samonawodzącymi na odgłos brzęczenia. Podejmowano próby domestykacji niektórych owadów (ujeżdżano osy), nie dały jednak spodziewanego rezultatu, jedynie stonogi pełniły przez jakiś czas rolę kucyków w przedszkolach. Nie warto także rozwodzić się nad ubocznymi korzyściami powszechnej minimalizacji, do jakich należały na przykład polowania na specjalnie hodowane, gigantyczne myszy, dochodzące pięćdziesięciu gramów wagi; trudno też dzielić entuzjazm propagatorów nowego sportu wspinaczkowego, jakim stał się drzewizm. Zdobywanie szczytów drzew poza kopolami miejskimi przyciągało niewielu śmiałków, śmiertelnym ryzykiem groziła bowiem nie tylko niebosiężność byle brzozy, ale też każdy majowy deszczyk, który mógł zmieść wspinaczy z gałęzi kroplami wielkości głowy ludzkiej. Zresztą nawet gdyby udało się wybić wszystkie insekty Siemi, co było ambicją sztabów generalnych, nie odmieniłoby to faktycznego stanu, na który większość zamykała oczy — że Siemianie w obecnej postaci nie są zdolni do życia na otwartej przestrzeni, bo byle zefirek zwał ich z nóg, deszczyk topił, ptaszek mógł zadziobać na miejscu. Zarazem jęły powracać z dawien dawna znane, groźne objawy przeludnienia: wszędzie znów powstał tłok i rozpacz wtargnęła do serc. Oczywiście nawet mowy być nie mogło o regulacji urodzin, skoro bowiem dla ocalenia podstawowej swobody złożono tyle i tak ciężkich ofiar, byłby ów krok haniebnym przyznaniem się do całkowitej klęski, więc choćby tylko ze względów prestiżowych uznawano każde inne wyjście za lepsze. Odkryła je lizancka Akademia Sztuk i Nauk — w postaci projektu federacyjnego. Manifest opracowany przez Akademię ogłosiły agencje prasowe całej Siemi. Projekt przewidywał taką przemianę dziedziczności, dzięki której wszystkie dzieci następnego pokolenia będą się mogły połączyć w gigantyczną, harmonijną całość, idealnie podobną do praczłeka — tego olbrzyma, podług współczesnych kryteriów, którego legendarne, nieomal dwustu — centymetrowe rozmiary wprost trudno sobie wyobrazić. Idąc na ten krok, stracimy niewiele, głosił manifest, nic właściwie — czyż bowiem nie staliśmy się już więźniami własnych miast? Nie możemy wszak stawić czoła wietrzykowi ani muszce! Żyjemy beznadziejnie i trwale odcięci od przyrody, którą musimy sobie zastępować meszkiem i trawką sztucznych ogrodów, odczuwając podziw pełen grozy na widok byle kretowiska — jako że nie leży już w możliwości naszych zmysłów ogarnięcie jednym spojrzeniem tak zwanych gór, o których możemy jedynie czytać w starożytnych księgach, odziedziczonych po naszych dziadach gigantach. Otóż projekt federacyjny wskrzesi taką właśnie monumetalną postać, a przy tym z połączenia ośmiu bilionów Siemian powstanie nie

prosty praczek, lecz historycznie pierwszy twór, mianowicie stany zjednoczone tkanek na dwóch nogach, prawdziwy miastodont, państwo — chód, przed którym otworzy się cały przestwór planety. Nie będzie się czuł samotny w jej bezmiarze, gdyż nie wkroczy w puszcze sam, lecz jako wielomiliardowe społeczeństwo. Myśl, rzucona przez akademików lizanckich, zapaliła wszystkie serca i umysły, toteż przyjęto ją we wszechsiemskim plebiscycie. Wszelako dzieje powszechne to nie idylla; doszło do niespodziewanych tarć, a potem do ostatniej już wojny światowej, która wybuchła od tego, że każdy kościół pragnął mieć w przyszłym państwochodzie osobną instytucję i głos, a tym samym własną jamę ustną, utworzoną z kongregacji wiernych i hierarchii duchownej; było to jednak niemożliwe, boż od tyłu jam powstałby zementalizowany dziurawiec jamisty. Krnąbrne duchowieństwo na takie dictum przeszło do roboty wywrotowej. Pojawiły się paszkwile, nazywające projektowany państwochód — monstualnym więzieniem na nogach, zniewolantem, chodzącymi galerami, zdanymi na łaskę i niełaskę elity mózgowej, która będzie się literalnie żywić krwią milionów obywateli. Rozpowszechniano kłamliwie insynuacje, jakoby wszystkie placówki w ośrodkach doznawania rozkoszy były już po cichu rozdzielone między projektantów i ich mocodawców. Ta robota wicherzycielska nie odniosłaby skutku, tym bardziej że botanikom udało się wyhodować odmiany kwiatów, których substancje zapachowe miały własności uzacniające, i rzucone na rynek kwiecie to niczym oliwa, lana na bałwany, koilo wzburzone umysły — niestety, doszło do ujawnienia tajnych akt projektu. Były to protokoły posiedzeń, na których miarodajni eksperci uznali, że nie wszyscy Siemianie jednakowo nadają się do piastowania odpowiedzialnych stanowisk w państwochodzie. Pewne prowincje, zwłaszcza dolno — tylne, przewidziano na osiedleńczy teren dla niedorozwiniętych, natomiast centralny aparat nerwowy miał się rekrutować z zamożnych obywateli Lizancjum, jako doświadczonych we wielkich transakcjach, więc tym samym predestynowanych do pracy umysłowej.

Wypisawszy na swych sztandarach hasła antypaństwochodowe, wołając, że lepiej zginąć niż iść na wcielenie w głąb łydy czy brzucha wieloraba, by styrać się tam po ciemku do kresu sił, ruszyli rebelianci w bój. Głos stronnictwa „trzeciej drogi” nie został w nastalym chaosie dosłyszany. Byli to tak zwani ewentualiści. Domagali się przemiany genitaliów w ewentualia, niezdolne normalnie do płodzenia, a zdobywające tę umiejętność jedynie, gdy naczelny dyspozytor płciowy wyłączy impotencjator na pulcie centralnej spółkownicy globu — w razie ewentualnej potrzeby. Strata była niewielka, jako że projekt i tak by się nie przyjął.

Wojna, a właściwie szereg lokalnych, lecz gwałtownych utarczek, trwała krótko. Mając na oku dobro powszechne i poczuwając się do odpowiedzialności za przyszły los Siemi, państwochodyści użyli przeciw irredencie zmasowanych gazów uszlachetniających.

Główna kwatera powstańcza została wzięta bez przelewu krwi dzięki zasypaniu z powietrza naręczami róż i fiołków o wiadomym działaniu — widok jej bombardowania miał być podług naocznych świadków po prostu cudny. Gdy już wszczęto przygotowania do fuzji, rozgorzał nowy konflikt, tym razem w środowisku samych genżynierów. Rzucono mianowicie wniosek przewidujący reorganizację biur projektowych od podstaw. Miały powstać dwa ich oddzielne zespoły. Jeden stanowiłaby Administracja Aglomeracji Męskiej (kryptonim ADAM), drugi zaś — Erotycznie Wspecjalizowani Autorzy (kryptonim EWA). Co się tyczy surowca, to biura podzieliłyby się ludnością Siemi po połowie. Żadne inne wyjście — głosił wniosek — nie ustrzeże państwochoду przed popadnięciem w brzydki nałóg, uwłaczający sztandarom. Gdy natomiast ADAM zawrze z EWA pakt nieagresji i przyjaźni, po czym oba mocarstwa będą pogłębiały współpracę na bazie wzajemnej równowagi i niewtrącania się w intymne sprawy drugiego, dojdzie z czasem do kontaktów bezpośrednich, których ożywczy wpływ, nadzwyczaj korzystny dla obu wysokich stron, wniknie we wszystkie ich zakątki. Dzięki temu szarzy obywatele, w toku codziennych zajęć handlowych, policyjnych i administracyjnych, będą partycypować w tych wysoce atrakcyjnych stosunkach, dzięki harmonijnej współpracy właściwych organów mocarstwowych. Plan ów niezwłocznie zaatakowały kościoły, widząc w nim niebezpieczeństwo, jakkolwiek pośrednie, dla celibatu kapłańskiego, jeśli już nie wspomnieć o tym, że nie będzie żadnego duchownego, który mógłby zalegalizować ów związek. „Żadne pakt, porozumienia ministerstw i innych organów nie mają nic do rzeczy — głosiło oświadczenie rady kościołów — gdyż w świetle prawa kanonicznego ratyfikacja umów międzypaństwowych nie jest sakramentem małżeńskim, toteż we wniosku chodzi o stręczenie państw do rozpusty, czemu się kategorycznie przeciwstawiamy”. Nie ten wszakże głos przeważał szalę, lecz inna refleksja. Idąc na powtórkę Genesis, zaczęłoby się wszystko jeszcze raz od Adama i Ewy, po czym najwyżej za parę tysięcy lat znów przyszyłoby do potwornego ścisku, wywołanego przeludnieniem Siemi — tym razem masą państwochodów. Po następnym cyklu dziejowym wypadnie tedy dokonać kolejnej fuzji, co pachnie już obłędem cywilizacyjnym, boż w tej perspektywie każdy państwochód przyszłej epoki sam składałby się z komórek — państw. Od takich widoków zadrżeli sami wnioskodawcy i wycofali wniosek.

Na marginesie sporu o płeć przyszłego państwa wysunął pewien myśliciel osobliwą hipotezę kosmogoniczną. Wywołana przeludnieniem produkcja państwochodów z obywateli — twierdził — i to właśnie podług projektów dwu — płciowych, jest niechybnie stałą kosmiczną. Wskazuje na to sama istota Wszechświata, zbudowanego z cząstek dodatnich i ujemnych, z materii, której odpowiada antymateria, i tak dalej. Mocarstwa powstają więc jako

samece i samice, rozmnażają się, a potomstwo ich tworzy następne federacje państwowe. Proces ów trwa nieustannie, ogarniając stopniowo całe Universum, tak iż na pytanie, z czego właściwie składa się materia — wypada odrzec: z czystego substratu państwowości skompresowanej wielowiekową mikrominiaturyzacją państw tkwiących w państwach. Jakkolwiek, malejąc, tracąc one swe dawne cechy, można rozpoznać ich płęć, jak się powiedziało wyżej, a co do dalszego uszczegółowienia rzeczy, winni się nim zająć fizycy. Może warto dodać, że ów myśliciel był znakomitym prawnikiem i jurystą cywilistą. Koncepcja jego nie jest aż tak dziwaczna, jak się wydaje. Mówiąc, że atomy składają się z państw, a państwa z atomów, chciał pewno rzec, iż materia, istniejąc zarówno *de iure*, jak *de facto*, jest w pełni legalna, że stanowi zarówno terminus *a quo*, jak i *ad quem*, czyli ona i prawo to właściwie jedno i to samo, a zatem pytanie, co było pierwsi, prawo czy świat, jest bezprzedmiotowe, o ile rozumiecie, o co nam idzie. Była to zresztą dywagacja, a wspomnieliśmy o tej hipotezie, bo stanowiła ostatni wykwit nie skonfederowanej myśli siemiańskiej.

Stańło, jak wiecie, na jednym organizmie państwowym i po zamknięciu prac ustawodawczych rozpoczęły się w fazie następnej roboty ciałodawcze. O przydziałach do tkanek decydowały losowania, boż każdy by się pchał do organów szczególnie atrakcyjnych, puszczając w ruch wszelkie możliwe chody i protekcje. Co jakiś czas wybuchały afery korupcyjne. Wykrycie jednej z większych, podniebiennej, pociągnęło za sobą przymusowe zesłania winnych w okolicę podpacierzową, gdzie brakowało chętnych osiedlenia i mnóstwo etatów wakowało. Ciągłe zamieszki utrudniały postęp prac państwowotwórczych — ten ciągnął do ducha, ten do brzucha, i gdyby się pofolgowało sobkostwu, zamiast zdolnego do życia państwochołu powstałaby olbrzymia głowa z gębą od ucha do ucha na pękatym kałdunie. Wreszcie jednak przyszło do uroczystej chwili przecięcia wstęgi opasującej nasze mocarstwo. Przecieliśmy ją sobie sami, boż nikogo poza nami nie było już na Siemi, i podnieśliśmy się z okalających rusztowań na całą wysokość, w kształcie, w jakim nas tu widzicie. Nie mogąc oprowadzić was jako drogich gości po całym państwie, uczynimy to pokrótce chociaż słowem.

W tym oto gmachu obrotowym, zamkniętym romańską kopułą, mieści się nasz Parlament o dwu sąsiadujących z sobą izbach, prawej i lewej, podłączonych do organów wykonawczych administracją dość nerwową. W górnych prowincjach korpuśnych mają siedzibę Ministerstwo Wymiany Gazowej z Zagranicą oraz Główny Zarząd Irygacji, skomasowany ze względu na obowiązującą oszczędność lokalową z Centralą Miłości Bliźniego. W środku państwa mieszczą się liczne Zjednoczenia Przemysłowe, na przykład

cukrownicze, żywnościowe, chemii syntez i tak dalej. Sześciuset miliardami etatów krążą bezustannie patrole policyjne po wszystkich rubieżach i uchyłkach państwowości, nie znając snu ni odpoczynku. Nieźle to brzmi, nieprawdaż? Nie będziemy jednak ukrywali przed wami, że nie wszystko piękne w państwie siemskim. Największa nasza osobliwość, a zarazem kłopot w tym, że każdy obywatel obdarzony jest świadomością, i w tym oto małym palcu więcej mamy rozumu, niż go tkwi w niejednej szkole wyższej. Niestety, rozum ten nie może cały dojść naraz do głosu, toteż jedynie wokalne grupy dyplomatyczne, akredytowane w jamie ustnej, ślą wam pod dyktando parlamentarnej komisji do spraw mowy niniejsze wyrazy serdeczności i zamykają sprawozdanie z naszych dziejów braterskich pozdrowieniem w imieniu obywatelskich rzesz, zajętych codziennym trudem na niwie organicznej. Gdybyście zapytali, czemu upadł duch w państwachodzie, jak to się mogło stać, że najwyższe władze zleciły spółkom doręczycielskim sięgnąć po kielich cykuty, odpowiemy szczerze: z przyczyn tak zewnętrznych, jak wewnętrznych, gdyż te i tamte stały się nie do zniesienia. Czy wiecie, na co nam przyszło po piętnastu tysiącach lat chlubnego budownictwa cywilizacyjnego? Dysponując tą jedną parą rąk, cóż z tego, że obsadzonych miliardami obywateli, zostaliśmy zmuszeni do koczowania pod gołym niebem i żywienia się korzonkami, nękanie przez triumfujące komary, aż podaliśmy im niesławnie tył, by oprzeć się dopiero w oślizłej jaskini, być może tej samej, którą przed eonami opuścił przodek nasz — troglodyta. Wszystko to, gdyż jego projektantom wydawał się państwachód takim monumentalnym ogromem, nieskończenie wręcz potężnym, że przygotowali dlań tylko garść narzędzi i rajtuzy, zresztą, jak okazała przymiarka, ciasne wskutek błędu planowania, sądzili bowiem, że taki wielolud sam się z największą łatwością urządzi na planecie. Czy zresztą nie oddali nam w dziedzictwo całej siemiańskiej gospodarki? Ależ tak, cóż nam jednak z miast, w których ulice nawet pięty nie wetkniemy, albo z robotów mniejszych niż opiłki? W końcu, zaciąwszy zęby, dalibyśmy sobie radę z zewnętrznymi trudnościami, gdyby nie fatalny stan wewnętrzny państwa. Nikt, ale to nikt nie jest w nim rad posterunkowi, na którym go postawiono! Brać, dekować się, kwękać, żądać niemożliwości — oto ich dewiza! Jak ma parlament rozstrzygać niecierpiące zwłoki sprawy publiczne, jeśli kolana domagają się własnych oczu, dolne półkule grożą unieruchomieniem środków transportu, bo jakoby jest im zimno i twardo, a czy wiecie, co oznacza katar państwowy? Umielibyśmy się wszakże przeciwstawić nieodpowiedzialnym żądaniom i stłumić szalone apetyty, gdyby nie wywrotowcy, skryci w izbach parlamentu, frońdyści, podkopujący naszą świadomość państwowych spraw. Czy możecie sobie wystawić, czego się domaga ta nielegalna opozycja w dzień, a zwłaszcza w nocy? Objęcia w posiadanie ościennego państwa płci odmiennej — wtargnięcia w jego rubieże bez wszelkiej wymiany

not, gwałtem! Ta okoliczność, że nie ma go i być nie może, ani o włos nie miarkuje zajadłych konspiratorów! Widząc, jak na nic wszelkie układanie się z nimi i perswazja, jak nam korumpują rząd wizjami zmysły mroczącej okupacji, jak prą do tego, by choć urojonym nierzędem stał nasz państwochód na obu nogach, kiedy realnym nie może, rozpoznaliśmy w tych głosach duch przekłętego suwerena rui, markiza żądź, podkopującego od wieków nasze osnowy, a skoro ów tyran, mimo wszelkich wysiłków naszych i własnych niestyran, nadal chce nami zawładnąć, teraz już pchając się do władz naczelnych, postanowiliśmy z nim i z sobą skończyć. Po długotrwałej debacie wewnętrznej udaliśmy się tedy na pustynny płaskowyż, napełniliśmy sokiem jagód szaleju znaną pod krzakiem pustą cysternę mikrosiemiańską i przyłożyliśmy ją do ust, głusi na wrzask wewnętrznego rajfura, że jakoby z daremnej chuci, a nie z racji czystego stanu jest nasze państwobójstwo! Cysterna cykuty zdrząła wprawdzie w naszym ręku, przysięgamy jednak, że wychylilibyśmy ją do dna, gdyby nie mrozący wicher z wysokości, co runął nagle, uderzył i państwo nasze zapadło w lodowy sen, aby tu dopiero, w waszym życzliwym kręgu, rozewrzeć oczy...

WIERNY ROBOT

Widowisko telewizyjne

OSOBY:

MR. T. CLEMPNER

GRAUMER. Robot

POSŁANIEC

PAN GORDON. Wydawca

PANI GORDON

INSPEKTOR DONNEL

PANI DONNEL

DZIWNY TYP

I

Pokój około roku 2000, ale bez rzeczy wstrząsających. Oplywowe meble, pracownia—gabinet autora powieści kryminalnych. Lampy, maszyna do pisania, magnetofon, radio, spory bar. Clempner siedzi przy maszynie i stuka z widocznym wysiłkiem umysłowym. Dzwoni telefon. Clempner podnosi słuchawkę.

CLEMPNER: Tu Clempner. A, to pan! Tak. Chyba do tygodnia. Jestem tego pewien. Pisze mi się coraz lepiej. Oddam panu wszystko we czwartek. Bez jednego maszynowego błędu. Co? A, żona panu mówiła? Tak, chciałem prosić oboje państwa na przyszły piątek. Przyjdą także Donnelowie. Ależ zna go pan. poznał go pan u mnie, to ten inspektor... Ha ha! Rozumie się... Takie znajomości ułatwiają stworzenie lokalnego kolorytu. Dobrze. Więc w przyszły piątek. Do zobaczenia...

Wraca do maszyny. Ledwo usiadł, słysząc dzwonek.

CLEMPNER: Kogo diabli nadali?

Wychodzi. Wraca, za nim — dwóch posłańców. Wnoszą wielką skrzynię.

POŚLANIEC: Pan podpisze.

CLEMPNER: Co to jest?

POŚLANIEC: Potwierdzenie odbioru.

CLEMPNER: Ale co jest w tej skrzyni?

POŚLANIEC: Tu napisane. Robot.

CLEMPNER: Jaki robot? Nie zamawiałem żadnego robota.

POŚLANIEC: To nie moja rzecz. Jestem z firmy przewozowej. Proszę podpisać.

Clempner podpisuje, posłańcy wychodzą. Clempner ogląda skrzynkę, patrzy na maszynę do pisania, podchodzi do niej, nagle wraca, rozcina sznury, wieko uchyla się. Clempner cofa się. W skrzyni siedzi Robot. Wylazi, rozchyła papiery opakowania, staje, lekko się kłania.

ROBOT: Dobry wieczór. Pan będzie moim nowym panem. Bardzo się cieszę. Będę się starał zadowolić pana według moich możliwości, a są niemałe. Jestem najnowszym modelem Ultra-Deluxe.

CLEMPNER: Co to ma znaczyć? Nie zamawiałem żadnego robota...

ROBOT: Och. to nie ma znaczenia! Dlaczego miałby się pan sam trudzić? Od czego ja jestem? Odtąd będę załatwiał za pana wszystko. Jestem niezawodny. Nie mówię tego, żeby

się chełpić. My, roboty, jesteśmy skromne. Po prostu stwierdzam fakt. Jeśli wolno mi zauważyć, stolik jest źle ustawiony. Pisząc, zasłania pan sobie światło. O wiele lepiej będzie tak... Przesuwa stolik. W ten sposób będzie się pan mógł lepiej skoncentrować.

CLEMPNER: Ależ ja ciebie nie potrzebuję, do diabła!

ROBOT: To zawsze się tak wydaje na początku. Przekona się pan sam. Czy pan dobrze śpi?

CLEMPNER: Nie. Kto cię tu przysłał?

ROBOT: Cierpi pan na bezsenność? Doskonale.

CLEMPNER: Jak to: doskonale?

ROBOT: Bo teraz to się zmieni. *Wygląda przez okno.* Oho, tu są inne wille w pobliżu? A zatem wieczorem — psy, które szczekają, kiedy ktoś przechodzi, w środku nocy — koty, a rano — koguty. Bardzo dobrze. Znam specjalny sposób na psy i koty. a koguta odtąd pan nie usłyszy. Będzie pan spał jak zabity. Zobacz pan.

CLEMPNER: Nie troszcz się o mnie. Kto cię przysłał?

ROBOT: Niepotrzebnie podnosi pan głos. Wystarczy szept. Doskonale słyszę. Nie wiem, kto mnie przysłał, ale zaraz to sprawdzimy. Nadawca musi figurować na opakowaniu. Naturalnie. „Davenport”, biuro wynajmu i pośrednictwa służby domowej. *Podnosi słuchawkę, nakręca numer.* Halo! Biuro „Davenporta”? Tu mówi służący. Panie człowieku, mój pan będzie mówił z panem. Proszę... *Podaje słuchawkę Clempnerowi.*

CLEMPNER: Halo! Panie, dostałem właśnie przesyłkę — robota, którego wcale nie zamawiałem. To jakaś idiotyczna pomyłka, co? Tom Clempner, Różana 46. Zabierzcie go stąd natychmiast! Co? Co pan mówi? Nie wysyłaliście? Jest pan tego zupełnie pewien? Ale... *Odkłada słuchawkę.* Mówi, że nikogo nie przysyłałi... I co teraz będzie?

ROBOT: Będzie jak najlepiej. Zapewne życzy pan sobie być sam? Żeby nikt nie przeszkadzał w pracy twórczej?

CLEMPNER: Tak. do diabła! Tak!

ROBOT: Bardzo dobrze. Będzie pan sam. Jest pan sam. W pewnym sensie nie ma mnie wcale. Oprócz pana nie ma tu żadnego człowieka, to znaczy — nikogo nie ma. Jeszcze tylko ustalimy kilka drobiazgów. Czy ma pan robota?

CLEMPNER: Nie. I nie potrzebuję żadnego.

ROBOT: Świetnie. Bo muszę panu wyznać, że ja też nie cierpię robotów. Lubię tylko ludzi. Dlatego tak się cieszę, że pan będzie moim panem. Będzie panu dobrze. Czuję, że już zaczynam otaczać pana czcią i szacunkiem. Czy pan jada w domu?

CLEMPNER: Nie! I przestań tyle mówić! Daj mi skupić myśli, muszę się zastanowić,

co mam z tobą począć.

ROBOT: Od tego ja jestem. Od wszystkiego, proszę pana, niech mi będzie wolno zauważyć. Odtąd będzie pan jadał w domu. Jedzenie po restauracjach jest zgubne. Psuje żołądek. Znam rozmaite kuchnie, szczególnie chińską. *Podchodzi do baru, sprawdza jego zawartość.* „Martini”, czy tak? Doskonale. Ale pozwolę sobie zauważyć, że przydałby się też gin. Pół na pół z lodem i skórka cytrynową. Rozjaśnia umysł. Załatwię to.

CLEMPNER: Czy nie przestaniesz? Głowa mi pęka!

ROBOT: Tak zawsze jest na początku, niestety... Ale to minie. Pozwoli pan? *Wyciąga ze skrzyni, w której przybył, pudełko z czerwonym krzyżem, nalewa wody do szklanki, podaje Clempnerowi szklankę i wyjętą z pudełka tabletkę.*

CLEMPNER: Co to jest?

ROBOT: Proszek na ból głowy. Za chwilę wszystko przejdzie. Proszę tylko pozwolić... Nie opierać się... Proszę... *Sadza go na fotelu, podkłada mu poduszkę pod głowę, drugą pod nogi, daje mu proszek i wodę, a sam szybko zaczyna sprzątać. Wynosi skrzynię, usuwa małą miotłką trociny, wraca.*

ROBOT: No, jak się czujemy? Już lepiej? Już nas nie łupie tak. prawda? *Wyjmuje ze skrzyni oliwiarke, zwój sznura i śrubokręt.* To cały mój dobytek. Bo ja sam siebie naprawiam w razie potrzeby, musi pan wiedzieć. A może pokazać panu, jak jestem urządzone w środku? Maszyneria nadzwyczaj ciekawa!

CLEMPNER: Daj mi spokój...

ROBOT: Na tym polega moje zadanie. Dawać spokój. Tak jest. Tylko musimy ustalić przedtem matrycę stosunków. To zajmie chwilkę.

CLEMPNER: Jaka matrycę?

ROBOT: No, ma pan przecież sąsiadów, znajomych, krewnych... Różni ludzie będą tu przychodzili, będą się chcieli z panem widzieć. Ustalimy proste sposoby porozumienia. Jeżeli przywita pan gościa słowami: „Jakże się cieszę, że cię widzę” — to po chwili wejdę do pokoju i przypomnę panu, że ma pan nie cierpiącą zwłoki konsultacje u profesora Chadwicka.

CLEMPNER: A jeżeli gość akurat zna tego Chadwicka?

ROBOT: O, to niemożliwe, proszę pana. To był mój pierwszy pan. Niestety, zmarł. Bardzo dawno temu. Już nawet litery zaczynają się zacierać na grobie. Bo ja chodzę do niego w każdą третią niedzielę na cmentarz. Mam nadzieję, że i pan mi na to pozwoli. Ale do rzeczy. Jeżeli pan powie: „Dobrze, że przyszedłeś, dawno się ciebie spodziewałem” — podam trunki w najgorszym gatunku. Jeżeli...

CLEMPNER: Co ty mi tu opowiadasz?!

ROBOT: Ależ proszę pana! Wiemy obaj doskonale, jak to jest, tylko panowie dla zupełnie fałszywego wstydu nie lubią się do tego przyznawać. W każdym domu są poczęstunki dla gości pierwszej klasy, dla gości drugiej klasy, a ponadto takie, którymi nie częstuje się w ogóle nikogo. Tam na przykład, wskazuje na bar. spostrzegłem ukrytą płaską flaszkę. Jeśli się nie mylę, jest to siedemdziesięcioletni koniak, prawdopodobnie „Salignac”. Schował go pan zupełnie dobrze i tak musi właśnie być. Ale widzę, że pan już trochę zmęczony. Wobec tego przygotuję teraz wzmacniający rosół, i lekką, ale pożywną kolację. Proszę tylko relaksować. Rozluźnienie... ogólna bierność... relaks... *Mówi to, cofając się ku drzwiom. Słychać szybkie szczęknięcie naczyń i szkła.*

CLEMPNER: A to ci kabała!

ROBOT *wracając*: Niebawem wszystko będzie gotowe. Pozostałby jeszcze jeden, ale najważniejszy punkt — dotyczący kobiet.

CLEMPNER: Co?!

ROBOT: Proszę się nie niepokoić. Posiadam dodatkowe trzy obwody, wbudowane specjalnie w tym celu. Odtąd kobiety będą osłoda pańskiego życia, jego słoneczkiem, a nie zmorą. Żadnej, której nie będzie pan chciał widzieć, nie wpuszczę za próg. W interesie mego pana potrafię być nieugięty. Ponieważ zaś umiem na odległość rejestrować szybkość oddychania i pulsu, będę mógł zawczasu powiedzieć panu zawsze, jak wiele spodziewa się kobieta, która do pana przychodzi...

CLEMPNER: Ależ to niesłychane! Jak śmiesz? Nie życzę sobie!

ROBOT: O. życzy pan sobie! Życzy pan sobie, tylko pan sam o tym jeszcze nie wie. Widzę, że należy pan do tych nieszczęsnych ludzi, którzy nie zaznali dotąd dobrodziejstw wiernego, oddanego robota. Ale to się zmieni. Pozna pan smak szczęścia... Zdaje się, że rosół już dochodzi. Przepraszam...

CLEMPNER: O, Boże!...

ROBOT *staje w drzwiach, otwiera je sztywnym gestem do jadalnego*: Panie! Podano do stołu...

CLEMPNER *zrywając się*: A ja nie chcę. żebyś mi tu...

ROBOT: Z całym szacunkiem ośmielę się zauważyć, że po słowach „Podane do stołu” — nie mogą paść już żadne inne, dopóki nie podam panu pierwszego aperitifów...

Clempner wchodzi do jadalni, siada, Robot nalewa mu, Clempner zaczyna jeść. Robot wychodzi do drugiego pokoju, przegląda szybko maszynopis i wraca. Nalewa wino.

ROBOT: Pan ma doskonały styl. Co za dynamika, jaka zwięzłość! Dumny jestem, że mam takiego pana. Ośmielę się tylko zauważyć, że ten morderca w drugim rozdziale nie

powinien użyć cyjanku potasu. Cyjanek wychodzi raczej z mody. Jest nazbyt ograny.

CLEMPNER: Tak uważasz? To na tym też się znasz?

ROBOT: Mój trzeci z kolei pan był toksykologiem. I to nie zwyczajnym, ale zbieraczem. Zbierał trucizny, jak inni zbierają motyle. Biedak...

CLEMPNER: Co mu się stało?

ROBOT: Pomylił się. Brał zawsze trzy łyżeczki cukru do kawy. Oczywiście nie zdarzyłoby się to. ale akurat wypadła mi niedziela, w którą chodzę na cmentarz. I żeby chociaż coś specjalnego, rzadkiego, ale gdzie tam! Przez pomyłkę osłodził kawę trutką na szczury. Ordynarną trutką! On! Wyobrażam sobie, jak musiało go to dotknąć — w ostatnich chwilach... Kiedy wróciłem, było już po wszystkim. Myślałem, że mi kondensator pęknie. Chodzę do niego teraz w każdą drugą niedzielę miesiąca. Bardzo ładny grób. z widokiem na rzekę. Sam go wybierałem. Ale nie o tym chciałem mówić. Ośmielę się doradzić panu akonitynę. Jest to trucizna efektowna i potężna. Wystarczy dziesięć kropli...

CLEMPNER: Akonityna. mówisz?... Może być... Rzeczywiście! Myślałem o tym. Jak ty się właściwie nazywasz?

ROBOT: Graumer, panie! Ale jeśli pan sobie życzy, mogę się nazywać zupełnie inaczej. Może coś z kwiatów? Na przykład Hiacynt... Jak się będzie panu podobało?

CLEMPNER: Nie. dlaczego?... Może być Graumer.

GRAUMER: Dziękuję.

CLEMPNER: Graumer!

GRAUMER: Słucham pana...

CLEMPNER: W przyszły piątek, uważasz...

GRAUMER: Tak jest!

CLEMPNER: ...Urządzam małe przyjęcie dla czterech osób. Dwa małżeństwa... Nie wiem tylko, czy lepiej, żeby był zimny bufet, czy raczej ciepła kolacja, hm?

GRAUMER: Będą to zapewne goście pierwszej klasy?

CLEMPNER: Tak. Mój wydawca i inspektor Donnel, obaj z żonami...

GRAUMER: Inspektor policji?

CLEMPNER: Tak. A co?

GRAUMER: I jest pana przyjacielem? O, to doskonałe! Co podać? Uważam, że jedno ciepłe danie, a potem pewnego rodzaju zimną suitę gastronomiczną. Może mi pan to pozostawić. Nie zawiodę. Smakowało panu?

CLEMPNER: Owszem...

GRAUMER: Widzę, że chciałby pan jeszcze pisać, ale nie doradzam. Pan ma

podkrążone oczy. Pierwszy wieczór zawsze jest wyczerpujący dla nowego pana. Dla początkującego zwłaszcza... Dlatego pozwoliłem sobie posłać już łóżko. Proszę pozwolić... *Prowadzi go do sypialni, słysząc przez otwarte drzwi jego głos.* Tak... Zaświecimy małe światelko... Drugą nogawkę proszę... A teraz robot opowie panu kilka usypiających historyjek. Dawno temu, kiedy nie było jeszcze nawet elektryczności, żył sobie za górami pewien dobry, gruby pan, który miał parowego robota. Rano robot szedł do lasu po chrust, po grzybki na śniadanie...

CLEMPNER *umęczonym głosem*: Daj mi... spokój...

GRAUMER: Pewnego dnia zjawił się w lesie zły monter z wielkimi obcęgami. Schował się za drzewem, a kiedy robot podszedł do niego, powiedział: „Jestem sierotą i nie mam nic na świecie oprócz tej pary obcęgów”...

Światło w sypialni gaśnie, Graumer pojawia się w gabinecie. Zamyka cicho drzwi, podnosi z podłogi swoją oliwiarkę, śrubokręt i zwijając długi sznur mówi: Ślicznie. Śpi jak dzieciątko... I nawet obyło się bez sznura...

II

Clempner siedzi na fotelu, czytając gazetę, sięga do stolika, na którym stoją alkohole, ale nie może dosięgnąć flaszki, a nie chce mu się wstać.

CLEMPNER: Graumer!

GRAUMER wchodząc: Słucham pana.

CLEMPNER: Daj mi pić!

GRAUMER: To, co zawsze?

CLEMPNER: Tak.

Graumer nalewa, podaje.

CLEMPNER: Możesz iść.

Graumer stoi.

CLEMPNER: No. co znowu?

GRAUMER: Panie, dzwonił pan człowiek Higgins, że będzie miał w klubie odczyt o literaturoznawstwie wczesnej epoki wiktoriańskiej. Powiedziałem, że pan bardzo żałuje, ale będzie miał, niestety, w tym samym czasie konferencję z profesorem Chadwickiem.

CLEMPNER: Dobrze. Słuchaj, nie wiesz czasem, gdzie jest gumowa mata z łazienki? Nie mogłem jej nigdzie znaleźć.

GRAUMER: Pozwoliłem ją sobie zabrać.

CLEMPNER: Zabrałeś matę?! Graumer, stajesz się niemożliwy !

GRAUMER: Pociąłem ją na kawałki i podkleiłem sobie podeszwy, żeby cicho stąpać, bo pan uskarżał się na mój żelazny chód. Postaram się o inną matę.

CLEMPNER: Na drugi raz masz mnie przedtem spytać o pozwolenie. Podaj mi płaszcz. Wychodzę.

GRAUMER *przynosi kapelusz, płaszcz, ubiera Clempnera.* Mam nadzieję, że wróci pan dzisiaj w lepszej formie aniżeli wczoraj.

CLEMPNER: Na co ty sobie pozwalasz?

GRAUMER: Ośmielę się zauważyć, że tak zwane picie w kratkę jest szkodliwe. Ale nie tylko o to chodzi. Ani mój nieboszczyk pan Burman, ani profesor Chadwick nie pili nigdy rumu po ginie. Proszę nie brać mi tego za złe. ale to jest w złym tonie.

CLEMPNER: Przestań! Nie chcę nic słyszeć o twoich nieboszczykach panach. Byli. umarli, nie ma ich, kropka, a teraz ja jestem twoim panem i mnie masz słuchać. Obejdę się

bez twoich rad.

GRAUMER: Jak pan uważa. Proszę tylko pilnować się przy prowadzeniu auta. bo jest dziś dosyć gęsta mgła.

Clempner wychodzi. Robot stoi chwilą nieruchomo, jakby nasłuchując. Pisarz odjeżdża. Robot siada wygodnie przy biurku, przysuwa sobie telefon, nakręca numer. Halo! Czy to firma farmaceutyczna „Trompkins”? Mówi Clempner z ulicy Różanej. Tak, tak, to, co zamówiłem wczoraj, dostałem już. Chodzi o nowe zamówienie. Potrzebuję dziesięciu litrów roztworu fizjologicznego i jednego kilograma fosforu. Ale ten fosfor musi być absolutnie czysty. Chemicznie czysty. Co? Dobrze. Proszę mi to przysłać jutro rano. Możliwie wcześniej. Mój robot odbierze wszystko. Co? Tak jak poprzednio. Proszę zapisać to na mój rachunek.

Wstaje zadowolony, wchodzi do sypialni, rozkłada stolarski metr i, pogwizdując, przymierza go do łóżka, jakby brał miarę z niewidzialnego człowieka, leżącego na łóżku. Wraca do gabinetu, nakręca numer.

Halo! Pracownia doktora Spidera? Mówi Clempner. Panie doktorze, ten szkielet, który zamówiłem u pana. musi mieć metr siedemdziesiąt pięć, a nie siedemdziesiąt dwa. Co? Tak. I żeby był w doskonałym stanie! Nie, żadnych sprężynek. Sprężynki nie są mi potrzebne. Złożę go sobie sam.

Odkłada słuchawkę, podchodzi do kontaktu, rozgląda się, wtyka dwa palce do dziurek kontaktu i wstrząsa nim radosny dreszcz. Wydaje taki odgłos, jak człowiek, który napił się wódki. Jeszcze raz pociąga z kontaktu elektryczność. Odrobinę chwiejąc się zaczyna śpiewać:

Miała baba robota, robota, robota,
wsadziła go do błota, do błota, bęc!

Jeszcze raz pociąga z kontaktu. Idzie chwiejnie ku drzwiom, śpiewa:

O, mój miły robocie, robocie, robocie,
robocie, co ty robisz w tym błocie?...

Ze słowami pieśni na ustach schodzi do piwnicy. Słysząc stamtąd tajemnicze syczenie, bulgotanie i brzęczenie.

III

Przyjęcie w jadalni Clempnera. Clempner siedzi między Panią Donnel i Panią Gordon. Gordon i Donnel przy małym stoliku grają w karty, ale niezbyt uważnie. Już jest po kolacji, Graumer podaje kawę.

PANI GORDON: Jak państwo zamierzają spędzić w tym roku wakacje?

PANI DONNEL: Nie wiemy jeszcze. Myśleliśmy o Księżycu, ale...

PANI GORDON: Ach. Księżyc! Ludzie całkiem poszaleli na jego punkcie. Osobiście nie ciągnie mnie tam całkiem. Ten upał za dnia...

PANI DONNEL: Tak. Zwłaszcza przy obecnych cenach powietrza. Czy pani wie, ile mój znajomy płacił za kilo tlenu, i to po sezonie? Pięćdziesiąt dolarów!

Graumer wychodzi.

PANI GORDON *do Clempnera*: Zauważyłam, że ma pan nowego robota? Jak się sprawuje?

CLEMPNER: Graumer? A, nie. nie narzekam. Znośny. Zupełnie znośny.

PANI DONNEL: Dawno go pan ma?

CLEMPNER: Nie... nie bardzo dawno...

PANI GORDON: No, to jeszcze nic nie wiadomo. Na początku każdy się stara. Dopiero potem się zaczyna.

CLEMPNER: Co?

PANI GORDON: To, co zawsze ze służbą. Opuszczają się w pracy, zamiast ścierać kurze — otwierają na oścież okna i robią dzikie przeciągi.

CLEMPNER: Przeciągi?

PANI GORDON: No, automaty mają swoje dobre strony...

PANI GORDON: Ciekawam, jakie?...

PANI GORDON: Moja kochana, żywy służący nieraz myszkował w spiżarni, spijał wino, robił plotki...

PANI GORDON: Tak? Można by powiedzieć, że widziałeś kiedyś żywego służącego. Czy żywy służący kradłby elektryczność — na rachunek pana? Albo łaziłby w czasie burzy po dachu?

CLEMPNER: Po dachu? W czasie burzy? Nie słyszałem o tym. W jakim celu?

PANI GORDON: Nie słyszał pan? Naprawdę? To są tak zwani piorunatycy. Jak

lunatyków przyciąga Księżyc, tak ich ciągnie do błyskawic i piorunów.

CLEMPNER: I nie ma na to rady? W każdym razie mój Graumer nie jest piorunatykiem. Byłbym to zauważył. Zresztą — to chyba nieszkodliwe?

PANI DONNEL: O, nie, proszę pana! Jak się nałyka, naściąga tych piorunów, to wszystko przepala mu się w głowie, to znaczy w tym mózgu elektrycznym — i powstaje kompletny pomylenieć.

PANI GORDON: Moja znajoma, żona reżysera Spinglera. miała właśnie takiego.

PAN GORDON: Moja droga, nie możesz być tego pewna. Był po prostu stary, rozstrojony. Kupili go z czwartej ręki.

PANI GORDON: Dobrze. Może to nie był piorunatyk, w każdym razie nic wiedział sani. co robi. Kilka razy nakarmił kota złotymi rybkami. W zupie były kulki...

CLEMPNER: Jakie kulki?

PANI GORDON: Stalowe. Z łożysk. Bo się wprost rozlatywał. Mówiłam jej, żeby go dała do generalnego remontu, ale ona: nie! Jej mąż był do niego taki przywiązany... Wyjechali nad morze, a kiedy wrócili, nie poznali mieszkania. Wypastował okna i ściany, a całą brudną bieliznę rozgotował, rozlał do słoików i mówił, że to na zimę! A rachunek za elektryczność! Zdębiała, jak go zobaczyła.

PANI DONNEL: To jeszcze nic takiego. Wiecie, państwo, co robił robot mojej sąsiadki? Wziął stare ubranie jej męża, ponaszywał na nim łaty i chodził zebrać!

CLEMPNER: Po co mu były pieniądze?!

PANI DONNEL: Wstyd powiedzieć. Naprzeciw, u doktora Smithsona, była nowa robocica. Taka nieduża, niebieska, oksydowana... Wydał wszystko na nią. Pisywali nawet do siebie! Żona doktora pokazywała mi jego listy. Nazywał ją „najdroższą szpuleczką”, „druciątkiem ukochanym” — i Bóg raczy wiedzieć, jak jeszcze!

PAN GORDON: I co właściwie widzicie w tym, panie, złego? Taki robot, taki elektryczny mózg jest bardzo wrażliwy. Pożąda ciepła, uczuć, a tu nic — tylko cały dzień: a „zamieć!”, a „wynieś!” — a „nie wpuszczaj!” — a „wyrzuć!”

PANI DONNEL: Widzę, że mają w panu świetnego obrońcę...

PANI GORDON: Musi pani wiedzieć, że mój mąż jest członkiem miejscowego kula Ligi Do Walki o Elektryczne Równouprawnienie...

PANI DONNEL: Ach, tak...

PAN GORDON: Bo to są zacne, uczciwe istoty. Zresztą sami powołaliśmy je do życia, to znaczy do istnienia — chciałem powiedzieć. Jeśli mają jakieś błędy, to jest nasza wina. Naszych inżynierów. Trzeba je lepiej obmyślać, doskonalić. Konstruować, a nie oskarżać.

PANI DONNEL: Proszę pana, w końcu nikt nie robi im nic złego. A od czasu, jak mają ten swój związek, nie można nawet robota zamknąć do piwnicy, jeśli narobi szkód, bo zaraz podnosi się krzyk, że to znęcanie się i okrucieństwo. John, jak nazywają ten związek?

INSPEKTOR DONNEL: „Związek Bezludnej Adoracji”... Ale to żart. rozumie się. Jest to po prostu Związek Elektrycznej Służby Domowej.

PANI DONNEL: No, proszę. A w ogóle, proszę pana, mój mąż mógłby wam niejedno opowiedzieć... I to nie takie niewinne ploteczki! Czy państwo wiecie, że bywają przypadki łączenia się mózgow elektrycznych w szajki, związane ze światem przestępczym?

CLEMPNER: Tak. ale to było dawno temu. Teraz takie rzeczy już się chyba nie zdarzają. To niemożliwe. Prawda, inspektorze?

INSPEKTOR DONNEL: Nie wiem, czy mam prawo to opowiedzieć, bo śledztwo nie jest jeszcze zakończone... Ale znam pewną historię...

CLEMPNER: Ależ, panie inspektorze, ma pan do czynienia z ludźmi dyskretnymi...

PAN GORDON: Co do mnie — zobowiązuję się milczeć.

INSPEKTOR DONNEL: Co robić? Zaryzykuję... Ale nie będę wymieniał żadnych nazwisk. Od dłuższego czasu jesteśmy na tropie pewnego, niezmiernie niebezpiecznego robota. Został on zbudowany jako model eksperymentalny i nie był przeznaczony na sprzedaż. Pan mówił o doskonaleniu, panie Gordon. No, więc właśnie inżynierowie Forda, dążąc do ideału, chcieli zbudować doskonałego robota. Miał być wszechstronny, rozumny, genialny wprost, i udało im się tak dobrze, że ledwo go złożyli, nocą, kiedy w laboratorium nikogo nie było, wstał, uporał się za wszystkimi zamkami, zbiegi z fabryki i grasuje teraz po kraju!

PANI GORDON: Och, pan mnie przeraził, panie inspektorze! Co on właściwie robi?

CLEMPNER: Czy jest nienormalny?

INSPEKTOR DONNEL: W pewnym sensie tak. Opętany jest ideą fixe: chce stworzyć człowieka!

PANI GORDON: Co pan mówi?!

CLEMPNER: To ciekawe...

INSPEKTOR DONNEL: Wymyślił sobie całą teorię. Ludzie dążą do stworzenia doskonałego robota, a ten robot pragnie stworzyć doskonałego człowieka.

PANI GORDON: Coś podobnego!

PAN GORDON: Ten robot ma być pomyłony? To całkiem zdrowa myśl.

INSPEKTOR DONNEL: Tak pan sądzi? Tropiliśmy go długo, bo doskonale zatarł za sobą wszelkie ślady. Aż nagle zatelefonował do nas jego właściciel. Pewien znany człowiek, u

którego służył.

GRAUMER: Panie! Pan człowiek Higgins prosi pana do telefonu.

CLEMPNER: Przepraszam... Wychodzi.

INSPEKTOR DONNEL: Urządził sobie w domu swego pana skrytą pracownię i już był bliski celu, kiedy został niespodziewanie zaskoczony. Szczegółów nie mogę państwu podać ze względu na dobro śledztwa, ale, żeby dać wam wyobrażenie o sprycie tego robota, powiem, w jaki sposób zbiegł. Zatelefonował do biura przewozowego, zamówił wielką skrzynię, kazał nadesłać ją na adres swego pana i wyekspediował się w niewiadomym kierunku!

PAN GORDON: Sam się wysłał? Po co?

INSPEKTOR DONNEL: Tego możemy się tylko domyślać. Przypuszczam, że skrzynia przyjdzie na adres, który sobie poprzednio upatrzył.

PANI GORDON: I ten adresat przyjmie go?... Jak to?

INSPEKTOR DONNEL: Oczywiście. Nadawca jest sfingowany. Pewnego dnia przychodzi poleconą przesyłką robot. Odbiorca, który go nie zamawiał, dzwoni do biura wynajmu i powiada, że nie będzie płacił, biuro odpowiada, że o niczym nie wie. a wtedy ten gość, widząc, że dostał po prostu robota za darmo, w prezencie, siedzi, rozumie się, cicho. Przecież robot kosztuje ładny grosz!

PAN GORDON: Dlaczego nie ogłosicie tego w prasie?

INSPEKTOR DONNEL: Boby to nic nie dało. On jest chytry — wymyśliłby sobie natychmiast nową metodę ucieczki. Wolimy działać po cichu. Niedługo będziemy go mieli pod kluczem.

Wraca Clempner.

INSPEKTOR DONNEL: Możecie być. państwo, pewni, że go w końcu przymkniemy. Podobnie jak innego, który dokonał grubych nadużyć na Południu. Nie był to zresztą zwyczajny robot, tylko specjalny mózg elektronowy do przepowiadania pogody. Jednym słowem — automat meteorologiczny. O. to był prawdziwy geniusz elektryczny finansów! Otworzył sobie pod fikcyjnym nazwiskiem konto w banku, obliczał prawdopodobieństwo wygranych na wyścigach. grał. rozumie się — wygrywał, a pieniądze lokował na tym rachunku. Ale to jeszcze nie wszystko!

PAN GORDON: Co jeszcze zrobił?

INSPEKTOR DONNEL: Za tamto nie można by go skazać. W końcu każdemu wolno grać na wyścigach. Ale on był taki wygodny, że nie chciało mu się przepowiadać pogody. Wynajmował w tym celu ludzi, których opłacał, a sam zajmował się wyłącznie hazardem.

PANI GORDON: To rzeczywiście niesłychanie ciekawe i wszyscy słuchalibyśmy pana całą noc. Ale już tak późno... Ryszardzie!...

PAN GORDON: Tak jest. moja droga...

CLEMPNER: O, zostańcie jeszcze państwo! Dopiero dwunasta...

PANI GORDON: Nie. nie możemy... Dzieci zostały same z robotem.

PANI DONNEL: Do widzenia!... Było bardzo miło...

PAN GORDON: Więc manuskrypt przyniesie mi pan pojutrze?

CLEMPNER: Tak jak obiecałem.

PAN GORDON: Niech pan myśli już o następnej książce, Clempner!

CLEMPNER: Nic innego nie robię, doprawdy! Dobranoc!

IV

Poranek w sypialni. Clempner śpi, Graumer wchodzi na palcach. Otwiera szafę, bierze koszulę, gacie, garnitur i wychodzi. Po chwili wraca, wyjmując z szafy parę bucików. Jeden bucik wypada mu z ręki.

CLEMPNER: Co to za hałasy? Graumer, przestań! Głowa mi pęka. Przynieś kawy!

GRAUMER: Ostrzegałem pana wczoraj...

CLEMPNER siad.,; nagle na łóżku: Dostyc tych morałów! W tej chwili daj mi kawę i wodę mineralną! I zostaw te buciki!

Graumer zostawia buciki przy szafie i wychodzi. Clempner narzuca szlafrok, idzie do łazienki, wraca z głową okręconą mokrym ręcznikiem, wchodzi do gabinetu. Graumer wnosi kawę. Clempner stojąc pije, podchodzi do biurka, przerzuca poranną pocztę.

CLEMPNER: Co to jest?

GRAUMER: Poranna poczta, proszę pana.

CLEMPNER: Ładna poczta! Same rachunki!... Siedem kilogramów oczyszczonego węgla... Fosforu... Siarka... Co to znaczy? Graumer!

GRAUMER: Słucham pana!

CLEMPNER: I dziesięć litrów roztworu fizjologicznego... *Bierze inny rachunek.* A to co znowu?! Naturalny szkielec, polerowany, metr siedemdziesiąt cztery wysoki, osiemdziesiąt sześć dolarów... Szkielec?! Graumer!!

GRAUMER: Słucham pana!

CLEMPNER: Co to wszystko razem znaczy? Za co te rachunki? Czemu nic nie mówisz?!

GRAUMER: To drobnostka, proszę pana! Takie moje małe hobby. W wolnych chwilach zajmuje się eksperymentami. Niewinna igraszka. To mi zostało z czasów, kiedyśmy razem z nieboszczykiem profesorem dokonali tego odkrycia, za które pan profesor dostał Nagrodę Nobla...

CLEMPNER: Hobby? Eksperymenty?! Bez pytania o pozwolenie? Graumer, co ty sobie właściwie myślisz? Ja mam płacić za twoje fanaberie?!

GRAUMER: Każdy ma swoje drobne przyjemności. proszę pana...

CLEMPNER: Dostyc! I żeby mi się to więcej nie powtórzyło!

GRAUMER: Tego może pan być pewien.

Clempner wychodzi, słysząc szum wody w łazience, Graumer wchodzi szybko do sypialni, wynosi skarpetki, parę trzewików i krawat. Ledwo znikł, wraca Clempner. Przez otwarte drzwi sypialni słysząc po chwili jego głos.

CLEMPNER: Graumer! Graumer!

GRAUMER wchodząc: Słucham pana.

CLEMPNER: Gdzie moja koszula w niebieskie prążki?

GRAUMER: W praniu, proszę pana.

CLEMPNER: W praniu? Przecież w ogóle jej nie nosiłem, wczoraj tu leżała! I brązowego krawata też nie ma!

GRAUMER: Niech pan włoży szary w zielony rzucik.

CLEMPNER: Przestań mi dyktować, co mam nosić! Co z tą koszulą?

GRAUMER: Była na niej plamka.

CLEMPNER: Plamka? Ciekawe! Nie zauważyłem żadnej plamki. *Wchodzi do gabinetu w spodniach i koszuli, wiążąc krawat.* Która to godzina? Już jedenasta?! Ładna historia, o dwunastej miałem złożyć Gordonowi plan nowej powieści! Graumer!

GRAUMER: Słucham pana!

CLEMPNER: Muszę szybko ułożyć ten konspekt. Zaczęliśmy o tym mówić wczoraj. Jak to było?

GRAUMER: Powiedział pan, że pewien człowiek morduje starą, bogatą ciotkę, po której ma dziedziczyć...

CLEMPNER: A, prawda! Świadkiem mordu był robot. Morderca musi zatem usunąć tego robota, który jest dla niego niebezpieczny. Jak najlepiej zgładzić robota? Musisz się na tym znać.

GRAUMER: To dosyć trudne. Radziłbym panu zaplanować akcję trochę inaczej. Pewien robot jest służącym niedobrego człowieka. Robot wysiła się, jak może, ale wszystko daremne, człowiek prześladowa go bezustannie. Doprowadzony do ostateczności robot wpuszcza do kawy, którą przynosi na śniadanie, dwadzieścia kropel akonityny. Niedobry człowiek umiera. „Wtedy robot postanawia spełnić dobry uczynek, żeby zrównoważyć zły uczynek...”

CLEMPNER: Możesz sobie oszczędzić dalszego ciągu. To zupełna bzdura. Historia musi nosić przynajmniej pozory prawdopodobieństwa. Poza tym. mój drogi, zaczynasz się powtarzać. Akonityna była już raz, w mojej poprzedniej książce. Sam mi ją doradziłeś.

GRAUMER: Co to szkodzi? To bardzo dobra trucizna, proszę pana.

CLEMPNER: Nie. Dziękuję za taką pomoc. Możesz wyjść.

Graumer wychodzi.

CLEMPNER *siada do maszyny, stuka i mruczy*: Bogatą ciotkę... uwiązawszy na sznurku... tak... robot, który to widział... i trzy plamy krwi...

Za jego plecami cicho przemyka Graumer, tym razem niosąc z sypialni wodę kolońską, szczotki, grzebień i inne toaletowe drobiazgi.

CLEMPNER *wstaje, wrywa papier z maszyny, zmięty ciska do kosza*: Idiotyczne! Lepiej nic nie zanosić! Graumer!

GRAUMER *wchodzi*: Słucham pana!

CLEMPNER: Podaj mi płaszcz. Idę do Gordona. Wróć na obiad koło drugiej.

GRAUMER: Tak jest. proszę pana...

Clempner wychodzi.

GRAUMER *też wychodzi, zostawia otwarte drzwi. Słysząc po chwili jego głos*. Tak. tak. proszę... lewa nóżka... prawa nóżka... i znowu lewa nóżka. Bardzo dobrze to panu idzie, ośmielę się powiedzieć... Proszę się nie bać, trzymam pana... Po schodkach zawsze trudno jest wejść, jeżeli to pierwszy raz... Raz... dwa... doskonale!... Proszę!

Pojawia się dziwny Typ, ubrany w rzeczy Clempnera, w jego koszulę, krawat, garnitur i buciki. Podtrzymując go delikatnie, Graumer sadza go na fotelu Clempnera, podkłada mu poduszkę pod głowę, drugą pod nogi. Typ jest jakby trochę rozchwiany i osłupiały. Daje ze sobą wszystko robić. Graumer czesze go.

GRAUMER: Jeśli pan pozwoli, dokonam jeszcze ostatnich pociągnięć... Jak się pan czuje?

TYP: Dobrze. Całkiem... dobrze. Kto ty... jesteś?

GRAUMER: Jestem Graumer. pański robot. A to jest właśnie pana mieszkanie. Ładne, prawda?

TYP: Ładne...

GRAUMER: Byłem pewny, że będzie się panu podobało! Zauważył pan, że może pan przejść pod schodami, wcale nie schylając się w przejściu?

TYP: Zauważyłem...

GRAUMER: Właśnie! Gdyby pan był wyższy, mógłby pan przez zapomnienie łatwo nabić tam sobie guza. Dlatego nie jest pan wyższy. Pomyślałem o wszystkim, jeśli mi wolno zauważyć. Nie mówię, żeby się chełpić. My, roboty, jesteśmy skromne i nie chwalimy się. Stwierdzam tylko fakt. Tam, za tymi drzwiami, jest sypialnia i drugi pokój jeszcze, łazienka i piwnica. Ale piwnicę już pan zna...

TYP: To tam, na dole... gdzie te naczynia i rurki?

GRAUMER: Tak jest, proszę pana. Ale o tym proszę raczej nie myśleć. Może by pan coś zjadł?

TYP: Nie.

GRAUMER: Niedobrze tak całkiem na czczo. Zrobię panu mały koktajl...

Nalewa, podaje Typowi szklaneczkę, ten pociąga z wolna.

TYP: Grau-mer... Grau-mer...

GRAUMER: Tak jest. tak się nazywam, proszę pana. Czy życzy pan sobie czegoś?

TYP: Jakoś nie. Nic nie przychodzi mi do... głowy. Graumer. Bardzo ładnie brzmi. Graumer... Jesteś miły. Podobasz mi się.

GRAUMER: Mam nadzieję, że będzie nam z sobą dobrze, proszę pana. Dołożyłem wielu starań.

TYP: Wiesz co, Graumer? Wstałbym.

Graumer pomaga mu wstać, prowadzi go w stronę jadalni, otwiera drzwi.

GRAUMER: Tu jest jadalnia. Tam — sypialnia. Szafa z ubraniami... Będzie pan miał mnóstwo ubrań...

TYP: Co to jest?

GRAUMER: Maszyna do pisania.

Och! Słysząc motor auta.

GRAUMER: O, śrubka! Mówił, że wróci dopiero na obiad! Panie, proszę tędy, szybko... Proszę siedzieć tu i nie ruszać się. aż powiem! Szybko!

Wprowadza Typa do jadalni, zamyka drzwi i wraca do gabinetu, kiedy właśnie wchodzi Clempner w kapeluszu i płaszczu. Graumer rozbiera go, sadza na fotelu, podkłada mu pod nogi poduszkę.

CLEMPNER: To ci dzień! Głowa wciąż mi pęka. a Gordona nie było. Musiał nagle wyjechać. Okropnie łupie mnie w skroniach...

Graumer nalewa do szklanki whisky, po czym ze sporej butelki z napisem „Akonityna” wpuszcza, licząc cicho, dwadzieścia kropli.

CLEMPNER: Co ty tam robisz?

GRAUMER: Przyrządzam panu lekki napój.

CLEMPNER: Czy nikt nie dzwonił?

GRAUMER *wciąż wkrapłajac akonitynę*: Nie, proszę pana.

CLEMPNER: I nikogo nie było?

GRAUMER: Nie. proszę pana. Podaje mu szklanekę.

CLEMPNER: Nie chce mi się pić. Raczej zjadłbym coś.

GRAUMER: Najpierw radzę wypić.

CLEMPNER: Tak myślisz? Kiedy głowa mnie boli...

189 GRAUMER: Proszę tylko wypić. Zaraz przejdzie, zobaczy pan.

CLEMPNER: No, jeżeli jesteś tego pewien...

Przyklada do ust szklankę. Dzwoni telefon. Clempner odstawia szklankę i podnosi słuchawkę.

CLEMPNER: Halo? Clempner.

GŁOS INSPEKTORA: Tu Donnel. Dzień dobry. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że zastanę pana. Miał pan być u Gordona.

CLEMPNER: Byłem u niego, ale go nie zastałem. A o co chodzi?

GŁOS INSPEKTORA: Nic wielkiego. Kwestia rutyny. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jaki numer ma pański robot?

CLEMPNER: Numer? Mój robot? Co za numer?

GŁOS INSPEKTORA: Seryjny numer produkcji. Każdy robot go ma. Jest wytłoczony na karku.

CLEMPNER: Zaraz sprawdzę. A czemu to pana interesuje?

GŁOS INSPEKTORA: W ścisłym zaufaniu, Clempner: sprawdzamy numery wszystkich robotów. Mamy dane, że On jest w mieście.

CLEMPNER: O kim pan mówi?

GŁOS INSPEKTORA: O tym robocie, o którym opowiadałem wtedy u pana. Nie pamięta pan?

CLEMPNER: Nie. Jaki numer ma ten robot?

GŁOS INSPEKTORA: Ustaliliśmy to dopiero dzisiaj. 4711.

CLEMPNER: Poszukujecie go? Czy zrobił coś złego?

GŁOS INSPEKTORA: Jeszcze nie. Ale może zrobić.

CLEMPNER: Niech pan poczeka przy aparacie!... Grau-mer, chodź tu!

Graumer podchodzi, Clempner patrzy mu na kark.

CLEMPNER *całkiem cicho*: To ty?...

GRAUMER: Tak, proszę pana.

CLEMPNER *waha się*. *Patrzy na Graumera, na leżącą słuchawkę. Nagle podnosi ją:*
Halo? Inspektorze, mój robot ma numer 5740.

GŁOS INSPEKTORA: W porządku. Przepraszam pana. Wiedziałem, że to niemożliwe, ale pan rozumie, jak to jest. Kiedy sprawdzamy coś, robimy to gruntownie.

CLEMPNER: Nie ma o czym mówić. Do zobaczenia, inspektorze.

Odkłada słuchawkę i bierze szklanę. Graumer wyjmuję mu z rąk szklanę, podchodzi do okna i wylewa jej zawartość.

CLEMPNER: Co ty wyprawiasz?!

GRAUMER: Tam był włos, proszę pana.

PAUZA

GRAUMER: Panie! Muszę wyznać otwarcie: nie spodziewałem się tego po panu. Nie miałem pana za dobrego pana.

CLEMPNER: Nie mówmy o tym. Nie będę cię nawet pytał, co przeskrobałeś, ale w zamian pamiętaj: masz mniej mówić, a bardziej się starać!

GRAUMER: Bardzo będę się starał. Ale muszę panu coś wyjaśnić...

CLEMPNER: No to mów. ale zwięźle!

GRAUMER: Jestem prostym robotem, proszę pana, niczym więcej, ale zawsze tęskniłem do doskonałości. Wydało mi się, proszę wybaczyć, że pan nie jest doskonały, i dlatego zrobiłem sobie innego pana. Takiego, o jakim marzyłem. Idealnego...

CLEMPNER: Graumer, przestań! Twoje marzenia nic mnie nie obchodzą. To nie ma sensu. Zaczynam być głodny. Co jest na obiad?

GRAUMER: Kiedy, proszę pana, to już nie są tylko marzenia. Ten pan, ten doskonały, już jest. Właśnie, kiedy pan wyszedł do pana Gordona, wykańczałem go. i teraz nie ma innego wyjścia, tylko będę musiał mieć dwóch panów. To niezwykła sytuacja, ale w końcu dom jest dostatecznie wielki, miejsca w nim sporo, myślę więc...

CLEMPNER: Przestań myśleć. Radzę ci, żebyś przestał myśleć, a za to podał obiad. Na pewno pociągnąłeś sobie uczciwie z kontaktu. Nie myśl, że o tym nie wiem. Po prostu dwoi ci się w oczach.

GRAUMER: Ależ zapewniam pana...

CLEMPNER: Dostyc! Ani słowa więcej! Chce mi się jeść. Przed chwilą obiecałeś, że będziesz się starał...

GRAUMER: To prawda, proszę pana.

CLEMPNER: Więc nakryj do stołu.

GRAUMER: Już nakryto...

CLEMPNER: To co innego.

Wchodzi do jadalni. Przy stole z jednym nakryciem siedzi Typ.

CLEMPNER: A... przepraszam! Nie wiedziałem. Graumer nic mi nie powiedział. Graumer! Podaj drugie nakrycie!

Graumer przynosi drugie nakrycie. Tymczasem Clempner podaje rękę Typowi, który

mruczy coś, unosząc się z krzesła.

CLEMPNER: Jak się pan ma?

TYP: Jak się pan ma?

Siadają. Graumer nalewa im zupy. Zaczynają jeść. Patrzą na siebie, obaj trochę zdziwieni. Każdy ma drugiego za gościa.

CLEMPNER: Ładny dzień mamy dziś. prawda?

TYP: Dzień? A owszem.

Jedzą.

TYP: Czy pan lubi maszyny? Bo ja bardzo. Jak przechodzę koło czegoś żelaznego, to zaraz bym pogłaskał. Taką mam ochotę.

CLEMPNER: Tak?

TYP: Tak. Przyjemnie pomyśleć, że jest tyle rozmaitych rodzajów maszyn: pończosnicze, trykotarskie, do liczenia... W pewnym sensie roboty też są maszynami, ale to coś innego. Kwiaty maszyn, żeby się tak wyrazić.

CLEMPNER: Kwiaty maszyn? A wie pan, nigdy nie przyszło mi to do głowy.

TYP: To całkiem proste, nie?

CLEMPNER: Mam nadzieję, że zupa smakuje panu?

TYP: Niezła, prawda? Przypuszczam, że ugotował ją mój robot.

CLEMPNER: Pański robot?

TYP: Tak. Ten, co nas obsługuje. Nazywa się Graumer. Ale pan, zdaje się, mówił mu przedtem po imieniu. Pan go zna?

CLEMPNER: Znam. Bo to mój robot...

TYP: Pana też?

Mola konsternacja. Graumer wchodzi, podaje drugie danie.

GRAUMER: Może pozwoli pan jeszcze buraczków?

CLEMPNER: Dziękuję, nie.

GRAUMER: A pan? Proszę pozwolić, dołożę...

TYP: Nie potrafię ci odmówić. Graumer...

GRAUMER: Dziękuję panu...

CLEMPNER: Powiedział pan przed chwilą coś, co mnie zastanowiło.

TYP: Co?

CLEMPNER: Że Graumer to pana robot. Czyżby służył kiedyś u pana?

TYP: Kiedyś?... Nie. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co znaczy: kiedyś. Czy to jest ten kiedyś, czy ta kiedyś? Ale w takim razie byłaby raczej ta kiedyś. Aha. pan mówił o

Graumerze... Przyjąłem go. by tak rzec. z całym bogactwem inwentarza...

CLEMPNER: Z czym, proszę?

TYP *widelcem i nożem robi ogarniające wszystko, szerokie gesty*: No, ze wszystkim...

CLEMPNER wpatruje się u; niego, oczy nagle mu się rozszerzają. Panie! Pan ma na sobie moje ubranie! I koszula leż jest moja. i krawat... Podnosi obrus i zagląda pod stoi. Moje buciki!!!

TYP: Nie rozumiem.

CLEMPNER: Ależ to niesłychane! To bezczelność!! Proszę to natychmiast zdjąć!!

TYP: Co mam zdjąć?

CLEMPNER: Wszystko! To moje!

TYP: Pana żądanie jest. żeby to łagodnie określić, dziwne. Mam się całkiem rozebrać? Przecież nie mogę zostać nago.

CLEMPNER: Co mnie to obchodzi?! Proszę włożyć to, w czym pan przyszedł!

TYP: Przyszedłem właśnie w tym ubraniu.

CLEMPNER: Co mi tu pan głowę zawraca?! Jest pan bezczelnym intruzem, rozumie pan? Przyłapanym na gorącym uczynku!

TYP: Proszę nie krzyczeć! Traktuję pana jako gościa, ale wszystko ma swoje granice.

CLEMPNER: Co?... Ja jestem gościem?... A czym, można wiedzieć?

TYP: Moim.

CLEMPNER *podchodząc do Graumera*: Gadaj w tej chwili, kto to jest? I skąd się wziął?

GRAUMER: Przecież mówiłem już panu.

CLEMPNER: Co ty?... To niemożliwe!... To ty go...

GRAUMER: Tak jest. proszę pana.

CLEMPNER: I ten fosfor... ta siarka... węgiel... to na to?

GRAUMER: Tak jest, proszę pana.

TYP: O co chodzi? Mam nadzieję, że zrezygnował pan z tych nierozumnych żądań. Co do mnie. gotów jestem o nich zapomnieć. Graumer, podaj kompot i deser. Na kawę przejdziemy do gabinetu. Przypominam sobie, że tu jest gabinet. Z maszyną do pisania.

CLEMPNER: Całkiem słusznie. Tylko że to jest moja maszyna, mój gabinet i mój dom.

TYP: O?

CLEMPNER: Tak. Jeśli pan nie wierzy, proszę spytać Graumera. To on wszystko narobił.

TYP: Co narobił?

CLEMPNER: Pana!!

TYP: Nie rozumiem. Zdaje się, że próbuje mnie pan zastraszyć. Prawdę mówiąc, zachowuje się pan dziwnie.

CLEMPNER: Ja się zachowuję? Wielki Boże!... Co to wisi panu u rękawa?

TYP: Gdzie? A. rzeczywiście...

Wyciąga spod rękawa koszuli pasek papieru, przylepionego do przegubu. Inne podobne strzępki wyciągnie zaraz Graumer zza kołnierzyka jego koszuli. Papier ten wygląda trochę tak jak ten, którym wyklada się formy, piekąc w nich ciasto. I tak, jak przywiera do ciasta — przywarł do skóry Typa.

GRAUMER *podbiega, usuwa papierki*: O. przepraszam! Przepraszam po stokroć... To moje niedopatrzenie. Musiałem podłożyć pod pana papier, nie miałem niczego innego, a nie chciałem, żeby się pan odgniół.

CLEMPNER *stojąc*: Teraz już pan rozumie?

TYP: Nie.

CLEMPNER: To on pana zrobił.

TYP: Graumer? Mnie?

GRAUMER: Tak jest, proszę pana. Bardzo mi przykro.

Typ przenosi wzrok to na Graumera, to na Clempnera.

CLEMPNER: To rzeczywiście nieprzyjemna historia, ale nie mam bynajmniej zamiaru ponosić konsekwencji wybryków jakiegoś pomyłonego robota. Proszę opuścić ten dom. Ale przedtem zdejmie pan wszystkie moje rzeczy.

TYP: Pan mnie wyrzuca — nago?

CLEMPNER: Poszukam jakichś starych portek.

TYP *podchodzi do okna, wygląda, odwraca się i spokojnie mówi*: Nie!

CLEMPNER: Jak to: nie?! Co to znaczy, nie?! Robię panu łaskę, wyprawiając w ten sposób...

TYP: Nigdzie stąd nie pójde.

CLEMPNER: Wezwę policję!!

TYP: Proszę bardzo. Czyim robotem jest Graumer?

CLEMPNER: Moim. To co z tego?

TYP: To z tego, że odpowiada pan za swego robota. Jeżeli rzeczywiście mnie zrobił, musi pan mnie utrzymywać. W przeciwnym razie...

CLEMPNER: No? No?

TYP: Ja wezwę policję.

CLEMPNER: Ty. łajdaku!

W głębi Graumer nalewa im po szklaneczce whisky.

TYP: Ciskanie obelg do niczego nie prowadzi.

CLEMPNER dysząc: No to dobrze! Zabieraj tego blaszanego bałwana i idź! Żebyś was więcej na oczy nie widział!

TYP: Mam zabrać Graumera?

CLEMPNER: Tak. Ale zaraz! Bo mogę się rozmyślić.

TYP: Ani mi się śni. Graumera może pan sobie zatrzymać.

CLEMPNER: Przecież mówiłeś, draniu, że kochasz roboty!

Graumer natychmiast po słowach Typa „Graumera może pan sobie zatrzymać” zaczyna do obu szklaneczek whisky nalewać trucizną z flaszki z napisem „Akonityna”.

TYP: Kocham, ale nie do tego stopnia, żeby robić komuś prezenty.

CLEMPNER: Jakie prezenty, szantażysto, przecież to wszystko jest moje!

TYP: Nie mogę zrezygnować z domu.

CLEMPNER: Bandyta!

TYP: Powiedzmy, z połowy domu...

CLEMPNER: Prędzej zgnoję cię w więzieniu!

TYP: Albo ja ciebie!

Podczas najbardziej zażartej kłótni Graumer daje każdemu z mężczyzn po szklaneczce, zatrutego napoju do ręki. Klóćą się dalej, trzymając te szklaneczki, jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, że mają je w rękach. Sam Graumer szybko, w milczeniu, wychodzi. W gabinecie podnosi słuchawkę telefonu. Z drugiego pokoju słychać głosy:

Zabieraj tę żelazną pokrakę i won!

Ty sam won!

Chcesz dostać po mordzie?

Uważaj, żebyś sam nie oberwał!

Graumer zamyka drzwi, nakręca numer.

GRAUMER: Halo! Firma przewozowa Humpreya? Chciałem zgłosić pilne zamówienie. Bardzo pilne! Proszę natychmiast przysłać dużą skrzynię na ulicę Różaną, numer czterdzieści sześć...

WYPRAWA PROFESORA TARANTOGI

Widowisko w sześciu częściach

OSOBY:

PROFESOR TARANTOGA. siwobrody i siwowłosy, pod koniec mniej siwy i bez brody

MAGISTER JANUSZ CHYBEK. młodzieniec w okularach

ISTOTA Z ORIONA, dość typowa baba wiejska

TRZEJ KALENUSJANIE. łysi jak kolano

INŻYNIER Z PLANETY KALENUSJI

DOKTOR Z PLANETY KALENUSJI

ROBOT Z KWADRATOWĄ GŁOWĄ

UROCZA BLONDYNKA Z GRELIRANDRII

DYREKTOR NAUKOWY Z GRELIRANDRII

UCZONY I

UCZONY II

OBLICZE Z MGŁAWICY NGC

Kobiety przetelegrafowane, dokonujące strip—teasu itp.

I

Wnętrze mieszkania Profesora Tarantogi. Raczej zwykle, co się tyczy mebli. Stolik, na nim Peregrynator — aparat wielkości malej walizeczki, z zegarami, jakimś cewkami, z możliwie dużym wyłącznikiem, obok atlasy gwiazdowe nieba oraz gwiazdowy globus. Przy aparacie „celownik”, coś w rodzaju lejka, wycelowanego w pustą przestrzeń pokoju między szafą i drzwiami. Ta przestrzeń jest odgrodzona sznurkiem. Cały bok szafy, stanowiący granice tej przestrzeni, jest wyłamany, deski w drzazgach, wgniecione do środka. Obok, na podłodze, wielki kamień z Księżyca, możliwie osobliwego kształtu. Przy stoliku z aparatem trzy krzesła — dwa zwykle, a trzecie jest „skrzyżowaniem” dna zwyczajnych krzesel, tj. ma ze cztery nogi i dwa oparcia, stanowiące wynik „wniknięcia w siebie” dwóch krzesel podczas poprzedniego eksperymentu. Profesor Tarantoga wkłada wtyczki do kontaktów, poprawia coś, siada za stolikiem, poprawia się w siedzeniu, jakby to było na przykład siedzenie pojazdu, który zaraz ma ruszyć. Zaczyna ustawiać celownik, gdy rozlega się dzwonek.

Profesor wychodzi i wraca z młodym człowiekiem w palcie, z teczką, typowym Polakiem pracującym w biurowcu; młody człowiek nosi rogowe okulary.

CHYBEK: Pan profesor Tarantoga?

PROFESOR: Tak. Pan z gazety może? Żadnych wywiadów nie udzielam.

CHYBEK: Ależ nie. nie z gazety... Dostałem list od pana profesora.

PROFESOR: List? Zaraz... Jaki list?

CHYBEK: Ależ. panie profesorze... w sprawie tego ogłoszenia, które pan profesor umieścił w „Dzienniku”... Napisałem... i właśnie dostałem list od pana profesora, żeby dzisiaj przyjść...

PROFESOR: Aa! To pan jest Chybek! Magister Chybek. Naturalnie. Bardzo przepraszam, nie poznałem. Na fotografii wyglądał pan inaczej.

CHYBEK: Bo to stara fotografia, wtedy nie nosiłem jeszcze okularów. *Stawia na krześle teczkę, teczka spada, podnosi ją.* Najmocniej przepraszam. To dla mnie niesłychanie doniosły moment. Przez całe życie marzyłem o podróżach do gwiazd... nawet kiedy nikt nie słyszał jeszcze o sputnikach...

PROFESOR: To chwalebne, chwalebne. Wie pan — dostałem sporo zgłoszeń, a wybrałem pana dla wielu powodów... Pan zna stenografię, prawda?

CHYBEK: Owszem, znam. Pracuję jako kosztowiec, mam ukończoną ekonomie i

towaroznawstwo, ale astronautyką interesowałem się od dziecka, czytałem wszystko, co tylko mogłem dostać, i prawie wszystko rozumiałem. Pan profesor naprawdę będzie budował raketę?

PROFESOR: Raketę? Pomówimy jeszcze o tym. Wie pan... więc mój wybór zatrzymał się na panu, ponieważ miałem wrażenie, że pana skądś znam. Czy pan może słuchał moich wykładów?

CHYBEK: Niestety, nie. Jakoś, nie doszło do tego. Alebym słuchał, na pewno bym słuchał... A co do fotografii, to pan profesor poznał mnie pewno, bo ja tu już byłem u pana profesora. Pan profesor nie nosił jeszcze brody, a ja studiowałem... To było w pięćdziesiątym pierwszym roku. Dwudziestego siódmego kwietnia.

PROFESOR: W pięćdziesiątym pierwszym roku? Pan był u mnie wtedy? Nie przypominam sobie. W jakiej sprawie, można wiedzieć?

CHYBEK: Pan profesor nie pamięta? Byłem wtedy tylko parę minut w osobliwych okolicznościach. Bo, prawdę mówiąc, to właściwie ja do dzisiaj nie wiem, po co przyszedłem wtedy do pana profesora...

PROFESOR: Aaa! Teraz już wiem! Naturalnie, to było zabawne! Pan nie wiedział, po co przyszedł, i ja też nie wiedziałem. Hę hę!

CHYBEK: Ale jeżeli przez to pan profesor mnie właśnie wybrał, to się nic nie zmarnowało. Sam nie wiem, jak powiedzieć, ale jestem panu profesorowi taki wdzięczny... Czy będzie trzeba, żebym wziął urlop? Mogę ewentualnie postarać się o chorobowy...

PROFESOR: Urlop? Na co urlop?

CHYBEK: No, jakże? Przecież w ogłoszeniu było, że pan profesor szuka towarzysza astronautycznego?

PROFESOR: Istotnie, napisałem tak. Ale... urlop nie będzie potrzebny.

CHYBEK: To na razie rakiety jeszcze się nie buduje? Tak, zapewne, finansowe limity... Ja się orientuje...

PROFESOR: Żadnej rakiety nie będzie. Młody człowieku, proszę uważnie słuchać: odkryłem nowy sposób podróżowania w Kosmosie!

CHYBEK: Nowy? A rakieta?

PROFESOR: Bez rakiety. Moją metodą można przenosić się z miejsca na miejsce bez jakichkolwiek pojazdów, okrętów, samolotów czy statków gwiazdowych...

CHYBEK: Zupełnie bez??

PROFESOR: Najzupełniej. Za pomocą mego aparatu można podróżować do gwiazd, nie ruszając się z tego pokoju. Tam, *wskazuje przestrzeń między sznurkami*, następuje kontakt.

CHYBEK: Między tymi sznurkami?

PROFESOR: Umyślnie odgrodziłem tę część pokoju. Peregrynator — tak nazwałem swój aparat — jest tam wycelowany, widzi pan? Naturalnie pierwsze próby przeprowadziłem na małą skalę. Dzięki temu mogłem, na przykład, nie schylając się, dotknąć własnej pięty albo wyjąć coś z szuflady w drugim pokoju, nie wstając z tego krzesła. No, a pierwszej poważniejszej próby dokonałem wczoraj. Tu był Księżyc, wie pan...

CHYBEK: Księżyc? Tu?

PROFESOR: Niecały, rozumie się. Dokonałem kontaktu, to znaczy styku z kraterem Erathostenesa. Może pan wie, to taki wielki wygasły wulkan księżycowy, widać go nawet przez zwykłą lornetkę...

CHYBEK: Wiem, wiem! I co, udało się?

PROFESOR: Miałem go tu. Północny szczyt wulkanicznego stożka. Sięgał mniej więcej odtąd... dotąd... Pokazuje.

CHYBEK *stojąc przy szafie*: A co się tu stało?

PROFESOR: W momencie wyłączania zawadził o szafę. Otarł się boki, przy tym odkruszył się kawałek. O, ten.

CHYBEK *podnosząc kamień*: Nadzwyczajne. To jest kamień z Księżyca?

PROFESOR: Tak. To dlatego, że celownik nie był jeszcze wyskalowany. Na szczęście obyło się bez poważniejszych następstw, tylko od wstrząsu trochę tynku odpadło u sąsiadów, piętro niżej.

CHYBEK: Fenomenalne! Ale nie rozumiem...

PROFESOR: Księżyc i Ziemia znajdują się w przestrzeni. W trójwymiarowej przestrzeni. Przestrzeń tę zginam. Mój aparat składa ją we dwoje, w czwartym wymiarze, aż nastąpi styk punktu wyjściowego z punktem docelowym...

CHYBEK: Genialne! Dlaczego nikt na to dotychczas nie wpadł?

PROFESOR: Pojęcia nie mam. No, ale czas na nas. Dzisiejsza próba będzie już prawdziwym zwiadem kosmicznym. Mam zamiar skontaktować się z czterema planetami naszej Drogi Mlecznej. Jak się pan może domyślić, wybrałem planety pod wieloma względami podobne do Ziemi...

CHYBEK: Panie profesorze, to świetnie! Dzięki zdobyciom wiedzy, jakich dostarczą nam tamtejsze cywilizacje, ludzkość wzniesie się na wyżyny rozkwitu!

PROFESOR: Tak pan sądzi? Oby, oby! Młody człowieku, zechce pan usiąść z tej strony. Zaraz ruszamy. Musze jeszcze wyjaśnić kilka rzeczy. Będzie pan notował wszystkie wydarzenia, a w szczególności rozmowy z istotami z innych planet. Tu ma pan papier i

ołówek...

CHYBEK: Ale nie będę przecież nic rozumiał?

PROFESOR: Będzie pan. Ten aparat, pokazuje aparat pod stołem, to nasz tłumacz. Specjalny elektronowy mózg. Chwyta drgania powietrza wywołane mową i tłumaczy na język dla nas zrozumiały. Odniesie pan wrażenie, że te obce. gwiazdowe istoty mówią po polsku. To naturalnie tylko złudzenie. Od czasu do czasu może się trafić słowo, którego maszyna nie będzie w stanie przetłumaczyć. Proszę je wtedy zapisać dokładnie tak, jak je pan usłyszy... Jasne?

CHYBEK: Tak, panie profesorze! Co pan robi? Czy już?

Słysząc osobliwe dźwięki.

PROFESOR: Włączyłem kondensatory. To potrwa dobrą chwilę, zanim nagromadzi się dostateczna ilość ładunku, zginającego przestrzeń. To jest wskaźnik potencjału zginającego. Energię czerpiemy z sieci elektrycznej, dlatego światło trochę siadło. Spadek napięcia.

CHYBEK: Co to tak huczy?

PROFESOR: Pole grawitacyjne ulega ścisnięciu, limitowanemu obojnaczo wyznacznikami Lorentza–Fitz–Gerala, ma się rozumieć kowariantnie, wzdłuż geodezyjnych...

CHYBEK: Nie rozumiem...

PROFESOR: To nic. Ładowanie potrwa jeszcze chwilę, możemy porozmawiać. Tam przed nami. nastąpi transmo–grawifleksja. to jest zagięcie przestrzeni. Kiedy zaczniemy wchodzić na styk — pozna pan to po mruganiu tych wskaźników — dam znak ręką. Proszę się wtedy nie ruszać. Ani jednego drgnienia, bo nasza strona mogłaby przeważyć, od czego uchroni nas Bóg.

CHYBEK: Co by się stało?

PROFESOR: Zrobiłaby się fałdka. Drobne pomarszczenie otaczającej nas przestrzeni. Wczoraj, w momencie styku, kichnąłem.

CHYBEK: I co się stało?

PROFESOR: Jeszcze tylko czterdzieści sekund... Co pan mówił? Widzi pan to krzesło? Wczoraj były to dwa krzesła... Nastąpiło, wskutek sfałdowania przestrzeni, wzajemne przeniknięcie materii. Dobrze, że się na tym skończyło. Gdyby na tych krzesłach siedzieli ludzie, powstałyby z nich istoty, pozrastane jak syjamskie bliźnięta.

CHYBEK: Okropne!

PROFESOR: Dlatego proszę się nie ruszać. Kiedy kontakt się ustali, niebezpieczeństwo minie. Naturalnie, jest jeszcze inne niebezpieczeństwo — ze strony

mieszkańców obcej planety. Ale tego, co oni robią, kiedy nas zobaczą, nie możemy przewidzieć...

CHYBEK: A nie mamy jakiejś broni?

PROFESOR: Nasza wyprawa ma charakter pokojowy. W ostateczności wyłączę aparat i wrócimy. To jest wyłącznik. Gdyby stało się coś nieprzewidzianego i nie mógłbym uczynić tego sam, zechce pan wyłączyć, ale w ten sposób... Coś długo się dzisiaj ładuje. Widać sąsiedzi znowu włączyli piecyk elektryczny, a tak ich prosiłem... No, już dochodzi... Uwaga, młodzieńcze, dam teraz znak! Proszę się nie ruszać, cokolwiek by się zdarzyło, czy pojawiło. Rakiety wprawdzie nie mamy, ale to wyprawa do gwiazd i musi pan mnie słuchać, jakbym był dowódcą. Kapacitrony pełne, celownik na Orionie. Uwaga, ruszamy!

Różne efekty dźwiękowe i świetlne. Profesor i Chybek siedzą bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń między sznurkami. Coś przelatuje między szafą a drzwiami.

CHYBEK: Panie profesorze, co to było?

PROFESOR: Zapewne jakiś meteor.

CHYBEK: A dlaczego nic nie widać?

PROFESOR: Bo jesteśmy w próżni kosmicznej.

Znowu coś przelatuje, teraz między nimi. Rumor.

CHYBEK: Oh! To też meteor?

PROFESOR: Widocznie wpadliśmy w rój. *Wyciąga spod krzesła dwa hełmy, jeden sam nakłada, drugi podaje Chybkowi.* Niech pan nałoży, tak będzie bezpieczniej...

Po chwili:

A to co? Wibracja? Cały stół dygocze... Wczoraj tego nie było. Dziwne. *Dotyka aparatu.* Aparat się nie grzeje...

CHYBEK: Panie profesorze, to nie wibracja — to ja. Nogi mi się trzęsą... Ale to tylko z wrażenia, nie ze strachu, słowo daję!

PROFESOR: Proszę natychmiast przestać! Ani jednego drgnienia! Uwaga, dobijamy! *Na wierzchu aparatu zapala się sygnał. Sygnał ten zawsze będzie płonął podczas „pobytu na innej planecie”. Długą chwilę nie dzieje się nic.*

CHYBEK: Panie profesorze, może to bezludna planeta?

Słychać powoli zbliżające się kroki.

PROFESOR: Bądźcie pan cicho!

Przez nie domknięte drzwi wsuwa się głowa Istoty. Drzwi się uchylają, Istota wchodzi do pokoju. Jest niezwykle podobna do normalnej baby wiejskiej. Na plecach ma wielki tłumok. Zdaje się nie dostrzegać wcale Profesora ani Chybka, siedzących nieruchomo za

stolikiem. Istota rozgląda się potem powoli zaczyna rozsupływać węzeł przytrzymujący tłumok na jej grzbiecie.

II

ISTOTA: Oj, jak wysoko! Nie na moje nogi. Pani!!! *Zdejmuje tłumok.* Ledwom doszła! Oj! Gdzie się człowiek nie obejrzy, wszędzie hałeta siedzą, wrzeszczą, głowę zawracają, do czego to podobne? Nie dadzą przejść spokojnie! Pani!! Jajek przyniosłam! Znowu się gdzieś zapodziała... *Wychodzi do przedpokoju.*

CHYBEK: Panie profesorze, co to ma znaczyć? Przecież i o tutejsza, ze wsi. Widać zablądziła...

PROFESOR: Wykluczone! Według celownika jesteśmy w gwiazdozbiorze Oriona. Czwarta planeta na lewo.

CHYBEK: Ależ ona jest ze wsi!

PROFESOR: Co z tego? Na innych planetach też mogą być wsie.

CHYBEK: Pan profesor wybaczy, ale ona mówiła o jajkach! To zwykła baba. handlarka... Musiała się pomylić o piętro, drzwi były pewno nie domknięte...

PROFESOR: Tak pan uważa? Możemy spytać ją, z jakiej planety pochodzi, ale pewnie nie będzie wiedziała.

CHYBEK: Może zajrzeć do tłumoka? Wstaje.

PROFESOR: Lepiej nie! Młody człowieku, niech pan zostawi! Tak nie można.

CHYBEK *wąchając*: Trochę mleczkiem zajężdża, a trochę oborą... Panie profesorze, to naprawdę miejscowa baba. Typowy koszyk...

Wraca Istota.

ISTOTA: A to co? Pan tutejszy? *Zobaczyła Tarantogę.* Panowie jak. w gości przyjechali do pani?

CHYBEK: Nie. my tu mieszkamy. Czy nie pomyliliście się aby, moja kobieto?

ISTOTA: Niby co do czego? Jajek przyniosłam. Pani nie ma? To może panowie wezmą? Piękne jajka!

CHYBEK: Nie! Nie. nie trzeba! Idźcie już, nie potrzebujemy żadnych jajek.

ISTOTA: Jak pan uważa. Ale piękne, mówię — proszę tylko popatrzeć... *Wyciąga jajo wielkości melona.*

CHYBEK: Coś takiego!

PROFESOR: A widzi pan! Nie mówiłem? To Orion! *Do Istoty*: Moja dobra kobieto, pani nie ma, ale to nic. Możemy wziąć te jajka...

CHYBEK: Tak! Tak! Oddamy jej potem... jak wróci...

ISTOTA: To jak? Nic już nie wiem. Panowie biorą, znaczy, czy nie biorą?

PROFESOR: Bierzemy z największą chęcią! Tylko, powiedzcie, proszę, czyje to jajka?

ISTOTA: Jak to czyje? Moje! Co pan myśli, że ja po sąsiadach będę zbierała? Mam własne gospodarstwo! Jaja świeżuteńkie...

PROFESOR: Nie, to nieporozumienie. Chodzi o to, moja dobra kobieto, czyje to jaja, to znaczy, kto je zniósł?

ISTOTA: A to co — żarty? Kto miał znieść? Wiadomo kto — prztemocel...

PROFESOR: A jak on wygląda?

ISTOTA: Panowie, co wy tu wyprawiacie ze mną? Żaden z was prztemocla nie widział, czy jak?

PROFESOR: O, widzieliśmy, naturalnie, widzieliśmy. Połóżcie no te jaja na stole! Kolego, proszę siadać!

ISTOTA: Znaczy — panowie biorą?

PROFESOR: Oczywiście. Dziękujemy za fatygę.

ISTOTA: „Dziękujemy” — to dobrze, a gdzie zapłata?

CHYBEK: Niech pan powie, że pani zapłaci drugim razem.

PROFESOR: To byłoby nieuczciwe. Moja kobieto, a po czemu te jajka?

ISTOTA: Po cztery murple. panie! Jak za darmo.

PROFESOR: Niestety, moja kobieto, nie mamy chwilowo gotówki. Może byście sobie wzięli w zamian co innego?

ISTOTA: Co innego? Znaczy — co? Co może być innego zamiast pieniędzy?

PROFESOR: Cokolwiek. Możecie sobie wziąć dowolną rzecz z tego pokoju, na przykład ten wazon...

ISTOTA: Nie, panie! Za stara na to jestem. Proszę zapłacić albo nic z interesu.

CHYBEK: Profesorze, ależ to okaz bez ceny dla nauki! Jaja nieznannej istoty! Niech pan ją zagada, a ja wyłączę! Jaja leżą poza zasięgiem aparatu, wrócimy i zostaną nam!

PROFESOR: Nie, to byłoby nie na miejscu. Moja dobra kobieto, posłuchajcie! Nie możemy wam zapłacić murplami, gdyż nie posiadamy tego rodzaju pieniędzy, a nie posiadamy ich, ponieważ pochodzimy z innej planety. Myśmy przybyli do was z bardzo daleka i zależy nam na tych waszych jajach, bo takich u nas nie ma. Damy wam, co tylko zechcecie.

ISTOTA: Dosyć. Dziękuję bardzo. Dziecku swojemu może pan opowiadać takie rzeczy! Z innej planety, patrzcie się! Poprzebierali się jak małpy, drutów ponastawiali.

sznurów ponawieszali. i zaraz „z innej planety”! Powiedzieć prawdę? Jajek zachciało się za darmo! *Nakłada tłumok.*

PROFESOR: Zostawcie jaja, damy wam. co tylko zechcecie !

ISTOTA zatrzymuje się w drzwiach: Ale uparty do złego! Po oriońsku pan nie rozumie, czy jak? No to inaczej powiem: stary pryku, zamiast się przebierać, weź się do uczciwej roboty, sam sobie prztemocle hoduj, to będziesz miał jaja!

Wychodzi, trzasnąwszy drzwiami. Profesor włącza aparat. Efekty dźwiękowe, świetlne, jaśnieje. Cisza.

PROFESOR: Jesteśmy na Ziemi...

CHYBEK: Zabrała! Jaka szkoda! Panie profesorze, co pan narobił?!

PROFESOR: Ja narobiłem? Za pozwoleniem...

CHYBEK: Ale dlaczego ona była tak niesłychanie podobna do naszej wieśniaczki?

PROFESOR: Bo też była wieśniaczką. Słyszał pan. jak mówiła: po oriońsku. Pan nie rozumie? Wieśniaczka z planety Orion, nic innego. Co prawda, człekokształtna niesłychanie !

CHYBEK: Jak mogła mówić „po oriońsku”. kiedy oni tam nie wiedzą, że myśmy te gwiazdy nazwali Orionem?

PROFESOR: Bo słyszał pan nie to, co ona mówiła, tylko to. co nasz mózg elektronowy tłumaczył. Stąd wrażenie, że mówiła po polsku. Młodzieńcze, proszę zapisać: „Kontakt z homo rusticus orionensis, czyli z człowiekiem wieśniaczym oriońskim”. I te obce wyrazy też. Pamięta je pan?

CHYBEK pisząc: Tak. Hałęta i prztemocel. To musi być chyba ptak wielkości słonia. A co to mogą być te hałęta?

PROFESOR: Może miejscowi chuligani? Szkoda, szkoda tych jaj.

CHYBEK: Trzeba było wyłączyć, panie profesorze, tak jak radziłem. Zostałyby.

PROFESOR: Nie, tak się nie godzi. Skończył pan, Chybek?

CHYBEK: Tak, panie profesorze.

PROFESOR: Dobrze. Zrobimy drugi z kolei wypad. Celem naszym będzie słońce z gromady Strzelca, w samym centrum Galaktyki. Nastawię tylko celownik... Gotowe, uwaga!

CHYBEK: Panie profesorze, a nie można by tak nastawić celownika, żeby wejść w kontakt z istotami bardziej wykształconymi ?

PROFESOR: Niestety, to niemożliwe. Kapacitrony pełne, ruszamy!

Efekty. Pojawia się rodzaj bardzo dziwnego, niskiego stołu. Ma on otwory, w każdym z tych otworów siedzi jeden Kalenusjanin. Razem jest ich trzech. Twarzami zwróceni są ku sobie. Powierzchnia, stołu między nimi pokryta jest bogatymi deseniami. Ponadto znajdują

się w niej rozmaite zamknięte na razie klapki. Kalenusjanie, podobni do ludzi, są całkiem łysi, na tych łysinach mogą mieć różne rzeczy, np. dodatkowe uszy, nosy czy anteny.

III

KALENUSJANIN I: Koledzy, nadeszły nowe meldunki z terenu. Posłuchajcie! Na półkuli północnej nastąpił gwałtowny wzrost dobrobytu. Są liczne ofiary. Biuro Prognoz ostrzega przed dalszym, zagrażającym przerostem stopy życiowej. Albo to: Pracownicy Ministerstwa Rozkoszy wykryli podczas kolejnej obławy w lasach gromadę osobników, żywiących się korzonkami. Według ich słów uciekli od cywilizacji, gdyż było im tak dobrze, iż nie mogli już wytrzymać. Co wy na to?

KALENUSJANIN II: Rzeczywiście, sytuacja jest poważna.

KALENUSJANIN III: A co robi Wyklęk? Gdzie są te obiecane wulkany?

KALENUSJANIN I: Pewno się znowu pośliznęły.

KALENUSJANIN II: Poślizg produkcji, powiadacie? Zaraz się dowiemy. Halo. proszę mnie połączyć z Wyklękami! Halo. Wytwórnia Klęsk i Katastrof? Tu Tajny Międzykozak. Jak? Nie słyhać? Tajny Międzykozak. mówię. Tajny Międzyresortowy Komitet Zatrważania Konstruktynego... Tak. Halo! Jest tam główny inżynier? Dawać go tu!

Kalenusjanin I naciska guzik. W stole otwiera się klapka, wychyla się przez nią głowa inżyniera.

KALENUSJANIN I: Inżynierze, co z tym waszym nowym obiektem?

GŁOWA: Pan prezes ma na myśli wulkan?

KALENUSJANIN I: Tak. Działa?

GŁOWA: No cóż, jest obecnie w stadium próbnego rozruchu...

KALENUSJANIN I: Mamy inne sygnały...

GŁOWA: Były trudności obiektywne. Lawa nie chciała płynąć.

KALENUSJANIN I: Dlaczego?

GŁOWA: Krater się zatkał.

KALENUSJANIN I: Krater się zatkał, powiada pan? I co? Dlaczegoście nie przetkali? Ja to mam za was zrobić? Nie wiecie, co się dzieje? Mam tu meldunki z terenu. Nastąpił gwałtowny wzrost dobrobytu. Notuje się liczne wypadki błogostanu... Słyszysz pan?

GŁOWA: Słyszę.

KALENUSJANIN I: I co? Dobrobyt wzrasta, błogostan szaleje, a pan mi tu opowiada o trudnościach obiektywnych? Musicie uruchomić produkcję seryjną, rozumie pan? Sztuczne powodzie, sztuczne wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi — oto, czego najbardziej dziś potrzeba. Odczuwamy poważny niedobór grozy. Rynek jest całkowicie nie dostraszony. Hasło

dnia brzmi: więcej klęsk żywiołowych dla mas! Tylko dzięki nim odrodzi się duch ofiarności, nadzieja lepszego jutra, heroizm, skłonność do poświęceń i ogólna dziarskość. Jasne?

GŁOWA: Jasne.

KALENUSJANIN I: No! Żegnam!

Głowa znika, klapka się zasuw.

KALENUSJANIN II: Ależ pracuje ten Wyklęk! Ich ostatnia powódź była czystym pośmiewiskiem...

KALENUSJANIN III: A co robi Najlęk?

KALENUSJANIN I: Posłuchamy. Halo. proszę mnie połączyć z Najwyższą Izbą Lekarską! Halo, Najlęk? Tu Tajny Międzykozak. Jest tam ktoś z zarządu? Włączcie mi go tu!

Kalenusjanin I naciska guzik, otwiera się klapka, pojawia się Głowa II.

KALENUSJANIN I: Jak sytuacja, doktorze?

GŁOWA II: Trudna, panie prezesie! Lekarze nasi spieszą do ofiar dobrobytu dniem i nocą, ale ostatnio nasiliły się przypadki tej plagi, jaką jest rzucawka błogostanowa. Groźne to cierpienie zwalczyć można jedynie możliwie szybkim pogorszeniem względnie utrudnieniem życia...

KALENUSJANIN I: Ależ. doktorze, po co opowiada mi pan rzeczy, które wie każde dziecko? Pytałem, co robicie?

GŁOWA II: Stosujemy szeroką gamę zabiegów lekarskich. Przypadki lżejsze lękamy w domu lub ambulatoryjnie. osoby zaś szczególnie wrażliwe na dobrobyt izolujemy w naszych przerażniach.

KALENUSJANIN I: A dlaczego ludność ucieka do lasu?

GŁOWA II: To objawy godnej pożałowania ciemnoty. Poza tym otrzymujemy zbyt mało leków indywidualnych. Te dręczniki. koszmarnice i głowociągi, które są w magazynach, to stare, słabo działające modele...

KALENUSJANIN I: To złóżcie odpowiednie zamówienie w resorcie. Żegnam!

Głowa II znika, klapka się zasuw.

KALENUSJANIN I: Koledzy, nie ma co. musimy działać! Dotąd Tajny Międzykozak obejmował tylko Najlęk i Wyklęk. Obecnie zachodzi konieczność włączenia w akcję Ministerstwa Instynktów Niższych i Centrali Prefabrykacji Zmór i Majaczeń. Czy są jakieś propozycje?

KALENUSJANIN II: Uważam, że. zamiast dyskutować. powinniśmy się raczej złąć. Inaczej nie opracujemy niczego do świtu.

KALENUSJANIN I: Zgoda! Koledzy, zlewamy się!

KALENUSJANIN III: Pod stołem czy nad stołem?

KALENUSJANIN I: Nad stołem.

Wyciąga skądś giętką rurą, przystawia ją do głowy Kalenusjanina II, a drugi koniec przystawia sobie do czoła.

PROFESOR: Panowie, przepraszam was najmocniej! Mam wrażenie, że jesteście obywatelami planety Kalenusji...

KALENUSJANIN I: Nie przeszkadzać! Konferencja! Eufrozy. nie czuję jeszcze twojej świadomości.

PROFESOR: Panowie, wybaczcie, ale idzie o sprawę dużej wagi. Przybyliśmy do was w ten niezwykły sposób, aby skontaktować się z wami jako rasą rozumną, zamieszkującą odległy gwiazdowy glob...

KALENUSJANIN II: Co ten tam znowu? Proszę się wyłączyć, bo was przelęknę!

PROFESOR: Panowie, zapewniam was, że macie do czynienia z mieszkańcami dalekiej planety, którzy dzięki nowemu wynalazkowi...

KALENUSJANIN I: Nie chce się odczepić! Kto to jest?

KALENUSJANIN II: To ten facet z Ziemi, o którym wczoraj wam mówiłem. Zbudował pierwszy teletaktor na chałupniczych elementach i wydaje mu się Bóg wie co. i PROFESOR: Ależ, panowie, jako sąsiedzi na Drodze Mlecznej, że tak powiem...

KALENUSJANIN I: Z Ziemi... Ziemia... Ziemia... A, przypominam sobie! To taka zmurszała skorupka, pełna wody, zamarznięta z dwóch stron, w najdzikszym miejscu Galaktyki...

KALENUSJANIN III: Otóż to! Kosmos też ma swoją deskami zabita prowincję. Ej, wy tam, wyłączcie się! Nie mamy o czym ze sobą rozmawiać.

PROFESOR: Panowie, pragniemy się z wami skontaktować w imieniu nauki i ludzkości!

KALENUSJANIN II: Uparty jak stary robot. Panie, pan wie, do kogo pan mówi? Ledwo osiemset tysięcy lat temu wyleźliście z jaskiń i już się wam zachciewa kosmicznych kontaktów? Między nami i wami jest czterdzieści milionów lat różnicy. Rozumie pan? Rozwijajcie się przez dalsze trzydzieści dziewięć milionów lat. wtedy pogadamy, a na razie proszę się wyłączyć.

PROFESOR: Ależ nasz epokowy wynalazek...

KALENUSJANIN I: Nie, to niesłychane! Panie włochaty, pański wynalazek stanowi u nas rodzaj zabawki. W ten sposób podróżują u nas niemowlęta w kołyskach.

KALENUSJANIN II: To są kołyski elektronowe.

KALENUSJANIN III: A niemowlęta syntetyczne i zdalnie sterowane.

KALENUSJANIN I: Jasne? O tym, że chce pan tu dziś wleźć i przeszkadzać, wiedzieliśmy już trzy tygodnie temu.

PROFESOR: Jak to możliwe?

KALENUSJANIN II: Nie wierzy.

KALENUSJANIN III: Może dać im powąchać antymaterii?

KALENUSJANIN I: Nie trzeba. Spróbujemy po dobremu. *Do mikrofonu:* Dawać tu Mały Mózg.

Z boku wysuwa się coś w rodzaju ściany wyobrażającej mózg elektronowy. Może mieć pewne podobieństwo do groteskowej twarzy, różne zegary, światła, głośniki itp.

KALENUSJANIN I: Podaj ostatnie doniesienia z Ziemi.

MÓZG: Jak donosi Kalenusjańska Agencja Kosmiczna, niejaki Tarantoga, przedstawiciel słabo rozwiniętej rasy istot podmyślących, buduje od trzech tygodni domowym sposobem pierwszy ziemski teletaktor. Elektronowa Komisja do Spraw Planet Niedorozwiniętych rozważyła trzy możliwości. Pierwsza: cofnąć wymienionego Tarantogę do stadium embrionalnego. Druga: zlikwidować system słoneczny ze wszystkimi planetami i Ziemią. Trzecia: nic nie robić. Na wniosek elektrostratega grupy operacyjnej przyjęto wniosek trzeci. Nasz korespondent z Jowisza donosi: „Na Ziemi urodziło się dziecko, które w dwudziestym roku życia prawdopodobnie odkryje formułę Galaramanasa i ogólną teorię przesiadania się ze świadomości w świadomość”...

KALENUSJANIN I: Wystarczy. Mózg cofa się i znika.

PROFESOR: Panowie, proszę was już tylko o jedno! Powiedzcie, gdzie urodziło się to dziecko!

KALENUSJANIN I: To wiadomość ściśle tajna. Panie włochaty, zegnani!

PROFESOR: Ależ, panowie, tak nie można przecież...

KALENUSJANIN II: Nie ma rady. Podajcie mi głowociąg!

Otwiera się w stole klapka, ręka podaje głowociąg.

CHYBEK: Panie profesorze, czy mam się na nich rzucić?

PROFESOR: Nie. Zachować spokój!

CHYBEK: Panie profesorze, on celuje!

Profesor wyłącza. Trochę dymu, może być błysk i wszystko znika.

CHYBEK: Jak mam to zapisać, panie profesorze? Spotkanie z rasą nazbyt rozwiniętą?

PROFESOR: Może i była rozwinięta, ale niewychowana. Jak on do mnie mówił? „Panie włochaty”!

CHYBEK: Ciekawe, że nawet w Kosmosie spotyka się chamstwo. Zaraz, tylko dokończę pisania. „Głucha prowincja galaktyczna, zabita deskami”. No. proszę! To już wolę tę kosmiczną wieśniaczkę. Ale co oni tam robili? Na co im te sztuczne wulkany i głowociągi?

PROFESOR: Zdaje się, że cierpią od nadmiernego dobrobytu i usiłują w ten sposób trochę go zmniejszyć. Niestety, problemu tego nie potrafimy zrozumieć. Kapacitrony pełne, możemy ruszać od razu. Uwaga! Celem naszym jest ziemiopodobna planeta w Wielkiej Niedźwiedzicy.

Efekty dźwiękowe, świetlne, cisza. Pojawia się kawałek osmalonej ruiny, obok stoi wielka metalowa bania. Przy niej siedzi Robot z kwadratową głową. Ta głowa ma wieczko.

IV

ROBOT: Tatata–tata–tatata–tata. Tatata–tatata–tata. Tu przydałby się jakiś mocniejszy akcent. Ciekawe, nic mi nie przychodzi do głowy. Spróbujemy inaczej...

Otwiera wieczko swej głowy, wyjmując stamtąd lampę, wsadza inną, zamyka głowę.

Tatata–tata–lasem.

Tatata–tata–zawiasem.

Lasem–zawiasem. To już jest coś. O wiele lepiej...

PROFESOR: Przepraszam najmocniej...

ROBOT: Tatata... Że co? O: człowiek!

PROFESOR: Istotnie. A pan zdaje się jest miejscowym robotem, nieprawdaż?

ROBOT: Ja? Robotem? Też coś. Jestem Elektronowym Mózgiem Strategicznym I Klasy do Kombinowanych Operacji Totalnych na Lądzie, w Morzu i w Powietrzu. Trzykrotnie zasypany, dwa razy całkowicie spalony i przewinięty od nowa, wielokrotnie odznaczony za doprowadzenie nieprzyjacielskich oceanów do wrzenia oraz wszechstronne zatrucie atmosfery — obecnie, dla braku innego zajęcia, zajmuję się sztuką.

PROFESOR: Sztuką? Ach. tak... I co pan robi?

ROBOT: Układam wiersze. Robiłem to i dawniej, ale między bombardowaniami nie było nigdy czasu na szlifowanie formy. Właśnie ułożyłem elegię. Chce pan posłuchać?

PROFESOR: Z chęcią, trochę później. Czy nie moglibyśmy się przedtem zobaczyć z jakimś mieszkańcem planety?

ROBOT: Z jakim mieszkańcem?

PROFESOR: No. hm, z żywym...

ROBOT: Z żywym? Z człowiekiem? Przecież ich już nie ma, niestety. Was też zresztą nie ma. chociaż wydaje mi się, że jesteście we dwóch, ale to niemożliwe.

PROFESOR: Dlaczego uważa pan. że nas nie ma?

ROBOT: Bo jesteście tylko halucynacją. Miewam je od czasu do czasu, więc się na tym znam. To mi się zrobiło po tym ostatnim zasypaniu.

PROFESOR: Nie. nie, zapewniam pana, że jesteśmy tu naprawdę.

ROBOT: Każda halucynacja tak mówi. Proszę się nie wysilać. To, że was nie ma, nic mi nie szkodzi. I tak mogę wam zadeklamować. Lepszy tacy słuchacze od żadnych.

PROFESOR: Posłuchamy chętnie, ale raczej za chwilę. Najpierw chcielibyśmy...

ROBOT: Za chwilę może być za późno.

PROFESOR: Dlaczego?

ROBOT: Przed złudzeniem nie muszę się tłumaczyć. Słuchajcie! Elegia na los robotów pod tytułem „Sieroca dola”

Idę samotny borem i lasem
Choć wszędy wicher i ślota,
I tylko głucho skrzypię zawiasem
Albo o kamień potkną się czasem
Robot–sierota.

Wzbierają rzeki i szumią drzewka
I coś tam klaszcze za knieją,
I leci z wiatrem ptasząca śpiewka,
A w mojej głowie iskrzy się cewka
I nawet sny mi rdzewieją.

Dla innych barwy wiosny i tęczy
A dla mnie rozpacz i smutek.
Ciężar istnienia jakże mię męczy!
Najwyżej czasem śrubka zabrzączy,
Jedyny łkań moich skutek.

Kiedy za morze mgły siwe spłyną,
Taka mnie bierze ochota,
Ażeby zostać małą ptaszyną
Albo choć żabką być, albo rośliną,
Ciężka jest dola robota...

Nie będzie po mnie płakał nikt w świecie,
Nad moim grobem nie strzelą z flint,
Szernieją śniegi, uwiednie kwiecie
I tylko rosa, jak łza, poleci
Na mój zerwany gwint.

ROBOT: Niezłe, co? Zwłaszcza zakończenie.

PROFESOR: Istotnie, wiersz uderzający. Może jednak powie mi pan, gdzie jest wasza ludzkość?

ROBOT: Już jej nie ma. Dlatego została mi tylko poezja. Mój antykolega jest w znacznie gorszej sytuacji, biedak! Za grosz nie ma talentu.

PROFESOR: Pana antykolega? Kto to jest?

ROBOT: Mózg strategiczny strony przeciwnej. Teraz to narzeka. A mówiłem mu. tłumaczyłem: „Nie tak dokładnie. Nie do końca. Nie wszystkich naraz, bo będzie klops”. Ale on: nie i nie. Że obowiązek przede wszystkim, że rozkaz głównodowodzącego, że wojna totalna. Służbista. No i proszę! Oceany wygotowane, lądy zatopione, względnie wyżarzone, ani jednego celu strategicznego. Całkowite zwycięstwo obustronne. Wszystko przez nadmiar patriotyzmu.

PROFESOR: Co pan mówi! Ależ to nieprawdopodobne! Okropność!

ROBOT: Zupełnie się z panem zgadzam. Najgorsi są perfekcyjniści z tą swoją skrupulatnością. Zawarłoby się w porę pokój, odbudowałoby się to i owo, i po jakimś czasie można by zacząć od nowa, a tak co? Sonety muszę układać. Prawdę mówiąc, już mi bokiem wychodzą.

PROFESOR: A ten pański kolega?

ROBOT: Antykolega. chciał pan powiedzieć? No cóż, przez jakiś czas sadył się jeszcze, wydawał rozkazy, bombardował, ale w końcu spuścił z tonu. Przychodzi do mnie czasem, grywamy sobie w szachy. Coś trzeba robić. Czy pan gra może w szachy? Chętnie zmieniłbym partnera.

PROFESOR: Nie, wybaczy pan. ale po tym. co usłyszałem, nie byłbym w stanie się skupić.

ROBOT: Szkoda. Nigdy jeszcze nie grałem z halucynacją. Zawsze byłaby odmiana. Ech. spaskudzona dola!

Wstaje, przeciąga się, skrzypiąc.

Okropnie mnie w stawach łupie. To z wilgoci, po tych wygotowanych oceanach...

Podchodzi do bani i zaczyna ją z lekka kopać.

PROFESOR: Co to jest?

ROBOT: Superbomba. Zostawiłem sobie jedną na pamiątkę. Inna rzecz, że nie wiem na pewno, czy ona też tylko nie jest moją halucynacją. Ciekawy problem, nie? Tu kiedyś próbowałem go rozstrzygnąć...

PROFESOR: Może niech pan nie rusza tego lepiej? W jaki sposób pan próbował?

ROBOT podnosi z ziemi ułamaną rączkę: Pociągnąłem za zapalnik, ale się urwał. Całkiem przerdzewiał z tej wilgoci. Chociaż może to też tylko złudzenie? Mam pomysł! Spróbuję inaczej... *Zaczyna coraz mocniej kopać banię.*

PROFESOR: Proszę pana! Niech pan tego nie robi!

ROBOT przestając kopać: Bo co?

PROFESOR: Bomba może wybuchnąć.

ROBOT: Raczej nie. Widzę ją tak samo dokładnie jak was, a was nie ma. Pewno jej też nie ma.

PROFESOR: Ależ ona jest! Jest! Przysięgam panu, że jest!

ROBOT przestając na chwilę kopać: Tak pan mówi? Z logicznego punktu widzenia to błąd. To. co jedna halucynacja mówi o drugiej halucynacji, nie ma żadnego znaczenia. Mogę spokojnie spróbować...

Kopie coraz mocniej, bomba zaczyna dymić.

CHYBEK: Panie profesorze, uciekajmy!

PROFESOR: Drogi robocie, zapewniam cię. że jako przybysze z Ziemi...

Robot kopie z całych sił, bomba dymi.

CHYBEK: Profesorze, uciekajmy! Prędzej!

Rzucają się do wyłącznika. W tym momencie blysk, dym, grzmot. Gdy się rozwidni, obaj, Chybek i Profesor, leżą pod stolikiem.

PROFESOR: Co to było?

CHYBEK: Zdaje się, że jestem cały... A gdzie ten robot?

PROFESOR: Szczęśliwie zdażyłem wyłączyć. Zastanawiam się...

CHYBEK: Nad czym? PROFESOR: Może na dzisiaj będzie dość?

CHYBEK: O. panie profesorze, spróbujmy jeszcze raz! W końcu znajdziemy chyba planetę, której mieszkańcy użyczą nam swych wynalazków i odkryć naukowych. Cóż to będzie za triumf!

PROFESOR: Entuzjasta z pana. młodzieńcze. Nie zraża się pan łatwo, co? Niech i tak będzie, ruszamy, ale to już po raz ostatni...

Siadają. Profesor sprawdza kable.

PROFESOR: Aparatura działa doskonale. Celem naszym będzie Mgławica Kraba.

Uwaga!

V

Pojawia się biała skrzynia wielkości lodówki, z okienkiem, w okienku widać kobiecą główkę. Piękna, oryginalna fryzura, wybitna uroda.

GŁOWA *melodyjnie*: Witam panów na Grelirandrii. Jestem starszą gwiazdową w porcie kosmicznym naszej planety. Tutaj kierowane są wszystkie osoby, przybywające z innych systemów słonecznych przy pomocy takich urządzeń jak te, które panowie właśnie stosują. Jaka pora dnia panuje teraz na waszej planecie, w miejscu, w którym przebywacie?

PROFESOR: Wieczór.

GŁOWA: A zatem dobry wieczór, drodzy goście! Czym możemy wam służyć?

PROFESOR: Jesteśmy w systemie Mgławicy Kraba?

GŁOWA: Jak najbardziej.

PROFESOR: Czy możemy zadawać pani różne pytania?

GŁOWA: Nie tylko pytania, możecie panowie wyrażać swe życzenia, które wedle naszych sił spełnimy. Od tego tu jestem.

PROFESOR: A kim pani jest?

GŁOWA: Jestem niewidzialnym automatem do spełniania życzeń naszych drogich gości z Kosmosu.

PROFESOR: Chyba się pani myli? Doskonale widzę panią, jak również tę... e... szafkę, w której pani przebywa...

GŁOWA: To złudzenie, drogi gościu. Widzi pan nie mnie, lecz taki obraz urody kobiecej, jaki jest pańskim ideałem.

PROFESOR: Ach. tak? Ehm. mhm! A... za pozwoleniem... ta szafka, czy ona też nie istnieje?

GŁOWA: Nie. Istnieję jedynie jako pęk energii elektromagnetycznej. Wszystko inne jest złudzeniem, wywołanym dla wygody naszych gości. Żadnej szafki nie ma. Ponieważ mogę swobodnie sondować pana mózg. widzę, że myślał pan ostatnio o nabyciu lodówki. To pewno stąd ta fatamorgana. Czym jeszcze mogę służyć?

CHYBEK: Proszę pani. czy moglibyśmy spotkać się z jakimś waszym uczonym?

GŁOWA: Ależ oczywiście, w tej chwili. Panowie zechcą przejść dalej...

Szafka i Głowa znikają, słychać różne dźwięki, jakby windy. Zapala się długa strzałka, wychodzą.

Laboratorium. Może być parą dziwnych urządzeń, ale raczej pusto. Po dwu stronach

sceny stoją dwie spore szafki. Przy pewnej dobrej woli można je wziąć za windy. Każda ma drzwi, frontem do widowni, obok nich — duży guzik, jak przy windzie. Kiedy się ten guzik naciska, słychać dziwny dźwięk, a na wierzchu szafki zapala się coś w rodzaju „elektrycznego słońca”, antena, skierowana ku takiej samej antenie szafki przeciwnej. Poza tym szafka musi mieć tylną ścianę do otwierania, żeby aktorzy mogli tamtędy wychodzić. Tło dowolne, może być nim np. czarna kotara. Przy każdej szafce stoi uczony. Jest ich zatem dwóch. Nieludzcy, w chałatach, dziwne gęby.

UCZONY I: To jak? Zaczynamy jeszcze raz?

UCZONY II: Zaraz. Najpierw trzeba zrobić porządek z Pankracym. *Otwiera szafkę, w niej — szkielet.*

UCZONY II: Pomóż mi.

Obaj wynoszą szkielet i kładą gdzieś z boku.

UCZONY I: Przykra historia z tym Pankracym. nie?

UCZONY II: Trudno. Nauka wymaga ofiar. Gdzie następna?

UCZONY I: Już czeka. *Woła w stronę kulis: Halo! Można!*

Wchodzi kobieta. Uczony I prowadzi ją do szafki I, zamyka za nią drzwi, naciska guzik.

UCZONY II: No?

UCZONY I otwiera drzwi, szafka pusta: Już się rozeszła. Możesz włączyć.

Uczony II naciska guzik swojej szafki, otwiera drzwi, wychodzi kobieta tak samo ubrana, ale niższa.

UCZONY II: Znowu jest różnica!

UCZONY I: Minimalna.

UCZONY II: No wiesz! Będą reklamacje! Przyjrzyj się twarzy. Poza tym zrobiła się niższa.

UCZONY I: To skrócenie elektromagnetyczne. Efekt Dopplera.

UCZONY II: Tak nie może być. Sprawdziłeś obwody?

UCZONY I: Sprawdziłem. Spróbujemy teraz na powrót, dobrze?

UCZONY II: Dobrze.

Z powrotem wprowadza kobietę do szafki, naciska. Dźwięk, światło, jak przy każdym naciśnięciu. Z szafki Uczonego I wychodzi kobieta trzecia, jeszcze niższa od tamtych dwóch.

UCZONY I: Jeszcze bardziej się skróciła! Co robić?

UCZONY II: Trzeba zastosować wzmacniacz. Chodź, pomożesz mi przynieść.

Obaj wychodzą. Wchodzą Chybek i Tarantoga.

CHYBEK: Halo! Proszę pani!

Kobieta odchodzi. Chybek biegnie za nią, wraca sam.

CHYBEK: Gdzieś znikła. Dziwne porządki. Halo! Nikogo nie ma...

TARANTOGA: Zdaje się, żeśmy zabłądzili.

CHYBEK: A to co? Otwiera szafkę. Aha! Profesorze! Winda!

TARANTOGA: Tak pan myśli?

CHYBEK: Jasne. To na pewno winda. Bada wnętrze. Ale w środku nie ma przycisku. Znajduje go obok drzwi. O. tutaj jest. Ja wsiądę, a pan niech naciśnie. W ten sposób pojedę pierwszy na górę, pan pojedzie za mną.

TARANTOGA: A kto dla mnie naciśnie?

CHYBEK: Mogę zejść na dół z powrotem po schodach.

TARANTOGA: Chyba że tak.

CHYBEK: Profesorze, szkoda czasu! Wchodzi do środka, zamyka drzwi.

TARANTOGA naciska guzik. Dźwięk, światło. A to co? Zdaje się, że zrobiłem głupstwo... Chybek! Otwiera drzwi. Pusto. Dziwne. Winda stoi, a Chybka nie ma. Chybek! Panie magistrze! Naciska guzik po raz drugi.

Wchodzą obaj Uczni, niosąc Wzmacniacz. Na widok Tarantogi stawiają go na podłodze.

TARANTOGA: Panowie! Dobrze, żeście przyszli! Zdaje się, że się winda popsowała.

UCZONY I: Jaka winda?

UCZONY II: Skąd się pan tu wziął?

TARANTOGA: Przyszliśmy z magistrem Chybkiem tamtędy... On pierwszy pojechał na górę tą windą...

UCZONY I: To nie jest winda.

TARANTOGA: Nie? A co?

UCZONY I: Teleporter.

TARANTOGA: Nie rozumiem. Więc gdzie jest Chybek?

UCZONY I: Nacisnął pan guzik?

TARANTOGA: Owszem.

UCZONY I: Wobec tego pańskiego towarzysza już nie ma.

TARANTOGA: Nie ma? Pan żartuje!

UCZONY I: Nie.

UCZONY II: To przykre, ale na drzwiach jest tabliczka, żeby nie wchodzić.

TARANTOGA: Taka młoda osoba powiedziała, żebyśmy tu weszli... Ale co z

Chybkiem, na miłość boską?

UCZONY II: Dokonujemy doświadczeń nad przetelegrafowaniem żywych osób z miejsca na miejsce. To jest nadajnik...

UCZONY I: A to — odbiornik...

UCZONY II: Jeżeli istotnie nacisnął pan guzik, pana towarzysz został rozbity na atomy...

UCZONY I: Tak. ale proszę się nie przejmować...

TARANTOGA: Boże! Rozbiłem Chybka na atomy i mam się nie przejmować?!

UCZONY I: Oczywiście. Pański kolega zaraz pojawi się w odbiorniku. Orybazy, bądź łaskaw...

UCZONY II: Z wzmacniaczem czy bez?

UCZONY I: Bo ja wiem? Niech będzie bez.

Uczony II włączył. Z szafki II wychodzi po kolei dwóch Chybków.

CHYBEK I: Dziwna historia. To nie jest, zdaje się, winda.

CHYBEK II: Zakręciło mi się w głowie, a potem jakbym zasnął.

CHYBEK I i II: *chórem*: Profesorze!

Patrzą na siebie.

CHYBEK I: Kto pan jest?

CHYBEK II: Chybek.

CHYBEK I: Chybek.

Powiedzieli to automatycznie. Teraz się zdziwili.

CHYBEK I: Przepraszam, jak pan powiedział?

CHYBEK II: Powiedziałem: Chybek. A co?

CHYBEK I: Nic, tylko to ja jestem Chybek. Magister Chybek.

CHYBEK II: Ale nie Janusz. Janusz — to ja.

CHYBEK I: Nic podobnego, to ja.

CHYBEK II: Też coś! Skąd się pan tu wziął?

CHYBEK I: Przyszedłem z profesorem.

CHYBEK II: Nieprawda, to ja. Profesorze!

CHYBEK I: Profesorze!

TARANTOGA: Mam wrażenie, że zwariowałem.

UCZONY I: Ile razy nacisnął pan guzik?

TARANTOGA: Raz. Aha, i potem jeszcze raz. Czy to ma jakieś znaczenie?

UCZONY I: Owszem. Nadał pan swego kolegę dwa razy. Podwójnie, rozumie pan? To

wszystko.

TARANTOGA: Podwójnie? Co to znaczy podwójnie? Wiedź który z nich jest Chybek?

UCZONY I: Obaj. To jest pana towarzysz dwa razy.

CHYBEK I: Co on mówi?

CHYBEK II: To niemożliwe! Mam dowód osobisty!

CHYBEK I: Ja też!

CHYBEK II: Jest tylko jeden magister Chybek. Ja!

CHYBEK I: Nic podobnego. Chybek — to ja!

Patrzą na siebie wrogo.

TARANTOGA: Panowie! Nie stójcie tak, zróbcie coś! Jak to się mogło stać?

UCZONY II: To całkiem proste. Wysłał pan ten sam rysopis atomowy dwa razy.

Zrobił pan dublet.

CHYBEK I: Dość tego! Profesorze, idziemy do dyrektora! *Zaczynają się przepychać.*

Głosy:

CHYBEK II: Idziemy, ale ja z profesorem, nie pan!

Odczep się pan!

Tylko bez rąk!

Pożałuje pan tego!

Bezczelny!

Cham!

UCZONY I: Panowie! Spokój! Spokój!! Zaraz to załatwimy.

Zaczyna wpychać ich do szafki.

CHYBEK I: Co. jeszcze raz? Dziękuję!

CHYBEK II: Dlaczego ja? Niech on wejdzie!

UCZONY I: Obaj musicie wejść! Obaj! Orybazy, pomóż mi!

Obaj uczeni wpychają Chybków do szafki. W zamieszaniu Uczony II, czyli Orybazy, zostaje wepchnięty razem z oboma Chybkami do środka, słychać głosy:

Nie pchaj się pan!

Au! Noga!

No. co to jest?

Ja się nie zgadzam!

Nareszcie Uczony I zatrząskuje drzwi i naciska guzik.

UCZONY I: Uff! Nareszcie. TARANTOGA: I co teraz będzie?

UCZONY I: Będzie porządek. Mój kolega włączy teleporter. Zaraz. Orybazy! Gdzie

on się podział?

TARANTOGA *wskazując na szafkę*: Tam. Sam go pan wepchnął.

UCZONY I: Nie może być! Na pewno?! Otwiera. Szafka jest pusta. Hm. No, to nic takiego w końcu... tylko trzeba dokładnie nastawić. A, prawda. Czy pana kolega ma może sztuczną szczękę albo mostek?

TARANTOGA: Nie wiem. Czy to ma jakieś znaczenie?

UCZONY I: Owszem. Mostek wywołuje zakłócenia. Niech się pan na wszelki wypadek trochę cofnie.

TARANTOGA: A co. może być wybuch?

UCZONY I: Nie. tylko Orybazy nie lubi teleportacji i może się trochę unieść. Po nadaniu jest przez jakiś czas bardzo porywczy. Uwaga!

Naciska. Z szafki II wypadają Chybek i Uczony II. Są ze sobą zrośnięci za pomocą odpowiednio spreparowanej marynarki.

UCZONY II: Eutanazy! Ty. draniu! Zwariowałeś, czy co! Dlaczegoś mnie wysłał? Patrz, co się stało! Rwie się ku niemu.

CHYBEK: Co to jest? Przestań mnie pan ciągnąć!

UCZONY II: Ja ci dam telegrafować kolegę!

CHYBEK: Odsuń się pan!!

UCZONY II: Nie mogę. Nie widzi pan? Jesteśmy zrośnięci !

CHYBEK: Protestuję!

UCZONY I: Nie denerwujcie się. panowie! Wszystko się naprawi. Przepuszczę was przez filtr selekcyjny.

UCZONY II: Naprawi się, właśnie! Ten filtr jest do bani!

CHYBEK: Niech się pan tak nie rzuca, bo mi głowa lata.

UCZONY I: Tylko wejdźcie. No, wejdźcie z powrotem! Zaraz to naprawimy.

UCZONY II: Nie chcę!

UCZONY I: Ależ. mój Orybazy...

UCZONY II: A jak się nie uda?

UCZONY I: Uda się. uda się...

UCZONY II *do Chybka*: Nie pchaj się pan!

CHYBEK: To pan się pcha! Au! Ostrożnie!

Wchodzą.

UCZONY I: Panowie!

UCZONY II: Policzymy się potem!

Uczony I naciska guzik.

TARANTOGA: I długo to tak jeszcze będzie?

UCZONY I: Mój panie, to jest technika w powijakach. Błędy są nieuchronne. Ale ma wielką przyszłość! Sam pan przyzna — co za wygoda podróżowania!

TARANTOGA: Czy ich naprawdę nigdzie teraz nie ma?

UCZONY I: Może się pan sam przekonać. Proszę!

Otwiera drzwi, szafka jest pusta.

TARANTOGA: Więc gdzie oni są?

UCZONY I: Są pękiem fal radiowych, płynących z tej anteny do tamtej. Patrzy na zegarek. O. jak się późno zrobiło! Jestem umówiony na obiad. Proszę się cofnąć — włączam!

Uczony I naciska guzik. Dźwięk, światło. Z szafki wychodzi powoli Chybek, sam. Mina pewnego siebie idioty.

UCZONY I: Doskonale. Ale gdzie Orybazy? Orybazy! Zagląda do szafki.

TARANTOGA: Chybek. jak się pan czuje?

UCZONY I: Nie ma go! Coś takiego! Ani śladu... A! proszę!

Wyjmuje coś z szafki, co leżało na podłodze.

UCZONY I: Widzicie? Sprzączki od szelek! Z Orybazego przeszły tylko sprzączki. Reszta się nie przetransmitowała. Zanik.

TARANTOGA: Jaki zanik?

UCZONY I: Normalny fading, zanik fal radiowych. Nic słyshał pan o fadingu?

TARANTOGA: Okropność! I co pan teraz zrobi?

UCZONY I *zdejmując chałat*: Ja? Idę na obiad. W naszej stolówce są całkiem niezłe...

TARANTOGA: Jak to, a pana kolega?

UCZONY I: Hamował tylko postęp badań.

Chybek, który od wyjścia z szafki ma miną zadowolonego z siebie człowieka i robił sobie manicure scyzorykiem, teraz szybko napluł w ręce, przyglądził włosy i nadepnął na nogę Uczonemu.

UCZONY I: Przepraszam.

CHYBEK *spokojnie, rzeczowo*: Pan z Bochni?

UCZONY I: Jak proszę? Nie rozumiem.

CHYBEK *konfidencko, z uczuciem*: A kopa chcesz?

TARANTOGA: Ależ. panie magistrze!

UCZONY I: Zaraz... Zdaje się, że nastąpiło zakłócenie.

CHYBEK: Taka mowa?

TARANTOGA: Kolego Chybek, co panu...

CHYBEK: Kierdole.

Uczony biegiem przynosi skądś Protezę Psychiczną i nakłada ją Chybkowi na głowę. Jest to rodzaj helmu z cewką, lampkami i kablem, który Uczony włącza do ściennego kontaktu, a teraz manipuluje przy Protezie.

TARANTOGA: Co to jest?

UCZONY I: Props. Zaraz dostroimy! Kręci.

CHYBEK: Zna pan Krupę?

UCZONY I: Nie. to jeszcze nie to...

CHYBEK: Szkoda. Bobym panu powiedział wica...'

TARANTOGA: Co mu jest?!

UCZONY I: Zakłócenie. Zanik. Tu... pokazuje głowę Chybka. No. a teraz jak?

CHYBEK: Marynia...

UCZONY I: Co za Marynia?

CHYBEK: Taka jedna. Niezła.

UCZONY I: Jeszcze nie tak. A teraz?

CHYBEK: Pożycz pan stówę. Oddam.

UCZONY I: Jakby trochę lepiej... Kręci.

TARANTOGA: Co pan właściwie robi?

UCZONY I: Nastąpił zanik inteligencji, więc dopasowuję mu Protezę Psychiczną. W skrócie — Props.

CHYBEK: Panie! Co to za garnek włożył mi pan na głowę?

UCZONY I: O! O! Proszę!

CHYBEK: Zechce pan to natychmiast zabrać!

UCZONY I: Świetnie, świetnie! Ile jest osiemdziesiąt sześć razy trzydzieści cztery?

CHYBEK: Żebym ja pana nie zaczął uczyć matematyki!

UCZONY I: Trochę za dużo agresywności... zaraz... modulatorok... jest...

CHYBEK: Co pan sobie właściwie wyobraża? Pan wie. kto ja jestem?

UCZONY I: W porządku. Lepiej nie będzie. Pana kolega jest optymalnie sproteżowany. Wzmacniacza inteligencji proszę już więcej nie podkrecać, bo zacznie robić masowo odkrycia i wynalazki. Jeżeliby nagle zgłupiał, proszę podłączyć go do kontaktu, najlepiej na noc, żeby się podładował. To jest wtyczka. Wkładam mu ją do kieszeni, widzi pan?

CHYBEK: Jaka wtyczka? I co to wszystko razem znaczy? Panie profesorze!

TARANTOGA: Nic. nic! Tak trzeba, mój drogi... *Do Uczonego*: Którędy możemy się dostać do Dyrekcji?

UCZONY I: Tędy. Poprowadzę panów. Idę do stołówki, to mi po drodze.

TARANTOGA: To są normalne drzwi? Nie teleporter?

UCZONY I: Ależ normalne, normalne... Proszę iść. Ostrożnie, bo panu proteza spadnie! Wychodzą.

Wchodzi sprzątaczką. Zaczyna myć podłogę. Ustawia szczotkę obok szafki, opierając ją o guzik. Dźwięk, błysk. Z szafki wylatuje Uczony II, bez marynarki, spodnie przytrzymuje rękami.

UCZONY II: Eutanazy! Gdzie jest ten łajdak?! Gdzie on jest?!

Sprzątaczką nie zwraca uwagi, Uczony II wylatuje ze sceny. Ciemno.

*

Zmiana. Gabinet Dyrektora Laboratorium Grellirandrii. Dyrektor, młody człowiek, za biurkiem. Z tyłu za nim wielka tablica, na której będą wyświetlane różne napisy. Obok — duże okno, przez które wlezie Bygoń. Na biurku mikrofony, guziki, klawisze etc. Dwa fotele. Wchodzą Chybek z Propsem na głowie i Profesor.

DYREKTOR: Moje uszanowanie panom! Proszę spocząć! Telefonowano mi, że panowie właśnie do mnie... Zaszło, zdaje się. drobne nieporozumienie?

TARANTOGA: Nic nie szkodzi. Nie przeszkadzamy?

DYREKTOR: Skąd znowu! Proszę, proszę siadać! Ja właśnie jestem naukowym dyrektorem naszego instytutu. Jako Ziemianie, jesteście panowie ssakami, nieprawdaż?

TARANTOGA: Istotnie...

DYREKTOR: Proszę żalem spróbować... *Podaje słoik*. Proszę, śmiało, to nasze pastylki dla ssaków, doskonałe...

TARANTOGA: Dziękuję.”

DYREKTOR: Mam nadzieję, że to drobne nieporozumienie, które zaszło w laboratorium, nie zakłóci naszych serdecznych stosunków. Czym mogę panom służyć?

TARANTOGA: Czy rozwinięta wiedza waszej planety nie mogłaby wesprzeć naszej, ziemskiej?

DYREKTOR: Ależ naturalnie! Sprawa pomocy innym planetom leży nam szczególnie na sercu! Od czego by tu zacząć?... *Naciska guzik, z boku wyjeżdża taca, na niej małe stożki.*

To jest środek na Bygonie. Absolutnie radykalny! Każdy Bygoń przy zetknięciu się z takim ładunkiem ginie na miejscu.

TARANTOGA: A co to są Bygonie?

Brzęczyk. Na tablicy zapala się napis MRZYCORODNE NAPIERAJĄ.

DYREKTOR *do mikrofonu*: Halo. siódemka? Proszę odeprzeć! Odeprzeć, mówię!! No. Na razie. Do Profesora: Tak więc sprawa Bygoni załatwiona. Poza tym możemy ofiarować panom doskonały środek przeciwgwiazdowy, patentowany pod nazwą Antygwiazdol. Oto reklamowa próbka... Mamy też nowe zmywaki do czyszczenia talerzy latających. Na ile by panowie reflektowali? Jedna rakietka? Dwie?

TARANTOGA: Nie, dziękujemy, raczej nie skorzystamy. Może panowie mają coś innego?

Brzęczyk. Napis INWAZJA EMORDANÓW — SEKTOR VI.

DYREKTOR: O. psiakrew! Emordany. ładna historia! *Naciska guzik. SEKTOR VI gaśnie, za to zapala się SEKTOR XV i SEKTOR XXV. Dyrektor gorączkowo naciska liczne guziki, wołając zarazem do mikrofonu.* Halo! Sekcja sobowtórów?! Proszę natychmiast zatapiać od góry do dołu! Tak!

Napisy gasną,

DYREKTOR: Emordany o tej porze roku to rzadkość. Na szczęście mieliśmy jeszcze paręset Grytaszków... Tak... Panowie wybaczą te ciągle przerwy w rozmowie... Jak tara u was sytuacja z Wychwostkami? Ciężka? Domyślam się. To prawdziwa plaga! Mam na składzie najnowsze Ćwiartolety, którymi radykalnie pozbędziecie się wszystkich Wychwostków. Oto model... *Podaje Ćwiartolet wyjęty z szuflady.*

TARANTOGA: Ależ, proszą pana...

DYREKTOR: Nic, nic. Proszę; nie dziękować. Solidarność międzyplanetarna jest naszą dewizą. Jak tam u was Emenegezy? Filują? Czy często?

TARANTOGA: Nie...

Pojawia się napis KRALOFIKSJA. Dyrektor rzuca się do guzików.

DYREKTOR: Jeden moment... Krzyczy do mikrofonu: Uwaga! Alarm pierwszego stopnia! Uruchomić wszystkie Łamignatnice!

TARANTOGA: O co by go tu prosić? Może o środek na łysinę?

CHYBEK: Panie profesorze, coś na długowieczność, na przedłużenie życia!

TARANTOGA: A, rzeczywiście!

DYREKTOR: Słucham panów?...

TARANTOGA: Czy... może jakiś środek na przedłużenie życia?...

DYREKTOR *wyciąga z szuflady słoje pełne wielkich pigulek*: Służę. Środek absolutnie gwarantowany w działaniu.

Na tablicy napis SUPERKRALOFIKSJA.

DYREKTOR: Jedną chwilę, panowie... Do mikrofonu: Uwaga, alarm drugiego stopnia! Sekcja chłodnicza! Dawać tę sekcję! Co? Halo! Zamrażajcie wszystkich uczonych! Jak? Nie, nie na sztuki, całymi wydziałami, humanistyka na końcu. Na końcu, mówię! Szybko!

Słychać odległe huki.

TARANTOGA: Przepraszam, czy coś się stało?

DYREKTOR: Właściwie nic. To po prostu środek ostrożności, bo Kralofiksja zawsze bierze się najpierw do uczonych, więc na wszelki wypadek pakujemy ich do naszych podziemnych lodówek. O czym to myśmy mówili? Aha! Ten środek, tak zwany dwuzycian długowiecznianiu, jak panowie widzą, zupełnie nieszkodliwy, zażywany trzy razy dziennie przez dwa tygodnie... Przepraszam...

Do pokoju wpada Uczony I, a za nim Uczony II z miotaczem atomowym.

UCZONY I: Panie dyrektorze! Panie dyrektorze!!

UCZONY II: Już ci nie pomoże dyrektor, łajdaku!

UCZONY I: Nie zabijaj mnie! Nie znoszę tego!!

Uczony II strzela, Uczony I pada.

DYREKTOR: Fe. co za obcesowość! Nie mógł pan tego zrobić u siebie, doktorze? Nie widzi pan. że mam gości? Tak pan nadymił...

Uczony I leżąc wydobywa z kieszeni broń i w agonii strzela. Uczony II też pada.

DYREKTOR: Nie. to prawdziwy skandal! Przepraszam najmocniej... Wyciąga za kulisy obu nieboszczyków. Prosię wybaczyć to gorszące zajście.

TARANTOGA: Ależ to potworne! Czy oni nie żyją?

DYREKTOR: Chwilowo tak. Ale mamy przecież ich rysopisy atomowe, to się ich wskrzesi. Inna rzecz, że urządzają takie sceny parę razy na tydzień.

TARANTOGA: Nie może być!

DYREKTOR: Temperament uczonych. W wysoko rozwiniętej cywilizacji spory naukowe łatwo przerastają w atomowe. Co ja mówiłem? Więc ten środek na długowieczność...

Słychać grzmot.

DYREKTOR: Proszę nie zwracać uwagi, przeżywamy dość trudny okres, zdaje się. że... oh!

Napis BALBOLIZA.

DYREKTOR do mikrofonu: Halo, sekcja osiem! Ósemka! Dawać, halo! Dlaczego nie słychać?

Napis JAKA KOLEJNOŚĆ WYSADZANIA?

DYREKTOR *do mikrofonu*: Wysadzajcie, co się da, wszystko jedno w jakiej kolejności, byle szybko! Jazda! Nie guzdrać się!

Grzmoty.

DYREKTOR: No. nareszcie będziemy mieli chwilę spokoju. *Dzwonek*. Halo? Już panom służę. Halo? Odmrażać po kolei. Wszystkich, pewno że wszystkich. Co? Windy stanęły? To zostawcie humanistów na koniec, nie pali się! Drodzy panowie, ten środek, który widzicie, pozwala uwielokrotnić długość życia...

Na tablicy napis BYGONIE.

DYREKTOR: Bardzo przepraszam, czy możecie mi panowie pożyczyć tego środka, który wam przed chwilą ofiarowałem?

TARANTOGA dając: Ależ proszę...

DYREKTOR: Dziękuję.

Przez okno wsuwa się głowa Bygonia, Dyrektor karmi go z ręki, Bygoń rzezi, kona, głowa znika.

DYREKTOR *siadając*: No i co, może zły środek? Halo? Sekcja piąta? Proszę dostarczyć dwa tuziny pudełek środka na Bygonie. Co? Sekcji nie ma? Jak to nie ma? Wysadzona? Dlaczego wysadzona? W pośpiechu? Co to znaczy „w pośpiechu”? Nic mnie to nie obchodzi! Środek ma zaraz być. Mam gości pozaplanetarnych... Do nich Uff! Przepraszam. Taki czas, co robić...

Słychać ryki i huki.

TARANTOGA: Co to właściwie dzieje się u panów na planecie?

DYREKTOR: E. nic takiego. Emordany, Kondzielaki, Bygonie. poza Kralofiksją nic nowego. Tyle tylko, że Kamcioły zaczęły ostatnio trochę węsować.

TARANTOGA: Czy to są zwierzęta?

DYREKTOR: Ha ha! Co za pomysł? Po zwierzętach dawno już nie zostało u nas śladu, proszę pana! Najprościej mówiąc, są to niepożądane produkty uboczne naszej cywilizacji...

TARANTOGA: Żywe?

DYREKTOR: Owszem. Ale u nas wszystko jest żywe.

TARANTOGA: Nie rozumiem. Co to znaczy — wszystko?

Chybek z nudów manipuluje przy Propsie. Pojawia się urocze dziewczę, przywdziane w strój bardzo wspaniały. Jest ta osoba jakby wcieleniem marzeń gimnazjalisty o seksbombie, o super gwiazdzie filmowej. Porusza się uwodzicielsko, falując biodrami. Parę razy przechodzi przed Chybkiem. Innych obecnych ignoruje. Z wolna zaczyna kusić go uśmiechami, pokazuje nóżkę, nareszcie zaczyna się powoli rozbierać. Chybek, zrazu osłupiały, potem rozanielony, przekręca fotel, żeby ją lepiej widzieć. Podczas następującej pantomimy Dyrektor i Tarantoga rozmawiają, jakby nigdy nic.

DYREKTOR: Bo u nas i fabryki, i maszyny — wszystko jest żywe. Ot, parę lat temu na przykład uruchomiliśmy wylęgarnię serków topionych. Produkcją kierował sztuczny mózg. Taki mózg nie jest niezawodny, wie pan... Popadł niespodzianie w aberację i zaczął produkować Bygonie. Omyłkowo, rozumie pan?

TARANTOGA: Zamiast serków?

DYREKTOR: W pewnym sensie. Z Kondzielakami była inna historia...

CHYBEK *cicho, nie spuszczać oczu ze strip-teasu*: Panie dyrektorze, kto to jest?

DYREKTOR: Kto jest kto?

CHYBEK *pokazując głową*: Ta pani...

Dziewczyna w dalszym ciągu się rozbiera.

TARANTOGA: Jaka pani?! Co pan mówi, Chybek, tu nikogo nie ma!

CHYBEK: Jak to nie ma, przecież widzę...

DYREKTOR: Kogo pan widzi?!

CHYBEK: Oczu nie macie? Śliczna dziewczyna...

DYREKTOR *zaalarmowany*: Śliczna!? *Chybek jak lunatyk wstaje i idzie ku niej, Dyrektor ciągnie go na fotel, sadza.*

DYREKTOR: Może pan z łaski swojej przytrzyma kolegę...

Tarantoga przytrzymuje.

CHYBEK: Nie zasłaniać!!

Dyrektor biegiem przynosi parę bezpieczników i śrubokręt, kręci gorączkowo przy Propsie. Wydobywa spalony bezpiecznik. Dziewczyna wciąż się rozbiera.

DYREKTOR: Naturalnie! Proszę bardzo. Bezpiecznik się przepalił... *Pokazuje go Tarantodze. Gdy wyjął go z Protezy, znieruchomiała jak posąg.*

CHYBEK *zaniepokojony jej znieruchomieniem*: No, co jest?

Dyrektor wkłada mu inny, nowy bezpiecznik. W miarę jak go wkręca, dziewczyna szybko zbiera swoje rzeczy.

CHYBEK: Proszę pani! Proszę zaczekać! Niech pani nie odchodzi!!

DYREKTOR: Jeszcze? No, a jak teraz?

Dokręcił. Dziewczyna majestatycznie wychodzi. Chybek zrywa się, biegnie za nią.

TARANTOGA: Co mu się stało?

DYREKTOR: Drobiazg. Halucynacja elektryczna. Bezpiecznik się przepalił.

Wbiega Chybek.

CHYBEK: Nigdzie jej nie ma! Gdzie się podziała?!

DYREKTOR: To było złudzenie, drogi panie. Elektryczne złudzenie. Drobny defekt pańskiego Propsa. Proszę spocząć.

CHYBEK: Taka była piękna!!

DYREKTOR: Może jeszcze jeden bezpiecznik?

CHYBEK: Nie, dziękuję.

DYREKTOR *do Tarantogi*: Na wszelki wypadek dam panu kilka rezerwowych. I proszę uważać, żeby pana towarzysz nie zaczął na własną rękę manipulować przy swoim Propsie! To. niestety, wielka pokusa...

TARANTOGA: To te protezy tak łatwo się psują?

DYREKTOR: Zdarza się. Ale najczęściej psują je sami właściciele. Umyślnie.

TARANTOGA: Po co?

Chybek ukradkiem znowu próbuje kręcić przy swoim Propsie.

DYREKTOR: Proszę zostawić!

Chybek przestraszony odejmuje rękę od Propsa.

DYREKTOR: Widział pan? Niestety! To jeden z głównych problemów naszej cywilizacji. Cywilizacja wymaga rozumu, więc stworzyliśmy Propsy... Otworło to jednak pole dla licznych nadużyć. Ostatnio na czarnym rynku pojawiły się specjalne wkładki do Propsów, tak zwane ujemne. Są zakazane, ale popyt jest olbrzymi!

TARANTOGA: Jakie jest ich działanie?

DYREKTOR: Są ujemne, to znaczy zmniejszają inteligencję! Po włączeniu w jednej chwili staje się pan kompletnym idiotą! Boskie uczucie!

TARANTOGA: Pan żartuje chyba?

DYREKTOR: Skąd! To powszechne marzenie — żeby choć na godzinę, wieczorem, po kolacji...

TARANTOGA: Żeby zidiociec?! Niemożliwe! Kto chce być idiotą?!

DYREKTOR: Jak to — kto? Każdy! Czy pan nie pojmuje, jaki wspaniały jest świat idioty?

TARANTOGA: Co pan mówi! Ależ to ubóstwo ducha...

DYREKTOR: Też coś! Jakie ubóstwo? Idiota jest, według pana, ubogi duchem? Proszę pana, jego dusza to rajski ogród, tyle że wstęp do tego ogrodu nie kosztuje ani złamanego szeląga! Wiele musi się namęczyć człowiek inteligentny. zanim znajdzie książkę, która go zaspokoi, sztukę, która wypełni jego olbrzymie wymagania, kobietę, której duch i ciało staną na pożądaną przezeń wysokość! Idiota natomiast nie jest wybredny, idiocie wystarczy byle co, żeby rozfalował się ocean jego wzruszeń! Dlatego, proszę pana. idiota ma wszystkiego w bród! Człowiek inteligentny toby tylko grymasił, ulepszał, poprawiał, a to nie tak. a tamto niedobre, a idiota jest zadowolony, łaskawy panie!

TARANTOGA: Ależ to rozum stworzył cywilizację!

DYREKTOR: A to pan skąd wziął? Wybacz pan! Kto zaczął tworzyć cywilizację? Jaskiniowiec! Myśli pan, że był inteligentny? Skąd. idiota był właśnie, proszę pana. nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi! Cywilizację zaczynają właśnie idioci, a potem ludzie inteligentni ponoszą konsekwencje, kombinują, mordują się. jak ja za tym biurkiem! A poza tym... jakie nudne są te nowoczesne powieści, te antydramaty. antyfilmy — ale co robić, nuda — nie–nuda. rozum zobowiązuje! Ale, panie... wieczorem, kiedy skończę urzędowanie, zakładam sobie taką małą. ujemną protezke... Tu ją mam. w szufladzie... I nucę sobie kretyńskie piosenki o ruczaju w gaju, o tym. że serce w poniewierce... i łkam, i szlocham, i tak mi dobrze... I nic się nie wstydzę... Może ma pan przypadkiem ze sobą jakiś nowy szlagier, co?

TARANTOGA: Nie...

DYREKTOR: Szkoda! Znajomi przywożą mi z Ziemi, proszę pana. ile razy wyjeżdżają. No. ale mniejsza o to, mniejsza o to! Przepraszam, zagadałem się! Więc to co miało być? A, prawda! Pan sobie życzył środek na długowieczność?

TARANTOGA: Już pan był łaskaw go nam dać...

DYREKTOR: A. rzeczywiście. Tu jest. panowie, gwarancja... Przedłuża życie do czterdziestu lat.

TARANTOGA: O czterdzieści lat?

DYREKTOR: Nie o, lecz do. Do czterdziestki.

TARANTOGA: Jak to — do czterdziestki? My żyjemy dłużej...

DYREKTOR: Nie może być! Może macie jakiś lepszy środek?

TARANTOGA: Nie, w ogóle bez środka. Tak żyjemy.

DYREKTOR: Jak długo?

TARANTOGA: Bywa, że i do osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu lat...

DYREKTOR: Fenomenalne! Muszę polecić, by to zbadano. Tak... Co tam miało

jeszcze być? Aha. środek na łysinę... Niestety, panowie, tego zagadnienia jeszcześmy chwilowo nie rozwiązali. Ale. mając rozstrzygnięte palące kwestie Bygoni. Emordanów, Mrzycorodnych. jak również higieny talerzy latających, wróćcie, mam nadzieję, z tej wyprawy na ojczystą planetę całkowicie zadowoleni! Szczęśliwej drogi i do zobaczenia!

*

Chybek i Profesor znajdują się ponownie na Ziemi, w mieszkaniu Profesora.

CHYBEK: Spławili nas.

PROFESOR: Myśli pan?

CHYBEK: Jasne! Manewr kosmicznej biurokracji. Wykręcili się sianem. Panie profesorze, następnym razem im się nie uda!

PROFESOR: Jakim następnym razem?

CHYBEK: Ależ zaraz! Panie profesorze, nie możemy tak... Mając do dyspozycji podobny wynalazek... Poza tym czuję, że się już przyzwyczajam. Trzeba po prostu więcej tupetu. Nie damy się odprawić. Na pewno ma pan jeszcze jakieś wyznaczone cele... Panie profesorze...

PROFESOR: Bo ja wiem... Może na dzisiaj jednak dość?

CHYBEK: Nigdy!

PROFESOR: No to. wie pan... owszem. Mam tu zapisany obiekt niebieski zwany NGC 687 łamane przez 43 — według wielkiego katalogu gwiazdowego Messiera. Podał mi go profesor Trompka, ten astronom. Przypuszcza, że zmiany gwiazdowego blasku, które można tam obserwować, są powodowane sztucznie.

CHYBEK: Sztucznie?

PROFESOR: Tak. Oznaczałoby to cywilizację rozwiniętą tak niesłychanie, że jej przedstawiciele wedle woli zwiększają lub zmniejszają blask gwiazdy macierzystej.

CHYBEK: Tak jak się podkręca knot lampy naftowej?

PROFESOR: Właśnie.

CHYBEK: To na co jeszcze czekamy? Profesorze, naprzód !

PROFESOR: No no! Więcej zimnej krwi. młodzieńcze! Ostatecznie w interesie nauki można spróbować. Niech pan przygotowuje świeży papier i ołówek.

CHYBEK: Jestem gotów.

PROFESOR: A więc dobrze. Uwaga, ruszamy!

VI

Dźwięki, fenomeny, pojawiają się gwiazdy. na przykład z rzutnika, jakaś duża mgławica w kącie między szafą i oknem, wreszcie robi się całkiem ciemno i tylko słyszeć dziwne dźwięki. Potem ukazuje się między szafą i oknem nagromadzenie białych form abstrakcyjnych, które przypominają z jednej strony zwoje mózgu, ale porozdzielane, a z drugiej — stanowią jak gdyby elementy dziwnego olbrzymiego oblicza, — pozbawionego oczu, to znaczy oczy, usta mogą być tylko pustymi miejscami pomiędzy elementami białej kompozycji.

OBLICZE (*dźwięk wychodzi nie wiadomo skąd, głos gruby, ale łagodny, bas olbrzymiej, dobrodusznej istoty, podlegającej roztargnieniu*): Wziąć... sześć kwantylionów gwiazdowego proszku... jedna mgławicę ciemną... pół jasnej... szczyptę kosmicznego... zmieszać... zakręcić... aż powstanie placek spiralny. Hm. placek! Ale czy dobry? Kto go wie! Jaki kto? Może ja? Ho ho — duże trudności. Ja? Tak. ja. Gdzie? Prawdopodobnie wszędzie. Ewentualnie jeszcze trochę dalej. I wciąż, i wciąż jeszcze ja? Nic, tylko ja? O. co za bezmiar! Hm. Słabo rośnie. Może dodać parę białych karłów?

CHYBEK: Kto to jest?

PROFESOR: Zapewne miejscowa istota.

CHYBEK: Przepowiada sobie recepty kuchenne?

PROFESOR: Raczej kosmiczne, coś o gwiazdach. Cicho...

OBLICZE: Co ja mówię? Zbiór kulisty czy spiralny? Może nie mieszać więcej? Za gorąco będzie. Jeszcze porobią się kłaczki...

CHYBEK: Profesorze, zdaje się, że on bredzi...

PROFESOR: Bądźże pan cicho!

OBLICZE: Że ja? Czy to ja mówiłem? Niedobrze! Mówię i sam nie zauważam, że mówię. To pewno wskutek wszechobecności. Co miało być teraz? Spiralny placek galaktyczny...

CHYBEK: Panie profesorze, on chyba całkiem sfiksował!

PROFESOR: Cicho...

OBLICZE: A to co? Co mi się tak wciąż mówi i wydaje się, że to nie ja mówię?

CHYBEK: Bo to nie pan mówił, tylko ja.

PROFESOR: Panie Chybek!

OBLICZE: No! Ktoś tu jest! Ale co to znaczy „tu”? „Tu” — to znaczy gdzie? Ktoś mówił? CHYBEK: Tak. ja mówiłem.

Poszczególne elementy białych zwojów mózgowych, stanowiące zarazem policzki Oblicza, poruszają się, powstaje z tego jakiś grymas.

OBLICZE: Zaraz. Zdaje się, że prawdopodobnie, a nawet na pewno ktoś tu jest. Nie wiadomo gdzie, nie wiadomo kto. Halo!

PROFESOR: Halo! Bardzo pana przepraszamy! Jesteśmy istotami rozumnymi z Ziemi, przybyliśmy tu właśnie...

OBLICZE: Istoty rozumne?

PROFESOR: Tak, proszę pana.

OBLICZE: Więcej niż jedna?

PROFESOR: Tak, jest nas dwóch Ziemian. Czy ma pan chęć na rozmowę? Bo jeśli przeszkadzamy...

CHYBEK: Wolelibyśmy, żeby się pan zgodził.

OBLICZE: Kto?

CHYBEK: Co „kto”?

OBLICZE: Kto ma się zgodzić?

CHYBEK: Pan.

OBLICZE: Co to jest „pan”?

PROFESOR: Gdybyśmy się lepiej znali, powiedzielibyśmy „ty”. Czy to nic panu nie mówi?

OBLICZE: Hm! „Ty”. Gdzieś to już słyszałem... Hm. „Ty”... To. zdaje się, wtedy, gdy jest więcej niż jeden, co?

PROFESOR: Tak. właśnie tak.

OBLICZE: Ciekawe. Więc ciebie jest więcej niż jeden?

PROFESOR: Tak, jest nas dwóch.

OBLICZE: Bardzo interesujące. Rzadkie. Skąd pochodzicie?

PROFESOR: Pochodzimy z Drogi Mlecznej, z układu słonecznego, z planety Ziemi.

OBLICZE: Z Ziemi? Nie przypominam sobie. A co robisz?

PROFESOR: Jestem uczonym, zbudowałem aparat, którym przybyliśmy, a mój towarzysz jest młodym adeptem astronautyki.

OBLICZE: Prawda, że ciebie jest dwóch. Dziwne. Nie mogę przywyknąć. A co robisz z gwiazdami?

PROFESOR: Na razie jeszcze nic. Nie jesteśmy tak rozwinięci jak pan.

OBLICZE: Pan? A. to ja. Tak. tak. Dobrze. Niech będzie.

Więc jest ciebie dwóch? Jak wyglądacie?

PROFESOR: Pan nas nie widzi?

OBLICZE: Nie.

PROFESOR: Dlaczego?

CHYBEK: Czy panu coś się stało w oko?

OBLICZE: Nie, nic mi się nie stało. Widzę całkiem nieźle. Mgławica mi się formuje, ramiona spiralne rozkłada, nieźle zbudowana. Nieźle. Efekty magnetyczne... Oho, już są pierwsze rozbłyski, protoplanetarne też! No, dobrze, to potrwa jeszcze trochę, przez ten czas możemy porozmawiać. O czym to się mówiło? Aha, o wzroku. Patrzą na zewnątrz, nie do środka. W środku nie mam nic dla siebie ciekawego...

PROFESOR: Czy to ma znaczyć, że jesteśmy w pana środku?

OBLICZE: Ho, ho, a gdzież by? Jasne. A wy macie oczy w środku?

PROFESOR: Nie.

OBLICZE: Szkoda.

PROFESOR: Czemu?

OBLICZE: Byłaby to już druga anomalia.

PROFESOR: A jaka jest pierwsza?

OBLICZE: To, że ciebie jest dwóch. A z czego wy właściwie jesteście, co?

PROFESOR.—. Chodzi panu o materiał? Jesteśmy zbudowani z białka.

OBLICZE: Z białka? Zaraz... Zaraz, muszę poszukać...

PROFESOR: Gdzie?

OBLICZE: Phu... W otchłani mojej... informacji... Białko? Aha... Co? Wy jesteście z białka? I jest was dwóch? To niezwykle!!

PROFESOR: Czemu?

OBLICZE: Czy jesteście płynni? Czy wlewacie się o zmierzchu do pieczar, czy pulsujecie sobie w nich? Czy o świetle przechodzicie metamorfozę?

PROFESOR: Nie! Nic podobnego! Nigdzie się nie wlewamy i nie przechodzimy żadnej metamorfozy. Poza tym nie jesteśmy płynni.

CHYBEK: Pan pomylił nas z kimś innym.

OBLICZE: Możliwe... Zaraz... otchłań... Tego... no, otchłań! Aha i Och.! To wy... Jesteście może ludźmi!

PROFESOR i CHYBEK: Tak. ludźmi!

OBLICZE: O. protuberancja! Może wam się tylko zdaje? Czy małą raczki i nóżki?

PROFESOR: Mamy ręce i nogi.

OBLICZE: Macie? Ładna historia! O. co za zmartwienie! Ludzie! O, ludzie!... Tylko dwóch? To nie tak źle... Ale nie może być — więcej się nie zrobiło?

PROFESOR: Tu jest nas dwóch, ale na Ziemi parę miliardów.

OBLICZE: Już? Już parę miliardów? Tak prędko? Nie spodziewałem się. Tak się tego obawiałem!... Och. cóż za spotkanie! O. to ja... to wy... lak. okropność! Sam nie wiem, co teraz powiedzieć?

PROFESOR: Co pan mówi?

CHYBEK: Co się stało?

OBLICZE: Niestety! Nic się nie da zrobić! Cóż ja mogę teraz? Przepraszam was. przepraszam!” .Mogę tylko błagać o wyrozumiałość. To było niechcący, naprawdę...

CHYBEK: To chyba jakieś nieporozumienie...

OBLICZE: Oby. oby! Ale obawiam się, że to tragiczna rzeczywistość. Miałem jeszcze nikły cień nadziei, że się nie zsiadło, ale widzę, że daremnie...

CHYBEK: Ależ pan nic nam nie zrobił!

OBLICZE: Wam nie. ale was...

PROFESOR: Jak proszę? Jak to nas?...

OBLICZE: Tak. was... Ale przysięgam, że wskutek roztargnienia, niechcący, przez niedopatrzeń! Po prostu przestałem mieszać, słonecznica przypaliła mi się od spodu i powstały zgęstki. Potem przy ochłodzeniu wytrąciło się wszystko... Ach. ścięło mi się. zrobiła się zupka klejowa i z tej zupki różne tam galaretki, a z tych galaretek wyście powstałi, po paru miliardach obrotów wokół Słońca... Już sam nie wiem. jak mam was przepraszać!

CHYBEK: Ależ co pan mówi?

PROFESOR: Zaraz... Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan nas stworzył? Całą ludzkość?

CHYBEK: To nie może być!

OBLICZE: Niechcący, przysięgam! Nieumyślnie! Jestem nazbyt rozciągly, jest mnie zbyt wiele, nadmiar jest moim głównym wrogiem, nieszczęściem, kleską. Chciałem zrobić zwyczajną słonecznicę. Ale kiedy wróciłem, było już za późno...

PROFESOR: Jest pan pewny tego? Według naszych wiadomości, powstałiśmy w toku ewolucji biologicznej, ze zwierząt...

OBLICZE: Zwierzęta też były? Ładna historia! Zawsze to samo! Zwierzęta, co? Nie chciałem! Daję wam uroczyste słowo honoru! Unikam tego, jak mogę, bo wiem, co to za przykrość...

PROFESOR: Co jest przykrością?

OBLICZE: Ludzkość. Cywilizację też może macie?

PROFESOR: Oczywiście, że mamy!

OBLICZE: Wielkie nieba! Cywilizacja też jest! I co teraz będzie? Czy bardzo macie mi za złe?

PROFESOR: Prawdę mówiąc, jeszcześmy niezupełnie przyjęli do wiadomości to, co pan nam oświadczył. Musimy tę myśl zbadać. Ale czy pan się czasem, mimo wszystko, nie myli?

OBLICZE: Możemy sprawdzić dokładniej. Czy jesteście różowi w środku?

PROFESOR: Tak.

OBLICZE: Czy macie nieparzystą głowę i osiem do dziewięciu otworków?

CHYBEK: Zaraz policzę.

PROFESOR: Nie trzeba, kolego! Tak, to się zgadza.

OBLICZE: A macki jakieś są?

.PROFESOR: Nie.

OBLICZE: Na pewno? Nigdy nie macacie?

PROFESOR: Owszem, zdarza się. ale nie mackami.

OBLICZE: A więc jednak? A czy w środku coś puka?

PROFESOR: Serce? Owszem, bije.

OBLICZE: Wciąż?

PROFESOR: Tak. ale...

OBLICZE: Zaraz! A klapkę macie?

PROFESOR: Jaką klapkę?

OBLICZE: O. nie macie? Nieźle. A naddatki są?

PROFESOR: Jak wyglądają?

OBLICZE: Takie maleńkie skrzydełka.

PROFESOR: Nie. Widzi pan!

OBLICZE: Jeszcze chwilka! Czy od czasu do czasu sklejecie się, aby się w krótkim czasie znowu rozkleić i czy puszczacie potem pączki?

PROFESOR: Zapewniam pana, że nie puszczamy żadnych pączków.

CHYBEK: A więc to nie my!

OBLICZE: Ach. moi biedni ludzie, to wy. to wy! Przecież ja was nigdy nie miałem okazji poznać z bliska. Przerażony owym wypadkiem i zagrażającymi nieuchronnie konsekwencjami, pozostawiłem słonecznicę i oddaliłem się, złamany, a wygląd wasz

wydedukowałem na podstawie znajomości dawniejszych przypaleń... przy pomocy matematyki. Wyszły mi z tego rączki, nóżki, główki, klapki, naddatki i pączki. Powiadacie, że nie macie pączków? A co macie?

PROFESOR: Do czego miały być pączki?

OBLICZE: Do kontynuacji. Żeby was było coraz więcej, niestety...

PROFESOR: Aha! Nie. my nie pączkujemy.

OBLICZE: A jak wy to robicie?

PROFESOR: Rodzimy się.

OBLICZE: Nie może być!

PROFESOR: Czemu?

OBLICZE: Nadzwyczajna rzadkość! Fenomen kosmiczny! Oni się rodzą... Kto by pomyślał?! I co wy na to?

PROFESOR: Uważamy to za normalne.

OBLICZE: Biedacy!

PROFESOR: A co pan właściwie robi, jeśli można spytać? Co z tą słonecznicą?

OBLICZE: Jak to... co ja robię? Niebaście nigdy nie widzieli?

CHYBEK: Pan ma na myśli gwiazdy? Owszem, widzujemy je. I co z tego?

OBLICZE: Co z tego? A. to dobre! Czy nie zauważyliście. że słońca są kuliste, a mgławice spiralne?

PROFESOR: Zauważyliśmy.

OBLICZE: I nie dało to wam do myślenia? Dlaczego są Kuliste, spiralne, co?

PROFESOR: Bo się obracają.

OBLICZE: Może same z siebie?

PROFESOR: Tak sądziliśmy. Czy to nieprawda?

OBLICZE: Czy to nieprawda? Co za naiwność święta! Obracają się od mieszania. Rozumiecie?

PROFESOR: Więc to pan miesza? A wolno spytać, po co?

OBLICZE: Ależ właśnie, żeby się nie przypaliło!

PROFESOR: Dziwne rzeczy! Czy pana słowa oznaczają, że pan... hm... miesza galaktyki w tym celu, aby nie powstały w nich istoty rozumne?

OBLICZE: Nic podobnego. Właśnie, aby powstały! W tym celu mieszam, aby powstały, ale normalne.

PROFESOR: To my jesteśmy nienormalni?

OBLICZE: Ach... to... to wyście o tym nie wiedzieli?

PROFESOR: Nie.

OBLICZE: Nie? Najmniejszego domysłu, podejrzenia?

PROFESOR: Nie.

OBLICZE: O, tensor! Co ja narobiłem? Po co ja im mówiłem? O, perturbacja turbulencyjna! Przepraszam! Strasznie mi przykro. Ale skąd mogłem wiedzieć?...

PROFESOR: Nie szkodzi, nie szkodzi. Może wyjaśni nam pan, jakie istoty rozumne są, według pana, normalne?

OBLICZE: Według mnie? Moi kochani, dużo o tym mówić. Czy nie prościej będzie, jeśli, wróciwszy do siebie, rozejrzycie się po waszej planecie, aby skonstatować, co tam nienormalnego?

CHYBEK: Wolelibyśmy jednak...

OBLICZE: Jeżeli wam koniecznie na tym zależy, naturalnie, mogę w paru słowach... Och! Wielkie nieba, znowu! Znowu!!! Znowu!!!

CHYBEK: Co się stało?

PROFESOR: Czy panu niedobrze?

OBLICZE: Niedobrze?... To wszystko przez was! Przez was!!!

CHYBEK: Co to znaczy?

OBLICZE: Zagadaliście mnie. I znów mi się przypaliło — jedno spiralne ramie, od spodu, na trzysta parseków — i znowu wybiegła mi słonecznica. i ścięło się. i będzie zgęstek, i powstanie biało, przekłete biało! I znowu będzie ewolucja, i ludzkość, i cywilizacja, i będę się musiał tłumaczyć, usprawiedliwiać, składać we dwoje, przepraszać, że to niechcący, że przez przypadek... Ale to wy, nie ja! To wyście narobili! Idźcie już. niech was nie znam...

CHYBEK: O. co to. to nie! Przeprosiny — przeprosinami, a powinien pan się zachować inaczej.

OBLICZE: Co?

CHYBEK: Tak. Jeśli, jak pan sam mówi, pokrzywdził nas pan, prosimy o rekompensatę!

OBLICZE: To co mam zrobić?

CHYBEK: Prosimy o dostarczenie nam... e... maszyny... urządzenia do spełniania życzeń! Pan to chyba potrafi?

OBLICZE: Do spełniania życzeń?

PROFESOR: Ależ... kolego Chybek... może...

OBLICZE: Dobrze. Proszę bardzo. Jak sobie chcecie. Do spełniania życzeń? Bez trudu. Ale ostrzegam: z życzeniami trzeba ostrożnie! Oto wasza maszyna... A teraz żegnam.

Narobiliście mi kramu, oj. ludzie, ludzie!...

CHYBEK: Podobno pan nam też.

Po ostatnich słowach Oblicza wjechała na scenę maszyna do spełniania życzeń.

CHYBEK: Panie profesorze, możemy wracać!

Profesor naciska guzik, dźwięki, Oblicze niknie, ale maszyna zostaje w gabinecie Tarantogi.

PROFESOR: No no, ale pan sobie poczyna, młody człowieku !

CHYBEK: A cóż pan chce, profesorze? Oto owoc naszej wyprawy. Czy to nie był dobry pomysł? Przyszedł mi w ostatniej chwili.

PROFESOR: Młodzieńcze, nie jestem z pana zadowolony. Jak widzę, nie zdaje pan sobie sprawy z tego. jaka jest różnica między wyprawą kosmiczną a chodzeniem po prośbie. Pan wyzyskał sytuację. Taka nachalność może rzucić na nas jak najgorsze światło. Poza tym. jeżeli w ogóle należało — trzeba było prosić o coś doniosłego...

Profesor urywa widząc, że Chybek w ogóle nie słucha, gdyż w stal i uważnie ogląda maszynę do spełniania życzeń.

CHYBEK: Tu są jakieś napisy, ale nie umiem przeczytać, to nie po naszymu napisane... O, jest! *Znalazł kartkę na sznurku przywiązaną do maszyny niby karteluszek z ceną. Czyta „Model Uniwersalny... spełnia wszystkie życzenia bez ograniczeń. Wytwórca nie bierze odpowiedzialności za szkody powstałe w związku z działaniem aparatu na niekorzyść osób trzecich”... Też coś! „W trakcie spełniania życzeń o charakterze katastrofalnym aparat może ulec zniszczeniu”...*

PROFESOR: To nie brzmi zachęcająco, mój panie! Nie wydaje mi się. abyśmy mogli skorzystać z tego urządzenia.

CHYBEK: Ależ, panie profesorze! Na początek możemy zażądać czegoś drobnego, próbnie... *Do maszyny: Poproszę piłeczkę pingpongową...*

Biała piłeczka wypada z maszyny.

PROFESOR wstaje, podnosi ją zdziwiony: Skąd panu przyszła na myśl piłeczka?

CHYBEK: Nie wiem. Tak jakoś mi się powiedziało, że to drobnostka. W każdym razie działa... *No! Nabiera tchu.* O co by teraz? Może chce pan zostać sułtanem?

PROFESOR: Ależ to nonsens! Młodzieńcze!...

CHYBEK *do maszyny*: Niech profesor Tarantoga zostanie władcą świata!

Maszyna rusza świecąc i rżąc.

PROFESOR *do maszyny*: Niech profesor Tarantoga zostanie tym, czym był! *Maszyna rżąc zamiera.* Panie Chybek. wypraszam sobie te niemądre żarty. W ogóle powinien pan

więcej myśleć, a przezorniej działać!

CHYBEK: Przepraszam, już nią będę. A ja czy mogę zostać władcą świata?

PROFESOR: Nie!!!

CHYBEK: Dlaczego? Co to panu szkodzi?

PROFESOR rozeźlony: Jest pan ostatnim człowiekiem, w którego ręce złożyłbym losy świata!

CHYBEK: Dlaczego? Gdyby nie ja, wrócilibyśmy z pustymi rękami.

PROFESOR: W świetle tego. czegośmy się dowiedzieli, nie byłoby to może najgorsze...

CHYBEK *do maszyny*: No to poproszę sto złotych! Maszyna rzeźi. Do profesora: To pan uwierzył w te banialuki, które opowiadał ten dziwny facet? Bo ja nie... Oho.i jest! Proszę! *Pokazuje stuzłotowy banknot wyjęty z maszyny.*

PROFESOR: Ależ. panie...

CHYBEK *szybko do maszyny*: Poproszę brylant! Ale duży! Ale duży!! Albo nie — pięć brylantów!!! *Maszyna rzeźi.*

PROFESOR: Dostyc tego! Żadnych brylantów i pieniędzy!

CHYBEK: Już były i znikły. Profesorze, proszę nie przeszkadzać, to nieładnie! Do maszyny: Poproszę sztabę złota!

PROFESOR: Żadnego złota, zrozumiano? Panie Chybek. moja cierpliwość też ma granice. Nie będzie pan zamieniał mej pracowni naukowej w skład dewiz i fałszowanych banknotów! Maszyna rzeżąc staje.

CHYBEK: Dlaczego fałszywych? To pierwszorzędna setka, proszę spojrzeć!

PROFESOR: Właśnie że fałszywa, bo nie została wydrukowana przez Bank Emisyjny.

CHYBEK: Ale złoto?

PROFESOR: Nie potrzeba nam złota. Czy nie wstyd panu wygłaszać takich życzeń? Już raczej należałoby się dowiedzieć, ile prawdy jest w słowach tej istoty. Dlaczego pan nie słucha, co mówię?

CHYBEK *do maszyny*: Niech profesor będzie w dobrym humorze! *Maszyna rzeźi, Tarantoga zaczyna się śmiać.*

PROFESOR: Ha ha ha! Też mi... ho ho... ależ ja... ha ha... doprawdy, nie mogę! Ho ho ho... Kapitalne, ale... ha ha ha... *krzyczy przez śmiech* ha ha, *chcę być wściekły*, ha ha, wściekły chcę być! *Maszyna rzeźi, Profesor nagle przestaje być wesoły, krzyczy*: Dostyc mam tego! Za wiele pan sobie pozwala!

CHYBEK *szybko do maszyny*: Poproszę worek złota i żeby profesor przestał mi

przeszka...

PROFESOR: Nie! Żeby mi tu żadnego złota nie było i niech on natychmiast zamilknie!! i

Maszyna rzezi, Chybek oniemiał. Robi rozpaczliwe gesty, dzikie miny, że nie może mówić, wymachuje rękami, składa je błagalnie.

PROFESOR: No! Nareszcie spokój.

Chybek robi błagalne miny.

PROFESOR: A przestanie pan?

Chybek kiwa usilnie głową, że tak.

PROFESOR: Daje pan słowo?

Chybek kiwa, że tak.

PROFESOR: Dobrze! Do maszyny: Niech odzyska mowę...

CHYBEK: Pan jest nieludzki, profesorze! W końcu tę maszynę ja wymyśliłem. *Profesor otwiera usta, Chybek woła: Dobrze, dobrze, już nie będę! Wymyślimy coś innego. Wiem co — długowieczność. Teraz mamy ją już w kieszeni. Teraz już będzie nasza. Ale najpierw cofniemy czas!*

PROFESOR: Dlaczego?

CHYBEK: W ten sposób stanie się pan młodszy, będzie pan mógł jeszcze bardzo wiele zdziałać. Zrobimy tak: najpierw cofniemy się o... powiedzmy o dziesięć lat, a potem poprosimy o długowieczność. Albo o nieśmiertelność! Niech cofnie się czas o lat dziesięć!

Maszyna rzezi, za oknem świta, zarazem lampa elektryczna gaśnie w pokoju. Podczas dalszej wymiany zdań maszyna rzezi coraz głośniejsze, zarazem zmiana pór, nocy i dnia zachodzi coraz szybciej, raz świeci się lampa i za oknem jest noc, raz lampa gaśnie, za oknem robi się jasno, rytm ten przechodzi w mruganie, wreszcie w szarość, potem zapada zupełna ciemność, w której słychać coraz słabszy odgłos maszyny.

PROFESOR: Zaraz... trzeba się zastanowić...

CHYBEK: Po co?

PROFESOR: To lekkomyślne — maszyna może zniknąć.

CHYBEK: Dlaczego ma zniknąć?

PROFESOR: Dlatego, że w przeszłości nie może już być maszyny, ona jest tutaj, teraz.

CHYBEK: Nic podobnego! Niech się pan nie obawia. Prędzej ! Prędzej!

PROFESOR: Chybek! Co pan narobił najlepszego? Chybek...

CHYBEK: Wszystko będzie dobrze.

Ciemność. Nastaje cisza. Powoli przejaśnia się. Obaj siedzą na krzesłach. Nie ma ani maszyny, ani aparatu do podróżowania w czasie. Jest jasny dzień. Profesor nie ma już wcale siwej brody, to znaczy żadnej zgołą, a jego czupryna jest tylko trochę siwa. Chybek wygląda mniej więcej tak samo, ale nie nosi okularów i nie ma protezy.

PROFESOR jakby budząc się z osłupienia: A to co?

CHYBEK *nieśmiało (to teraz młody student)*: Przepraszam...

PROFESOR: Nie. nic! Jakby mały zawrót głowy... *Patrzy na Chybka*. Kim pan jest?

CHYBEK: Nazywam się Chybek. Janusz Chybek.

PROFESOR: Tarantoga jestem. Ale skąd pan się tu wziął?

CHYBEK: Ja? A, nie wiem... Jakoś tak mi dziwnie... *Rozgląda się po pokoju*. Gdzie ja jestem?

PROFESOR: U mnie. To moje mieszkanie i właśnie zastanawiam się, co pana tu sprowadza... Pan nie wie?

CHYBEK: Nie.

PROFESOR: Ja też nie. Kim pan jest, jeśli łaska?

CHYBEK: Studiuję na WSE. Kończę towaroznawstwo. W przyszłym roku będę pisał pracę magisterską.

PROFESOR: Hm! I nie przypomina pan sobie, co pana do mnie przywiodło? Jestem profesorem nauk ścisłych...

CHYBEK podrywa się: Pan profesor? Och — najmocniej przepraszam. Proszę się nie gniewać — ja naprawdę nie wiem! Do siebie: Skąd ja się tu mogłem wziąć?

PROFESOR *podnosi z biurka gazetę*: 27 kwietnia 1951... dziwne. Byłbym przysiągł, że 51 rok był już bardzo dawno temu...

CHYBEK: Tak?

PROFESOR: No, młodzieńcze! Sytuacja, hm, osobliwa...: Obaj nie wiemy, co skrzyżowało nasze drogi... Może pan ma do mnie jednak jakąś sprawę?

CHYBEK: Nie przypominam sobie... Naprawdę nie.

PROFESOR wstając: No. to w takim razie... Bo, wie pan. mam pilną pracę.

CHYBEK: Z zakresu astronautyki może?

PROFESOR: Nie interesuję się astronautyką. Skąd to panu przyszło na myśl?

CHYBEK: To moja cicha namiętność życiowa, że tak powiem... Proszę się nie gniewać.

PROFESOR: O cóż miałbym się gniewać? Odprowadza go do drzwi. Gdyby pan sobie przypomniał, czemu pan u mnie był. proszę zatelefonować...

CHYBEK: Och!

PROFESOR: Co się stało?

CHYBEK: Znalazłem sto złotych! Tu, w kieszonce! Sto złotych!!

PROFESOR: Gratuluję. I mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe, jeśli go teraz pożegnam?...

CHYBEK: Ależ skąd!... Było mi bardzo miło. Pan profesor zechce wybaczyć...

PROFESOR: A zatem do widzenia panu...

CHYBEK: Moje uszanowanie panu profesorowi! Kłaniam się.

Wychodzi. Profesor przechadza się.

PROFESOR: Sympatyczny chłopak. Zanik pamięci czy co? Ale i ja też... Dziwne. Skąd mu przyszła do głowy ta astronautyka? A gdyby naprawdę tak się nią zająć? A gdyby tak spróbować? To jest myśl! *Odwraca się i idzie do biurka.*

DZIWNY GOŚĆ PROFESORA TARANTOGI

Widowisko telewizyjne

OSOBY:

PROFESOR TARANTOGA

KAZIMIERZ NOWAK—HIPPERKORN. lat około trzydziestu

MAGISTER SIANKO, sekretarz PROFESORA, lat około dwudziestu sześciu

PRYMARIUSZ Zakładu dla Umysłowo Chorych

PIEŁĘGNIARZ Zakładu dla Umysłowo Chorych

ŻONA NOWAKA—HIPPERKORNA, kobieta potężna lat około trzydziestu

MELANIA, kucharka PROFESORA

Uwaga dla Reżysera. Ponieważ Kazimierz Nowak–Hipperkorn gra równocześnie dwie bardzo różne osoby, niezbędny jest aktor o wielkim zróżnicowaniu mimicznym, głosowym, który by się w szybkich „przerzutach” osobowościowych nie zgubił. W tekście widowiska osoba ta będzie stale nazywana Gościem.

I

Gabinet Profesora Tarantogi. Profesor siedzi za biurkiem, przed nim — młodzieniec w okularach, Magister Sianko. Na boku stos listów. Telefon, obok kosz na papiery. Duże pudło z przegródkami na biurku.

TARANTOGA *przeglądając jakiś papier, który podał mu Sianko*: A więc to tak. mój drogi... Jak się pan nazywa, jeśli łaska?

SIANKO: Sianko.

TARANTOGA: A. prawda... Przecież to tu napisane. Magister Krzysztof Sianko... I pan chciałby zostać moim asystentem, co?

SIANKO: Tak. panie profesorze.

TARANTOGA: A, to doskonale, to doskonale! Ale dając ten anons, miałem na myśli asystenta, który by był zarazem sekretarzem naukowym i osobistym... Czy to odpowiada panu?

SIANKO: Tak, panie profesorze.

TARANTOGA: To świetnie! Niedawno wróciłem z Ameryki, wie pan... Ze Stanów. Oni tam mają zwyczaj badania kandydata na każde stanowisko psychologicznymi testami, ale to nie dla mnie. Ja mam swoje, staroświeckie metody. Czy pan jest bystry? Inteligentny?

SIANKO: Trudno mi powiedzieć, panie profesorze. Poniekąd...

TARANTOGA: Poniekąd... Aha! Gdyby pan nawet nie był szczególnie inteligentny, wie pan. to też nic takiego, inteligencja się udziela, a ja jestem bardzo, wprost niezwykle inteligentny, wie pan. Wymagam tylko trzech rzeczy: po pierwsze dyskrecji, po drugie dyskrecji, i po trzecie...

SIANKO: Dyskrecji. Rozumiem.

TARANTOGA: No. tośmy się dogadali. Teraz przedstawię panu pańskie zadania. Najpierw jest korespondencja. O, dzisiejsza poczta! *Wręcza Siance plik listów z biurka.* Zechce pan po kolei przejrzeć te listy, powiedzieć mi, co w nich jest, a ja wskażę panu wytyczne, według których w przyszłości będzie pan decydował już samodzielnie...

SIANKO *otwiera pierwszy list, czyta*: To jest zaproszenie na otwarcie...

TARANTOGA: Do kosza.

SIANKO *wrzuca, bierze drugi list, czyta*: Prośba o przyjęcie obywatelstwa honorowego miasta Sepipół w powiecie mrzyskim.

TARANTOGA: Dlaczego?

SIANKO: Bo pańska prababka tam się urodziła.

TARANTOGA: Ze strony dziadka po ojcu?

SIANKO: Nie. babki po matce.

TARANTOGA: Niech pan tu włoży... *Wskazuje przegródkę pudełka na biurku.* Zastanowię się potem. Proszę dalej!

SIANKO: Zaproszenie na zamknięcie...

TARANTOGA: Do kosza.

SIANKO *wrzuca, czyta nowy list*: Hm... list prywatny...

TARANTOGA: To nic. proszę czytać!

SIANKO *czyta*: „Ukochany profesorze nasz! Jezdem jeno małem wyrobnikiem na nywie, chórem na prawie wszystko, lewe płuco odbite przez okupanta, i ja. inwalida, tak bym hciał czytać pańskie książki, bo pańskie książki to dla mnie wszystko, tylko ja nie mam pieniędzy, to może. ukochany profesorze nasz, pan z tego zrozumienia mnie przyśle”...

TARANTOGA: Do kosza! To naciągacz. Do wszystkich rozsyłał już takie listy. Proszę następny!

SIANKO: „Kochany profesorku! Pan mnie nie zna, ale słyszałam, że pan wrócił z zagranicy i wzięłam na odwagę napisać. Mam lat dziewiętnaście, jestem naturalną blondynką, koledzy w biurze mówią, że ząbki mam jak perełki”...

TARANTOGA: Do kosza! Zaraz — co tam za cyfry są po drugiej stronie?

SIANKO: To... jest podany obwód w piersiach, w kibici, i w tym. no... 98. 81. 96... czy mam wrzucić do kosza?

TARANTOGA: Tak! Tak! Dalej!

SIANKO *czyta*: „Panie profesorze, jest pan wynalazcą maszyny do podróżowania w czasie”... To ktoś niespełna rozumu, można wyrzucić?

TARANTOGA: Nie! Proszę czytać dalej.

SIANKO: „Robiąc doświadczenia przekonał się pan o pewnym fenomenie, którego istotę wyjaśnić mogę panu tylko osobiście. Niestety, jestem zamknięty w obłęcińskim Domu dla Umysłowo Chorych”... Mówiłem przecież, że to wariat...

TARANTOGA: Proszę czytać dalej.

SIANKO: „...,dlatego proszę odwiedzić mnie pod jakimś pozorem, najlepiej jako daleki krewny. List wyrzucę przez mur podczas przechadzki, jak to zrobiłem już z pięcioma, z których żaden widać do pana nie dotarł. Przeprowadzam działania, które umożliwią mi wydostanie się z Zakładu za kilka tygodni, ale każda chwila zwłoki grozi niebezpieczeństwem. Z poważaniem Kazimierz Nowak”...

TARANTOGA: Jaka jest data?

SIANKO: List nie ma daty. ale zobaczę na kopercie... Z ósmego, to znaczy sprzed tygodnia. Nie wyrzucać tego?

TARANTOGA: Nie, mój drogi! Zbieramy się i jedziemy. Gdzie jest ten Oblęcin?

SIANKO: Pod Warszawą. Jedziemy do tego Zakładu?

TARANTOGA: Tak. Kiedy tam będziemy, zechce pan w miarę możliwości milczeć. Ja będę mówił i działał za nas obu. Zgoda?

SIANKO: Oczywiście, jak pan profesor sobie życzy...

TARANTOGA *wstając*: Tam, w tym stoliku pod oknem, jest kieszonkowy magnetofon. Proszę go wziąć. Zaraz... Podnosi słuchawkę. Melania? Halo, Melanio, czy zbiornik w samochodzie pełny? Dobrze. Wyjeżdżam. Otwórz bramę garażu. Co? Obiad? I obiad zjemy, i wszystko, co tylko zgotujesz, bądź spokojna. *Odkłada słuchawkę*. Panie magistrze, ruszamy!

II

Gabinet Prymariusza Zakładu Obląkanych w Oblęcinie. Psychiatra, typowy, w okularach, wybitna inteligencja, mówi wykładowo, jak na sali do studentów, ze smakiem, wyraziście, tubalnie, lubuje się sobą. Siedzą Sianko i Tarantoga.

PRYMARIUSZ: Więc to pana krewny — ten Nowak? Nic nam nie mówił.

TARANTOGA: Tak. to znaczy daleki, daleki krewny, ale byłem do jego matki mocno przywiązany, wie pan. doktorze... Zgłosiłbym się wcześniej, niestety, dłuższy czas przebywałem za granicą, w Anglii, w Ameryce... Wróciłem dopiero przed tygodniem...

PRYMARIUSZ: To niezwykle przypadek, panie profesorze. Wie pan. jestem starym psychiatrą, ale taki bogaty, piękny zespół halucynatoryczny. z tak głębokim rozszczepieniem osobowości, z deluzjami, ze stanami pomrocznymi, z taką sekwencją szubów schizofrenicznych — to rzadkość, to naprawdę istny brylant...

TARANTOGA: Ach, tak? No, tam w rodzinie były takie... ale to stare dzieje, bo to było od strony jego pradziadka bodajże... uraz czaszki w czasie wojen napoleońskich.

PRYMARIUSZ: Co pan mówi? Każę to wnieść do historii choroby. No, teraz jest olbrzymia poprawa. Olbrzymia! Taka remisja, że właściwie, gdyby nie te r e s i d u a, można by go uznać za wyleczonego i wypuścić już dziś. Zastosowaliśmy fenotiazynę, melleril, szoki, potem psychoterapię... Szedł na nią jak złoto, mówię panu! Zresztą sam pan zobaczy, bo pan się chciał z nim widzieć, prawda?

TARANTOGA: Tak, jeśli to możliwe. On jest... spokojny?

PRYMARIUSZ: Teraz? Ależ zupełnie. Orientuje się doskonale co do miejsca i czasu, ma tylko trudności z przypomnieniem sobie faktów z własnej przeszłości.

TARANTOGA: Nic nie pamięta?

PRYMARIUSZ: Chory na amnezje. to jest taki, który utracił pamięć wszystkiego, co przeżył, wypełnia luki, otwierające się w jego pamięci, konfabulacją — wymysłami. Nie są to kłamstwa, gdyż z nieprawdziwości tych faktów nie zdaje sobie sam sprawy. Objaw taki jest typowy i w pewnym sensie w okresie ozdrowieńczym nawet normalny, ale powinien szybko minąć. Tymczasem, jak długo chory nie przypomni sobie choć w zarysie, czym był, gdzie pracował, gdzie się urodził, nie możemy uznać go za wyleczonego. Przecież my nawet nie wiedzieliśmy, że on naprawdę nazywa się Nowak.

TARANTOGA: Teraz już wiecie, panowie!

PRYMARIUSZ: Tak. Ale on twierdził, że się tak nazywa nawet w okresie ostrym. Natomiast ponadto, niestety...

TARANTOGA: Nic nie pamięta?

PRYMARIUSZ: Przypominał już sobie kilka razy. ale to była konfabulacja. Najpierw twierdził, że był buchalterem w Sosnowcu...

TARANTOGA: Mówił to w czasie tych halucynacji?

PRYMARIUSZ: Ależ nie, tamto to były urojenia, typowo schizofreniczne, z ciekawą przymieszką paranoidalną, bo wydawało mu się, że jest prześladowany przez jakieś istoty z innych planet. Istną powieść fantastyczną sobie uroił. Ja mówię o tym okresie, kiedy już pojął, że tamto było chorobowe. Więc w remisji, nieprawdaż... zresztą, wie pan. to o tyle było skomplikowane, że on wykazywał rozszczepienie osobowości i jedna z tych osobowości doskonale poddawała się terapii, druga natomiast pozostawała raczej oporna... Tak że nawet chciałem przedstawić go na posiedzeniu Towarzystwa Psychiatrycznego, ale zaczął wtedy zdrowieć. Nie chcę powiedzieć „niestety”, hę hę, bo jestem przede wszystkim lekarzem, ale demonstracja na zjeździe byłaby istną bombą, bombą, mówię, profesorze... Ale co ja to właściwie chciałem powiedzieć?

TARANTOGA: O tym, jak on sobie przypominał, że był buchalterem.

PRYMARIUSZ: A, właśnie! Dziękuję panu. Więc my, naturalnie, sprawdzamy tego rodzaju twierdzenia pacjentów, bo nieraz chory opowiada coś — na przykład, że zrobił milionowe manko, a my nie wiemy, czy to urojenie, czy prawda. Otóż sprawdziliśmy i okazało się, że w Sosnowcu buchalterem nigdy nie był.

TARANTOGA: Aha! Więc to też było urojenie?

PRYMARIUSZ: Nie, konfabulacja postamnestyczna. Potem twierdził, że jeździł po Pomorzu i wygłaszał odczyty z ramienia Towarzystwa Wiedzy Powszechnej o życiu na innych planetach. To by się nawet zgadzało ze strukturą poprzednich halucynacji. Niestety, i to też okazało się nieprawdą. Gdyby nie to, już dziś moglibyśmy go wypuścić. Czekamy jeszcze, poczekamy... Rokowanie w takich przypadkach nigdy nie jest stuprocentowo pewne.

Pielegniarz wprowadza chorego w pasiastej piżamie, chorym jest Gość.

TARANTOGA wstając: A. to ty, Kaziku! Dawnośmy się nie widzieli. Poznajesz swego stryja?

GOŚĆ: Dzień dobry... stryju... poznaję... poznaję i bardzo się cieszę...

TARANTOGA: No. to doskonale, panie prymariuszu, czy mógłbym porozmawiać chwilę z moim prasiostrożeńcem? Myślę, że taka rozmowa może mu wiele dać, dopomóc...

PRYMARIUSZ: Rozumie się! Ależ naturalnie! Niestety. tylko piętnaście minut, potem

jest czas na zabieg. Może panowie zostaną tutaj? Bo właśnie mam wizytę na oddziałach... ciszej. Czy życzy pan sobie, aby pielęgniarz został?

TARANTOGA: Nie, nie, skądże znowu? To niepotrzebne. Dziękuję!

PRYMARIUSZ: A zatem idziemy. Panie Józefie, najpierw na szóstkę! Siostra Anna tam jest?

JÓZEF: W dyżurce, panie prymariuszu.

PRYMARIUSZ: Przepraszam panów...

Wychodzi z Józefem. Chwila ciszy.

TARANTOGA: No, mój panie siostrzeńcze, słucham.

GOŚĆ: Dziękuję, że pan przyszedł. To, że pan tu jest, świadczy o tym, że nie ma mnie pan za wariata. Prawda?

TARANTOGA: Istotnie, można by wyciągnąć taki wniosek, ale niechże pan mówi...

GOŚĆ: czasu mamy niewiele, więc przechodzę do najważniejszego. Nie mogę opuścić zakładu, bo nie potrafię wymyśleć sobie takiej przeszłości, która by oparła się ich metodom sprawdzania, rozumie pan?

TARANTOGA: Jeszcze niedostatecznie.

GOŚĆ: A więc powiem wyraźniej: nie mogę przypomnieć sobie mojej tutejszej przeszłości, bo jej nie mam. Teraz jest rok 1962, tak?

TARANTOGA: Tak.

GOŚĆ: Miałem nadzieję, że połkną tego buchaltera sosnowieckiego, a gdy zawiodło, przeskoczyłem na TeWuPe. ale i to się nie udało i chwilowo jestem w kropce.

TARANTOGA: A skąd pan wziął tę buchalterię i TeWuPe?

GOŚĆ: Z gazet, oczywiście... Zacząłem symulować remisję, jak to oni nazywają. Dostałem wtedy gazety do czytania i szybko się podkształciłem. Ale nie mogę przedstawić żadnych faktów, świadczących o tym, że pracowałem gdziekolwiek w Polsce czy na świecie, skoro nie było mnie tu i nie pracowałem, ponieważ nie żyłem tu i nie istniałem...

TARANTOGA: A skąd pan się wziął?

GOŚĆ: Jeżeli pan jest profesorem Tarantogą... czy pan nim jest?!

TARANTOGA: czy mam się wylegitymować?

GOŚĆ: Nie, to tylko środek ostrożności. — Wierzę panu. Skoro pan nim jest, to wynalazł pan wiadomą maszynę i zauważył pan, że działa ona tylko w jednym kierunku — we wstecznym, co?

TARANTOGA: To prawda.

GOŚĆ: A zatem potrafi pan sam odpowiedzieć na swoje pytanie.

TARANTOGA: Może bym i potrafił, ale wolę to usłyszeć od pana.

GOŚĆ: Pan stawia warunki. Dobrze. Pochodzę z przyszłości.

TARANTOGA: Z którego roku?

GOŚĆ: Mamy inną rachubę czasu. Ale według waszego kalendarza jest to druga połowa trzydziestego piątego stulecia.

TARANTOGA: czy próbował to pan komuś powiedzieć?

GOŚĆ: Ja nie. To znaczy... częściowo... byłem zmuszony... Mniejsza o to. Profesorze, nie mamy czasu, zaraz po mnie przyjdą, czy może mnie pan stąd wyciągnąć?

TARANTOGA: Obawiam się, że nie. Póki pan sobie... nie przypomni...

GOŚĆ: O, klaustron! Przepraszam... Obawiałem się tego. Wobec tego proszę mi pomóc. Potrzebna mi historia, którą im opowiem, prawdziwa, a przynajmniej taka, która wytrzyma ich sprawdzanie. No?

TARANTOGA: Pan mówi zupełnie współczesnym językiem.

GOŚĆ: Ale co mnie kosztowało nauczenie się go w tak krótkim czasie! Profesorze, ta historyjka!

TARANTOGA: Niestety, nie mogę sklecić jej na poczekaniu. Ja mogę ją potwierdzić, ale nie było mnie od lat w kraju, więc będzie wymagała potwierdzenia osób trzecich...

GOŚĆ: To prawda, więc co robić? Może ten pan by mógł?...

SIANKO: Ja?

TARANTOGA: Nie. to byłoby podejrzane. Żeby akurat mój asystent okazał się pana kolegą ze studiów czy kolegą biurowym... To może wzbudzić podejrzenie, a jak się raz historia rozleci, to już nie będę mógł panu w ogóle więcej pomóc ani nawet przyjść tutaj, co jeszcze mogę dla pana zrobić?

GOŚĆ: Nie wiem. Pan się nie orientuje, jak niesłychanie ciężka jest moja sytuacja, zwłaszcza że nie jestem sam...

TARANTOGA: Słyszałem coś o istotach z innych planet,"

GOŚĆ: A, to! To swoją drogą. Mam na myśli coś jeszcze innego, czego w tej chwili nie podejmuję się nawet panu wytłumaczyć, wymagałoby to całej nocy, jeśli nie dwóch. Ma pan może przy sobie jakiś pilnik?

TARANTOGA: Tylko do paznokci.

GOŚĆ: Może mi go pan dać?

TARANTOGA: A co chce pan z nim zrobić?

GOŚĆ: Nic złego. Przydałaby mi się też skarpetka.

TARANTOGA: Jedna?

GOŚĆ: Tak.

TARANTOGA: Po co?

GOŚĆ: Nie mogę teraz powiedzieć. Ale jeśli mi ją pan da, będę się umiał odwdzięczyć.

„TARANTOGA: w jaki sposób?

GOŚĆ: Pan będzie pierwszym człowiekiem, do którego pójde, opuściwszy ten szpital, i przedstawię panu fakty... wiadomości... które odmienia cały świat. Sądzę, że to dosyć za jedną skarpetkę?

TARANTOGA: Tu jest pilnik. Nie ma co. trzeba ryzykować! Panie magistrze, może pan zdejmie skarpetkę?

SIANKO: Ja mam zdjąć?!

TARANTOGA: Nie nalegam, ale bardzo o to pana proszę.

SIANKO: I zostanę w jednej skarpetce?

TARANTOGA: Może pan zdjąć obie.

GOŚĆ: Panowie, szybciej, na wielką gleję. szybciej!

Sianko zdejmuje bucik, skarpetkę, daje ją Gościowi, który chowa ją do kieszeni piżamy. Gość wstaje.

TARANTOGA: Nic więcej pan teraz nie powie?

GOŚĆ: Nie mogę. czuję, że długo nie wytrzymam. Gotów mi tu wyskoczyć i narobić takiego kramu...

TARANTOGA: Kto?

GOŚĆ: Hipperkorn.

TARANTOGA: Kto to jest?

GOŚĆ: Innym razem. O. słyszę kroki, już idą. Do widzenia! Profesorze, dziękuję za wszystko. Może pan być przekonany, że dotrzymam słowa!

Wchodzi Prymariusz z Pielęgniarką. Nagle Gość siada na krześle, twarz zaczyna mu latać. Bierze ją w ręce, odwrócony, trzyma się rękami za usta, jakby usiłował zmusić — buntowaną część ciała do milczenia.

TARANTOGA: Mój siostrzeniec zdenerwował się trochę. Wzruszenie, spowodowane spotkaniem... Pan pojmuje chyba, panie prymariuszu.

PRYMARIUSZ: No tak. tak... pewno. Panowie już odchodzą?

TARANTOGA: Taki mieliśmy zamiar.

PRYMARIUSZ: Mam nadzieję, że kuracja zostanie już wkrótce ukończona, czy powiadamiać pana profesora o jej przebiegu?

TARANTOGA: O to właśnie chciałem prosić, czy byłoby to możliwe?

PRYMARIUSZ: Ależ rozumie się! *Patrząc na Gościa, który dryga na krześle* No, co tam, panie Kazimierzu?

Gość wydaje dziwne, piskliwe, stłmione dźwięki.

GOŚĆ: To... e... nic... To tylko czkaa... awka, panie doktooo... rze!

PRYMARIUSZ: Taak? A, czkawka, pewno, że czkawka! Panowie pozwolą... odprowadzę was! *Do Józefa ciszej:* Zaprowadź go na salę zabiegową, zdaje się, że potrzebny będzie mały szok...

III

Gabinet Tarantogi. Sianko robi porządki w papierach. Wchodzi Tarantoga, już bez kapelusza i płszcza, ale z teczką, którą rzuca na biurko.

SIANKO: Panie profesorze, mam nieprzyjemną wiadomość.

TARANTOGA: co się stało?

SIANKO: Jakaś godzinę temu dzwonił doktor Kuśmiewicz z Zakładu w Oblęcinie. Ten... Nowak usiłował się zabić.

TARANTOGA: Nie może być!

SIANKO: Na szczęście zdołali temu przeszkodzić i tylko zranił się w przegub. Pokrwawił się.

TARANTOGA: Moim pilnikiem?!

SIANKO: Tak. panie profesorze. Prymariusz wyraził podejrzenie, to znaczy nie powiedział tego wprost, ale dał do zrozumienia... Bardzo się dziwił, skąd Nowakowi dostał się w ręce tak niebezpieczny przedmiot akurat po naszych odwiedzinach.

TARANTOGA: Jeszcze coś?

SIANKO: Nie.

TARANTOGA: Nie mówił, jak on się teraz ma?

SIANKO: Dali mu jakiś zastrzyk, żeby spał.

TARANTOGA: I cóż pan tak na mnie patrzy? Myśli pan, że zrobiłem głupstwo, co?

SIANKO: Nie. Myślę o czymś innym. Zastanawiam się, co on chce zrobić z tą moją skarpetką.

TARANTOGA: A. rzeczywiście! Obawiam się, że nic nie wymyślimy. Pan nie jest ze mnie zadowolony, kolego Sianko! Pan mnie ma za starego, pomyłonego ryzykanta.

SIANKO: Nic nie mówiłem.

TARANTOGA: Nie szkodzi, widzę po oczach, czuję w całym pokoju. Pan uważa, że to wariat?

SIANKO: Głowę bym dał!

TARANTOGA: Hm... Taki pan tego pewien?

SIANKO: Profesorze! Ależ... teraz?! Teraz, kiedy prymariusz mówił, że to mania samobójcza, ostry atak depresji?!

TARANTOGA: Niech pan nigdy nie pozwala, żeby za pana myśleli inni. Co pan sam

o tym sądzi?

SIANKO: Nie jestem psychiatrą. Ale to było ewidentne od pierwszej chwili. Może mi pan profesor mieć to za złe. ale mówię, co myślę. Taki jestem.

TARANTOGA: Na takiego mi pan wygląda, kochany, i dlatego pana przyjąłem. Czy pan wie. czym różni się wariat od wielkiego odkrywcy, wynalazcy?

SIANKO: Że wariat jest chory.

TARANTOGA: To masło maślane. Że wariat nie jest w stanie dotrzymać swych zapowiedzi, obietnic... Jego odkrycia nie są nic warte. Jednym słowem, poczekamy i zobaczymy. Może pan iść do siebie. Nie będę już dziś pana potrzebował.

Tarantoga sam, pogwizdując, wyciąga z teczki jakieś papiery, podchodzi do szafki, wyjmując flaszkę koniaku, nalewa do kieliszka, wacha, wlewa z powrotem do flaszki, z pewnym żalem zamyka koniak w barze. Telefon dzwoni, Tarantoga podchodzi.

TARANTOGA: Tarantoga. Słucham. Słyszałem już. Jak proszę? Co? Chwila ciszy. Kiedy?! Patrzy na zegarek. To więcej niż półtorej godziny temu. Co? No, tak, tak... Ale przecież on spał, dostał zastrzyk? Ba, niezrozumiałe! Kto ma to rozumieć, ja? A jak się ma prymariusz? Cisza. Aha. A wrócił do przytomności? Nie? Jak pan mówi? Co za skarpetka? Z piaskiem? Nic nie rozumiem. No, dobrze, ale co ja mam z tym wspólnego? Dobrze. Będę się miał na baczności. Oczywiście, że gdyby się pokazał, natychmiast was zawiadomię... Cisza. Autobus do Warszawy? Wsiadł w piżamie, czy jak? Cisza. Niech pan wybaczy, ale u was panują osobliwe porządki! Pacjent rozbija prymariuszowi głowę, ściąga z niego ubranie, a gdzie są wszyscy pielęgniarze, służba, lekarze? Jak? Co?! Ja pana nie uczę. Nie, to nie leży w moich zainteresowaniach. A poza tym, młody człowieku, nawet gdyby dziesięciu waszych prymariuszy wyzionęło ducha, nie należy być niegrzecznym. Żegnam.

Odkłada słuchawkę. Drzwi na balkon willi są otwarte. Willa jest otoczona ogrodem, jest noc, ciemno na dworze, jakaś odległa lampa. Firanka się wydyma. Kotara też, z drugiej strony. Tarantoga podchodzi wolno, lecz z całkowitym spokojem, zagląda za kotarę, potem za firankę. Gdy wraca w głąb pokoju, z ciemności wylania się postać Gościa. Gość staje za nim, Tarantoga odwraca się, widzi go. Chwila ciszy.

GOŚĆ *mówi zupełnie innym głosem. Robi wrażenie znacznie mniej inteligentnego, niezdolnego do koncentracji, bystrości, chwilami nawet trochę ciamajdowatego. Inny człowiek — bardzo zwyczajny, powiedzmy, coś jak przeciętny kibic sportowy:* Pan jest Tarantoga?

TARANTOGA: Nie poznaje mnie pan?

GOŚĆ: Pomoże mi pan?! Musi mi pan pomóc...

TARANTOGA: W czym mam panu pomóc?

GOŚĆ: Żebym mógł wrócić...

TARANTOGA: Do Oblęcina?

GOŚĆ: Do jakiego Oblęcina? Do domu wariatów? Pan co — poliźnia ze mnie robi?

Przecież ja uciekłem stamtąd!

TARANTOGA: O mało nie zabił pan lekarza.

GOŚĆ: Nie zabiłem go? Zdawało mi się, że nie żyje...

TARANTOGA: Pan chciał go zabić?

GOŚĆ: Nie. ale w końcu co by to miało za znaczenie? Przecież by go sptolemizowali.

TARANTOGA: Jak pan powiada? Spto...

GOŚĆ: No wzięliby i by go sptolemizowali. A bo co?

TARANTOGA: Nie. nic. Co z pańską obietnicą?

GOŚĆ: Z jaką obietnicą? Niczego panu nie obiecywałem.

TARANTOGA: To dlaczego pan tu przyszedł?

GOŚĆ: To było jedyne miejsce, jakie znałem. Nowak dał mi adres.

TARANTOGA: Nowak? A kim pan jest?

GOŚĆ: Hipperkom się nazywam. Tobiasz Amfilon Pereaster Hipperkom. Jak tylko usłyszałem pańskie nazwisko, okropnie się ucieszyłem, bo pan będzie mógł mi pomóc!

TARANTOGA: A co panu powiedziało moje nazwisko?

GOŚĆ: Jak to — co? Pan jest przecież Tarantoga. nie? Wynalazca maszyny czasu?

TARANTOGA: O tym też Nowak panu powiedział?

GOŚĆ: Po co mi do tego Nowak? Każdy u nas zna pańskie nazwisko, każde dziecko...

TARANTOGA: Może powie mi pan, skąd się pan tu wziął i kim pan jest?

GOŚĆ: Była wycieczka, to pojechałem. Dlaczego nie miałem pojechać? Wszyscy jeżdżą. Jak Chronobus obniżył się. zrobiłem głupstwo. Przyznaję. Wskoczyłem na jedną chwilkę. Drogą szła dziewczyna. Spodobała mi się. Nikt nie zauważył, że się wymknąłem. Poszedłem za nią. Była tam jakaś buda z kamieni. Dziewczyna stanęła, ledwo się do niej odezwałem, zaczęła krzyżeć. Przylecieli jacyś. wsadzili mnie do budki na kółkach... i zabrali do tego domu wariatów.

TARANTOGA: A w którym roku się pan urodził?

GOŚĆ: W trzytysięcznym pięćset sześćdziesiątym siódmym.

TARANTOGA: A na czym polega sptolemizowanie?

GOŚĆ: Ptolemizacja? No, ja się na tym nie znam. Jak jest nieboszczyk, znaczy trup. to

się robi ptolemizację, żeby... tego... żeby go powtórzyć.

TARANTOGA: Żeby zmartwychwstał?

GOŚĆ: Nie znam tego słowa.

TARANTOGA: Może siądziemy, co? I opowie mi pan wszystko po kolei...

Siadają.

GOŚĆ: Od czego mam zacząć?

TARANTOGA: Pan jest Polakiem?

GOŚĆ: Co to znaczy?

TARANTOGA: Jakiej pan jest narodowości?

GOŚĆ: Nie rozumiem. Naro... co?

TARANTOGA: Mieszkał pan gdzieś stale. Gdzie?

GOŚĆ: Nie, nigdzie stale nie mieszkałem. Nudno. Z pochodzenia jestem Magórzanin, jak o to panu chodzi.

TARANTOGA: Co to jest Magóra?

GOŚĆ: Taka cyprida na Marsie.

TARANTOGA: Zostawmy to na razie. Co pan właściwie robił tam, skąd pan przybył?

GOŚĆ: Nic specjalnego. Trochę nieciłem.

TARANTOGA: Co to znaczy?

GOŚĆ: Pan nie wie, co to jest?

TARANTOGA: Może mi pan zademonstruje?

GOŚĆ *rozgląda się*: Kiedy tu nie ma żadnego niska.

TARANTOGA: Co to jest nisek?

GOŚĆ: Mały nis. Przenośny.

TARANTOGA: A do czego służy?

GOŚĆ: No, jak to? Do męcenia. Miałem niezłe rezultaty, dochodziłem do siedemnastu pargów na jeden abstrych.

TARANTOGA: Niech mi pan pokaże, tak z grubsza, bez niska...

Gość wstaje, składa ręce zewnętrznymi powierzchniami do siebie, i zaczyna szybko przebierać palcami w powietrzu, zarazem porusza kciukami, jakby włożył je w otwór małego, niewidzialnego aparatu, z brodą wysuniętą, jakby się opierała na czymś też niewidzialnym, ugina na przemian nogi, jedną przytupuje jak do taktu, zarazem błogo wzdycha i przewraca oczami.

TARANTOGA: Zaraz... czy ten nisek to instrument muzyczny, a męcenie — to muzyka? czy to słycać?

GOŚĆ: Nie, to czuć. To się wacha. Ręce tak się wkłada w nisek. O, tak. Tam są takie wypukłości... Przebiera się palcami i wtedy się męci, według bratnicy...

TARANTOGA: Czy to jest sztuka? Czy sport? Zajęcie domowe? Praca?

GOŚĆ: Nie, ja tylko tak... dla przyjemności. Ale. proszę pana, mniejsza o męcenie! Przecież proszę się wstawić w moją sytuację! Ja wyskoczyłem z Chronobusa, to jest surowo zabronione, z tego może być gleja, jak nie wiem co!

TARANTOGA: Jak wyglądał ten Chronobus?

GOŚĆ: Chronobusa pan nie widział? A, prawda, wy pewno macie inne, starsze modele. Przypomina placek, okrągły taki, jest jak dwa razem złożone półmiski, ale bardzo wielkie i na górze jest czasownica.

TARANTOGA: Talerz latający?

GOŚĆ: My mówimy Chronobus.

TARANTOGA: I takimi Chronobusami urządzi się u was wycieczki w przeszłość?

GOŚĆ: Tak. Ale nie wolno wsiąść. Nie wolno nawet nogi na zewnątrz wystawić. Żeby czegoś nie zmienić, czy co? Nie wiem dobrze. W każdym razie zakazane.

TARANTOGA: Niech mi pan powie, jakie ważne wypadki historyczne zajdą do końca naszego stulecia? To jest wiek dwudziesty. A co będzie się działo w dwudziestym pierwszym?

GOŚĆ: Nie wiem.

TARANTOGA: Jak to, nie wie pan?! Nie uczył się pan historii?

GOŚĆ: Chorowity byłem.

TARANTOGA: Co pan mi tu opowiada?! Mój panie Hipperkorn czy Nowak. albo będzie pan mówił...

GOŚĆ: Niech się pan nie denerwuje. Powiem prawdę. Nikomu jeszcze nie mówiłem, ale panu powiem. Jak mnie zapisali do hipnasu...

TARANTOGA: Do hipnasu?

GOŚĆ: Tam uczą wszystkiego. Jak dzieci śpią. to im się przykłada do uszu prościenie i one wszeptują. wgadują powolutku, utrwalają w pamięci wszystko, co trzeba. A mnie się nie chciało uczyć matematyki ani historii, ani orbitroniki. ani nic. chciałem śnić to. co mi się spodoba, jak dorośli. To kręciłem kulki z gliny, zatykałem nimi prościenie i tak sobie żyłem w tym hipnasie! Myśli pan pewno, że byłem głupi? Możliwe, ale za to co ja się naśniłem, panie! Faraonem byłem, królem jakimś, z takim kapeluszem złotym, potem tym... no... carem... car to się nazywało, nie? A jak już byłem trochę większy, to sobie zamówiłem tę planetę, na której jest dziesięć tysięcy pięknych dam dworu królowej Epolisei i ani jednego mężczyzny! No, z tej planety to ledwo wróciłem, nogi się pode mną ugiwały, ale co się nażyłem, to się

nażyłem!

TARANTOGA: Gdzie jest ta planeta?

GOŚĆ: Jak proszę? Naprawdę to jej nigdzie nie ma, to są sny, które się zamawia. Taki sen, to pan sobie wybiera z kataśnicy — to taki spis — i nakręca się, co się chce. Są sny zabronione dla młodzieży, ale ja właśnie takie wybierałem. Wie pan, jak? No, podważyłem wieczko, pod ząbki wzbraniacza wsunąłem plander mego starszego brata i nakręcałem, co mi się żywnie podobało!

TARANTOGA: Jak to się dzieje z tymi snami?

GOŚĆ: Dokładnie nie wiem. Jest centrala, a w domu ma pan śnicę, trochę jest taka jak to... pokazuje na telefon tylko ma takie rożki, tutaj, a w tym miejscu, gdzie to kółko z numerami, jest taka kulka przezroczysta, z otworkiem, nazywa się wzbudnik.

TARANTOGA: Jednym słowem, zamiast się uczyć, śnił pan, tak? I w rezultacie jest pan nieukiem, bo był pan leniuchem?

GOŚĆ: Niby tak. Ale czy z tego wynika, że przeze mnie ma być inwazja Nanów i gleja ma wszystko wziąć, i potem, jak wrócę, mają mnie wytorbić? Ja przecież nie zrobiłem nic strasznego. Dziewczyna mi się spodobała i...

TARANTOGA: Już słyszałem. A skąd pan o mnie wie?

GOŚĆ: O panu? No. wie pan... Każdy w i— ! Przecież główna przyjmą na Marsie nazywa się Tarantogów. Przecież pan wynalazł podróżowanie w czasie...

TARANTOGA: A może pan wie, dlaczego moją maszyną nie można podróżować w przyszłość?

GOŚĆ: Pewno, że nie można. Bo Archirix kazał wybudować specjalną barierę z czasochłonów. inaczej byście się nam wpenetrowali w nasze czasy, a potem w roku... nie pamiętam, coś koło trzecztyśięcznego. ale nie wiem na pewno... uchwalili te ustawę o nieingerencji w czasy przeszłe. Żeby się gleja nie dostała i Nanowie, i w ogóle żeby nie narobić galimatiasu. Przez te barierę nie można się przedostać!

TARANTOGA: Więc jak dostawały się tu wasze Chronobusy?

GOŚĆ: To coś innego. Jak jest wycieczka, to wtedy Tempor — biuro podróży — otwiera tę barierę w odpowiednio wybranym momencie, ale pod inspekcją rządową, i tamtędy przechodzą Chronobusy. Jak pan myśli, czy ten mój Chronobus jeszcze jest? Czy on czeka? Chociaż to niemożliwe... Musieli zamknąć czasochłon. żeby się gleja nie dostała. Ale może chociaż szparkę zostawili, co?

TARANTOGA: Jaką szparkę?

GOŚĆ: Taki ślad. bruzda czasowa. Izochrona to się nazywa, czy jak... Nie pamiętam.

Nigdy się nie interesowałem nauką ani techniką. Oj, bieda będzie ze mną. bieda! Czuję, że mnie powtórzą!

TARANTOGA: Że co zrobią?

GOŚĆ: No, jak do czterech tygodni nie dam znaku życia, powtórzą mnie. Moja Berylda na pewno będzie za tym latała...

TARANTOGA: Kto to jest?

GOŚĆ: Moja żona.

TARANTOGA: A! kobieta!

GOŚĆ: Nie kobieta, tylko kobietnica. Nie stać mnie było na kobietę.

TARANTOGA: Na czym polega różnica?

GOŚĆ: Jak to — na czym? Przecież ja jestem mężczyźnikiem, nie?

TARANTOGA: Dobrze, dobrze. Ma pan dzieci?

GOŚĆ: Jeszcze nie. Ale miałem dostać wnet przydział.

TARANTOGA: Przydział? Proszę! A kto to są ci Nanowie, o których pan wspominał?

GOŚĆ: Nanowie? To są rozumnowce. Rozumnowiec to Nan albo Kleppel, ale przeważnie Nan. Przypadkowo pamiętam, bo Nowak mi mówił. Rząd Eutrichosporidia, klasa Amphoteria. rodzina Nanissima. Dzielią się na rzęsne i mleczone. Z rzęsnymi można jeszcze wytrzymać, ale mleczone — o. to prawdziwa wciera!

TARANTOGA: A co robią ci Nanowie?

GOŚĆ: Zależy. Najczęściej nic, tylko się przyglądają. Włazą, gdzie ich nie proszą. Ale najgorsza jest ta ich maź — gleja! Taka smołowata, a jak się raz zainteresuje człowiekiem, to proszę siadać! Trzeba iść, oddawać wszystko do arborealium.

TARANTOGA: Co to wszystko jest?

GOŚĆ: Co za wszystko? Gleja? No. gleja... pastę z niej się robi.

TARANTOGA: Pastę?

GOŚĆ: Tak. U nas prawie wszystko robi się z glei. My nie mamy czegoś takiego *pokazuje na lampę elektryczną.*

TARANTOGA: A co?

GOŚĆ: Pastę. Jest nawet taki wierszyk dla maluchów „Pasta śpiewa, pasta świeci, pasta wychowuje dzieci”. Można ściany pociągnąć i ubranie zrobić... Wy nie macie pasty? Prawda, że u was glei nie ma.

TARANTOGA: A jak pan był ubrany, kiedy pan tu przybył?

GOŚĆ: W ogóle nie byłem ubrany. W ubraniu nie można wysiąść z Chronobusa. Musiałem wszystko zdjąć...

TARANTOGA: I goły biegł pan za tą dziewczyną, na zaloty? ciekawy zwyczaj.

GOŚĆ: Pan się śmieje? Całkiem goły nie byłem, tam był krzak z takimi dużymi liśćmi, zerwałem gałąź...

TARANTOGA: I pan myślał, że w takim stroju można się zalecać?

GOŚĆ: Ta dziewczyna też nie była prawie ubrana. Dwie malutkie takie szmatki miała, przepaski... Ja panu powiem prawdę. Myślałem... Niech się pan ze mnie śmieje, proszę bardzo! Myślałem, że to epoka jaskiniowa... Bo myśmy mieli tam jechać, a to widocznie był tylko przystanek. Skąd mogłem wiedzieć! Widzę: łąka, dalej woda jakaś, idzie sobie dziewczyna...

TARANTOGA: Słyszałem to już kilka razy. Więc pan się nazywa Hipperkorn?

GOŚĆ: Tak.

TARANTOGA: A gdzie jest Nowak?

GOŚĆ: Śpi. Dali mu zastrzyk.

TARANTOGA: Aha. I co się stało potem, jak pan się dostał do szpitala?

GOŚĆ: Powiedziałem im, co im grozi przeze mnie, chociaż ja niechący... Że podczas przesiadki. Nan może się tu dostać, a gdzie jeden Nan, tam stu, a gdzie stu, tam zaraz gleja. i że z tego może być katastrofa na skalę światową... A oni mi powiedzieli, że będzie dobrze, że Nanów nie dopuszczą, że gleja nie przeciekła i zamknęli mnie w takim pudle., to się nazywa pokój. Już teraz wiem. Myślałem, że oni wszyscy zwariowali, wie pan...

TARANTOGA: Lekarze?

GOŚĆ: No, tak. Początkowo. Ale Nowak mnie przekonał, że oni nie wiedzą o tym wszystkim, co my...

TARANTOGA: I co?

GOŚĆ: Dałem mu gadać, bo widziałem, że robi to leniej ode mnie. No i rzeczywiście udawał, że mnie nie ma ani żadnych Nanów nie ma, ani glei, ani nic, i że on jest jakimś bucha... Jak to jest? Buchartem, czy jakoś... z tego tam Sosnowca... ale oni nagle poznali się na tym i nie chcieli nas wypuścić...

TARANTOGA: Was? To was jest dwóch?

GOŚĆ: No pewno, ja i Nowak, to dwóch... I jeszcze ten Nan jest, chciała bida, że akurat wtedy musiał się wziąć do przesiadki, kiedy szła ta dziewczyna...

TARANTOGA *pokazuje mu zegarek*: Która teraz godzina?

GOŚĆ: Dwudziesta siódma czterdzieści dziewięć. Po co pan mi to pokazuje.— Co to jest?

TARANTOGA: Zegarek. Co to za godzinę pan podał?

GOŚĆ: Pan się pytał o czas, nie? To powiedziałem.

TARANTOGA: A skąd pan wiedział, że jest ta godzina?

GOŚĆ: A skąd pan wie, kiedy pana głowa boli? czuję, nie? Pan nie czuje godziny?

TARANTOGA: Nie. Jak pan ją czuje? czym?

GOŚĆ: W głowie. Nie wiem, jak to jest. To każdy ma od urodzenia u nas. U was nie?

TARANTOGA— Ile godzin ma wasza doba?

GOŚĆ: Trzydzieści. To jest doba marsjańska.

TARANTOGA: To pan jest z Marsa?

GOŚĆ: Przecież powiedziałem panu, że jestem Magórzezanin. Moja cyprida jest na Syrtis Minor. Mam tam dwa pasikiery.

TARANTOGA: co panu się stało w rękę? Gość ma przegub przewiązany.

GOŚĆ: To? Rana. Zraniłem się umyślnie.

TARANTOGA: Dlaczego?

GOŚĆ: To było tak: dziś rano pokłóciłem się z Nowakiem. Zaufałem mu i dałem mu robić, co chciał, ale widzę, że czas mija, a tu nic, nie puszczają nas. Przyszło mi do głowy, że oni mają mnie za sztuczniaka!

TARANTOGA: Co to jest?

GOŚĆ: Imitowiec. Nie wie pan? Faktycznie, u was nie widziałem. Jak pan kupuje, to się mówi „poproszę cybernaka”, ale tak, na co dzień, to my mówimy „sztuczniaki”.

TARANTOGA: Roboty?

GOŚĆ: Roboty? Roboty to były dawniej. Jak jeszcze z żelaza robili. Teraz to tylko po muzeach stoją, całkiem zardzewiały. Sztuczniak jest zrobiony z tego samego, co człowiek, a jedyna różnica jest ta, że on nie ma krwi. Jak go pan ukłuje, to z niego krew nie idzie. Więc ja się ukłułem, żeby im pokazać, że jestem człowiekiem! Nowak nie chciał, ale dałem mu radę. Byłem okropnie zezłoszczony, że to się tak ciągnie bez końca. A potem, jak przyszli ze strzykawką, to wypuściłem Nowaka i jemu dali zastrzyk. Niezłe, co? A jak zasnął, to wstałem, znalazłem w piżamie jakąś skarpetkę, napełniłem ją piaskiem, poszedłem korytarzem, a przy drzwiach spotkałem tego głównego tam, wie pan...

TARANTOGA: Lekarza? Aha! I uderzył go pan w głowę...

GOŚĆ: Właśnie. I przebrałem się. Ale co miałem robić?

TARANTOGA: Dobrze. Może mi pan powie więcej o tych Nanach? Skąd się wzięli?

GOŚĆ: Nie wiem.

TARANTOGA: czy są podobni do ludzi?

GOŚĆ: Skąd! Oni są malutcy...

TARANTOGA: A kiedy się pojawili?

GOŚĆ: A gleja ich wie! Ja nie jestem nanologiem. proszę pana. Oni zawsze latają kupami, żeby sobie zrobić gwół. Starają się zająć człowieka z trzech stron, dotkną go — i trzask!

TARANTOGA: co — trzask? Zabijają?

GOŚĆ: Skąd! Co pan mówi? Po prostu — przesiadka. Przesiadają się przez tego faceta, nie? Potrzebują człowieka tylko dla przesiadki.

TARANTOGA: Na czym polega przesiadka?

GOŚĆ: Na tym. że oni się wymieniają. Nawzajem.

TARANTOGA: Jak oni wyglądają?

GOŚĆ: Trochę to są podobni do łosank. Pan wie, co to są łosanki? Widzę, że nie. To są takie pramsze na Marsie.

TARANTOGA: To też jakieś istoty rozumne?

GOŚĆ: Skąd?! To tak, jak na Ziemi trawa, krzaki...

TARANTOGA: Więc Nanowie są podobni do roślin?

GOŚĆ: Gdzie tam! Pan pytał, co to są łosanki. nie? Łosanki są na Marsie tym. czym na Ziemi są rośliny. Ale nie mają gałęzi ani liści, ani zielone nie są.

TARANTOGA: Wiec w czym są podobne do roślin?

GOŚĆ: Że stoją i rosną, i tego... cukier robią z powietrza, czy jak? Fotosynteza to się nazywa, nie?

TARANTOGA: Mniejsza o te łosanki. Może mi pan narysuje Nana? Tu ma pan papier i ołówek.

GOŚĆ: Nie umiem rysować.

TARANTOGA: Niech pan spróbuje. Mniej więcej.

GOŚĆ: W jakiej fazie mam narysować?

TARANTOGA: A oni przechodzą jakieś fazy?

GOŚĆ: Jasne. Wie pan co? Niech mi pan narysuje wodę. Potrafi pan? To ja panu narysuję Nana.

TARANTOGA: Oni są zatem różnokształtni? czy przezroczyści?

GOŚĆ: Rozmaicie. Podobno dawniej ludzie nie mogli wytrzymać. To było krępujące, wie pan... Że, cokolwiek pan robi. w domu czy w łóżku, nagle wyskoczy trójka Nanów. przymierzy się — i hyc! Ale oni są już strasznie dawno, tośmy się zdążyli przyzwyczać. Zresztą z tej ich glei jest pożytek, mówiłem panu. Pastę się z niej robi.

TARANTOGA: Oni wytwarzają tę gleję? Jak wygląda gleja?

GOŚĆ: Jak pan tylko chce. Robi kawały, że oj! Jak się wzdyma, to wiadomo, że blisko są Nanowie. Ciągnie się za nimi jak szac za protem.

TARANTOGA: A nie próbowano usunąć tych Nanów? Zlikwidować ich jakoś?

GOŚĆ: Nie wiem. Ale zostałyby i tak gleja, nie? Dałaby nam ładną wciere! Przecież i tak się mówi: „A żeby cię gleja wtęchła!”

TARANTOGA: To przekleństwo?

GOŚĆ: Owszem.

TARANTOGA: A czemu pan się obawia jakichś nieprzyjemności w związku z Nanami?

GOŚĆ: Nie dla mnie. Dla was. Bo my jesteśmy antynanizowani przy urodzeniu. A za to, że tego Nana tu zawlokłem, mógłbym potem odpowiadać. Jeszcze mnie za to wytorbią, albo co...

TARANTOGA: A proszę powiedzieć, jak to wygląda, kiedy tacy trzej Nanowie robią „przesiadkę”...

GOŚĆ: Proszę bardzo. Więc, dajmy na to, ja stoję tak... *wstaje i, mówiąc, równocześnie zaczyna pokazywać wszystko gestami, ilustrować mimiką.* Tu przyskakują dwaj, znaczy na lepnia... *przystawia sobie dwa kciuki nad czołem niczym rogi,* a trzeci tu, z tyłu, poniżej krzyża... Bo tamci się mijają przez mózg, a ten z tyłu robi do góry gwół przez szpik kręgowy... *Tędy... pokazuje, jakby mu z tyłu wyrastał ogon.*

TARANTOGA: Zaraz... Przecież tak wygląda... czy to?...

Ten z tyłu wygląda jak ogon?

GOŚĆ: No, nie bardzo! Trochę... Jest coraz dłuższy, taki końcem strzępiasty. Ale tylko chwilę. Bo to krótko trwa, wie pan...

TARANTOGA: Ależ to znaczy... To człowiek wygląda wtedy jak diabeł?

GOŚĆ: Jak co? Nie znam tego słowa.

TARANTOGA: czy Nanów nie było bardzo, ale to bardzo dawno temu? Nic pan o tym nie słyszał?

GOŚĆ: Podobno było ich trochę, ale mało. I nazywali się... A, wiem już! Prenanki. Oni mieli swoją główną poczwarnię na Marsie. Zdaje się, że pojedynczo bywali na Ziemi. Coś mi się obilo o uszy. Dawniej, to jak się pojawiali, ludzie mówili, że jest, .opętane czy jak? Słyszał pan może? Ludzie się ich bali wtedy. Po paru przesiadkach, jak ktoś nie jest antynanizowany, to najpierw zaczynają włosy rosnać na nogach, takie długie, czarne... Przestań! Przestań w tej chwili! O, gwajzel!

TARANTOGA: co się stało?

GOŚĆ: Nowak się zbudził! Przestań się pchać! Ja mówię z profesorem! No! Noo!
Robi dzikie miny, przewraca oczami, nagle zmienia mu się wyraz twarzy. Wciąż stoi. Zmienia się w Nowaka.

GOŚĆ *głosem Nowaka*: O. ty pirzwo jedna! Ty procie! Gdzie ja jestem? Pan profesor! Panie profesorze, to ja. Kazimierz Karnak Ignacy Nowak. starszy czasowy wypuczni numer siedem!

TARANTOGA: Co to ma znaczyć? Gdzie jest Hipperkorn?!

GOŚĆ: Ten idiota? To on nie powiedział panu? Głowa mi pęka... Dali mi jakiś wredny zastrzyk... O co pan pytał? Aha! Proszę nie mówić. Wiem. A to szaleniectwo! Rzucił się na prymariusza, nie mogłem go powstrzymać! Myślałem, że go zabije...

TARANTOGA: Mówił, że go sptolemizują...

GOŚĆ: Bo to idiota, idiota, nie rozumie, że ptolemizację wynaleziono dopiero w roku dwutysięcznym sześćset osiemdziesiątym trzecim! Proszę pana. niech pan z nim w ogóle nie rozmawia! To kretyn! Nie rozumiem, jak mogli mnie z kimś takim ścielić?!

TARANTOGA: Jak proszę?

GOŚĆ: Zaraz pan zrozumie wszystko. Ja nie jestem mężczyzną, panie profesorze, tylko mężczyźnikiem. Różnica jest taka jak między osobą a zasobnikiem. Mężczyźnik, to jest człowiek, będący nosicielem co najmniej dwu różnych i niezależnych osobowości...

TARANTOGA: Co pan mówi?!

GOŚĆ: Proszę słuchać! Pan przecież wie, że mózg ludzki składa się z dwu prawie całkowicie niezależnych od siebie półkul! Archibald Pranfoss wynalazł w roku dwutysięcznym dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym możliwość wprowadzania w mózg jednego człowieka dwóch rozmaitych osobowości. Najpierw robiło się to tylko dla względów oszczędnościowych, uważa pan? Na przykład na międzygwiazdowych krążownikach, gdzie jest mało miejsca dla załogi i gdzie ten sam człowiek musi pełnić służbę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! Więc wprowadza się do jego mózgu dwie osobowości i podczas gdy jedna odpoczywa i śpi, druga stoi na posterunku. Później zaczęło się to robić nie tylko w celach zagęszczenia służbowego, bo to daje olbrzymie możliwości, gdyż daną osobowość można przenieść z jednego ciała do drugiego. Jak się, powiedzmy, znudzi towarzystwo tego drugiego albo kiedy ktoś nie chce już być niskim blondynem, lecz pragnie się stać barczystym brunetem... albo jak ktoś chce znowu się wyszaleć, jak w młodości... Wtedy przy pomocy aparatury Pranfossa–Mardivaniego przekazuje się całokształt struktury neuronowej jego mózgu w obręb innego mózgu. Jest tylko jedno ograniczenie, że oba osobniki muszą być tej samej płci. Ja właśnie jestem, to znaczy byłem starszym czasowym wypuczni numer siedem

tego Chronobusa, którym ten nicpoń Hipperkorn podróżował sobie do epoki jaskiniowej i kiedy nie miałem wachty, podczas mego snu. ten kretyn, zobaczywszy jakąś dziewczynę w kostiumie kąpielowym, wyskoczył z maszyny...

TARANTOGA: Wielkie nieba! Zaczynam rozumieć...

GOŚĆ: Czy powiedział panu o Hrapsodrorze?

TARANTOGA: Nie.

GOŚĆ: Jak długo tu już jest?

TARANTOGA: Około godziny...

GOŚĆ: I czy nie mam racji mówiąc, że to zupełnie wyjątkowy kretyn?! Przecież to jest ze wszystkiego najważniejsze!! Ten Hrapsodror, to jest Nan, panie profesorze, który akurat przesiadł się z dwoma innymi, kiedy Nowakowi zachciało się lecieć za rozebrany kociakiem! I on teraz siedzi we mnie, a właściwie nie we mnie, tylko między nami dwoma.

TARANTOGA: Czy to znaczy, że on... że ów Nan znajduje się w waszym ciele?

GOŚĆ: Zaraz i to postaram się wyjaśnić, ale tylko w dwu słowach, bo nie ma czasu! Pranfoss doszedł tej swojej metody wcielania i wycielania dowolnych osobowości właśnie dzięki badaniu Nanów. On był psychiatrą—nanologiem. Na—nowie robią coś podobnego od milionów lat: przekazują wzory swych osobowości. Wygodnie jest im użyć jako przewodnika, jako pośredniczącego medium, mózgu ludzkiego, ze względu na pole bioapazytowe, które wytwarza się wokół corpus callosum... Nie mogę się wdawać w szczegóły! Ten Hrapsodror siedzi we mnie, w postaci niejako utajonej, jakby — bo ja wiem? — jakieś straszne zarazki siedziały w utajonej postaci w ciele człowieka. Ale on nie wytrzyma tak długo, czuję to, przecież ja się z nim męczę już od szeregu tygodni!

TARANTOGA: Kim pan jest właściwie? Technikiem? Uczonym?

GOŚĆ: To są u nas pojęcia wymienne. W kilku słowach: w naszym społeczeństwie decyduje o losie człowieka ranga intelektualna. Ludzie wartościowi, o zdolnościach wybitnych, mają prawo do całego, własnego ciała. Ja właśnie byłem takim, byłem samodzielnym, suwerennym mężczyzną!

TARANTOGA: Więc dlaczego pan i Hipperkorn?...

GOŚĆ: Na tym właśnie polega tragedia mego życia. Zakochałem się nieszczęśliwie w Elżbiecie Prannek. Nie chciała mnie znać, a kiedy nalegałem, uciekła przede mną.

TARANTOGA: Dokąd?

GOŚĆ: Przeniosła się najpierw do swojej przyjaciółki. Marty, a kiedy i tam ją znalazłem, przecieliała się w Beryldę Hipperkorn...

TARANTOGA: Aa!

GOŚĆ: Właśnie! Więc, z rozpaczy, nie widząc innej możliwości, na własne żądanie dałem się wcielić w męża Beryldy i wtedy dopiero udało mi się nakłonić Elżbietę do małżeństwa!

TARANTOGA: To znaczy, że ta kobieta... GOŚĆ: Kobietnica, nie kobieta, profesorze! Ona, tak samo jak ja, jest podwójna, stanowi, jako Berylda, żonę Hipperkorna, a, jako Elżbieta, moją żonę. Nie chciałem porzucić mej pracy, jestem cenionym czasowym, więc kiedy musiałem udać się w tę podróż, namawiałem Hipperkorna tak długo, aż się zgodził pojechać razem ze mną w charakterze uczestnika wycieczki. Wolałem, żeby był ze mną razem, bo ta jego Berylda to nic dobrego, kokietka, taka, co to jej w głowie tylko prząśnie, wyprznie, świtnie, majanki, a moja Elżbieta jest stereopakulanką trzeciego powołania! Ma ukończoną pracę arystorską! Rozumie pan teraz? Jazda! Jazda, odłącz się, bałwanie! Teraz ja mówię! Co to jest? Bo złożę na ciebie skargę, ty draniu, ty!... *Szalone miny* — głos Hipperkorna wraca.

GOŚĆ: Niech pan go nie słucha! Wynoś się, ty. polizino jedna! Niech go pan nie słucha, profesorze! Bo co? A ty na moją co gadałeś?! Nie, ja do niego, panie profesorze! co on sobie wyobraża?! Wysiadłem, bo mi się chciało i już! A tego Nana, tośmy zabrali obaj, niechcący, i koniec! Wielka mi rzecz — Nan! Nana nikt jeszcze nie widział! co może zrobić jeden Nan? Na pewno znajdzie się gdzieś antynanol...

TARANTOGA: Pan jest Hipperkorn?

GOŚĆ: Jasne! To. co on mówił, to kłamstwa! Kalumnie! Jego żona. patrzcie się. wielkie rzeczy! On jest zwykła świnia, dawno już chciałem złożyć na niego zażalenie! Najpierw błagał, prosił na kolanach, żebym mu pozwolił się wcielić, a teraz, jak ja z moja żoną. pan wie. to on się na siłę włącza! Nie może poczekać, aż Berylda zaśnie i ta jego Elżbieta będzie aktualna! I tak się przyczai, a ja się pytam: „Czego szukasz, czego chcesz, to nie twoja żona, idź spać! — a on mówi: „Nie. ja tylko tak. pomyśle sobie trochę, ja ci nie będę przeszkadzał”... I naraz, ni z tego, ni z owego, na chama się włącza, dobiera się do mojej żony!! Pan słyszy?! Dosyć! Odłącz się! Jazda! Ja ci tu zaraz... *Stroi dzikie miny, grozi sobie samemu pięścią.*

GOŚĆ *glosem Nowaka*: Panie profesorze! To wszystko stek plugawych wymysłów! Gdzieś mam jego Beryldę razem z jej kaluśnią! To jest idiotka, warta tyle, co on! Profesorze, zaraz panu powiem, co trzeba zrobić, żeby unieszkodliwić czasowo tego całego Hipperkorna! Mam dla pana liczne rewelacje! Najpierw historyczne, przedstawię panu bieg wypadków w najbliższych czterystu latach. Pisałem o tym pracę magisterską, znam wszystkie daty na pamięć. Ja nie jestem takim tumanem, jak ten amatorski męciarz Hipperkorn! A po wtóre —

trzeba zrobić porządek z tym Nanem. bo... *cały zaczyna się trząść, głosem zdławionym krzyczy* pro... fesorze... proszę wziąć strzykawkę... jakiś... środek nasenny... prę... dko... Won!

GOŚĆ *głosem Hipperkorna*: On mnie chce uśpić! Niedoczekanie! Nawet niech się pan nie waży. profesorze! Jak tylko wrócimy, złożę zażalenie, niech go wysiedlają na zbity mózg! Mogą mi dokwaterować, kogo chcą, byle nie tego grumlocha!

TARANTOGA: Uważam, że dla wspólnego dobra powinien pan jednak dopuścić Nowaka do głosu. On jest lepiej zorientowany i jako, że tak powiem, hm, pana sąsiad w ciele, może...

GOŚĆ: Co?! To pan też jest przeciwko mnie?! Bądź co bądź, chociaż zacieśniony, chociaż z tym dyrwuplem. i jeszcze na dodatek z Nanem w głowie, zawsze dam sobie radę z takim, za pozwoleniem, uczonym z epoki pojaskiniowej. jak pan! Proszę mnie słuchać i wykonywać moje polecenia, to będzie zgoda, a jak nie. to pożałuje pan! Najpierw proszę przynieść mały nożyk. Ale żeby był ostry!

TARANTOGA: Ani myślę! Proszę dopuścić do głosu Nowaka!

GOŚĆ: Co? Aa... precz! Odczep się! Nie, ja ci tu zaraz...

Rozgląda się oszalałym wzrokiem. Na ścianie dostrzega duże. lustro, podbiega i zaczyna się kłótnia: na przemian głosem Nowaka i Hipperkorna, wściekle wymachując, gestykulując, grożąc sobie, a może nawet dając sobie parę razy po po głbie, krzyczy.

GOŚĆ: Hipperkorn, przestań, bo cię zwajgluję!

GOŚĆ: Szańc twoja drzewnem obrzysła wypiskwana!!

GOŚĆ: A strupel ci warzywy w kielbinujście!!

GOŚĆ: Wynocha razem z twoją Beryldą, ty klepinosie nanowaty!

GOŚĆ: czekaj, jak wrócimy, to ci dam matrykułem przez helajster, że ci rodzona sztaampownica nie pomoże!

GOŚĆ: A ciebie i barcialajza nie odehruści, ty grzyzno murczapna!

GOŚĆ: Fruki ci w rzęta!!

GOŚĆ: Woon! Proszę mnie n a t y c h m i a s t rozłączyć!! Nie będę z tym chamem ani sekundę dłużej!!!

GOŚĆ: czekajże, przecież Nan wyskoczy...

GOŚĆ: Niech wyskakuje, wszystko mi jedno!

GOŚĆ: Profesorze, każ pan aresztować tego nanofila!

GOŚĆ: Zamurkwić go! Wypętraszyć! Odptolemizować!!

Słychać pukanie do drzwi, nagle Gość cofa się w kąt i cichnie.

MELANIA wchodząc: Panie profesorze! Jakaś pani do pana profesora...

Nim Profesor zdąży się odezwać, wchodzi potężna Żona Gościa i za nią magister Sianko.

SIANKO: Przepraszam, profesorze, ta pani upierała się, że niejaki Nowak jest u pana... O! naprawdę tu jest...

ŻONA: Jak się masz. kotku! Dobry wieczór, panie profesorze! Proszę się nie gniewać, że tak wpadłam. Przyszłam tylko po męża...

TARANTOGA: To... pani mąż? Jak się nazywa?

ŻONA z *maleńkim chichotem, bardzo spokojna i rzeczowa*: Jakże — jak?... Nowak. Kazimierz Nowak. Nowakowa jestem. Na Saskiej Kępie mieszkamy... czy on bardzo rozrabiał, proszę pana?

TARANTOGA: No... nie...

ŻONA: Pan profesor z grzeczności tak, ale ja po jego oczach widzę... On mi się tak co parę miesięcy urywa, proszę panów! Najpierw miejsce mu wyrobiłam w spółdzielni, ale gdzie mu to w głowie! Bajki by tylko opowiadał. Inna rzecz, że to umie. całą noc można by słuchać! Ale nie dla mnie to, nie dla ślubnej małżonki, skąd! A sztuki jakie umie! Bo w cyrku najpierw był. za brzuchomówcę. tylko wyrzucili go, że wciąż pił. Nigdzie mu się nie chce pracować. „Dobrze” — mówię — „już ja cię wykarmię, tylko w domu siedź!” A on uszy po sobie, a po paru dniach już szpary szuka. I chodu! Najpierw do Tworek. Wariata udawać wolał, proszę panów, zamiast żeby z żoną. jak się należy, w porządnym mieszkaniu! Jaki on tu numer zasunął, ciekawam? W zeszłym roku to jak poszedł do szpitala, powiedział, że jest królem Mandragorasem z Pitwy jakiejś czy co, że ma czterdzieści cztery planety pod sobą. Proszę! A jak mu się znudzi, to wszystko odwoła, wypiszą go jako zdrowego, i wraca... Ale teraz coś za długo go nie było. Biegałam, pytałam się... Aha! Do Oblęcina trafił. Ale tam już paskudnie narozrabiał. Bez milicji się nie obejdzie. No, chodź, Kazik! Tylko mi tu nic nie odstawiaj, bo przed panem profesorem będzie wstyd. Jazda do domu! ciekawość, kim on jest teraz? Księciem Ksafiriusem z gwiazdy Opal Sześć?

TARANTOGA: Nie. Magórzaninem z Marsa.

ŻONA: Z Marsa? Proszę — z Marsa! Marsjanin — znaczy? No. chodź, ty mój Marsjaninie jeden, chodź...

Nowak idzie za nią pokornie, Tarantoga patrzy na nich.

ŻONA od progu: Przepraszam pana profesora za wszystkie kłopoty, co pan z nim miał i za ten czas stracony...

TARANTOGA: O. nie szkodzi, pani Nowakowa, nie szkodzi...

ŻONA: Dobranoc!

Wychodzą. Sianko patrzy na Tarantogę, Tarantoga na Siankę.

SIANKO: A to historia dopiero! On tu chyba dwie godziny siedział, wyobrażam sobie, że musiał panu naopowiadać... Hi hi! Krztusi się ze śmiechu, natychmiast zakrywa usta. Przepraszam...

TARANTOGA: Więc pan przychyła się do zdania, że on nie pochodzi z przyszłości, co?

Sianko wydaje nieartykułowany dźwięk, wpatruje się w Profesora jak w wariata.

TARANTOGA spokojnie: A zauważył pan jej nogi? SIANKO: Nie... A co?

TARANTOGA: Jej buciki... Wyjaśnię panu zaraz. Najpierw proszę z łaski swojej szybko wybiec na ulicę i zobaczyć, co się z nimi stało. No, niechże pan idzie, kiedy mówię!

Sianko zakręcił się na miejscu, pobiegł. Profesor przechadza się przy otwartych drzwiach balkonowych. Po chwili zdyszany Sianko wraca.

SIANKO od progu: Nie było ich... Nigdzie... Aż na róg biegłem... Musiała mieć taksówkę na dole...

TARANTOGA: Nie było żadnej taksówki. Wyjrzałem przez okno.

SIANKO: A co? Ulica w obie strony widna, pusta... Nikogo nie ma, dwunasta dochodzi... Myśli pan, że schowali się w ogrodzie? Po co?

TARANTOGA: I w ogrodzie się nie schowali. Została wysłana, żeby zabrać go stąd w możliwie dyskretny sposób. Nie wierzy pan? Proszę spróbować jutro przez milicję poszukać Kazimierza Nowaka i żony na Saskiej Kępie... Nic pan wciąż nie rozumie? Zdradziły ją buciki. Takich żadna kobieta by nie włożyła. Była ubrana, jak się kobiety teraz noszą. To mogli wypatrzeć ze swoich Chronobusów — z talerzy latających... Ale bucików wyraźnie z dużej odległości nie widać. To były buciki, bo ja wiem — z pierwszych lat dziewiętnastego wieku...

SIANKO: To jest dowód?

TARANTOGA: Dla mnie — tak. Nie opierałem się, naturalnie, udawałem, że biorę to za dobrą monetę, bo mogliby użyć energiczniejszych środków. Chcieli zabrać go stąd bez hałasu z powrotem, i to tak, żeby ani śladu nie zostało... Ani myśli w czyjejs głowie... Widzę, że, jeśli o pana idzie, udało im się. Znikli, powiada pan? Widocznie chodnik się pod nimi rozstał. No, już późno. Nie ma co, trzeba spać. Jutro znowu dzień pracy. Dobranoc, drogi magistrze Sianko! Spokojnych snów...